

Oświadczyły

Coulter Catherine

Książka II z Baron



calibre 0.9.43

CATHERINE COULTER

OŚWIADCZYNY

ROZDZIAŁ 1

Jeśli nie zostawisz mnie w spokoju, zacznę krzyczeć.

- Ależ oczywiście, że nie zaczniesz, kotku. Sama wiesz, że jesteś kotkiem, moim małym kotkiem. Mogę cię głaskać i pieścić, a ty pod dotykiem mojej dłoni będziesz się rozkosznie przeciągać i pomrukiwać z zachwytu.

W galerii portretów panowały półmrok i chłód, tak charakterystyczne dla wczesnego zimowego popołudnia.

- Tak, Sabrino - zaczął, uśmiechając się, gdy zbliżał się do niej z wyciągniętą w jej stronę ręką; na wskazującym palcu połyskiwał szmaragd. - To, co zamierzam z tobą robić, będzie ci się bardzo podobało. Od samego początku wiedziałem, że mnie pragniesz, ale sama rozumiesz, musiałem poczekać, aż poślubię Elizabeth. Teraz jestem już jej mężem. I jestem tutaj. Teraz możemy być razem.

Sabrina patrzyła na wyciągniętą ku niej dłoń, na jego zgięte palce, jakby chciał je zacisnąć na jej ciele. Cofała się, aż poczuła, że plecami opiera się o róg wielkiej pozłacanej ramy obrazu.

Nagle wspomnienie wydarzeń w galerii portretów zaczęło blaknąć, a przed oczami pojawiła się oślepiająca biel. Trevor zniknął, była sama.

Zgięła się wpół, gdy chwycił ją atak kaszlu. Czowała ból nawet wtedy, gdy kaszel już ustąpił; miała wrażenie, że żebra podnoszą się do góry, przesuwają i wbijają w trzewia. Wstrząsnął nią ból, ale udało się jej zapanować nad sobą - zmusiła się, by się wyprostować. Rozejrzała się. Biel śniegu była oślepiająca. Sabrina nie wiedziała, gdzie jest. Pamiętała, że u Dantego głębiny piekieł były właśnie zimne, nie gorące. Potrafiła przyjąć to do wiadomości i nie kwestionować. Teraz wiedziała już, jakie jest piekło - to bezbarwny chłód, tak surowy i dokuczliwy, że człowiekowi niemal oddech zamarza w płucach. Przycisnęła do piersi dłoń odzianą w rękawiczkę i z wysiłkiem oparła się o sękaty wiąz. Objęła pień i przycisnęła do niego policzek, by poczuć szorstką korę. Zabolało, ale przynajmniej wiedziała, że jej twarz jeszcze nie zamarza, czuła ją. Przez pelerynę czuła też szorstki pień i korę wpijającą się coraz głębiej w jej ciało, przez kolejne warstwy materii, przez suknię i halkę. Dłuższą chwilę napawała się złudzeniem, jakie dawał pień drzewa - miała wrażenie, że zapewnia jej schronienie. Wokół niej szalał wiatr, nadymając pelerynę i szarpiąc jej poły, smagając nagie gałązki drzewa i wyginając je na wszystkie strony, płacząc z innymi gałązkami, wdzierając się w nie jak paznokcie wbite w ciało.

Podniosła wzrok. Śnieg nie sypał jeszcze zbyt mocno, ale wiedziała, że już niedługo znajdzie się w samym środku szalejącej śnieżycy i umrze, jeśli nie zdoła wydostać się z lasu. Zmusiła się, by oderwać policzek od pnia i raz jeszcze się rozejrzeć. Czyżby śnieg padał coraz gęstszy?

Odsunęła się od drzewa i nakazała sobie zrobić krok naprzód, w myślach błagając niebiosy, by był to kierunek północny. Wcześniej, nawet po tym, gdy jej klacz okulała, była niezwykle pewna siebie, przekonana, że znajdzie drogę przez las Eppingham. W końcu mieszkała tu swoje całe osiemnastoletnie życie i doskonale знаła okolicę. Teraz jednak zastanawiała się, czy znalazłaby drogę, nawet gdyby gęstniejący śnieg nie poprzykrywał wszystkich charakterystycznych miejsc, które

potrafiła rozpoznać.

Cierń zahaczył o poły jej aksamitnej peleryny w kolorze karmazynowym, którą w ubiegłym roku dostała od dziadka w prezencie na Boże Narodzenie. Schyliła się, by odczepić pelerynę, ale znów poczuła przejmujący ból w klatce piersiowej. Zgięła się wpół, gdy chwycił ją atak kaszlu, który szybko stał się tak dokuczliwy, że po zmarzniętych policzkach pociekły jej łzy. Przetarła oczy, ale gdy znów mogła normalnie widzieć, jedyne, co ukazywało się jej oczom, to twarz Trevora, twarz urodziwa, jakby wyrzeźbiona przez wyśmienitego snycerza, niemal zbyt urodziwa jak na twarz mężczyzny. Widziała, jak podchodzi do niej, a jego jasnozielone oczy stają się coraz ciemniejsze. Przesłaniały je rzęsy, zbyt długie i gęste jak na rzęsy mężczyzny; przypomniła sobie słowa swojej siostry Elizabeth, że gdyby urodziła im się córka, mogłyby mieć po ojcu piękne oczy i rzęsy.

Trevor szedł za Sabriną do galerii portretów we wschodnim skrzydle Monmouth Abbey, gdzie przy dobrej pogodzie malowała. Tamtego dnia chciała skopiować portret Isoldy, szesnastowiecznej hrabiny, na którą niegdyś zwrócił uwagę król Henryk VIII, ale gdy pojawił się Trevor, szybko zapomniała o pracy. Wyraźnie słyszała jego słowa:

- Nie walcz ze mną, moja mała Sabrino. Wciągnęłaś mnie w to polowanie, a ja nie jestem cierpliwym człowiekiem. A ty jesteś niezła. Kusisz mnie, prowokujesz do tego, żeby roztrzaskać w drobny mak tę iluzję niewinności, którą wokół siebie stwarzasz. Ale pogoń właśnie się skończyła. Koniec twoich cwanych gier. Wiem, dlaczego przychodziłaś do tej odosobnionej galerii. Doskonały plan. A teraz chodź do mnie i powiedz mi, jak bardzo mnie pragniesz.

Sabrina mocno opierała się plecami o ramę obrazu pradziadka, dalej już nie mogła się cofnąć. Powód... Musi spróbować wymyślić jakiś powód, dla którego tu przychodzi, taki, w który Trevor by uwierzył.

- Źle mnie zrozumiałeś, Trevorze. Jestem twoją szwagierką, niedawno przecież poślubiłeś Elizabeth. Jest twoją żoną, a ja nie próbuję wzbudzić twojego zainteresowania moją osobą. I nigdy nie chciałam, byś na mnie polował. Nie pragnę cię i nigdy nie pragnęłam. Nie kłamię i nie prowadzę żadnych gier. Proszę, zostaw mnie w spokoju. Przychodzę tu tylko po to, by przyjrzeć się portretowi, który chcę namalować.

Trevor uśmiechał się, nic nie mówiąc.

Sabrina nie miała złudzeń. W oczach Trevora widziała ślepe żądze, ale nie tylko to. Determinację. Nie będzie słuchał jej wyjaśnień, nie Trevor. Słyszał tylko to, co chciał usłyszeć; widział tylko to, co chciał zobaczyć. Wokół zawsze kręcili się służący, ale odkąd Trevor przyszedł za nią do galerii, nie widziała ani nie słyszała nikogo.

Pozwoliła, by w jej słowach znalazła ujście pogarda, jaką do niego czuła:

- Posłuchaj mnie, Trevorze. Elizabeth jest twoją żoną, ufa ci. Ufa ci także mój dziadek. Ja ci nie ufam, ale to nie ma znaczenia.

Zaśmiał się, przechylając głowę na bok. Jego jasnozielone oczy przepelniała żądza większa niż jeszcze chwilę wcześniej.

- Wyglądasz przesłicznie w tej ciemnoszarej sukni. Mógłbym pomyśleć, że będziesz wyglądała w niej blado, ale tak nie jest. To z pewnością dzięki twym pięknym rudobrazowym włosom, Sabrino. Patrzyłem na ciebie, gdy potrząsałaś głową, a te cudowne włosy opadały ci na ramiona. Doskonale wiedziałeś, że na ciebie patrzę. Twoje włosy wodzą na pokuszenie.

Trevor nie był potężnym mężczyzną, ale i tak był znacznie większy i silniejszy od Sabriny. Co robić? Sabrina była wściekła. Pogroziła mu pięścią.

- Posłuchaj mnie wreszcie, Trevorze. Przestań! Nie zrobiłam i nie robię niczego, by zwrócić na siebie twoją uwagę. Prawda jest taka, że nawet cię nie lubię. Żałuję, że w ogóle pojawiłeś się w naszej rodzinie, ale nie było innego wyjścia, prawda? Nie było bezpośredniego męskiego dziedzica, więc dziadek musiał uznać za dziedzica ciebie, wnuka swego brata. Zostaw mnie w spokoju, Trevorze, odejź.

Gdy próbowała go ominąć, Trevor nie ruszył się ani o krok; po prostu stał i patrzył na nią.

- O tak, Sabrino, masz rację - odezwał się, a jego głos stawał się coraz niższy, coraz bardziej miękki i gładki, jakby dotykało się satynowej materii. Sabrina wzruszyła ramionami. - Ale wszystko będzie należało do mnie, gdy tylko ten stary przyk wreszcie wyciągnie kopyta, co powinno nastąpić już wkrótce. I już wkrótce to wszystko będzie moje. Już wkrótce Elizabeth będzie nazywała mnie swoim panem i władcą, tak samo jak i ty, Sabrino. Lubię słuchać tych słów padających z miękkich ust kobiety, gdy szczytuję. O tak, i jeszcze lubię czuć na ciele ciepły kobiecy oddech, to potęguje doznania. Wiesz, że wolałbym poślubić ciebie, ale nie było mi to dane. Stary hrabia zmusił mnie do poślubienia Elizabeth. Jest przecież starsza, musiała wyjść za mąż jako pierwsza. Powiedział, że tylko tak będzie sprawiedliwie. A prawdę powiedziawszy, to stary głupiec nie chciał, bym dostał ciebie. Nie, nie mogłem cię poślubić, ale jesteś tutaj i możemy być razem.

Gdy nachylił się w jej stronę, Sabrina oparła dłonie o jego klatkę piersiową, odpychając go z całych sił.

- Zostaw mnie w spokoju, Trevorze. Odejź, bo będę krzyczeć. Służba posłucha mnie, nie ciebie.

Zaśmiał się. Był teraz tak blisko, że w jego oddechu czuła zapach żółwiowej zupy, którą zjadł na obiad.

- Krzycz sobie do woli, Sabrino. Nie ma w pobliżu nikogo, kto by cię usłyszał, ale to już wiesz, prawda? Ach, czuję, że drżysz, kotku.

- Nie jestem twoim kotkiem, ty cholerny draniu! Palce Trevora delikatnie musnęły jej policzek.

Sabrina z całej siły uderzyła go pięścią w brzuch i gdy tylko poczuła, że się pochylił, odskoczyła w bok, niemal się od niego uwalniając. Trevor zdołał jednak chwycić ją za ramię i przyciągnął ją z powrotem blisko siebie. Po chwili obiema rękoma trzymał ją za szyję. Chwyciła go za nadgarstki, ze wszystkich sił wbijając się paznokciami w jego ręce, ale nie mogła się uwolnić.

Dłonie Trevora coraz mocniej zaciskały się na jej szyi, aż pociemniało jej w oczach. Wtedy nagle ją puścił, a Sabrina gwałtownie zaczerpnęła powietrza. I wtedy poczuła usta Trevora wpijające się w jej wargi; siłą wsunął język między jej wargi. Otworzyła usta, by na niego wrzasnąć, ale wtedy wsunął język jeszcze głębiej. Zebrało się jej na wymioty i z całej siły go ugryzła. Trevor odskoczył gwałtownie.

- Ty mała suko! - Dyszał z wściekłości i bólu, gdy znów podchodził blisko Sabriny i z całej siły uderzył ją w twarz, najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. Cios był tak silny, że Sabrina zatoczyła się i uderzyła plecami o portret. Wymachiwała rękoma, starając się utrzymać równowagę. I wtedy zachowała się zupełnie jak nie ona, wrzeszcząc:

- Ty draniu! Zabiję cię za to, ty padalcu!

ROZDZIAŁ 2

W okamgnieniu zorientowała się, że jej słowa sprawiają mu przyjemność. Była tego pewna, widziała, jak z jego twarzy znikł gniew, a jego miejsce zajął śmiech.

- Zawsze lubiłem dziewczyny z temperamentem, nie takie, które leżą pod facetem jak kłoda, w milczeniu, niczym cierpiętnice, jak twoja cholerna siostrzyczka. Lubię patrzeć, jak blednie, kiedy się w nią mocno wbijam, jak zagryza wargi i jęczy.

Nie rozumiała ani jednego słowa. Wiedział o tym. Śmiał się, zadowolony. Od pierwszej chwili, gdy na nią spojrzał, chciał ją posiadać.

- Tak, podobasz mi się, Sabrino, masz ikrę. Walcz ze mną, no dalej, walcz, jeśli ci się podoba ta zabawa. Taka porządna młoda dama, arystokratka, taka dumna, pewna siebie, przekonana o tym, kim jest i co się jej należy. Zastanawiam się, czy kiedy cię wezmę, będziesz krwawić tak jak Elizabeth, kiedy ją rozdziewiczyłem. Wszędzie było czerwono. Bałem się, że moja biedna świeżo upieczona małżonka mogła pomyśleć, że ją zabiłem. Niestety, tak się nie stało.

W tym momencie dotarło do niej w pełni, że Trevor najzwyczajniej w świecie zamierza ją zgwałcić. Jej ręce, uniesione nad głową, ścisnął w nadgarstkach. Napierał. Wykrzyczała mu prosto w twarz:

- Nie, Trevor! Powiem dziadkowi całą prawdę o tobie, możesz być tego pewien. A kiedy to zrobię, każe cię wychłostać i wyrzucić z Monmouth Abbey. Wyprze się ciebie.

- Naprawdę, zrobiłabyś to, Sabrino? Niech twoja słodka buźka powie mu choć słowo, a zapewniam cię, że wyślę go na tamten świat. Wiesz, że nie trzeba wiele, żeby wpędzić go do grobu. Ale, dość tych dyrdymałów, kotku. Czekałem na ciebie bardzo cierpliwie. Nie zamierzam czekać ani chwili dłużej.

Jego bladozielone oczy były teraz wąskie, pełne determinacji. Chwycił dekolt jej wełnianej sukni i szarpnął gwałtownie w dół. Gapił się na jej piersi, lecz Sabrina nie pozwoliła, żeby te łapska dotknęły jej nagiego ciała. Szarpała się i zaczęła bić go pięściami w twarz.

Udało mu się złapać ją za ramię. Wykręcił jej rękę do góry za plecami. Znów krzyknęła głosem pełnym bólu. Czowała, że jej cierpienie sprawia mu przyjemność. Pociągnął jej rękę jeszcze wyżej, ale tym razem powstrzymała się od krzyku.

- Bardzo dobrze - powiedział. Wolną ręką pociągnął za brzeg halki i ściągnął ją na wysokość talii. Gapił się na jej piersi, oczy mu płonęły. - Mój Boże, jaka ty jesteś piękna. Spodziewałem się ładnych piersi, ale te są cudowne. - Chwycił jedną z nich i ścisnął.

Bolało, ale nadal dławiała ból w sobie. Nie miała zamiaru dawać mu satysfakcji, nie chciała mu pokazać, że nieznośnie ją boli. Pochyliła się do przodu i ugryzła go w dłoń, najmocniej jak mogła.

Uderzył ją na odlew.

- Ja cię nauczę posłuszeństwa wobec twojego pana, władcy, wobec mnie. Ugryź raz jeszcze, a będziesz tego bardzo żałować.

Znowu ścisnął jej pierś i zaraz był przy brzuchu, palcami próbował ją znaleźć przez suknię i

halkę.

- Nie!

Zaczął się śmiać, po czym przewrócił ją na twardą, drewnianą podłogę. Siłowała się z nim, próbując złapać oddech. Przywarł do niej całym ciałem. Cofnął się trochę i wtedy poczuła na brzuchu ucisk jego męskości. Silnym szarpnięciem udało się jej uwolnić rękę, aby uderzyć go pięścią w nos.

- Ty suko, mała żalosna suko! - Zaczął okładać ją na oślep, bez ustanku, aż przestała czuć cokolwiek poza razami, które jej wciąż zadawał. Bijąc ją, wył, a w jego spojrzeniu było coś dzikiego.

Nagle zastygł nad nią; zobaczyła, jak jego oczy się rozszerzają, wzrok staje się szklisty, a w końcu mętny. Uderzył ją jeszcze raz, wyklinając przy tym, ale jego głos brzmiał już delikatniej, bardziej sennie. Z jego gardła wyrwał się pomruk.

- Niech cię cholera, niech cię jasna cholera! Zastygł nad nią, był cały spięty. Potem stoczył się z niej i rozłożył na plecach jak długi.

Sabrina momentalnie zerwała się na równe nogi i teraz patrzyła na niego z góry. Oddychał ciężko i powoli. Patrzył na nią. W jego oczach pojawiła się czułość, a na ustach delikatny uśmiech. Dotknął się palcami i jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. Na bryczesach widniała rozległa plama.

Cofnęła się o krok. Zaczęła cała drżeć, przepełniał ją gniew. Gwałtownie kopnęła go w żebra.

- Jesteś odrażającym zwierzęciem. To ohydne. Boże, jak ja cię nienawidzę!

Próbował złapać ją za kostkę, ale w porę uskoczyła. Wciąż się na nią gapiąc, dotknął krwawiącego nosa. Na jego twarz powróciły spokój i opanowanie.

- Nie kopniesz mnie więcej w żebra. Nie mogę powiedzieć, że cię winię. Tym razem za dużo mnie podnieciłaś, Sabrino, nie mogłem dać ci przyjemności, wbić się głęboko w twoje dziewictwo... Ale następnym razem... Ból i przyjemność, kotku, są piękne i nieodwołalnie się splatając, tworzą jedność. Zdobędę cię. Nikt mnie nie powstrzyma, a już na pewno nie ty. Nawet nie próbuj zamykać przede mną drzwi, bo szalał przechylił się na korzyść bólu. Wiesz co, chyba następnym razem będę musiał cię związać. Rozkwaślała mi nos jak byle uczniakowi, bolą mnie żebra i do tego ten wytrysk. To oczywiście twoja wina. Od dawna nie zasmakowałem takiego podniecenia, na pewno nie z twoją siostrą, ani tym bardziej z żadną z tych durnych pokojówek. Niezbyt dla nas obiecujący, ale mimo wszystko jednak jakiś początek.

Sabrina odwróciła się i wybiegła z galerii. Obcasy jej pantofelków stukały o drewnianą podłogę, odbijając się głośnym echem.

Usłyszała delikatne kroki lokaja, skryła się więc na moment w niszy ściennej. Kiedy ją minął, pobiegła do swojej sypialni i drżącymi palcami szybko przekręciła klucz w zamku. Podeszła do wysokiego lustra obok orzechowej szafy, dotknęła palcami sponiewieranej twarzy. Wpatrywała się ślepo w odbicie podpuchniętych oczu, wciąż wilgotnych od łez, i spuchniętych, zapłakanych policzków, rozpalonych i wrażliwych na najlżejszy dotyk, wciąż noszących ślady jego uderzeń. Wpatrywała się w odbicie, wściekła na własną bezsilność, beznadziejną sytuację, konfrontacji z nim, z mężczyzną.

Przypominała sobie, jak po raz pierwszy przyjechał z Italii, ledwie półtora miesiąca wcześniej, ujmował czarem, niemal w chłopięcy sposób zabiegał o aprobatę, szczególnie ze strony Elizabeth. Wspominała pierwszy raz, kiedy zwróciła uwagę na jego dłonie, delikatne i białe, niemal kobiece. Dziadek mruczał pod nosem, że Trevor to jedynie fircyk, rozpuszczony i zadufany w sobie.

Dziadek. Sabrina odeszła od lustra i z opuszczonymi ramionami usiadła na łóżku. Wpadłby w furję, gdyby wspomniała mu o tym, że Trevor próbował ją zgwałcić, zaledwie dwa tygodnie od ślubu z Elizabeth. Przełknęła gorzką łzę. Tylko dziadek mógłby ją obronić przed kuzynem, ale był na to zbyt stary. Sabrina wstała. Podjęła już decyzję. Pójdzie do Elizabeth. Razem postanowią, co teraz zrobić. Gwałtownie przemyła twarz zimną wodą. Nadal wyglądała jak straszdyło. Cóż, Elizabeth zobaczy na własne oczy, co zrobił Trevor, nie będzie miała wątpliwości, kogo tak naprawdę poślubiła. Cisnęła porwane ubranie w kąt szafy i szybko przebrała się w starą brązową suknię.

Znalazła siostrę w jej sypialni, siedzącą przy małym sekretarzyku. Pisała listy; pewnie do gości weselnych, pomyślała Sabrina.

- Zostaw nas, Mary - powiedziała do pokojówki.

Elizabeth podniosła wzrok znad sekretarzyka i spojrzała na siostrę jasnoniebieskimi oczami. Nie powiedziała jednak nic, zanim wyraźnie ociągająca się Mary w końcu zamknęła za sobą drzwi sypialni. Odłożyła pióro i niewprawnie umieściła wygładzony kosmyk jasnoblonde włosów w koczku na głowie. Oboje mieli takie same włosy, Trevor i Elizabeth. Trevor miał jasnozielone oczy, a ona jasnoniebieskie.

- Nie musisz być niegrzeczna wobec Mary. To wrażliwa dziewczyna. Nie życzę sobie takiego zachowania. A teraz powiedz, czego ode mnie chcesz? Widzisz, że jestem zajęta. Muszę jakoś podziękować wicehrabinie Ashford za ten odrażający kosz z kwiatami, ciekawe tylko jak? Wyobrażasz sobie te wszystkie niebieskie tulipany? Trevor nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Istotnie nie są najładniejsze, ale Mary Louise nie chciała źle. - Sabrina od niechcenia machnęła ręką. - To nie ma teraz najmniejszego znaczenia. Posłuchaj mnie, Elizabeth. Musimy porozmawiać. Wiem, że będziesz zaskoczona, ale potrzebuję twojej pomocy. Chodzi o Trevora. Elizabeth, on mnie próbował zgwałcić.

Elizabeth uniosła brew i spojrzała na zegar stojący na kominku. Brew uniosła się jeszcze wyżej. Jej usta trwały w wykrzywionym uśmiechu.

- Najpierw jesteś niegrzeczna wobec mojej Mary, a teraz jeszcze twierdzisz, że mój świeżo poślubiony mąż próbował cię zgwałcić. Czy aż tak zazdrościsz mi nowej pozycji? W co ty ze mną grasz, Sabrino? To wręcz niemożliwe, jest zaledwie trzecia po południu, a gry towarzyskie zaczynamy dopiero późnym popołudniem.

Sabrina w osłupieniu patrzyła na siostrę. Nie mogła uwierzyć w zimny ton jej głosu. Nie, ona po prostu nie zrozumiała. Rzuciła się do niej, gwałtownie chwyciła za rękaw.

- Spójrz na mnie. Bił mnie i sprawiało mu to przyjemność. No, spójrz, do jasnej cholery!

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Widzę, że zarumieniłaś się na twarzy, nic więcej. Wiecznie jesteś na słońcu, więc nic dziwnego.

- Jest zima! Dopiero dziś, po raz pierwszy od dłuższego czasu, wyszło słońce.

Nie mogła w to uwierzyć. Padła na kolana tuż obok siostry, ściskając jej dłoń. Słońce na jej twarzy, co za bzdura! Wiedziała, że zaczerwienienie i opuchliznę widać gołym okiem.

- Musisz mnie wysłuchać, Elizabeth. Trevorowi jest wszystko jedno, dzień czy noc. Poszłam do galerii przyjrzeć się portretowi hrabiny, bo chcę go namalować. Trevor szedł za mną. Sama wiesz, gdzie jest galeria, to odosobnione miejsce, więc doskonale mu pasowało. Nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby mi pomóc, i on doskonale o tym wiedział; dlatego właśnie tam za mną poszedł. Elizabeth, spójrz na mnie. Nie mów mi, że to rumieniec. Nie, on mnie bił, raz za razem. Jest brutalny i okrutny,

Elizabeth. Udowodnił, że nie ma honoru. Straszyl nawet, że zabije dziadka, jeśli mu powiem, co się wydarzyło. Musisz pomóc mi podjąć decyzję, musimy coś zrobić.

Elizabeth odtrąciła rękę siostry, jakby czuła odrazę. Powoli wstała z fotela. Sabrina również podniosła się z kolan. Elizabeth była dobre dziesięć centymetrów wyższa od młodszej siostry. Spojrzała na nią z góry, a w jej jasnoniebieskich oczach widać było głęboką niechęć.

- Sabrino, zabraniam ci. Zabraniam ci wygadywać takie bzdury. Bądź łaskawa pamiętać, że mówisz o moim mężu i naszym kuzynie. Czy nic dla ciebie nie znaczy, że to właśnie on zostanie hrabią Monmouth po śmierci dziadka?

Sabrina mimowolnie cofnęła się o krok.

- Elizabeth, czy nie słyszałaś, co powiedziałam? Nie zrozumiałaś, co mówiłam? Niech cię wszyscy diabli, spójrz na mnie! Popatrz na ślady jego rąk!

Skóra jest jeszcze rozpalona od siły jego ciosów. To nie są żadne bzdury. Przykro mi, ale musisz mi wierzyć. Trevor jest bezwzględny. Próbował mnie zgwałcić. Mówię prawdę. On nie jest ciebie wart. Powiedział, że jeśli spróbuję zamknąć przed nim drzwi sypialni, to skrzywdzi mnie jeszcze bardziej. Proszę, powiedz, co robić.

ROZDZIAŁ 3

Elizabeth siedziała na krześle o delikatnej konstrukcji, rytmicznie stukając opuszkami palców. Wygładziła fałdy jasnoniebieskiej wełnianej spódnicy, potem spojrzała na połyskującą na jej palcu ślubną obrączkę, rodowy klejnot z fasetowanym szmaragdem otoczonym diamentami, by wreszcie spojrzeć na Sabrinę i uśmiechnąć się do niej.

- Rozumiem, Sabrino, że nadal jesteś dziewicą?

Sabrina wpatrywała się w spokojną, beznamietną twarz siostry, a w uszach wciąż pobrzmiwało pytanie, które Elizabeth zadała jej takim tonem, jakby była znudzona i obojętna.

- No więc? Jesteś dziewicą? Straciłaś mowę? Nie możesz odpowiedzieć?

Sabrina bardzo tego nie chciała, ale mimo wszystko oblała się rumieńcem, gdy przypomniała sobie krzyk Trevora i mokrą plamę na bryczesach. Boże, jakże go nienawidziła! Nienawidziła tego, czego się przez niego dowiedziała, wszystkiego naraz.

- Tak, wciąż jestem dziewicą i na szczęście temu łajdakowi nie udało się tego zmienić.

Elizabeth zmrużyła oczy, tak że niemal je przymknęła.

- A więc, moja kochana siostrzyczko, prawda jest taka, że kusiałś Trevora, a on, będąc mężczyzną nieodpornym na pokusy ciała, jak zresztą wszyscy mężczyźni, chętnie ci towarzyszył w galerii. A ty uciekłaś od niego, gdy zdałaś sobie sprawę, że naprawdę ma zamiar poważnie potraktować twoje kuszenie i prowokacyjne zachowanie. Bałaś się, że uczyni cię brzemienną, Sabrino?

Sabrina chwyciła siostrę za rękę, ale zobaczywszy pogardę w jasnoniebieskich oczach, zaraz ją puściła.

- Posłuchaj mnie, Elizabeth. Sama nie wierzysz w to, co przed chwilą powiedziałaś. Zabrzmiało to tak, jakbym z rozmysłem chciała uwieść twojego męża. A ja ci mówię, że Trevor jest próżny i okrutny; to pewny siebie diabeł, który gardzi nami wszystkimi. - Sabrina nie miała zamiaru mówić siostrze, jak wyraził się o niej jej świeżo upieczony mąż. - Proszę cię, Elizabeth, nie możesz tak po prostu tego zignorować, nie możesz udawać, że nic się nie stało. Musisz mi pomóc, musisz pomóc sobie samej.

Elizabeth gwałtownie wstała z krzesła i stanęła na czubkach palców, by być wyższą od siostry. Dłońmi oparła się o blat sekretarzyka.

- To ty mnie posłuchaj, ty mała rozpieszczona żmijo. Przez te wszystkie lata, nawet jeszcze nim umarli nasi rodzice, patrzyłam, jak owijasz sobie dziadka wokół palca, jak go czarujesz tak, że wszystkie uczucia przelał na ciebie, a dla mnie nic już nie zostało. O tak, dziadek pozwolił mi spędzić sezon w Londynie z ciotką Barresford, mając nadzieję, że znajdę tam męża i będzie mógł się mnie pozbyć. Ale ja zawsze wiedziałam, że moje miejsce jest tutaj, mimo że ty zawsze starałaś się je zająć i korzystać z autorytetu i przywilejów starszej z sióstr. Ale dosyć tego, Sabrino! Trevor jest moim mężem. - Elizabeth wyprostowała się i wyglądała na jeszcze wyższą. Promienie słońca odbijały się od jej jasnych włosów, tworząc wokół głowy coś na kształt złotej aureoli. Wyglądała

jak księżniczka: wysoka i dumna. Po chwili znów się odezwała, a jej głos był zimny, zimniejszy niż wiatr za oknem szarpiący gałęziami dębów: - Gdy ten żalonych staruch wreszcie umrze, zostanę hrabiną Monmouth. I od tego dnia będę tu niekwestionowaną panią, a ty będziesz tylko tym, kim pozwolę ci być. Zastanawiam się, czy w ogóle pozwolę ci tu mieszkać. Może jakiś przytułek to miejsce dla ciebie? Wątpię, by chciało mi się marnować pieniądze na sezon w Londynie dla ciebie.

Sabrina odsunęła się, widząc czystą nienawiść malującą się na twarzy siostry. Powoli docierało do niej, że zimna powściągliwość i rezerwa, które Elizabeth zawsze pokazywała światu, maskowały zaciekłość, głęboko zakorzenioną w duszy Elizabeth. Czy Sabrina jest w jakiś sposób za to odpowiedzialna? Teraz była przerażona. Nie, nic złego nie zrobiła. Miała osiemnaście lat. Życie jej płynęło wśród śmiechu i zabawy, aż do chwili, gdy los gorzko ją doświadczył: ojciec zginął w czasie wojny na Półwyspie Apenińskim*, a matka zmarła niespełna rok później; bezsensowna śmierć w wypadku na łodzi jesienią 1811 roku. Dziadek jednak zawsze był przy niej; dawał jej miłość, ciepło i opiekę, nie zdając sobie sprawy, że Elizabeth czuje się zepchnięta na margines. Choć dziadek pewnością kochał je obie tak samo, tego była pewna.

Starła się zrozumieć siostrę, zrozumieć toczącą ją nienawiść, fakt, że broni mężczyzny, który nie zasługuje na to, by być jej mężem, fakt, że wciąż chce być jego żoną, bo chce wydawać rozkazy, chce rządzić i mieć władzę. Sabrina odezwała się powoli:

- Elizabeth, nie chcesz chyba powiedzieć, że wyszłaś za Trevora tylko dlatego, że chcesz zostać hrabiną Monmouth. Nie, nigdy nie zrobiłabyś czegoś takiego.

Pięć długich lat, które minęły od jej osiemnastych urodzin i pierwszego sezonu w Londynie, dłużyło się Elizabeth w nieskończoność. Pięć lat obserwowania, jak to cudowne dziecko przemienia się w kobietę.

- Zrobiłam właśnie to, co zamierzałam zrobić - odezwała się Elizabeth śmiertelnie poważnie.
- A ty, Sabrino, nigdy nie miałaś i nigdy nie będziesz miała tu nic do gadania. Moje uczucia do Trevora to nie twoja sprawa. Jest moim mężem i nim pozostanie, a ty nie będziesz niszczyła jego reputacji, wstrętna kłamczucho!

Sabrina poczuła, że strach chwytą ją za gardło.

- Elizabeth, ja nie kłamię. Trevor zagroził, że znów to zrobi, a nawet, że przyjdzie do mojej sypialni. Powiedział, że mnie skrzywdzi, jeśli zamknę drzwi na klucz. Elizabeth, on mnie uderzył. To nie jest normalne. Z pewnością większość mężczyzn nie zachowuje się w ten sposób.

- Zamknij się! Sabrina wpatrywała się w twarz siostry. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak bezradna.

- Nigdy nie myślałam, że aż tak mnie nienawidzisz, Elizabeth - odezwała się wreszcie, starając się zrozumieć coś z tych strasznych słów, które właśnie padły z ust siostry. - Nigdy nie zrobiłam niczego, by cię skrzywdzić. I nie wierzę, że mój kochający dziadek ciebie kochał mniej. Nie odwracaj się ode mnie, Elizabeth. Jesteś moją siostrą i jedyne, czego pragnę, to chronić i ciebie, i mnie przed tym strasznym człowiekiem, jakim jest twój mąż.

- Wyjdź stąd, Sabrino. Nie chcę więcej słyszeć tych twoich żalonych kłamstw.

Sabrina wstała i wyprostowała się.

- Jeśli mi nie wierzysz, będę musiała porozmawiać z dziadkiem. Nie mogę tak po prostu zignorować gróźb Trevora. Powiedział, że przyjdzie do mojej sypialni, a ja nie zamierzam czekać jak smarkata, bezbronna pannica, aż naprawdę to zrobi i będzie chciał mnie skrzywdzić - powiedziała i odwróciwszy się na pięcie, wyszła.

Elizabeth zaczęła wrzeszczeć:

- Jeśli będziesz na tyle bezczelna, by podzielić się z dziadkiem tymi wstrętnymi insynuacjami, powiem mu, że jesteś tak zazdrosna o Trevora, że rzuciłaś się na niego, a on cię odtrącił! Pomyśl, ty mała żmijo, tylko pomyśl, co może się wtedy stać. Wszyscy zmieszają cię z błotem, okryjesz rodzinę hańbą. Okryjesz hańbą dziadka. I wiesz, że ja cię nie poprę. Jak sądzisz, Sabrino, co wtedy pomyśli sobie dziadek?

Nagle Sabrina we własnym domu poczuła się obca i znieawidzona. Niepewna, stała w drzwiach, ponuro patrząc na siostrę. Elizabeth wydeła wąskie usta i odezwała się nieco spokojniej, choć jej słowa zabrzmiały jeszcze bardziej złowieszczo, gdy mówiła pozbawionym uczuć głosem:

- Nie, dziadek nigdy ci nie uwierzy. Oczywiście sama wiesz, co powiedziałaby Trevor. Idź, Sabrino, proszę bardzo, idź i porozmawiaj z dziadkiem. Zobacz, jak szybko stracisz jego uczucie. Trevor jest jego spadkobiercą, ty głuptasie. Dziadek weźmie stronę Trevora, bo właśnie dzięki niemu zyskuje nieśmiertelność i przedłużenie jakże ważnego dla niego rodu. To, co od ciebie usłyszy, może go wpędzić do grobu. Chciałabyś mieć na sumieniu jego śmierć? Chciałabyś?

Sabrina pamiętała o groźbie Trevora. Nie, na pewno nie próbowałaby zabić dziadka. Ale co mogłoby się stać? Kręciła głową, nie mogąc znaleźć słów, by to nazwać. Bolało, gdy Trevor bił ją po twarzy, ale gdy zobaczyła plamę na jego spodniach, poczuła taką nienawiść chwytającą ją za gardło, że gotowa była zaraz się udusić.

- Wiesz, Sabrino - ciągnęła Elizabeth, uważnie przyglądając się siostrze - nic dla ciebie nie zostało. Jeśli naprawdę tak przejmujesz się umizgami mojego męża, to może lepiej byłoby, gdybyś wyjechała.

Elizabeth zauważyła strach rosnący w wyrazistych oczach siostry, oczach o intensywnym fioletowym odcieniu, którymi wszyscy się zachwycali, i gwałtownie się odwróciła. Powiedziała już wystarczająco dużo. Chciała się uśmiechnąć, ale tego nie zrobiła. Niemal wygrała.

- Zostaw mnie - powiedziała głosem tak lodowatym, jak zimowy wiatr szalejący za oknami. Nadchodziła burza. Potężna burza. - Zostaw mnie. Nie chcę cię widzieć.

Sabrina zlizwała łzę, która spłynęła po policzku prosto na jej wargi. Próbowwała wytłumaczyć sobie, dlaczego tu jest, by choć na chwilę zapomnieć o strasznych wydarzeniach poprzedniego popołudnia. Noc spędziła zamknięta w przepastnej szafie w dawnym pokoju dziecięcym; rano ubrała się i wymknęła do stajni. Czy to ledwie przedwczoraj zaatakował ją Trevor? Wydawało się jej, że minął już przynajmniej tydzień, tydzień w strasznym chłodziu, pod ciemniejącym niebem i w padającym śniegu. Sabrina przycisnęła dłoń do piersi i gdy pomyślała o trzech funtach ukrytych w halce, poczuła na powrót ogarniającą ją nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Trzy funty wystarczą, by kupić bilet do Londynu i pojechać do ciotki Barresford. Zaraz zacznie się ściemniać, nie ma już wiele czasu; nie może tak stać oparta o drzewo.

Odsunęła ciężki pukiel włosów, który wysunął się z kaptura i opadł na czoło, i rozejrzała się. Z pewnością idzie we właściwym kierunku. Do Borhamwood już na pewno niedaleko; niedaleko do ciepłego bezpiecznego wnętrza gospody Pod Krukiem.

Znów poczuła piekący ból w piersi, który zgiął ją wpół. Słyszała własny chrapliwy oddech i po raz pierwszy musiała przyznać sama przed sobą, że jest chora.

- Nie chcę umierać - odezwała się, a słowa niemal przymarzały jej do ust. - I nie umrę.

Przedzierała się przez cierniste krzewy, a każde kolejne drzewo, do którego docierała, stawało się celem, który osiągała. Czowała rosnącą w niej nadzieję, gdy przekonywała się, że las przed nią staje

się coraz rzadszy. Tak, wychodziła spośród drzew, wychodziła z lasu. Borhamwood już niedaleko.

Nagle poczuła, że traci grunt pod nogami. Potknęła się o gruby korzeń wystający z pokrytego śniegiem mchu. Upadła twarzą na zamrożoną ziemię, zaskoczona siłą upadku. Ze zdziwieniem stwierdziła, że czuje ciepło bijące z grubego mchu.

Zostałaby na ziemi minutę lub dwie dłużej. Westchnęła. Chciałaby jeszcze chwilę odpocząć, wtedy na pewno wróciłyby jej siły. Wtedy miałyby ich tyle, że mogłaby dobiec do Borhamwood.

ROZDZIAŁ 4

Niech to szlag!

Phillip Edmund Mercerault, wicehrabia Derencourt, zatrzymał swoją gniadą klacz, Tashę, rozejrzał się po złowrogiej puszczy i na powrót zaczął ciskać przekleństwa. Niech wszyscy diabli porwą Charlesa! Naprawdę go lubił, znał od lat, ale tego już za wiele. Wskazówki, które od niego dostał, aby trafić do Moreland, zaprowadziły go w sam środek lasu, do tego panowała zadymka, która w każdej chwili mogła przemienić się w zamieć. Zamorduje go, gdy następnym razem się spotkają.

Jeśli się spotkają.

Nie, to niedorzeczne. Klacz jest silna i wytrzymała. Wiedział, że zmierza na wschód. Trzeba tylko jak najszybciej wydostać się z tego przeklętego lasu. Jednak nie było żadnego drogowskazu do wioski zwanej Borhamwood, nie było nawet chłopskiej chaty, w której mógłby się zatrzymać i poprosić o kubek kawy, żeby się rozgrzać. Ponieważ był to las, a nie tereny rolne, uznał więc za oczywiste, że w pobliżu nie będzie żadnych domostw. Znowu zaklął. Klacz cały czas brnęła w śniegu; nie było miejsca, gdzie choćby na minutę lub dwie mogła się z niego wydostać.

Jakąż głupotą było z jego strony rozdzielenie się z służącym, Damblerem, który wiózł w powozie bagaż. Dambler wprawdzie bywał nudny, jednak dobrze orientował się w terenie. Prawdę mówiąc, miał w tym względzie niesamowite wręcz umiejętności, ale niestety w tej chwili Dambler najprawdopodobniej grzał sobie stopy przed kuchennym kominkiem w Moreland. Tymczasem jego pan, zmarznięty i głodny, tkwił w środku lasu, z lekkim skórzanym sakwojażem przytroczonym do siodła Tashy, w którym miał tylko dwie zmiany ubrań.

Co go w ogóle opętało? Polowanie i świętowanie Bożego Narodzenia w Moreland. Zastanawiał się, czy zdoła tam dotrzeć przed drugim dniem świąt. Poklepał klacz po lśniącej szyi i delikatnie ścisnął jej boki obcasami.

- No, dalej, Tasha. Nie możemy tu zostać ani chwili dłużej, bo ten cholerny Charles znajdzie nas, ale na wiosnę, kiedy śnieg stopnieje. - Kiedy to mówił, śnieg dostawał mu się do gardła.

Na pewno podążał na wschód. Próbował posłużyć się nosem, tak jak Dambler, który twierdził że za pomocą nosa rozpoznaje długości i szerokości geograficzne, ale efekt był taki, że tylko zaczął kichać.

Robiło się późno, wkrótce zapadnie zmrok. Jeśli nie znajdzie drogi, niechybnie znajdzie się w prawdziwych tarapatach. Nagle Tasha prychnęła i szarpnęła łbem w lewo. Było tam widać chatę, która otulona lasem, wyglądała, jakby stanowiła jego część. Skierował klacz w tę stronę; myśl o gorącej kawie, parzącej usta, sprawiła, że przestał planować, jakie baty sprawi Charlesowi przy najbliższym spotkaniu na ringu w klubie boksinerskim dla dżentelmenów.

Nie była to jednak zwykła chata, ale domek myśliwski. Piętrowy budynek z czerwonej cegły, którego fasada porośnięta była bluszczem, obecnie białym od śnieżnego puchu. Phillip zeskoczył z konia przed samym wejściem, otoczonym kolumnami, tupnął przemarzniętymi nogami i głośno

zastukał kołatką.

Nikt nie odpowiedział. Nic dziwnego. W rzeczy samej był to domek myśliwski, zatem właściciel, kimkolwiek jest, nie pojawi się tu przed początkiem wiosny. Wsiadając z powrotem na konia, rzekł:

- Tasha, obiecuję ci dodatkowe wiadro owsa, jeśli przed zmrokiem dowieziesz mnie do Moreland, tak abym mógł stłuc Charlesa na kwaśne jabłko.

Nie zdejmując rękawiczek, Phillip namacał zegarek ukryty w kieszonce kamizelki, pod połami płaszcza. Zbliżała się czwarta po południu. Rozejrzał się z niepokojem po zasypanej okolicy; śnieg padał coraz mocniej. Ruszył w stronę wąskiej, wydeptanej ścieżki. Jeśli nie znajdzie drogi, to wróci do domku myśliwskiego. Dał sobie jeszcze pół godziny i ani chwili dłużej.

Przez wiejący wiatr przemarzył do szpiku kości, mimo że jego płaszcz był podbity futrem. Dostał dreszczy i pochylił głowę nad końskim karkiem.

Przypadkiem spojrzął w górę i kilka płatków śniegu osiadło na jego nosie. Naciągnął płaszcz na kark i szyję, podciągnął szal aż pod oczy, przytulił głowę do szyi klaczy i popędził ją naprzód. Na rozstaju dróg znów spojrzął w ciemniejące niebo. Nie miał zielonego pojęcia, w którą stronę iść. Z kieszeni płaszcza wyjął monetę, rzucił nią i zgodnie z jej wyborem, skierował Tashę w lewo. Cały czas pamiętał drogę do domku myśliwskiego. Wróci tam, jeśli mu się nie powiedzie.

Uśmiechnął się nagle, wyobrażając sobie, co powiedzieliby jego przyjaciele, gdyby tylko się dowiedzieli, że utknął w środku zamieci śnieżnej, gdzieś w lasach Yorkshire. Wątpił, czy ktokolwiek z nich zapomni o tej historii przed upływem roku. Niemal słyszał Rohana Carringtona, swojego wieloletniego przyjaciela, jak mówi, po swojemu zabawnie przeciągając samogłoski:

- Cóż można powiedzieć, Phillipie? Szkocja nie ma przed tobą tajemnic, ale wystarczy byle podwórko w Yorkshire, żebyś się zgubił w jakiejś cholernej zamieci.

Wreszcie Martine, jego kochanka. Wyobrażał sobie, że leży na łóżku, odziana w coś zwiewnego, przezroczystego, co jednak nie wszystko odsłania, ale też coś, co napełniłoby go taką żądzą, że nie dbałby o to, czy Martine popłacze się ze śmiechu, słuchając o jego przygodzie, czy nie.

Sypało jeszcze mocniej. Nie widział więcej niż metr przed sobą. Tasha przyspieszyła. Nie podnosił głowy znad jej szyi. Koń trzymał się drogi. Niewiele więcej mogli zrobić, poza ewentualnym powrotem do domku myśliwskiego, gdyby nie udało się im wkrótce opuścić lasu, w ciągu dziesięciu minut, no, powiedzmy dziewięciu. Miał doskonałe wyczucie czasu, nawet Martine mu to mówiła. Dobrze wiedział, kiedy miała ochotę na to, a kiedy na tamto. Uśmiechnął się, kiedy wyciągał zegarek. Tak, jeszcze dziesięć minut i wracają.

W myślach wróciła do niego Martine, jego cudowna kochanka, wygięta w lubieżnej pozie. Przynajmniej jej wspomnienie go rozgrzewało. Kiedy jej powiedział, że się wybiera na północ, bo przyjął zaproszenia na kilka świątecznych przyjęć, i nie wróci do Londynu przez jakiś czas, ożywiła się, podparła na łokciach, aby zyskać jego uwagę, i uśmiechnęła leniwie.

- Mój piękny, wolisz pustkę zimy od pełni swojej kochanki? To niedorzeczne.

Uśmiechnął się, świadomy, że chętnie pożegnałby się z większością swoich dóbr doczesnych, gdyby mógł w tej chwili być w ciepłe jej wielkiego łóżka, nagi, z twarzą między jej pięknymi piersiami i po raz kolejny pokazywać jej, co znaczy „mieć dobre wyczucie czasu”.

Śnieg padał teraz naprawdę mocno. Zatrzymał Tashę, jeszcze raz próbując zorientować się, gdzie jest. Jego uwagę zwróciła czerwona plama, otoczona wszechobecnym, jak mogło się zdawać, śniegiem. Przysłonił oczy dłonią. Co to jest, do diabła? W ciągu kilku minut czerwoną plamę pokryje śnieg. Zboczył ze szlaku, zatrzymał Tashę i skonsternowany przyglądał się ciemnoczerwonej

pelerynie, okrywającej niedużą postać leżącą w śniegu nieprzytomnej kobiety.

Zeskoczył z konia i klęknął przy niej. Co mogło się jej stać? Dlaczego znalazła się w środku lasu w taką pogodę? Delikatnie ją odwrócił i spojrzał na młodą, dziewczęcą twarz. Była blada jak śnieg, który ją otaczał, a jej usta posiniały z zimna. Pod skórą, białą jak pergamin, widać było żyły. Dwa wąskie zadrapania przecinały policzek. Krzepnącą krew pokrywał śnieg. Strąk rudych włosów opadł jej na czoło.

Wicehrabia zdjął skórzaną rękawicę i wsunął dłoń pod pelerynę na wysokości klatki piersiowej. Dziewczyna żyła, ale jej oddech był ciężki i powolny, zbyt powolny. Lekko uderzył ją w twarz. Bez reakcji. Uderzył mocniej i potrząsnął nią, złapałszy za ramiona, ale nie mógł jej dobudzić.

Przed dwoma laty miał do czynienia z wieloma wypadkami poważnych odmrożeń. Po tym jak Francuzi wycofali się z Rosji, spędził zimę w Polsce i wiedział, że następstwem srogich mrozów jest najczęściej powolna śmierć. Szybko wziął ją na ręce i jak najdokładniej owinął swoim płaszczem. Mimo przemokniętego ubrania nie ważyła dużo.

W tej sytuacji nie mógł kontynuować poszukiwań; nawet w pojedynkę byłoby to niemożliwe, tym bardziej teraz ledwie widział w zadymce swoją klacz. Domek myśliwski był jedynym rozwiązaniem. Nawet jeśli nie wróci opiekun tego miejsca, to przynajmniej będą mieli jakieś schronienie przed śniegiem.

Przycisnął ją mocniej do piersi, próbując rozgrzać, i poprowadził konia z powrotem do domku myśliwskiego.

- Życie się komplikuje - powiedział, na co Tasha zarżała, strzygąc uszami.

Phillip zsiadł z konia przed małą stajnią tuż obok domku i sprawnie wprowadził klacz do środka; dziewczynę miał ciągle przewieszoną na prawym ramieniu. Położył ją delikatnie na stercie siana, momentalnie rozkulbaczył konia i przykrył grubą derką.

- Wrócę cię nakarmić, jak tylko będę mógł, mój koniku. - Poklepał klacz po zadzie, po czym podniósł nieprzytomną dziewczynę i zabrał do domku.

Ciężkie dębowe drzwi wejściowe były solidnie zabezpieczone, czego się zresztą spodziewał. Grube warstwy zmrożonego śniegu skrzypiały pod jego butami, kiedy spieszył na tyły budynku. Napotkał kolejne drzwi, już nie tak mocne jak poprzednie. Cofnął się o krok, podniósł prawą nogę, po czym gwałtownie ją wyprostował, uderzając w drzwi. Zatrzęsły się, ale nie poddały. Kopnął raz jeszcze i tym razem drzwi wyleciały z zawiasów. Przyciskając do piersi nieprzytomną dziewczynę, wszedł do małej kuchni.

Wepchnął wyważone drzwi z powrotem w futrynę i przycisnął niewielkim stołem, aby zatrzymać na zewnątrz mrozący wiatr i wszechobecny śnieg. Kuchnia była przytulna, pełna osobistych drobiazgów, porozkładanych na stołach i blatach. Niezbity dowód, że to miejsce nie było opuszczone na zimowe miesiące. Obok kominka leżała sterta równo ułożonego drewna, sięgająca do połowy wysokości ściany. Mimo że nie zaglądał do spiżarni, nie miał wątpliwości, że było tam wystarczająco dużo jedzenia, aby uchronić ich przed głodem.

Czym prędzej zabrał dziewczynę z kuchni i wąskim korytarzem przeniósł w głąb domu. Spojrzał tylko pobieżnie na niewielką jadalnię i salonik po drugiej stronie korytarza. Wszystkie meble pokryte były białym, holenderskim płótnem.

Phillip poczuł chłód jej mokrego ubrania i przeskakując po dwa stopnie naraz, pobiegł na piętro krętymi schodami.

Na końcu korytarza znalazł dużą sypialnię; wszedł tam, ściągnął narzutę z łóżka stojącego na

środku pokoju i położył na nim dziewczynę. Zaczął ją rozbierać; najpierw zdjął jej pelerynę, potem suknię, która też była przemoczona. Położył ją na plecach, żeby rozpiąć rząd perłowych guziczków, biegnących od talii do szyi. Jego wprawne oko dostrzegło jakość i styl sukni. To nie była córka chłopa, co to, to nie. Zmarszczył brwi, widząc na jej stopach buciki do jazdy konnej, bynajmniej niestworzone do włóczęgi po lesie. Gdzie w takim razie jest jej koń? Czy spadła z niego, a zwierzę posłusznie wróciło do stajni? To możliwe. Ale dlaczego w ogóle jeździła konno w taką pogodę?

Szybko zdjął jej gorset i halkę - obie części garderoby pięknie obszyte i ozdobione delikatnym, białym batysem - wreszcie grube wełniane skarpety. Spojrzał na nią z błyskiem w oku, ale momentalnie się zorientował, że nic z tego nie będzie. Dokładnie zbadał jej ramiona i nogi, żeby sprawdzić, czy nie ma żadnych złamań, sprawdził tętno na szyi, a potem, na piersi, bicie serca. Biło powoli, ale równo. Żadnych zadrapań, żadnych złamań. Co jej się przytrafiło?

Widział teraz, że nie jest już dziewczynką, ale młodą kobietą. Długonoga... Nie, nie może, ot tak, oceniać jej kobiecych walorów. To przecież nie przystoi. Szybko opatulił ją kołdrą i podciągnął przykrycie pod brodę. Zebrał jej grube, kręcone włosy - były ogniste niczym wieczorowa suknia ladacznicy - i ułożył je na poduszce, by wyschły. Przyjrzał się jej. Przypominała anioła, martwego anioła, jej skóra była zupełnie blada, ciało nieruchome.

Usiadł obok. Dotknął dłonią jej czoła, a potem policzków. Była zimna, ale wiedział, że kiedy się ogrzeje, przyjdzie gorączka i najprawdopodobniej pozbawi ją życia. Tak jak Luciusa, pomyślał ze złością. Obrazy z przeszłości stanęły mu przed oczami. Lucius, jego przyrodni brat, który ochoczo podążył za Napoleonem w głąb dzikiej Rosji, był silnym, twardym mężczyzną, zupełnie innym niż ta delikatna, wręcz eteryczna dziewczyna. Patrząc na nią, przez chwilę widział wyniszczoną twarz Luciusa, pokrytą bruzdami po tygodniach głodowania wśród mrozu i śnieżnej zadymki. Udało mu się dotrzeć do Polski, tam też znalazł go Phillip.

Trzęsącymi się rękoma Phillip opatulił dziewczynę jeszcze szczelniej. Przemógł się i porzucił bolesne wspomnienia, które wciąż jeszcze, od czasu do czasu, nawiedzały go we śnie. Jeszcze raz przelotnie spojrzął na bladą twarz i zmarznięte usta, które nadal miały sinawy odcień. Leżała nieruchomo. Pospieszenie przytknął dłoń do jej piersi, by sprawdzić, czy oddycha. Bardzo słabo, ale wciąż oddychała. Nie zdołał uratować Luciusa, ale niech szejnie, jeśli pozwoli tej młodej dziewczynie umrzeć.

ROZDZIAŁ 5

Phillip wyjął koce ze schowka na bieliznę i przykrył nimi Sabrinę, a potem zszedł na dół do kuchni, by przynieść drewno do kominka. Opieszałość, a nawet pewnego rodzaju niedbalstwo, z których słychać wśród znajomych, zniknęły, jakby w ogóle nigdy nie istniały.

Rozpalił ogień w kominku i dokładał drewno tak długo, aż płomień buzował w poczerwiałym kominie. Raz jeszcze zerknął na swoją pacjentkę; leżała tak samo, jak w chwili, gdy położył ją do łóżka, poszedł więc do stajni, by zająć się Tashą i przynieść skórzany sakwojaż.

Mimo że stajnia znajdowała się tuż obok, musiał zmrużyć oczy, by tam dotrzeć, tak ostro zacinał śnieg; rozpętała się prawdziwa śnieżycyca. Dotarło do niego, że służący, którzy opiekują się domkiem myśliwskim, nie pojawią się w nim, dopóki śnieżycyca nie minie; kto wie, ile to może potrwać.

Gdy wszedł do stajni, Tasha powitała go cichym rżeniem. Jadła siano z przepelnionego wiadra. Przynajmniej nie będzie musiał się martwić, że klacz zdechnie z głodu. Poklepał ją po lśniącej karku, chwycił swój sakwojaż i szybko wrócił do domku.

Ucieszyło go ciepło bijące z sypialni. Rozpakował bagaż i wyjąwszy dwie zmiany ubrań, przewiesił przez oparcie krzesła. Wtedy też pomyślał, że powinien ubrać Sabrinę w nocną koszulę lub coś w tym stylu. Zdjął płócienny pokrowiec na meble, którym przykryta była komoda, i zaczął przeszukiwać szuflady. Pełne były męskich ubrań; pomyślał, że na niego będą za małe, ale zaczął je wyjmować, by bliżej im się przyjrzeć. W szufladzie z bielizną znalazł dwie mocno zniszczone aksamitne nocne koszule.

Usiadł obok Sabriny i znów przyłożył dłoń do czoła i policzków. Ciało miała ciepłe, usta straciły wreszcie ten straszny siny kolor, ale wciąż była nieprzytomna. Delikatnie dotknął głowy przez burzę rudobrazowych włosów, ale nie znalazł żadnego guza ani skaleczenia. Potem powoli zsunął kilka warstw koców poniżej piersi i przycisnął policzek do klatki piersiowej. Oddychała ciężko; słyszał rżenie w jej w płucach. Zamarł, gdy przypomniał sobie ten sam dźwięk wydobywający się z umęczonych płuc Luciusa. Sabrina poruszyła się, z trudem próbując podnieść rękę na piersi, ale wstrząsnął nią przerażający dreszcz. Szybko włożył jej jedną z nocnych koszul i zawiązał pasek, a potem nałożył także drugą koszulę. Czemu miałby tego nie robić? Także i tę koszulę przewiązał w pasie, a potem podciągnął koce pod samą brodę Sabriny. Lekko poklepał ją po policzkach. Spała już wystarczająco długo.

- Proszę cię, otwórz oczy. Wiem, że możesz to zrobić. Otwórz oczy.

Sabrina coś wymamrotała i odwróciła głowę w drugą stronę.

- Nie odwracaj się ode mnie. Jestem uparty jak osioł. Otwórz oczy.

Sabrina jęknęła, ale jakoś dziwnie, jakby dźwięk wydobywał się głęboko z gardła.

- Założyłem się z Tashą, moją klaczą, że na pewno masz zielone oczy, których barwa pasuje do rudości włosów. Choć nie, to nie jest rudość, to dziwne połączenie rudego i brązu, prawda? Zresztą nieważne, i tak jest dziwne. No już, obudź się. Chcę wygrać zakład.

Dłoń Sabriny drgnęła, potem znów zamarła.

- Najwyższy czas stawić czoło światu. I mnie. Nie jestem taki znów najgorszy. Jestem przyjacielem. No już, budź się.

Phillip doskonale pamiętał mężczyzn, którzy przez wyziębienie stracili przytomność, a potem życie. Nie miał zamiaru znów na to patrzeć.

- Cholera, rób, co mówię! - krzyknął na nią. - Obudź się, do jasnej cholery!

Chwytał ją za ramiona i potrząsał. Cicho zakwiliła i próbowała podnieść ręce, by go odepchnąć, ale nie miała siły, by je wyjąć spod pięciu warstw koców.

- Otwórz oczy i popatrz na mnie, albo źle się to dla ciebie skończy.

Sabrina usłyszała głos dobiegający jakby z oddali i z wysiłkiem uniosła powieki. Nie widziała wyraźnie, ale znów usłyszała głos. Brzmiał tak, jakby był na nią zły. Zamrugła i już po chwili widziała całkiem dobrze. Pochylał się nad nią jakiś mężczyzna, trzymając ją za ramiona. Krzyknęła, a potem wyszeptała:

- Nie, proszę, nie. Trevorze, zostaw mnie w spokoju.

Phillip patrzył w jej wielkie fiołkowe, lekko skośne oczy i firankę gęstych rzęs, brązowych, ciemniejszych niż włosy. W jej oczach zobaczył strach - nie, to nawet nie był strach, raczej coś bliższego prawdziwemu przerażeniu. Odezwał się cicho i spokojnie:

- Nie jestem Trevorem i nie zrobię ci krzywdy. Jego tu nie ma. Jesteśmy tylko ja i ty. Nic ci nie zrobię. Rozumiesz mnie?

Sabrina kilkakrotnie szybko zamrugła; nie знаła głosu tego mężczyzny. Wyteżała myśli i wzrok, aż wreszcie odezwała się powoli:

- Nie jesteś Trevorem.

- Nie, nie jestem Trevorem. Nie bój się mnie. Jestem tutaj, żeby ci pomóc.

- Czy to Bóg cię zesłał? Phillip musiał chwilę zastanowić się nad odpowiedzią.

- Cóż, myślę, że tak. Zgubiłem się w lesie i znalazłem cię leżącą w śniegu.

- Nie wyglądasz na dar od Boga.

- Mój ojciec mawiał, że dary Boże dane są nam w przeróżny sposób, nieraz nawet mogą być w przedziwny sposób ukryte. Nie odtrącaj mnie tylko dlatego, że nie wyglądam jak pobożny metodysta.

- Masz włosy czarne jak burza nad morzem. Nie wydaje mi się, żeby metodyści miewali czarne włosy. Ale prawdę powiedziawszy, nigdy nie widziałam żadnego metodysty.

- Może i tak, ale na twoim miejscu nie kpiłbym z grzechu. Jestem grzesznikiem i jestem też tym, który cię uratował.

Phillip uśmiechnął się do Sabriny; wiedział, że wciąż jest oszołomiona, ale rozmawiała z nim i jej słowa nie były pozbawione sensu. Delikatnie dotknął jej policzka; nie był już taki zimny, ale jeszcze nie ciepły. Gdy jej dotknął, nie wzdrygnęła się i nie odsunęła.

- Gdybym była mężczyzną, chciałabym być podobna do ciebie. Jesteś wysoki?

- Niemal olbrzymi.

- W porównaniu ze mną większość mężczyzn to olbrzymy. Przestałam już rosnąć. Przez miesiąc byłam tym przygnębiona, ale dziadek powiedział, że to nie ma żadnego znaczenia, że i tak jestem doskonała.

- Z reguły trudno jest osiągnąć doskonałość, ale to prawda, dziadkowie zazwyczaj mają rację.

- Może, ale dziadek mnie kocha, a to wiele tłumaczy. Czy mógłbyś mi pomóc? Te koce są tak ciężkie, że czuję się, jakby przygniatały mnie do podłogi.

Gdy przez dłuższą chwilę Phillip się nie poruszył, Sabrina sama spróbowała wydostać się spod

koców.

- Nie, leż spokojnie. Zaraz to poprawię.

- Chodzi tylko o to, że nie mogę oddychać.

- Wiem. Zaraz ci pomogę - odparł, choć wiedział, że nawet jeśli zsunie koce z jej klatki piersiowej, Sabine wciąż będzie trudno oddychać. Musiał pójść na kompromis.

- Tak lepiej?

Sabrina pokręciła przecząco głową i nadal próbowała wydostać się spod koców, aż wreszcie udało się jej zsunąć z siebie dwa. Phillip chwycił ją za rękę i mocno przytrzymał.

- Zostaw, musisz się rozgrzać. Przykro mi, ale nawet bez koców nie będzie ci łatwo oddychać.

Cała sztuczka polega na tym, żebyś nie walczyła ani ze mną, ani z bólem. Staraj się płytko oddychać. Tak, właśnie tak. - Phillip pamiętał słowa, które dawno temu mówił Luciusowi; teraz też wypowiedział je na głos i w kółko powtarzał. - Wolne, płytkie oddechy. Zaraz będzie lepiej, obiecuję.

- Pomóż mi. - Sabrina leżała z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami.

Phillip znów podszedł do komody i wyjąwszy kilka ręczników, położył je przy palenisku. Kilka minut później ostrożnie chwycił gorący ręcznik i podszedł do łóżka. Odsunął na bok koce i rozpiął obie nocne koszule, które Sabrina miała na sobie. Patrząc na jej nagie piersi, powiedział:

- Zaboli, ale tylko przez chwilę; potem będzie ci łatwiej oddychać.

- O Boże! - jęknęła, gdy położył jej na piersiach gorący ręcznik, i próbowała go z siebie zrzucić. Phillip ją jednak przytrzymał i ponownie owinął nocnymi koszulami, i przykrył kocami. Sabrina nie odezwała się już więcej, ale po jej policzkach płynęły łzy. Phillip otarł je opuszkami palców, a potem ujął ją za dłonie.

- Przepraszam, ale musiałem to zrobić. Zaraz poczujesz się lepiej, zobaczysz. A teraz może mi powiesz, jak masz na imię?

- Imię - zaczęła, a jej głos był słaby i przepełniony bólem. - Moje imię... Próbujesz mnie czymś zająć, prawda?

- Oczywiście.

- Dobrze więc. Mam na imię Bree.

- Brie* to francuski ser, bardzo miękki, a gdy jest ciepło, roztopia się tak, że prawie się leje, ale mnie to nigdy nie przeszkadzało. Moja mama go uwielbiała. Nie rozumiem, dlaczego Francuzi piszą o nim pieśni. A ty nie wyglądasz na Francuzkę, dlaczego więc rodzice dali ci tak na imię?

- Nie, nie; Bree to zdrobnienie. Naprawdę mam na imię Sabrina.

Phillip uśmiechnął się i lekko, opuszkami palców, dotknął jej nosa.

- Pasuje do ciebie. A jak masz na nazwisko?

Sabrina uważnie przyglądała się twarzy Phillipa; w jej niewiarygodnie fiołkowych oczach dostrzegł strach i obawę, czy nie jest następnym mężczyzną, który będzie chciał ją skrzywdzić.

- Przestań. Nie jestem Trevorem.

- Modlę się, żebyś nie był taki jak on.

- Nie jestem. Możesz mi zaufać. - Sabrina wciąż uważnie obserwowała twarz Phillipa szeroko otwartymi oczami, ale strach i wątpliwości zniknęły z nich bardzo powoli. Phillip uśmiechnął się i lekko poklepał ją po policzku. - Mój koń wygrał zakład - powiedział i westchnął. - Nie masz oczu w nudnym kolorze zieleni, a mnie się wydawało, że takie pasowałyby do rudych włosów. Nie, twoje oczy mają piękny fiołkowy odcień. Szczerze powiedziawszy, nigdy wcześniej nie widziałem

fiolkowych oczu.

- Mam je po babci. Miała na imię Camilla; dziadek bardzo ją kochał i nigdy nie zranił. A ty masz zielone oczy i wcale nie wyglądasz na nudnego. Wyglądasz jak mokry mech.

- Mokry mech i francuski ser. Niezłe stanowimy połączenie.

- Już tak bardzo nie boli. Jest wspaniale.

- Gotowa na następny ręcznik?

- Nie, proszę, zaczekajmy jeszcze chwilę. Teraz już tak bardzo nie boli.

- A ja jestem Phillip Mercerault.

- Nie mieszkasz w tej okolicy, prawda?

- Nie. Zgubiłem się w lesie i znalazłem ciebie. Charles dał mi wskazówki, jak mam dojechać do jego domu, do posiadłości Moreland. Tam właśnie zmierzałem.

Sabrina знаła Charlesa; było to tak wyraźnie widać na jej twarzy, jakby powiedziała to na głos.

Z jakiegoś powodu nie zamierzała powiedzieć Phillipowi, kim jest. Bała się. Dlaczego?

Kto by się jednak tym przejmował? Phillip uwielbiał tajemnice i gotów był się założyć, że Sabrina ma tyle tajemnic co zakonnica w czasach renesansu.

- Słyszałaś kiedyś o mnie? Sabrina pokręciła głową.

- Cóż, nieważne. Jestem tutaj i zamierzam się tobą zająć. Gotowa na kolejny gorący ręcznik?

Kiwnęła głową, zaskoczona, że ból w piersi jakby zelżał, że ciepło z ręcznika zdaje się przenikać w głąb jej ciała.

Podniosła wzrok na pochyloną nad nią młodą, miłą twarz. Mężczyzna nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat. Przyłapała się na tym, że wpatruje się w jego oczy, tak przykuwały uwagę. Szkoda, że właśnie teraz był w drodze do Moreland. Choć z drugiej strony, gdyby jej nie znalazł, Sabrina prawdopodobnie by umarła.

- Zaraz ci przyniosę następny gorący ręcznik - powiedział, ale nie poruszył się, gdyż Sabrina wyjęła rękę spod koców i uniosła do jego twarzy. Nawet nie drgnął. Poczł delikatny dotyk opuszek palców na brodzie, policzku i nosie...

- Nie, zupełnie nie przypominasz Trevora.

- odezwała się, a jej głos lekko drżał. - Dzięki Bogu! - Po chwili ręka Sabriny opadła na pościel.

- Nie, Sabrino, nie jestem Trevorem. - Znów ujął jej ręce w swoje dłonie i zaczął przyglądać się paznokciom w kształcie migdałków. Tak jak się spodziewał, żadnych odcisków ani otarć. Sabrina to młoda dama, arystokratka.

Na twarzy Sabriny znów pojawił się grymas bólu; odwróciła głowę na bok, by go nie dostrzegł i przypadkiem nie pomyślał, że jest tchórzliwa lub słaba. Nie potrafiła jednak zapanować nad strasznym kaszlem, który wstrząsnął jej ciałem.

Phillip szybko wstał i przyniósł następny ręcznik; drgnęła, gdy położył jej go na piersiach. Potem na powrót przykrył ją kocami i zaczął rozglądać się po wnętrzu domku w poszukiwaniu jakiegoś lekarstwa, czegokolwiek, co ulżyłoby jej w cierpieniu. W niewielkim pokoiku na końcu korytarza znalazł nieduży składzik, a tam bandaże, maści i laudanum - dużo więcej, niż spodziewał się znaleźć w myśliwskim domku. Odmierzył kilka kropel laudanum i wlał je do szklanki z wodą, potem wrócił do pokoju, gdzie leżała Sabrina.

Wsunął jej rękę pod głowę i unióśł.

- Masz, napij się. To ci pomoże. Wypij wszystko.

Mimo że starała się pić małymi łyčzkami, zakrztusiła się i znów zaczęła kaszleć. Phillip

przytrzymał ją blisko siebie i delikatnie poklepywał po plecach.

- Już dobrze. To tylko woda wpadła do złej dziurki. Już dobrze, oddychaj powoli i niezbyt głęboko. No już, nie szarp się.

Trzymał ją mocno, aż znów złapała oddech, i przytknął jej szklanekę do ust. Między kolejnymi ciężkimi oddechami zdołała przełknąć resztę wody z laudanum, a potem Phillip powoli położył ją na poduszkach. Sabrina leżała cicho, czekając, aż ból zelżeje.

Phillip wstał i uważnie jej się przyglądał. To dziwne, ale nagle poczuł ogarniającą go potrzebę, by się Sabriną opiekować. Nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat; młoda dama i, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, panna, jako że nie dostrzegł obrączki na lewej dłoni. Zastanawiał się, kim jest ten drań Trevor, przez którego uciekła z domu. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to właśnie zrobiła.

Odsunął pukiel rudobrazowych włosów, który opadł jej na czoło. Wydawało mu się, że Sabrina zasnęła; długie czarne rzęsy rzucały cień na jasne policzki. Była naprawdę piękna, choć w tej chwili nie miało to najmniejszego znaczenia.

ROZDZIAŁ 6

Phillip opuścił sypialnię i zszedł do kuchni, nie zamknął jednak drzwi; chciał usłyszeć, gdyby się obudziła. Przypomniawszy sobie nagle, jak wśród hiszpańskich gór z towarzyszącymi broniami, zebrani wokół ogniska, piekli ptaki i króliki, żeby jakoś przetrwać. Nauczył się robić zupę z resztek, obserwował nawet, jak jego ludzie piekli chleb w prymitywnym piecyku zrobionym z elementów sprzętu i broni. Ale to przecież było ponad cztery lata temu. Od tamtego czasu nigdy nie zdarzyło mu się zastanawiać, skąd weźmie następny posiłek. Na wspomnienie wybornych dań przygotowywanych przez kucharkę w Dinwitty Manor zakręciło mu się w głowie. Podczas pobytu w Londynie starał się żywić wyłącznie prostą strawą, by nie przybrać na wadze. Postanowił, że po powrocie do domu na wsi podwyższy kucharzowi wynagrodzenie. Poszedł do małej, zimnej spiżarni tuż obok kuchni, którą już wcześniej zauważył. Ucieszył się i odetchnął z ulgą: gospodarz domku myśliwskiego wiedział, jak powinna wyglądać prawdziwa spiżarnia. Na haku wystającym z sufitu wisiał kawał wędzonej szynki, była mąka, cukier i sól, ziemniaki, cebula, marchew, suszony groch, a nawet beczka wypełniona częściowo suszonymi jabłkami.

Phillip Edmund Mercerault, wicehrabia Derencourt, przywdział biały fartuszek i zabrał się do robienia zupy. Posiekał warzywa, skroił też drobno spory kawał szynki i wrzucił to wszystko do garnka z suszonym grochem. Rozejrzał się w poszukiwaniu wody, lecz szybko zorientował się, że nie wytryśnie tu cudowne źródło, wyszedł więc na zewnątrz, by wypełnić śniegiem spory kociołek. Studnię przykrywała gruba pokrywa śniegu. Kilka minut później stał przed kominkiem, wpatrując się w garnek zupą.

- Chwała Bogu! Nie jesteś aż tak bezużyteczny, jak mogłoby się wydawać - powiedział na głos. Zdjął fartuch, wytarł ręce i ruszył na górę.

Podszedł po cichu do łóżka i spojrzał na Sabrinę. Miała zamknięte oczy, oddychała z takim trudem, że nie musiał się nad nią nachylać, żeby usłyszeć jej oddech. Delikatnie dotknął dłonią jej policzka; był chłodny. Sabrina poczuła muśnięcie, z trudem otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą męską twarz i przez chwilę poczuła ukłucie strachu. Odezwała się jednak pamięć i Sabrina wyszeptała imię Phillipa.

- To ja, Sabrino, nie bój się. Jestem przy tobie - powiedział niskim, kojącym głosem. Ostatnie, czego by chciał, to ją przestraszyć.

Zdziwiło ją, że zna jej imię. W pamięci miała rozmazane obrazy: galop z Monmouth Abbey, kulejąca klacz, wreszcie uczucie ostrego, przejmującego zimna. To uczucie było teraz w niej.

- Jest mi tak zimno, jakbym była w lesie. Ale przecież jestem tu, nie tam. Co się dzieje?

- Wszystko w porządku. Ze mną jesteś bezpieczna, Sabrino. Leż spokojnie, a ja cię ogrzeję.

Przyniósł z kominka następny ręcznik, tym razem tak gorący, że musiał go podrzucić kilka razy, aby Sabrina mogła wytrzymać jego temperaturę. Kiedy położył go na jej piersi, z sykiem wypuściła powietrze.

- Nie, nie ruszaj się. Nie walcz z tym. Pozwól ciepłu sączyć się w głąb ciała. To możliwe, ale

zależy tylko od ciebie. Musisz leżeć spokojnie. O, właśnie tak.

- Nie podoba mi się to, Phillipie. Nie podoba mi się. Sprawia mi większy ból niż mróz.

- To zaraz minie, obiecuję. Nie poruszyła się. Musiało to być bardzo trudne, ale nawet nie mrugnęła okiem. Czują, jak piekące ciepło zaczyna przenikać do jej wnętrza. To zadziwiające. Dotknął dłonią jej włosów i powiedział:

- Postaraj się nie poruszać głową, nadal masz wilgotne włosy.

- Już lepiej. Nie mogę uwierzyć, że miałaś rację. Czuję ciepło przenikające aż do kości.

Podciągnął jej koce pod samą szyję.

- Dobrze, teraz musisz się wyspać. Im więcej snu, tym prędzej wrócisz do zdrowia. Tak mówiła moja matka, gdy przemarzłem w wodzie i mało nie utonąłem. U mnie się sprawdziło i tobie też pomoże. Jeśli czegoś będziesz potrzebowała, będę w pobliżu.

Leżała z zamkniętymi oczami. Zdążyła już zasnąć.

Phillip podszedł do wysokich, wąskich okien i odsunął kotarę. Śnieg, kłębiący się za szybami, nie oszczędził niczego, wszystko było białe. Phillip uśmiechnął się. Zarówno los, jak i wskazówki Charlesa niewątpliwie sprzysięgły się, aby odmienić jego życie, przynajmniej na razie.

Był zbyt stary i zbyt zmęczony. Czasem chciał po prostu zamknąć oczy i zasnąć, już nigdy się nie obudzić. Nie zasługiwał, by żyć tyle, ile mu pisane. Nie po tym, jak pozwolił Camilli umrzeć. Stracił ją podczas porodu, wyłącznie z własnej winy. Nie powinien był się zgodzić, kiedy go prosiła o jeszcze jedną szansę na urodzenie córki. Tak bardzo pragnęła urodzić córkę, a dane im było mieć tylko jednego syna. Uległ jednak jej prośbom i doprowadził do tego, że zmarła razem z synem, którego nosiła pod sercem. Nie, nie miał teraz czasu, aby myśleć o Camilli. Zgarbił się w fotelu i patrzył na starszą wnuczkę, Elizabeth. Była pełna wdzięku, to musiał przyznać, a byłaby jeszcze piękniejsza, gdyby nie brak zadowolenia, który ściągnął kąciki jej ust w dół i tłumiał każdy błysk, jaki pojawiał się w jej oczach.

Sabrina. Elizabeth przyszła, aby powiedzieć mu, że Sabrina nie żyje. Nie, nie może się z tym pogodzić, nigdy.

Zatrzymała się przed nim. Niezbyt blisko, bo szczerze go nienawidziła. Wiedział o tym, lecz upłynęło bardzo dużo czasu, zanim zrozumiał dlaczego. Któregoś dnia po prostu to do niego dotarło. Nienawidziła jego władzy, bo była wobec niej bezsilna. Nienawidziła jego starości, bo napawała ją strachem i odrazą.

Mógł jej powiedzieć, że zupełnie nie ma czego się bać. Starość to po prostu cholerna nuda. To właśnie powiedział Sabrinie. Trąciła go w ramię, mówiąc, żeby nie żartował, że mając za sobą tyle lat, nie ma powodu do znudzenia. Najwidoczniej był to dowód, że Bogu zależy na jego obecności tutaj, gdzie ma ziemię i ludzi, których musi doglądać, zapewniać im bezpieczeństwo i chronić przed podłością, której pełen jest świat.

Podłość, pomyślał i spojrzał na Trevora. Tak jest, oto jego bratanek i spadkobierca, przyszły hrabia Monmouth, przystojny młody człowiek, który zawsze był dla niego uprzejmy, niezależnie od uczuć do niego żywionych, zawsze starannie skrywanych za zasłoną kłamliwych oczu.

Zwracając się znów do Elizabeth, starał się ukryć pogardę w głosie. Zmuszał się do wypowiedzania słów, ale było to trudne, bo ich wymawianie świadczyło, że są prawdziwe. Bolesnie dręczyła go bezsilność, czuł ból, który niemal zginał go wpół. Przełknął ślinę i przez chwilę milczał. Elizabeth nie wydała z siebie żadnego dźwięku, podobnie Trevor. Nie ma żadnych wieści, pomyślał.

- To już dwa dni, dwa dni i ani słowa, żadnego znaku, żadnego sygnału od Sabriny. Czy to znaczy,

że nie macie dla mnie żadnych wiadomości? Dobrze wiesz, Elizabeth, że siostra nie opuściłaby domu bez poważnego powodu, który by ją do tego zmusił.

Z kieszeni szlafroka wyjął pogniecioną kartkę i pomachał nią przed oczami Elizabeth, wnuczki, którą próbował kochać, próbował chronić, ona jednak nie chciała ani jego miłości, ani opieki. Znow poczuł przyływ bólu, skręcającego żołądek w supeł.

- List, który mi zostawiła, nie mówi nic. Co to ma niby znaczyć, do jasnej cholery? Pisze, że nie może dłużej pozostawać w domu i musi uciekać do Londynu, do ciotki Barresford.

Przypomniał sobie klacz Sabriny. Wróciła wczoraj do Monmouth Abbey z pęciami podrapanymi przez krzaki jeżyn, kulą na jedną nogę. Poczul, jak strach mrozi krew w jego żyłach, strach, który od dwóch dni go nie opuszczał.

- Nie, nie ważcie się mówić mi nic więcej o jej przygnębieniu, cokolwiek to znaczy. Chcę poznać prawdę, Elizabeth. Mam dosyć twoich kłamstw.

Elizabeth stała przed nim wyprostowana, smukła, niemal jak zjawa, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Cóż miała powiedzieć temu żaloszemu starcowi, niekwestionowanemu panu tego domu, który nie pozwalał jej nawet usiąść w swojej obecności. O, jak pragnęła, by cierpiał. Zasługiwał na to. Za każdy afront, każdą zniewagę uczynioną pod jej adresem od dnia narodzin Sabriny. Cień strachu jednak cały czas wisiał w powietrzu. Czula, jak lekko zaróżowione policzki bledną, aż stają się białe niczym ściana za plecami dziadka. Nie poruszyła się; do perfekcji opanowała tę umiejętność już wiele lat temu. W jego towarzystwie nigdy się nie wierciła, nigdy nie pokazała, jak bardzo nim gardzi za to, że ją lekceważył. Z trudem powstrzymała cisnący się na usta uśmiech.

- To nie są kłamstwa, dziadku. Jest tak, jak ci powiedziałam. Sabrina była małomówna, cicha, zamknęła się przede mną. Nic więcej nie wiem, naprawdę.

Trevor natomiast, jego przystojny bratanek, prowadzący wystawne życie, dodał:

- W intencji Elizabeth nie leży sprawianie ci większego bólu. - Mówiąc to, delikatnie ścisnął jej wiotką, bladą dłoń. - Moja droga, nie możemy dłużej milczeć, nie możesz w nieskończoność chronić swojej siostrzyczki.

Usłyszawszy to, Elizabeth szerzej otworzyła oczy. Czula podniecenie, które kłębiło się w Trevorze, przyjemność płynącą z zadania śmiertelnego ciosu. Jednocześnie nadal się bała, bała się tego przekłętogo starca, który wciąż miał nad nią władzę i tak miało pozostać aż do końca jego dni. Czasami wydawało się jej, że nawet po śmierci, martwy, będzie ją nachodził i torturował, a ona będzie wyć, aż w końcu się podda. Wtedy by wygrał, zawsze musiał wygrać.

To właśnie słowa dziadka ostatecznie ją przekonały. Niech go piekło pochłonie, tam jego miejsce. Zaszło jej w gardle, kiedy mówił. Wykrzywił usta w grymasie nieskrywającym niechęci.

- No, dziewczyno, nie stój jak ciele! No, dalej, mów, jeśli wiesz cokolwiek o zniknięciu Sabriny. Chcę to usłyszeć i to teraz, Bóg mi świadkiem. Męczą mnie te twoje domniemane prawdy, Elizabeth. Są puste i pozbawione sensu.

Odchyliła głowę do tyłu, odwzajemniła uścisk dłoni męża. Zmusiła się nawet do wzruszenia ramionami.

- Przykro mi, ale jest tak, jak powiedział Trevor. Nie chcę sprawiać ci bólu. Skoro jednak nalegasz, żeby powiedzieć ci prawdę, powiem.

Poczula przyływ siły. Była teraz silna, nieczuła i pewna siebie, odnalazła swoje miejsce.

- Jeśli musisz wiedzieć, Sabrina była o mnie zazdrosna. Chciała Trevora dla siebie.

Słyszając pomruk dobiegający z gardła dziadka, przerwała nagle.

- Moja najdroższa - odezwał się Trevor - musisz powiedzieć dziadkowi całą prawdę. Nie możesz dłużej chronić siostry. Powiedział wyraźnie, nie ma jej od dwóch dni. Martwi się o nią. Dalej, czas na resztę prawdy.

Elizabeth poczuła, jak jego palce zaciskają się na jej dłoni, jak miażdży jej kości. Nienawidziła bólu, zawsze się go bała, wiedział o tym od nocy poślubnej. Błagała go i błagała, ale jej nie słuchał, uśmiechnął się tylko do niej i upajał bólem, jaki jej sprawiał. Teraz jednak była cicho. Powoli, bardzo powoli wyciągnęła dłoń z uścisku. Pozwolił jej na to.

Wzięła głęboki oddech.

- Nie chciałam ci tego mówić, ale Sabrina próbowała się rzucić na Trevora. Tak, próbowała go uwieść, a gdyby na to przystał, skompromitowałby się w twoich oczach, jako mężczyzna pozbawiony honoru. Może nawet byłby zmuszony do opuszczenia mnie i tego domu.

Dobrze powiedziane, była o tym przekonana. W jej głosie słychać było szczerą, ale stary hrabia tylko na nią patrzył, po czym powiedział ostrym tonem:

- Wierutna bzdura, dziewczyno! Sabrina miała go uwieść? To jest niedorzeczne. Ona go nawet nie lubi. Nie mówiła mi o tym, ale wiem, że tak jest. Próbowwała to ukryć, ale przede mną się jej nie udało. Dlaczego wciąż mnie okłamujecie?

- Mówię prawdę, dziadku. Czemu miałabym cię okłamywać. To ona uciekła, nie ja. Prawdę mówiąc, sama to widziałam. Słyszysz? Widziałam, jak prosiła Trevora, by jej towarzyszył do galerii, żeby zobaczyć portret babki Camilli. Kiedy zostali sami, kiedy wiedziała, że nie ma w pobliżu służących, próbowała namówić Trevora, by się z nią kochał.

Zaczął się jej łamać głos, więc Trevor włączył się gładko do rozmowy. W jego oczach była pewność, a głos wzbudzał respekt.

- Powiedziałem jej, że choć cieszę się moim ogromnym szacunkiem, to nie zdradzę Elizabeth. Powiedziałem też, że teraz jest moją siostrą, ni mniej, ni więcej. Była wściekła i w przyływie złości groziła, że powie ci, iż to ja próbowałem ją zmusić do miłości. Elizabeth tam była, wszystko widziała. Żadne z nas nie kłamie. To prawda, to wszystko szczerą prawdą.

- Wtedy powiedziałam jej, że wszystko widziałam. Musiała się zorientować, że jest skończona - dodała Elizabeth. Widziała, jak ten podły starzec odwraca od nich wzrok. Spojrzał na swoje powyginane palce, potem na kominek, w którym buzował ogień, od którego w pomieszczeniu panowało takie gorąco, że trudno było oddychać. Ciszę panującą w bibliotece przerywały sporadyczne trzaski płonącego drewna.

- Chcecie więc, bym uwierzył, że Sabrina uciekła z domu, pozostawiając wyłącznie ten list, zupełnie pozbawiony sensu? Uciekła po tym, jak szlachetnie odrzuciła jej zabiegi, Trevorze Eversleigh, tak?

- Tak właśnie sędzę. Być może czuła się zażenowana swoim zachowaniem i bała się, że cała historia wyjdzie na jaw. - Trevor mówił spokojnie, a jego głos przepelniał żal. - Mogła być przecież pewna, że jako dżentelmen nie mógłbym zdradzić nic z tego, co się wtedy wydarzyło. Jeśli zaś chodzi o Elizabeth, to jestem przekonany, że już wybaczyła siostrze. Czyż nie tak, kochanie?

Jego palce na powrót zacisnęły się na dłoni Elizabeth, która bez zwłoki odparła:

- Oczywiście, że tak. Trevor ma rację, dziadku. Sabrina wie, jak bardzo ją kocham. Wie, że już jej przebaczyłam. W końcu to ona jest teraz sama, nie ja. Zdażyłam już zapomnieć, że chciała zająć moje miejsce u boku mojego męża. Darzę ją szczerym i głębokim uczuciem.

- Głębokim, powiadasz? Tak, wierzę w każde słowo, które wypowiadasz, Elizabeth. Zawsze

wierzyłem, jesteś przecież wnuczką, którą z dumą mogę uznać za wzór dla innych dziewcząt.

Wyprostowała się, przepełniona dumą. Hrabia na nią patrzył i zastanawiał się, jak mogła wierzyć jego słowom, tak pełnym sarkazmu, niewątpliwie jednak uwierzyła. Obrócił się w fotelu, żeby wyrzucić przez wysokie drzwi balkonowe na końcu biblioteki. Za oknem znowu szalała śnieżyca. A Sabrina nie dotarła do Borhamwood, skąd dyliżansem miała jechać do Londynu. Żaden z pięćdziesięciu mężczyzn wysłanych na jej poszukiwania nie znalazł tropu. Poczł kolejny przyływ żalu, ściskający w dołku; nie czuł się tak od śmierci Camilli. Sabrina była do niej tak podobna, te same fiołkowe oczy, rudobrazowe kręcone włosy, wspaniałe i gęste. Miała też dobre serce, była otwarta i wierna, podobnie jak Camilla. Uśmiechnął się pod nosem, przypomniał sobie bowiem, że pyszniła się swoimi włosami, twierdząc, że takie same miała Tytania, królowa elfów w *Śnie nocy letniej*. Być może. Kiedy Sabrina miała jedenaście lat, bardzo ciężko zachorowała. Trzeba było obciąć jej piękne włosy. Powiedział jej, że musi wyzdrowieć, żeby odrosły. Gdyby go wtedy, nie daj Boże, opuściła, poszłaby do nieba kompletnie łysa. To był wystarczający argument przemawiający za wyzdrowieniem. Niemal z dnia na dzień jej się poprawiło. Bogu dzięki za tę odrobinę pychy.

Ani na chwilę nie zwątpił w Sabrinę. Była honorowa, silna i niezłomna, jak on sam. Czuł w sobie narastający gniew spowodowany bezsilnością. Może ukochana wnuczka już nie żyje, a on musi znosić tych zdrajców, Elizabeth i Trevora. Co się naprawdę stało? Dlaczego Sabrina uciekła? Nie mógł znaleźć usprawiedliwienia dla tego zachowania, co doprowadzało go do wściekłości. Było oczywiście prawdopodobne, nawet bardzo, że to Trevor zastawił na Sabrinę pułapkę w galerii, że próbował ją zgwałcić. Kątem oka spojrzał na swojego spadkobiercę. Tak, nie mógł wykluczyć takiej możliwości, bo skąd przyszlaby im do głowy ta opowieść. Tak jest, odwrócili kota ogonem, nie inaczej.

Poczł zmęczenie, głębokie, płynące z głębi duszy. Oddałby wszystkie swoje ziemskie dobra, żeby móc wstać z fotela i spuścić łomot Trevorowi. Niestety, nie miał żadnych dowodów.

Co takiego się wydarzyło? Cokolwiek to było, przeraziło Sabrinę nie na żarty, nie przyszła bowiem do niego, choć zawsze zwracała się ze swoimi problemami. Zwierzała się dziadkowi, odkąd była mała, jeszcze za życia rodziców.

Nie podnosząc wzroku ani na Elizabeth, ani na Trevora, hrabia powiedział zimno:

- Przyślijcie do mnie Jespersena, a gdyby było coś wiadomo o Sabrinie, zawiadomcie mnie niezwłocznie.

Odprawił ich gwałtownym ruchem ręki. Nie mógł znieść ich widoku, kręcących się w pobliżu, stojących tak blisko siebie, że można by odnieść wrażenie, że stanowią jedność.

- Przyjdę cię powiadomić, jak tylko się czegoś dowiemy - zapewnił Trevor.

Hrabia odprowadził ich wzrokiem do drzwi biblioteki. Wyglądało to tak, jakby Trevor, wyprowadzając żonę, trzymał ją bardzo mocno za rękę, tak mocno, że musiało ją to boleć.

ROZDZIAŁ 7

Gdy tylko Trevor zamknął drzwi biblioteki, zwrócił się do Elizabeth, swojej żony od niespełna trzech tygodni:

- Ile ty masz lat, moja droga? Zdawało mi się, że dwadzieścia trzy. - Zaskoczona Elizabeth skinęła głową, a Trevor ciągnął głosem podobnym do szelestu jedwabiu: - A Sabrina ma jedynie osiemnaście. Twoja nieudolność doprawdy mnie zdumiewa. Nim się urodziła, miałaś całe pięć lat, by zdobyć względy starszego pana. Jakaż porażkę poniosłaś!

Elizabeth spojrzała na przepięknie rzeźbioną mahoniową balustradę przy schodach.

- Nie ma jej już - odpowiedziała. - Odeszła. Może na zawsze.

- Naprawdę w to wierzysz? Zapewne uważasz, że teraz jest już gdzieś w zaświatach, prawda?

Elizabeth zacisnęła usta.

- Skoro była taka głupia i przybiegła do mnie, prosząc o pomoc, jakby nie mogła po prostu milczeć, to dlaczego teraz nie miałyby być tam, gdzie jest? Uwierzysz w to, że ona naprawdę spodziewała się, iż cię wydam?

- Ależ, Elizabeth, zawsze nienawidziłaś Sabriny. Gdybyś należała do innej kategorii kobiet... no wiesz... mogłabyś występować na deskach teatru gdzieś przy Drury Lane*. Gdybym cię nie znał i przypadkiem usłyszał tę rozmowę, pomyślałbym, że serce niemal pęka ci z rozpaczy, że Sabrina może nie żyć. Nie była nikim więcej, jak tylko małą dziwką. Czy ta myśl cię nie cieszy?

Elizabeth podniosła wzrok, by popatrzeć na urodziwą twarz męża, którą w tej chwili szpecił szyderczy uśmiech i kapiąca z ust kpina.

- Oboje doskonale wiemy, i ty, i ja, że to nieprawda. Powiedz mi, Trevorze, czy nękałbyś ją tak długo, aż wreszcie udałoby ci się ją zgwałcić? A co potem? Co dalej? Co byś zrobił, gdyby udało ci się osiągnąć zamierzony cel?

- Mimo że jestem twoim mężem od tak niedawna, moja droga, wiedz, że oczekuję od ciebie lojalności i posłuszeństwa. I nie chcę słyszeć tego typu lekceważących pytań.

- Właśnie udowodniłam, że jestem wobec ciebie lojalna. A teraz powiedz mi prawdę. Czy gdyby już udało ci się ją zgwałcić, nadal byś się za nią uganiał?

Trevor się roześmiał, naprawdę się roześmiał.

- Prawda, Elizabeth, to coś bardzo dziwnego. Nienawidzisz siostry, a mimo to decydujesz się uwierzyć w to, co ci powiedziała. Dlaczego mi nie wierzysz, Elizabeth? W końcu jestem twoim mężem, będę ojcem twoich dzieci. A gdy będziesz leżała na łożu śmierci, moją twarz zobaczysz jako ostatnią.

Przez chwilę zobaczyła siebie, leżącą, umierającą, i patrzącego na nią z góry Trevora, który się uśmiecha.

- Przestań już. I zapomnij, o co cię pytałam. Zapomnij o wszystkim.

- Dobrze, zapomnę. A teraz zapamiętaj, że oczekuję z twojej strony lojalności nawet wtedy, gdy jesteśmy sami. Nie chcę więcej słyszeć o takich podejrzeniach. Chcę, żebyś była mi oddana i

posłuszna. Chcę, żebyś mi się całkowicie podporządkowała.

- Będę wobec ciebie lojalna, bo to leży w moim najlepszym interesie, Trevorze. Ale uwierz mi, że jako przyszła hrabina Monmouth, nie pozwolę ci kłać nazwiska Eversleigh.

Trevor przyglądał się swej świeżo upieczonej beznamiennej żonie i zastanawiał się, czy jakkolwiek mężczyzna potrafiłby doprowadzić ją do tego, by krzyczała z rozkoszy i wiała się, ogarnięta pożądaniem. Najprawdopodobniej nie. Trevor był doskonałym kochankiem, ale Elizabeth nienawidziła jego dotyku, gdy ją brał. Od nocy poślubnej traktował ją z niemającą delikatnością, co zmuszało go do powściągnięcia własnych żądz i pragnień. Elizabeth nie wzdragała się już, nie błagała go, by przestał. Na początek to wystarczy. Przyjdzie czas, by pokazać jej, że to on jest jej panem, i to nie tylko w sypialni. Na razie raczej bawiło go, gdy widział, jak próbuje go kontrolować. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że to istnienie starego hrabiego go hamuje, a nie jej pogróżki i ostrzeżenia. Gdy ten staruch wreszcie umrze, będzie mógł robić wszystko, na co tylko będzie miał ochotę.

Nie pozwoli mu kłać nazwiska Eversleigh? Już samo to zasługuje na karę. Trevor chętnie ją wymierzy, gdy przyjdzie na to czas. Tymczasem jednak obdarzył Elizabeth najbardziej czarującym ze swych uśmiechów i odezwał się czułym głosem kochanka:

- Niestety, moja ukochana żono, mężczyźni nieraz bywają słabi. Czyż i twój ojciec taki nie był? Czy nie uwodził każdej kobiety, która się za nim nie uganiała? Ależ oczywiście, nie musisz odpowiadać na te pytania. Zresztą, najprawdopodobniej nawet o tym nie wiedziałaś. A teraz też nie musisz się martwić; na pewno wiesz, że kocham cię i pożądam bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę. A Sabrina? Nie była niczym więcej, jak tylko młodą dziewczyną, która w pewne dłużące się popołudnie zaostrzyła mi apetyt. Zastanów się tylko, jakie ci to przyniosło korzyści. Myślę, że masz wobec mnie dług wdzięczności: Sabrina zniknęła.

Elizabeth nie skomentowała słów Trevora. Ojciec nie był święty - żaden mężczyzna nie jest święty - ale nie był taki, jak Trevor. A ona pozostanie jego żoną do końca życia. Na tę myśl Elizabeth poczuła chłód, przenikający ją niemal do szpiku kości. Cóż, będzie musiała jakoś go ukształtować, zmienić, tak nim pokierować, by już nigdy nie musiała się za niego wstydzić. Patrzyła na zaręczynowy pierścionek z wielkim szmaragdem, który miała na palcu. Powinna być z niego dumna; świadczył o tym, że spełniły się marzenia, które dawno już porzuciła. Chociaż wszystko to wydawało jej się dziwne, tak dziwne, jak tamta chwila przed niemal dwoma miesiącami, gdy dziadek kazał jej bezzwłocznie stawić się w bibliotece i kładąc pierścionek na jej wyciągniętej ręce, bez żadnych wstępów oświadczył:

- Wychodzisz za mąż, Elizabeth. Szmaragd rodziny Eversleigh należy teraz do ciebie. Ufam, że kandydat na męża ci się spodoba, jako że po mojej śmierci zostanie hrabią Monmouth.

Elizabeth wpatrywała się w dziadka, tak zaskoczona, że aż zaniemówiła.

- Mój kuzyn? Trevor?

- Oczywiście, moja droga. Życzyłbym sobie innego dziedzica, ale Bóg nie pobłogosławił nas większym ich wyborem. Oczywiście, że chodzi o Trevora. Przynajmniej nie jest obcy.

Jednak Trevor Eversleigh był dla niej obcy; Elizabeth spotkała go tylko dwa razy w życiu, gdy przyjechał do Anglii z Italii, gdzie mieszkał.

Ma za niego wyjść? Głośno przełknęła ślinę.

- Przyjeżdża tu?

- Oczywiście. Jakże inaczej mogłabyś go poślubić? - Dziadek nie oczekiwał odpowiedzi; gestem

przywołał Elizabeth bliżej, by usiadła w stojącym naprzeciwko niego fotelu. - Usiądź, wszystko ci opowiem.

Dziadek przez chwilę patrzył w dół, na własne dłonie, a potem zaczął:

- Jak dobrze wiesz, Elizabeth, Trevor to wnuk mojego młodszego brata. Nie możesz pamiętać Vincenta, ojca Trevora, który zszargał nazwisko Eversleigh i uciekł do Europy z jakąś rozwódką, prawdziwą ladacznicą. Nie będę męczył twych uszu opowieściami o jej godnym pożałowania zachowaniu w Italii, ale w każdym razie Vincent w końcu ożenił się z tą kobietą, więc Trevor jest prawowitym dziedzicem. Co do jego matki, wystarczy powiedzieć, że jakieś trzy miesiące temu zaraziła się kiłą i umarła w męczarniach. Wtedy też twój kuzyn do mnie napisał. Nie jest moim zamiarem obwinianie Trevora za czyny jego przodków; jest w końcu moim spadkobiercą i przyszłym hrabią Monmouth. Starzeję się, Elizabeth, i chcę, żeby Trevor Eversleigh przyjechał tutaj, do Monmouth Abbey, by dowiedział się, jakie są wobec niego oczekiwania jako przyszłego hrabiego. Musisz jeszcze także wiedzieć, że mam prawo obdarować rodzinnym majątkiem, kogokolwiek zechcę. Powiedziałem już Trevorowi, że po mojej śmierci majątek przejdzie w jego ręce, jeśli zgodzi się ciebie poślubić. Jego reakcja na tę propozycję oczywiście pokazuje, że jest to młodzieniec obdarzony zdrowym rozsądkiem. Z pewnością zamieszka tutaj razem z tobą, przynajmniej do chwili, gdy umrę.

- Nie przypominam sobie, by kuzyn Trevor chociażby mnie lubił, dziadku.

- Minęły już cztery lata, gdy ostatni raz się widzieliście. Trevor ma prawie dwadzieścia osiem lat, jest dojrzałym mężczyzną, a i ty, muszę dodać, nie młodniejesz. Nigdy też nie słyszałem z twoich ust żadnych romantycznych bredni zakochanej pannicy, Elizabeth. Trevor będzie cię dobrze traktował, możesz mi wierzyć.

- Tak, dziadku. - Elizabeth posłusznie skinęła głową.

- Trevor przyjeżdża w przyszłym tygodniu. Wtedy ogłosi się zapowiedzi. - Dziadek odwrócił się od Elizabeth, jakby nie było jej w pokoju. - Możesz już się oddalić, Elizabeth, i rozmyślać nad swą świetlaną przyszłością. Przyślij do mnie Sabrinę.

Elizabeth miała ochotę wybiec z biblioteki tanecznym krokiem, ale powstrzymała się i spokojnie wyszła. Uśmiechała się szeroko jakiś służący zagapił się na nią, widząc ten uśmiech. Choć targana nią niepewność dotycząca przyszłego męża, zabroniła sobie o tym myśleć. Miała wyjść za mąż! I to nie za byle kogo - po ślubie będzie przyszłą hrabiną Monmouth.

Straciła już nadzieję, że jakikolwiek odpowiedni dżentelmen zainteresuje się jej osobą mimo pokaźnego posagu. Gdy pozostawała w Londynie u ciotki, lady Barresford, w zastawiane przez nią sidła wpadło jedynie dwóch oficerów, którzy poprosili o jej rękę, ale obaj wyraźnie potrzebowali pieniędzy. Dzięki Trevorowi wreszcie uwolni się od sarkastycznych uwag o nieuchronnie zbliżającym się staropanieństwie, uwolni się od przykrych porównań z Sabriną. Najważniejsze jednak, pomyślała, a jej jasne oczy lśniły, że będzie hrabiną Monmouth. Jak tylko ten staruch umrze.

Elizabeth czuła palce Trevora pieszczące jej ramię i rzuciła mu pewny siebie uśmiech. Zastanawiała się, spokojnie i niemal beznamiętnie, czy jej młodsza siostra jeszcze żyje.

- Zależy mi na bezpieczeństwie Sabriny - powiedziała głośno, jednocześnie próbując ignorować dłoń Trevora, która pieściła jej ramię, zmierzając w stronę piersi. Nagle ją puścił.

- Mnie także. - Odwrócił się tyłem do Elizabeth. - Żałuję, że tak się stało. Szkoda, wielka szkoda. Elizabeth uniosła lekko brodę, zwracając się do Trevora:

- Może udało się jej gdzieś schronić. Jest taka ładna, tak pełna życia. Z pewnością każdy, kto

tylko miałby taką sposobność, zechciałby jej pomóc, prawda? Widziałam dżentelmenów prześcigających się, by jej dogodzić. A ona tylko śmiała się z nich i flirtowała.

- Chcesz, żeby twoja mała siostrzyczka wróciła na łono rodziny? Ależ oczywiście, oddałabys wszystko, by tak się stało. Być może już wkrótce będzie z powrotem w domu. Ucieszyłoby mnie to. I na pewno starałbym się jej dogodzić bardziej niż ty. Czy to możliwe, by była to prawda, Elizabeth?

Drżała. Trevor wygrał. Odezwała się cichym głosem, pełnym gniewu:

- Jeśli wróci, jeśli ośmieli się wrócić, to zapewniam cię, Trevorze, że długo tu nie zostanie.

Phillip zdjął fular i rzucił go na sofę, a sam ze znużeniem usiadł w fotelu obok łóżka Sabriny. Popatrzył na miskę z zupą, nie wyglądała obiecująco. Nie wiedział, co zrobił nie tak, ale z pewnością coś poszło źle i to tak źle, że zastanawiał się, czy w ogóle będzie w stanie ją przełknąć. Owszem, musi. Podniósł łyżkę papki z rozgotowanych warzyw i przesolonej szynki. Była paskudna; jadł powoli, starając się nie myśleć, co je, aż zjadł wszystko. Odstawił pustą miskę, rozparł się wygodnie i zamknął oczy. Zastanawiał się, kiedy Charles zacznie się martwić jego nieobecnością. Czy wyśle ludzi na poszukiwania? Uśmiechnął się do własnych idiotycznych pytań. To wątpliwe, a może nawet bardziej niż wątpliwe. Wyobraził sobie sprośne dowcipy krążące wśród znajomych dżentelmenów z Moreland, jak się po kolei zakładają i rozprawiają o domniemanych romansach i erotycznych przygodach, będących jego udziałem gdzieś na odludziach Yorkshire. Jaka szkoda, że ich lubieżne fantazje nie są rzeczywistością.

Spojrzał na niespokojnie śpiącą Sabrinę; rzucała się przez sen, jej splątane włosy rozsypywały się po poduszce, ale były już suche. Phillip wstał i pochylił się nad nią; dotknął twarzy, a potem próbował rozplątać włosy tak delikatnie, jak tylko potrafił. Nie na wiele to się zdało, ale chwilowo musiało wystarczyć.

Nagle przyłapał się na tym, że zastanawia się, jaka jest jej rodzina. Ładnie się wysławiała, jak osoba z wyższych sfer, bez akcentu typowego dla mieszkańców Yorkshire. Wiedział, że zachowuje się jak skończony osioł, ale wyobraził sobie zimną, dominującą macochę i ojca o słabej osobowości, nieobecnego duchem. Jakże inaczej, rozważał, taka rzecz mogłaby się przydarzyć młodej, dobrze urodzonej dziewczynie?

- No cóż, moja droga - zwrócił się do śpiącej Sabriny - już wkrótce dowiem się nawet tego, czy masz jakieś znamię. Przeniknę do twojego umysłu i dowiem się wszystkiego, co przede mną ukrywasz.

Phillip dotknął jej czoła i zaklął; było suche i gorące. Stało się to, czego się najbardziej obawiał: Sabrina miała wysoką gorączkę.

Nagle otworzyła oczy, ale zdawała się nic nie widzieć. Zaczęła się szarpać, próbując zrzucić z siebie koce. Popatrzyła na Phillipa niewidzącym wzrokiem i zaczęła krzyczeć:

- Nie, nie możesz. Dziadku! Nie! Mój biedny Diabolo! Nie!

Phillip chwycił ją za ramiona i mocno przytrzymał. Walczyła z nim, aż opadła z sił. Znów na niego spojrzała, ale wciąż zdawała się nic nie widzieć.

- Słyszysz mnie, Sabrino? Już wszystko dobrze. Masz gorączkę, ale wszystko będzie dobrze, przysięgam.

Sabrina uspokoiła się i zamknęła oczy; mógł ją puścić. Nagle Sabrina uwolniła ręce spod warstw koców i zaczęła pięściami okładać go po klatce piersiowej.

- Ty łajdaku! Puść mnie! Słyszysz?! Puść mnie!

O co w tym wszystkim chodzi? Czy znów zobaczyła Trevora? Zaczęła płakać, łkając

przejmująco. Nie mógł tego znieść; przyciągnął ją do siebie i uspokajająco kołysał w ramionach.

- Wszystko będzie dobrze, Sabrino. Zaufaj mi, nie okłamałbym cię przecież. Nikt już cię więcej nie skrzywdzi, przysięgam. A teraz musisz odpoczywać, żebyś szybko wyzdrowiała. A gdy już będziesz zdrowa, możesz mnie bić, ile tylko zechcesz.

Wreszcie się uspokoiła. Myślał, że ponownie usnie, ale Sabrina odsunęła się, próbując go odepchnąć. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Bardzo tu gorąco. Dlaczego tu jest tak strasznie gorąco? Nie podoba mi się to. Zobacz, nawet ogień buzuje w kominku. Po co?

Phillip pamiętał tę straszną gorączkę, która pozbawiła życia Luciusa, jakby go spaliła od środka.

- Zaraz będzie chłodniej. Staraj się nie myśleć, że jest gorąco, dobrze?

Dał jej wody do picia. Chciała ją przełknąć bardzo szybko, ale zakrztusiła się i zaczęła kaszleć; mimo to wciąż chciała wypić całą wodę naraz. Gdy wreszcie się napiła, kaszel ustał; położyła się, ale nadal patrzyła na Phillipa. Jednak to nie jego widziała.

- Proszę, Mary. Staralam się nie myśleć, jak tu gorąco, ale to nic nie daje. Proszę, otwórz okno. Jest mi tak gorąco, tak strasznie gorąco.

Wiedziała, że umiera. Wcześniej kilkakrotnie zastanawiała się, jak to jest, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że może to być wrażenie, że od środka pali ją ogień. To dziwne uczucie, że ten płomień spala ją powoli i dokładnie, kawałek po kawałku. Wtedy też usłyszała męski głos, nieco dziwny i jakby dobiegający z oddali. Głos Phillipa. Ale kto to jest Phillip? Gdzieś w głębi duszy wiedziała, kim on jest, ale potem jakby to uciekło. Do jej uszu gdzieś z daleka dotarł głos:

- Leż spokojnie, Sabrino. Ból za chwilę ustąpi i nie będzie ci tak gorąco.

Czy to w ogóle możliwe? Umierała od ognia spalającego ją od środka i nagle poczuła na twarzy zimny mokry ręcznik. I znów usłyszała męski głos, tym razem wyraźniejszy:

- Nie, nie szarp się. To ci przyniesie ulgę. Nie podoba ci się?

Chciała dać mu chwilę, by się zastanowił, co właściwie powiedział, ale zaraz poczuła na piersiach powiew chłodnego powietrza, a potem zimny mokry ręcznik. Wygięła się w łuk, wysuwając piersi w stronę ręcznika, jakby chciała poczuć więcej chłodu na całym ciele, ale poczuła dłonie chwytające ją w talii i odwracające na drugą stronę. Szarpała się, aż poczuła mokry ręcznik przesuwający się w górę i w dół pleców, i na biodra; chłód przynosił ulgę.

Phillip co chwila wycierał ją zimnym mokrym ręcznikiem, po kilka razy w każdej godzinie, przez całe popołudnie i wieczór. Jego zmęczone oczy rozjaśnił lekki uśmiech, gdy dotknął jej policzków; przynajmniej na razie udało mu się nieco obniżyć gorączkę. Przez chwilę wydawało mu się nawet, że nim Sabrina zamknęła oczy i usnęła, na jej twarzy ujrzał uśmiech, który był odpowiedzią na dręczące go wątpliwości.

Phillip zrzucił z siebie ubranie, ściągnął z łóżka Sabriny jeden koc i rozłożył go na dużym fotelu przed płonącym kominkiem. Słuchał wiatru wyjącego za oknami i uderzającego śniegiem o okienne szyby. Uspokajało go to i pozwalało ukoić rozszalałe myśli. Nie bał się, że nie usłyszy Sabriny, jeśli dziewczyna obudzi się w środku nocy - zawsze miał lekki sen, a ponadto lata spędzone na Półwyspie Iberyjskim nauczyły go, że ten, kto usnie snem zbyt głębokim, może już nigdy się nie obudzić. Francuzi rozmieszczali niewielkie oddziały żołnierzy przebranych za chłopów, którzy niepostrzeżenie przemykali do angielskich obozów, by wysłać na tamten świat tylu Anglików, ilu tylko zdołają. Nigdy nie zapomni tego bulgotania, które wydobyło się z gardła jego sierżanta, zaprawionego w bojach żołnierza z Devonshire. Phillip dopadł mordercę i gołymi rękoma wydusił z niego życie, choć

to oczywiście nie powróciło z martwych sierżanta. Teraz znów poczuł falę mdłości i jednocześnie gniewu, która również go ogarniała, gdy stał i bezradnie patrzył, jak jego żołnierz umiera.

Otrząsnął się. Jest zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Ale Sabrina wciąż żyje. Pochylił się, by zgasić świecę stojącą tuż obok, przy jego łokciu. Przez chwilę patrzył na swoje duże dłonie z elegancko opiłowanymi paznokciami. To dłonie dżentelmena, którego przyjemności i rozrywki nie wskazywały na zafrasowanie wspomnieniami krwawej rzezi, której był świadkiem.

Ścisnął palcami knot, gasząc świecę; westchnął głęboko i znów wygodnie rozsiadł się w fotelu. To dziwne, pomyślał, że jedna chora dziewczyna poruszyła w nim wrażliwe struny przeszłości i na nowo ożywiła wspomnienia wydarzeń, które zdawały się dawno pochowane w odmętach pamięci, a może nawet zupełnie zapomniane.

ROZDZIAŁ 8

Teresa Elliott z zatroskaną miną patrzyła w głąb kieliszka z szampanem. Spojrzała na gospodarza i stwierdziwszy, że przestał zwracać na nią należną uwagę, powiedziała:

- Charlesie, doprawdy, musisz się domyślać, gdzie podziewa się jego lordowska mość. Zdawało mi się, że powiedziałeś, iż to ty, we własnej osobie, dałeś Philipowi wskazówki, jak dotrzeć do Moreland. Tymczasem nie ma go tutaj. Chcę, by tu był. Zrób coś z tym.

- Tak, dałem mu wskazówki, powinien już tu być, ale nie mam pojęcia, co się stało.

- Mam wrażenie, że twoje pojęcie jest w tej sytuacji zupełnie bez znaczenia. Powiedz, nie boisz się ani trochę o Phillipa? W końcu ta paskudna śnieżycza przykryła cały świat białą kołdrą. Być może Phillip jest ranny i leży gdzieś w beznadziejnym stanie. Charlesie, spodziewam się, że natychmiast podejmiesz jakieś działania.

Charles spojrzał prosto jej w twarz; była piękna. Jednocześnie po raz nie wiadomo który tego wieczoru pomyślał, że gdziekolwiek jest Phillip, jest mu tam zdecydowanie lepiej, niż byłoby tutaj. Prawdopodobnie nawet jeśli leży w śniegu, to lepiej dla niego. W Londynie Charles był pod wielkim urokiem Teresy Elliott, teraz doprowadzała go do szału, a w konsekwencji być może już wkrótce doprowadzi go do domu dla obłąkanych. Trzeba jednak przyznać, że pozazdrościć można jej zdolności do ukrywania tej cechy charakteru przed wścibskimi oczami londyńskiej śmietanki towarzyskiej. To istotnie robiło wrażenie. A może nie. Tak czy inaczej, Phillip był nieobecny i nie dbała o maniery. Niech szlag trafi Phillipa.

- Zachowujesz się, jakby nie miało dla ciebie znaczenia, czy biedny Phillip nie schodzi teraz przypadkiem z tego świata. A przecież tak właśnie może być, przez ten cały bezsensowny śnieg. To takie irytujące.

Trzasnęła kieliszkiem o stół. Miał nadzieję, że nie pękł. Pochodził z ulubionego zestawu jego matki.

- Mówiłeś, że jest tu jego służący. A cóż on tu robi? Wygrzewa się w najlepsze przed kominkiem, podczas gdy jego pan umiera gdzieś w śniegu? Musiałeś go przecież o to wypytać, wydusić coś z niego, czyż nie?

Miarka się przebrała. Charles był człowiekiem o nieskazitelnym manierach. Miał trzy siostry i wiedział, co robić, by delikatnie koić dziewczęcą nadwrażliwość, ale tego było za wiele. Najśłodszy głosem, na jaki potrafił się zdobyć, głosem, który każdy z jego przyjaciół słusznie zinterpretowałby jako niebezpieczny, powiedział:

- Zaczynam wierzyć, Tereso, że szampan uderzył ci do głowy. Oczywiście, że rozmawiałem z Damblerem. Coraz bardziej się martwi. Tylko że on nie popija, a co za tym idzie, on się bez przerwy nie powtarza. I nie ma zielonego pojęcia, gdzie może być Phillip.

Teresa nie należała do wielbicielki ironii. Wyraziła swoje lekceważenie machnięciem pięknej rączki, która w życiu nie skalana się choćby jednym uczciwie przepracowanym dniem.

- Dambler z pewnością kłamie. Jest leniwy i wie, że dopóki nie ma tu jego pana, nie ma żadnych

obowiązków. Absolutnie nie wierzę, że jego lordowska mość wysłałby służącego naprzód, chcąc samemu oddać się podziwianiu okolicy. Do tego w pojedynkę. To doprawdy nedorzeczne. Co tam niby jest do podziwiania? Jest zima. To nie Londyn, ani nawet Bath*. Nie ma tu nic godnego poznania. Charlesie, musisz coś z tym zrobić. Musisz porozmawiać z nim raz jeszcze, tym razem przepytać go szczegółowo, by dowiedzieć się, co się tak naprawdę dzieje.

Wyjść z pokoju albo ją udusić. Ruchem ręki Charles dał znak służącemu, aby napełnił kieliszek panny Elliott. O to chodzi, spiję ją na amen. To powinno ją uciszyć, a może nawet z bólem głowy zaprowadzić do łóżka. Wcale nie zaskoczyła go historia Damblera, jakoby wicehrabia postanowił powrócić się po Yorkshire. Znali się jeszcze z czasów szkolnych w Eton**. Phillip zawsze chadzał własnymi ścieżkami. Jednak w obecnej sytuacji było absolutnie nieprawdopodobne, by leżał gdzieś w śniegu, zagubiony i osamotniony, umierając z zimna. Phillip nie należał do ludzi, którzy gubiliby się gdziekolwiek, o ile wcześniej sobie tego nie zaplanowali.

Charles miał na sobie wytworny płaszcz, który na specjalne zamówienie skroił znany paryski krawiec. Teraz poczuł, że ktoś szarpie go za rękaw tego płaszcza.

- Niestety, jesteś mężczyzną, Charlesie, to dlatego ignorujesz moje kobiece ostrzeżenia. A ja zaczynam mieć złe przeczucia, bardzo złe. Obiecuj mi, że rano wyślesz ludzi na poszukiwania.

Charles delikatnie wyswobodził rękaw. Ostre paznokcie Teresy pozostawiły ślad na delikatnym aksamicie. Garderobiany się wścieknie. Próbując rozczesać materiał, rzekł:

- Tereso, dopóki trwa śnieżycy, wysyłanie kogokolwiek teraz nie jest bezpieczne. Ludzie sami by się pogubili, ledwie by się oddalili od bramy. Nie, musimy poczekać, aż ucichnie zamieć, i wtedy, jeśli Phillip do tego czasu nie powróci, rozpoczniemy poszukiwania.

Spojrzał na jej piękną, białą szyję. Wyobraził sobie, jak zaciska na niej palce. Westchnął i zaczął łagodnym głosem, który zawsze działał na jego matkę; zwykła nazywać go wtedy kochanym synkiem:

- Zrozum, w tej chwili nic nie możemy zrobić. Może partyjka kart? A może tańce? - zaproponował.

Teresa wypila kolejny łyk doskonałego szampana, pochodzącego z piwnicy jego zmarłego ojca. Na twarzy Charlesa pojawił się delikatny uśmiech. Jeśli miał być szczerzy, uważał niemal za pewnik, że w tej właśnie chwili Phillip spędza czas w jakiejś karczmie albo pobliskiej posiadłości. Wypoczywa, popija piwo i uwodzi najładniejszą dziewczynę, jaka jest w zasięgu wzroku. Od powrotu z wojny, gdzie raniono go w ramię, w czasie oblężenia Ciudad Rodrigo, zaczął jak ognia unikać wszelkich niewygod.

Kolejny pusty kieliszek stuknął o stół. Coś trzeba zrobić, coś powiedzieć. Charles postanowił spróbować czegoś innego.

- Nie zapominaj, Tereso, że Phillip jest żołnierzem. Nawet gdyby dał się zaskoczyć śnieżycy, doskonale wie, że bezcelowe byłoby kontynuowanie podróży do Moreland. Jestem pewien, że nie da się żadnemu żywiołowi. Gdyby było inaczej, to odebrał na tyle dobre wychowanie, że nie omieszkałby mnie powiadomić, jestem o tym przekonany. Cóż, jednak śnieżycy jak mało który żywioł potrafi usypiać maniery.

W tym momencie, w przebłysku świadomości, Charles zorientował się, że nie powiedział najważniejszego.

- Oczywiście, gdziekolwiek jest, Phillip z pewnością bardzo za tobą tęskni.

Tak, jestem geniuszem, pomyślał. To był strzał w dziesiątkę. Teresa promieniała, rozpierała ją duma. O Boże, podczas wieczornego pacierza, będzie musiał prosić wicehrabiego o wybaczenie.

- Charlesie, naprawdę sądzisz, że w tej właśnie chwili Phillip usycha z tęsknoty za mną? Naprawdę?

Pojawienie się Edgara Plummera uratowało Charlesa. Edgar, który zjawił się wraz z siostrą Charlesa, Margaret, był czcigodnym człowiekiem, o czym Charles mógł się ostatnio przekonać. Był to starzec, jednak niezwykle mądry starzec. Lubił Charlesa i dlatego gotów był nieść mu pomoc. Pochylił się nad dłonią Teresy.

- Proszę pozwolić staremu człowiekowi wysławić, jak pięknie pani wygląda tego wieczoru. Czy zechce pani zagrać dla nas na fortepianie?

Trzykrotnie odmówiła, czym potwierdziła swoją skromność w oczach proszących, po czym pozwoliła panu Plummerowi poprowadzić się do fortepianu, stojącego w końcu wąskiego salonu.

- Mój Boże, Charlie, teraz nam się dostanie. Będzie grała te swoje nużące francuskie ballady. Zaczekaj, jestem gotów iść o zakład, że zadedykuje je Phillipowi.

Charles jęknął.

- Nawet tak nie mów, Margaret. Jeszcze cię usłyszy. - Poprowadził siostrę do sofy ozdobionej czerwonym, wytłaczanym wzorem, którą wykonano z wielką pieczołowitością specjalnie na zamówienie rodziny jeszcze na początku osiemnastego wieku.

- Przynajmniej ma poważne zajęcie. Przypomnij mi, żebym kupiła prezent gwiazdkowy dla Edgara. Chcę mu dać dewizkę do zegarka. Tak właśnie zrobię. Takie dewizki świetnie nadają się na prezent.

- Znowu wypytywała cię o Phillipa, tak?

- Powtarza się jak chór w teatrze antycznym. Myślę, że pannie Elliott chodzą po głowie jakieś plany matrymonialne dotyczące Phillipa. Słusznie zrobiłem, nie dając jej do zrozumienia, że wicehrabia najprawdopodobniej spędza teraz długie godziny w ramionach jakiejś piękności rodem z Yorkshire.

- Niby gdzie, Charlie? W jakiejś karczmie? Myślałam, że Phillip ma bardziej wyrafinowany gust. Ale z barową dziewczką? - rzekła Margaret cichym, nabrzmiałym powagą głosem.

Twarz Charlesa rozbliżyła w szelmowskim uśmiechu. Spodziewał się raczej, że ją zaskoczy, ale widać nie tak miało być. Od prawie roku była żoną sir Hugh Drakemore'a. Przez ten rok jego nieśmiała siostrzyczka, którą niejedno zaskakiwało, nabrała stanowczości i obycia w świecie. Właściwie to podobała mu się ta przemiana, która w niej zaszła. Natomiast jej mąż, sir Hugh, wciąż pozostawał poważny i cichy, acz błyskotliwy w swoich obserwacjach. Ale to nie to, było coś więcej, musiało być dużo więcej. By to dostrzec, wystarczyło spojrzeć na Margaret i zmianę, jaka się w niej dokonała.

- Masz rację. To prawda, Phillip jest bardzo wyrafinowany. Pewnie jest u któregoś z naszych sąsiadów i w tej chwili rozkoszuje się towarzystwem jego żony lub córki.

- A skąd, Charlie! Phillip nie uwiódłby zamężnej kobiety.

- Skąd ta pewność?

- Tak mi powiedział.

- Margaret, raczysz sobie ze mnie żartować. A to dopiero! Tak ci powiedział?

- Ależ tak. Pytałam go. Dawno, ze dwa lata temu, kiedy jeszcze się w nim podkochiwałam. Był taki uprzejmy. Doskonale wiedział, co do niego czułam, i dbał, by nie zranić moich uczuć. Usłyszałam gdzieś, że się przespał z panią Stockton, żoną ambasadora, ale on tego nie zrobił. W najlepszej wierze odrzucił jej zaloty, a ona, w przyływie złości, zaczęła rozgłaszać plotki, jakoby ją

uwiódł. Rozgniewało go to, Charlie. Stwierdził, że zameżne kobiety to nie jego specjalność.

Margaret zakochana w Phillipie? Charles nigdy się nie zorientował, nawet nie podejrzewał.

- Pozwól mi się zastanowić. Nie pamiętam ani jednej zameżnej kobiety, którą Phillip zaciągnąłby do łóżka. Ale, no, hm... ty już nie czujesz do Phillipa tego, co do niego czułaś, prawda, Margaret?

- Oczywiście, że nie, odkąd poznałam Hugh... Tydzień z nim i wszyscy mężczyźni, których kiedykolwiek poznałam, odeszli w zapomnienie.

- To dobrze.

- Ale wiesz, Charlie, wielokrotnie się zastanawiałam, czemu tak naprawdę Phillip nigdy się nie ożenił. Znam wiele pięknych, młodych kobiet, które bez chwili wahania gotowe byłyby się za niego wydać.

- W tym właśnie sęk. Poznałaś może kiedyś hrabinę Bufford?

Margaret przechyliła głowę na bok, tak że loki założone za lewym uchem opadły jej na ramię.

- Oczywiście, wie dzie prym w towarzystwie. Mama bardzo jej nie lubi, ale powiedziała mi, że jest zbyt wpływową, by wchodzić jej w drogę. Ostrzegła mnie, że bym w jej towarzystwie zawsze miała się na baczności. Powiedziałam mamie, że ona zawsze wygląda tak pięknie, tak niewinnie i jest przy tym taka prostolinijna. Mama tylko się uśmiechnęła i raz jeszcze ostrzegła mnie, żeby jej nie ufać. Wiem, że lord Bufford ją uwielbiał. Cóż ona ma wspólnego z Phillipem?

- Kiedy sześć lat temu pojawiła się w towarzystwie, z miejsca nazwano ją Lodową Dziewicą. Obdarzona była zarówno nieprzeciętną urodą, jak i bogactwem, a błyskawiczny sukces, jaki odniosła, był oczywiście naturalną konsekwencją połączenia tych dwóch elementów. Phillip był młodym kapitanem w pułku huzarów i przebywał w Londynie, gdyż właśnie tej wiosny zmarł jego świętej pamięci ojciec, wicehrabia. Phillip był młody, niedoświadczony w obcowaniu z kobietami pokroju Elaine. W dodatku wciąż jeszcze nie potrafił się otrząsnąć po stracie ojca.

- Mój Boże, chyba mi nie powiesz, że Phillip zakochał się w tej okropnej kobiecie?

Charles wzruszył ramionami.

- Nie jestem do końca pewien, co tak naprawdę do niej czuł, ale wiem, że jej pragnął. Czy to była miłość? Nie wiem, Margaret, nie wiem. Phillip był wtedy jeszcze chłopcem, miał dopiero dwadzieścia lat. A chłopcami targają żądze, tak już po prostu jest. O, spójrz, Edgar próbuje przekonać pannę Elliott, by kontynuowała koncert. Trzymaj kciuki, by mu się udało.

Teresa przeszła do kolejnego utworu, smętnej interpretacji ballady francuskiej z poprzedniego stulecia.

- Przynajmniej potrafi ładnie śpiewać - powiedział Charles.

- Charlie, powiedz mi, co się wtedy wydarzyło.

ROZDZIAŁ 9

Charles uważnie przyglądał się siostrze, zastanawiając się, czemu opowiedziała mu to właśnie teraz, po tylu latach. Oczywiście znał odpowiedź na to pytanie. Gdy ożenił się ich dobry przyjaciel, Rohan Carrington, baron Mountvale, Phillip wpadł w straszną depresję.

- Rohan jest szczęśliwy - powiedział mu pewnego razu ubiegłej jesieni. - Szczęśliwy. Możesz w to uwierzyć? I Susannah jest szczęśliwa. Może czasem istnieje coś szczerego i dobrego między kobietą a mężczyzną.

Teraz Charles odpowiedział siostrze:

- Dobrze, Margaret, ale musisz mi obiecać, że nikomu o tym nie powiesz i wszystko, co ci powiem, zachowasz dla siebie. Wiele osób wie mniej więcej, co się naprawdę wydarzyło, ale nie wiedzą wszystkiego. Tylko Rohan Carrington i ja znamy całą prawdę.

- Obiecuję, Charlesie. Panna Elliott uderzyła w wysokie F, na stoliku obok zadrżał kieliszek z szampanem.

- Phillip poprosił Elaine, by za niego wyszła, a ona się zgodziła. Datę ślubu wyznaczono na wiosnę, a konkretnie na kwiecień, jako że musiał upłynąć rok żałoby Phillipa po śmierci ojca. To zbyt dawno, byś mogła pamiętać tamte czasy, ale zimą 1809 roku w Hiszpanii doszło do wielu krwawych potyczek. Phillip uważał, że ma obowiązek dołączyć do swojego pułku mimo sprzeciwów Elaine. Czasem się zastanawiam - dodał Charles - jak to możliwe, że wszyscyśmy aż tak się pomylili. Banda cholernych głupków, oto czym wtedy byliśmy. Na początku lutego Phillip wrócił do Londynu, by zrezygnować z misji na Półwyspie i przygotować posiadłość Dinwitty na przybycie nowej pani. Trochę się zmienił; przyszło mi wtedy do głowy, że wygląda to tak, jakby zbyt szybko stał się mężczyzną. Tak, pamiętam, że miał wtedy zaledwie dwadzieścia jeden lat.

- Dwadzieścia jeden lat. Dżentelmen w tym wieku to młodzian, a niezamężna kobieta to stara panna. Wielka niesprawiedliwość.

- Może i tak, ale nie w tym rzecz.

- Wiesz, Charlesie, nieraz myślę, że oczy Phillipa odzwierciedlają jego najskrytsze myśli. Widziałam w nich śmiech, gdy go nie było na jego ustach, ale też widziałam w nich smutek. Nigdy nie wiem, co to może znaczyć.

Charles nie miał pojęcia, o czym mówi Margaret; co więcej, wcale nie chciał wiedzieć.

- Nigdy nie zapomnę tej nocy, gdy przyszedł do mnie kompletnie pijany. Mieszkałem wtedy przy Half Moon Street. Twarz miał tak bladą i minę tak zacieklą, jakby stoczył bitwę z samym diabłem. Śmiertelnie mnie wtedy przestraszył. - Charles mówił coraz wolniej, gdy wracał pamięcią do tamtych wydarzeń i przypominał sobie młodą twarz Phillipa, na której malowało się uczucie gorzkiego upokorzenia, jego oczy, zimne i bez wyrazu, w których malowało się rozczarowanie. Wciąż słyszał jego głos zimny jak lód:

- Elaine chce, byśmy się pobrali teraz, a nie w kwietniu, jak zaplanowaliśmy.

Charles wpatrywał się w przyjaciela. Cóż miał rzec? Phillip był taki młody. Żaden z jego

przyjaciół nie chciał, by już się żenił. Charles powiedział ostrożnie:

- Może dlatego, że tęskni za tobą bardziej, niż się nam wszystkim wydawało. To z pewnością dobry znak.

Phillip zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Tęskni za mną? Boże, dobre sobie. Charles, nalej mi brandy i miejmy to już za sobą.

Nie odzywając się, Charles podszedł do kredensu i nalał brandy z kryształowej karafki. Podał szklaneczkę Phillipowi, który opróżnił ją jednym haustem i z dzikim rykiem wściekłości rzucił nią w stronę kominka, gdzie roztrzaskała się w drobny mak. Teraz Charles przeraził się nie na żarty.

- Dobry Boże, Phillipie, co się stało? Wicehrabia podniósł wzrok i odezwał się głosem tak beznamytnym i cichym, że Charles musiał się nad nim nachylić, by zrozumieć, co do niego mówi:

- Elaine, mój przyjacielu, moja Lodowa Dziewica jest w ciąży. Wydobyć z niej tej informacji zajęło mi dłuższą chwilę. Nie muszę oczywiście dodawać, że to nie ja jestem ojcem.

Charlesowi aż zakręciło się w głowie.

- Ale kto?

- Dokładnie to samo pytanie zadałem mojej drogiej Elaine, ale tonąc we łzach, nie chciała na nie odpowiedzieć. Nie zachowałem się zbyt szlachetnie, ale poczekałem cierpliwie, a potem zacząłem ją śledzić. I nie mam najmniejszych wątpliwości, że ojcem dziecka jest ten nicpoń, jej kuzyn Roger. - Phillip zamilkł na chwilę, jego spojrzenie stało się zimne. - Oczywiście nigdy nie dowie się, czy to chłopiec, czy dziewczynka, bo go zabiję.

Charles wstrzymał oddech. Był pewien, że wielokrotnie widywał Elaine w towarzystwie kuzyna, ale ostatecznie są przecież rodziną. Z punktu widzenia arystokratycznego światka w jej zachowaniu nie było nic niestosownego.

- A co zamierzasz zrobić z Elaine?

- Z tą żalostną suką? - Phillip zaczął się śmiać, a jego śmiech stawał się coraz dziwny i pełen wściekłości. - Jeśli ona ma być Lodową Dziewicą, to co można powiedzieć o innych kobietach, kim one są? Otóż, mój drogi przyjacielu, ja ci powiem, kim są: to zwykłe dziwki, które nie mają krzty honoru, które rozłożą nogi przed każdym mężczyzną. Dziękuję Bogu, że dowiedziałem się prawdy na tyle wcześnie, by jeszcze uciec. Już nigdy nie wpadnę w taką pułapkę.

Charles chwycił go za ramiona i mocno nim potrząsnął.

- Jesteś pijany jak bela, Phillipie. Sam nie wiesz, co mówisz. Idź spać. Rano zdecydujemy, co dalej, gdy alkohol wywietrzeje ci z głowy i będziesz przytomny.

- Nie, Charlesie, są rzeczy, które muszę zrobić od razu, natychmiast, jeszcze tej nocy. Idę zabić tego łajdaka, Rogera. Będziesz moim sekundantem?

- Phillipie, wywołasz skandal. Pomyślałeś, co to będzie znaczyło dla twojej matki? Dla rodziny Elaine? Mój Boże, człowieku, przecież jesteś wicehrabią Derencourt!

Przez krótką chwilę Phillip przyglądał się uważnie Charlesowi, a potem powiedział miękko:

- Jeśli pokażę, że nie mam honoru, Charlesie, będzie to znaczyło, że nic nie mam. Najprawdopodobniej towarzystwo mnie przeklnie. - Phillip wstał i zaczął szarpać się z płaszczem. - Nie jestem aż tak pijany, bym nie mógł go zabić. Idziesz ze mną?

Margaret cała drżała, przerażała ją wizja tego, co mogło się stać.

- To jeszcze nie wszystko, prawda, Charlesie? Zaufałeś mi na tyle, by opowiedzieć mi tę historię, więc proszę cię, dokończ ją, opowiedz mi o wszystkim!

- Rzecz jasna poszedłem z Phillipem do domu Rogera Traversa. Nie zastaliśmy ani jego, ani jego

służącego. Pamiętam, że gospodyni, nerwowa niewysoka kobieta, która wyglądała jak strach na wróble, pokazała Phillipowi liścik napisany przez Rogera, mówiący, że wybiera się na dłużej do Europy. Jak sama wiesz, Margaret, obyło się bez skandalu. Jeśli zaś chodzi o Elaine, oczywiście pozbyła się dziecka. Myślę, że doszło do jakichś nieodwracalnych komplikacji, bo nigdy nie urodziła Buffordowi potomka. Phillip natychmiast wyjechał do Hiszpanii; to Elaine zamieściła w „Gazette” ogłoszenie o zerwaniu zaręczyn*. W czerwcu wyszła za mąż za Bufforda. Resztę, moja droga Margaret, już znasz.

- Co za wstrętna suka. Dobry Boże, jakże chciałabym móc wyzwąć ją na pojedynek.

Charles ujął niewielką dłoń siostry.

- Naprawdę dziwne jest jednak to, że teraz Elaine nienawidzi Phillipa. Doskonale wie, że nigdy nie odezwał się ani słowem na temat tego, co się wydarzyło, ale wygląda na to, że w jego obecności nie potrafi zachowywać się w cywilizowany sposób. Wiem doskonale, że rozpuszcza plotki o rzeczach, które rzekomo zrobił. Cóż, Margaret, wiem, że ty nigdy nie zdradzisz nikomu tego sekretu. Phillip ukręciłby mi łeb, gdyby się dowiedział, że ci o wszystkim powiedziałem.

- Czy to z powodu Elaine nigdy później się nie ożenił?

Charles milczał przez dłuższą chwilę, patrząc w stronę Teresy, która we wdzięcznej pozie siedziała przy fortepianie.

- Takie doświadczenie z pewnością mogłoby wpłynąć na wielu mężczyzn, wprawić w rozgoryczenie, odebrać im zaufanie do kobiet, a wręcz napełnić nienawiścią wobec nich. Tak mogłoby zareagować wielu dżentelmenów, ale nie Phillip. Jest zbyt spostrzegawczy, by podłe zachowanie Elaine wpłynęło na to, w jaki sposób postrzega wszystkie kobiety. Mam przynajmniej nadzieję, że tak właśnie jest.

- Ale dlaczego jeszcze się nie ożenił?

- Ja też się jeszcze nie ożeniłem, a przecież jestem w tym samym wieku, co Phillip; obaj mamy po dwadzieścia sześć lat. Boże, kobieto, daj nam jeszcze trochę czasu. Dopiero zaczęliśmy dojrzewać, jak mawia Rohan Carrington.

- Co jeszcze mówi Rohan?

- Że kobiety dojrzewają wcześniej. Gdybyśmy byli jak owoce, musiałyby czekać, aż dojrzeją, albo sięgać po te już dojrzałe.

- Tak, ma to sens. - Margaret uszczypnęła brata w ramię. - Ale czy w ogóle kiedykolwiek się ożenicie?

- Jeśli o mnie chodzi, to chyba powinienem pozostać kawalerem, Margaret. Co do Phillipa, mogę tylko powiedzieć, że jest bardzo ostrożny. Czas pokaże.

- A ja jestem taka szczęśliwa! Małżeństwo to coś niezwykłego. Nigdy nie zastanawiałam się, że istnieje tak wiele spraw, które nie są moim udziałem. Doświadcza się o wiele więcej, gdy ma się obok osobę, która się o ciebie troszczy i chce cię uszczęśliwić. Mówię ci to dlatego, że chciałabym, byś wiedział, jak to jest. Zastanów się nad tym, Charlie.

- Przemyślę to. A ty mi obiecaj, że nie będziesz dokuczać Phillipowi i nie będziesz czyniła żadnych dwuznacznych, zawoalowanych uwag na temat tego, co właśnie usłyszałaś.

- Możesz mi zaufać, Charlie, obiecuję. W tej samej chwili uwagę Charlesa przykuł podniesiony głos panny Elliott:

- Nie, nie mam ochoty grać w wista - odezwała się do hrabiny Mowbray, noszącej tytuł po zmarłym mężu. - Moim partnerem jest wicehrabia Derencourt i chcę na niego poczekać.

- Właściwie to lady Mowbray ma szczęście - wtrącił się Charles. - Teresa fatalnie gra w wista. Raz miałem to nieszczęście jej partnerować. Przebiła atutem mojego asa pik. Miałem ochotę skrócić jej kark. Pamiętam, że wszystko to obserwował Phillip. Śmiał się.

- Myślę, że to kolejna „lodowa dziewica” - odparła Margaret i poklepawszy brata po ramieniu, odeszła, by partnerować hrabinie w wiście.

ROZDZIAŁ 10

Jest mi strasznie zimno, dorzuc do ognia - powiedziała Sabrina, wtulając głowę w szyję Phillipa.

Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Czuł na szyi jej płytki, urywany oddech, czuł, jaki ból sprawia jej oddychanie, ile wysiłku ją to kosztuje. Pojedyncze włosy wydostawały się z warkocza, który jej zaplótł, i teraz łaskotały go w nos i kręciły się wokół jego szyi. Poglądził ją po włosach, przy czym nieco uniósł głowę na poduszce. Zrobiła to samo. Była coraz bliżej. Jakby cała próbowała się wcisnąć w moje ramiona, pomyślał, chcąc się w nich ukryć, szukając ciepła. Rękoma kurczowo trzymała się jego koszuli, przytuliła się nogami do jego nóg tak mocno, jak tylko mogła. Pociągała go. Był jednak mężczyzną, ale nie napalonym draniem. Traktował to jak każdą niewygodę, na którą nie miał wpływu. Panował nad sobą, skupiając się na wspomnieniu o Luciusie. Przypominał sobie, jak trzymał w ramionach swojego brata, oddając mu ciepło swojego ciała. Teraz postępował w ten sam sposób z Sabriną. Jednak, w przeciwieństwie do Luciusa, Sabrina była filigranowa. Czuł, że ją przytłacza, całą przykrywa swoim dużym ciałem, dużymi dłońmi. Delikatnie potarł brodę o czubek jej głowy. Powziął decyzję, że nigdy więcej nie opuści Londynu na święta. Szybko jednak się zorientował, że gdyby go tu nie było, właśnie w tym miejscu, ona by nie przeżyła. A tego przecież nie chciał. Dotarło do niego, że nade wszystko chciałby zobaczyć uśmiech na jej twarzy, życie w tych jej fiołkowych oczach. Chciałby usłyszeć, jak mówi, tak po prostu, o wszystkim i o niczym, jak przekazuje swoje przypadkowe spostrzeżenia. Wszystko jedno, na jaki temat. Chciał, żeby wyzdrowiała. Pocałował ją po raz kolejny. Dość, wystarczy tych narzekań. Nigdy nie wierzył w pozaziemską siłę, która by zmieniała ludzkie życie ot tak, bez żadnego konkretnego powodu, i ciskała je na zupełnie inne tory. Nie, zawsze uważał, że człowiek jest kowalem własnego losu. Z tym, że koleje losu ulegają zmianom, ponieważ ludzkie czyny, zarówno rozważne, jak i te beznadziejnie głupie, prędzej czy później odbijają się echem. Cóż, może tu właśnie się mylił. To za sprawą losu Sabrina pojawiła się na jego drodze, a on wziął za nią odpowiedzialność. Zastanawiał się, jakich zmian powinien się jeszcze w życiu spodziewać w związku z tym, co się stało.

Następnego ranka obudził się spocony i zdrętwiały. Czując skurcz w ramieniu, niemal zawył z bólu, ale już po chwili chciał krzyczeć z radości. Zorientował się bowiem, że Sabrina również jest spocona. Najgorsze minęło, gorączka zaczęła spadać.

- Tak, kochanie, nie przejmuj się. Oby tak dalej - powiedział, całując jej skroń.

Najostrożniej, jak tylko mógł, odsunął się od niej i wstał z łóżka. Momentalnie, nawet się nie budząc, zwinęła się w kłębek. Stał cicho obok, słuchając jej cichego, głębokiego oddechu.

- Tym razem jestem górą - powiedział na głos. Stał tak jeszcze chwilę, obserwując ruch jej piersi przy każdym wdechu. Nie był tak szczęśliwy od ładnych paru miesięcy. Właściwie nie czuł takiego przyływu szczęścia, odkąd Rohan i Susannah odwiedzili Dinwitty Manor i znaleźli swoją drogę do szczęścia. Tak, był z siebie zadowolony, bardzo zadowolony.

W pokoju było zimno. Dorzucił do ognia, cały czas bacznie obserwując, czy Sabrina wciąż oddycha, czy wciąż się poci. Gdy spała, wicehrabia Derencourt podgrzał w kuchni wodę. Zanim

zabrał się do prania swoich ubrań, postanowił się umyć. Westchnął z ulgą, wreszcie był czysty. Rzucił okiem na stertę brudnych ubrań, nie miał wyjścia. Nie namyślając się dłużej, wrzucił wszystko do wody i prał najlepiej, jak potrafił. Uśmiechnął się pod nosem... Wyobraził sobie twarz Damblera, który, siedząc naprzeciwko kuchennego kominka, ujrzałby swojego pana, szorującego elegancką batystową białą koszulę w balii, której czystość pozostawiała wiele do życzenia.

Wyprane ubrania rozwiesił na oparciach krzeseł, otaczających duży, ciosany, drewniany stół kuchenny. Ubrał się w ostatnią czystą koszulę i bryczesy, po czym wrócił na górę sprawdzić, jak się czuje jego pacjentka.

Wciąż spała, leżała skulona na boku, po swojej stronie łóżka, z dala od niego. Jej czoło było chłodne, ale koszula wciąż mokra od potu. Niech to diabli, nie pomyślał, żeby sprawdzić. Rozebrał ją, starając się nie wyrwać jej ze snu. Był mężczyzną, po prostu nie mógł się powstrzymać, więc spojrzał na nią, starał się jednak nie dotykać jej więcej, niż było to konieczne, bo jeszcze nad sobą panował, choć musiał zaciskać zęby. Była piękna, szczególnie że na jej policzkach pojawił się rumieniec.

Włosy na jej łonie były nieznacznie tylko ciemniejsze; chciał jej dotknąć, dotknąć kobiecego ciała. Nie powinien był tak myśleć. Otóż to, będzie myślał o tym, co nie wiąże się z jej płcią. Ręce miała jasne, palce długie. Wyobrażał ją sobie grającą na fortepianie. No właśnie, tak trzeba myśleć, całkiem nieźle. Nie wspominając o tych piersiach, szczerze mówiąc, bardzo ładnych i... O nie, przecież to nie tak, nie tak. Spojrzał na jej stopy, ładnie wysklepione, pewnie również bardzo przydatne, to dosyć naturalne.

Zaczął się z siebie śmiać, nie mógł się powstrzymać.

- Przykro mi, kochanie - powiedział. - Staram się, jak mogę. Proszę, wybac mi te chwile zapomnienia.

Delikatnie jęknęła przez sen; to nie była odpowiedź. W jego głowie zaczęło się rodzić pragnienie. Ubrał ją w białą męską koszulę. Sięgała jej do połowy uda, czyli akurat na tyle, aby zakryć jej kobiece wdzięki. Dwie kolejne koszule nadawały się teraz do prania, chociaż nie, tej aksamitnej raczej nie należało prać. Spojrzał na Sabrinę, na jej spokojną twarz. Ta twarz była mu teraz dobrze znana i ten fakt niezmiernie sobie cenił. To dziwne, ale naprawdę cenił. Może jest złością, przebiegłą kłamczuchą albo świętą, skąd może mieć pewność? Kiedy rozmawiali, sprawiała całkiem pozytywne wrażenie, była nawet dowcipna, głos miała delikatny, a słowa zręczne. Był jednak zbyt doświadczony, by nie wiedzieć, że równie dobrze pod tą maską może się kryć kolejna jędza pokroju Elaine. *Elaine*. Dawno już o niej nie myślał. Właściwie myślał o niej jedynie w chwilach, kiedy stawał z nią twarzą w twarz na jakimś przyjęciu w Londynie. Tak naprawdę miał nadzieję, że jest w niedoli; zasługiwała na to.

Sabrina jeszcze spała. Czas najwyższy zrobić coś do jedzenia. Upiekł chleb. Wyjął ze starego żelaznego pieca dwa bochenki czegoś, co chyba mogło uchodzić za chleb. Rozpierała go duma. Fakt, że bochenki były płaskie, kanciaste i przypalone na brzegach, nie miał najmniejszego znaczenia. Grunt, że było to jadalne i że właśnie on to przygotował. Był całkiem zdolnym człowiekiem, może przetrwać. Nie miało znaczenia nawet to, że te dwa bochny przypominały szare kamienie, które jego robotnicy przywieźli z kopalni piaskowca w pobliżu Dinwitty Manor, aby naprawić ścianę zabytkowej elżbietańskiej wieży. Mieli użyć tych kamieni, gdy wreszcie zabiorą się do pracy nad nową wieżą, zwieńczoną blankami, którą projektował przez większą część poprzedniego lata. Choć wciąż jeszcze jej nie wybudował, a w gruncie rzeczy nawet nie zaczął. Być może był aż tak

wstrząśnięty tym, co się stało w Szkocji Rohanowi i Susannie Carringtonom. Nie, nie miał ochoty myśleć o tym dziwnym przeżyciu. Na powrót do tych wydarzeń pozwalał sobie wyłącznie późną nocą, kiedy był sam, popijał brandy w bibliotece i wpatrywał się w kominek, widząc rzeczy, których człowiek nie powinien sobie nawet wyobrażać.

Ułamał kawałek chleba ze spaloną nierówną skórką. Nadzwyczajnie to on nie smakował. Z drugiej strony nie głodował, a wiedział z doświadczenia, że głodowanie stanowczo zmienia punkt widzenia. Jego usta wciąż jeszcze rozpieszczało wspomnienie potraw przygotowywanych przez kucharza w Dinwitty Manor. Nic to. Najważniejsze, że chleb był pożywny i będąc wystarczająco zdesperowanym, można go zjeść, a zarówno on, jak i Sabrina byli w takiej właśnie sytuacji.

Jeszcze się nie obudziła, ale zupełnie się tym nie przejmował, wręcz przeciwnie, sen był teraz dla niej najważniejszy. Dokładnie zawinał oba bochenki w zgrzebne obrusy, które znalazł poukładane na półce kuchennej. Narzucił płaszcz na grzbiet i poszedł do stajni. Kiedy tylko postawił stopę za drzwiami, wyjący wiatr uderzył go prosto w twarz, obsypując śniegiem. Ale śnieżycy musi się wkrótce skończyć, takie burze w Anglii nie trwają wiecznie. Spojrzał w kierunku krętej ścieżki prowadzącej do domku; przykrywała ją biała wstęga wszechobecnego śniegu. Nie ma się co spodziewać, że ktoś tu teraz dotrze, przynajmniej przez kilka najbliższych dni.

Tasha zarżała cicho, kiedy Phillip wszedł do stajni. Potarł jej chrapy i roześmiał się, kiedy trąciła go pyskiem w klatkę piersiową.

- Tak, wiem, że jesteś cholernie znudzona, ale jeszcze trochę cierpliwości. Jeszcze kilka dni i będziesz mogła stąd wybiec galopem.

Popatrzył w dół, kosz był już prawie pusty.

- Chociaż za kilka dni będziesz pewnie zbyt tłusta, żeby robić cokolwiek poza pomrukiwaniem.

Napełnił kosz sianem, wiadra wypełnił śniegiem po brzegi - w ciepłe stajni śnieg zaraz stopnieje i Tasha będzie miała świeżą wodę - jeszcze tylko zaśpiewał jej piosenkę i niespiesznie wrócił do domku. Śnieg sięgał mu niemal do kolan. Potrząsnął głową i uśmiechnął się. Jeśli Sabrina nie obudzi się wkrótce w pełni sił i dobrym nastroju, to on zacznie mówić do mebli. Miał tylko nadzieję, że jeśli do tego dojdzie, meble nie będą mu odpowiadać.

Prawie skończył sprzątać bałagan, który powstał podczas jego prac kuchennych, kiedy z góry dobiegły go dźwięki delikatnego tupania. Zerwał fartuch i momentalnie wbiegł na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz; dokładnie trzy sekundy później był na górze, a serce waliło mu jak młot.

Popchnął uchylone drzwi prowadzące do sypialni i zamarł w bezruchu. Sabrina stała obok łóżka, dla równowagi trzymając się słupka podpierającego baldachim. Była blada, z trudem oddychała, warkocz zwisał jej na ramieniu, przetłuszczony od potu.

- Co robisz, u diabła? I dlaczego nie jesteś w łóżku?

Spojrzała na niego; jej twarz była bledsza niż koszula, którą miała na sobie.

- Nie mogę teraz wrócić do łóżka.

- Dlaczego nie?

- Wstałam, bo muszę się załatwić. Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest nocnik?

- Właściwie to wiem. Wolałbym jednak, żebyś mnie zawołała, zamiast samodzielnie wybierać się na wycieczkę.

- Ale ja nawet nie wiem, kim jesteś. To znaczy wiem, ale zapomniałam. Jesteś mężczyzną. Nie chcę, żebyś pomagał mi się załatwić. To nie byłoby w porządku. Wręcz przeciwnie, to byłoby

absolutnie żenujące.

- No, dobrze. Ale pozwól, że ci pomogę. Będę stał za parawanem. Zawołaj mnie, jak skończysz, to pomogę ci wrócić do łóżka. Załóż się, że nie masz więcej sił niż pchła.

- Właśnie mniej więcej tyle - powiedziała. Była z powrotem w łóżku, przykryta pod samą szyję. Phillip usiadł obok. Z przyzwyczajenia położył dłoń na jej czole.

- Ani śladu po gorączce, jest lepiej, dużo lepiej, Sabrino. Nie zrozum mnie źle, ale musisz teraz wypocząć. Byłaś bardzo ciężko chora, teraz wracasz do zdrowia, już niedługo.

- Znasz moje imię - powiedziała, wpatrując się tymi niezwykłymi oczami w jego twarz.

Chciał jej powiedzieć, że wie też o jej małym znamieniu w kształcie serca na lewym pośladku, ale nie zrobił tego. Tylko się do niej uśmiechnął.

- Tak. I wiem również, że mówią na ciebie Bree. Ja nazywam się Phillip, pamiętasz? Nikt się nie zwraca do mnie zdrobniale, najwyżej jacyś wrogowie wyzywają mnie od sukinsynów.

- Teraz sobie przypominam. Gdzie jesteśmy? Uśmiechnął się do niej i zaczął zakładać jej za ucho luźne kosmyki włosów.

- Widzę, że wracasz do siebie, dzięki Bogu. Jeśli zaś chodzi o to, gdzie jesteśmy, to nie mam zielonego pojęcia. Ta część Yorkshire jest mi kompletnie obca. Pamiętasz, co ci mówiłem? Znalazłem cię leżącą w śniegu w środku lasu. Ponieważ przejeżdżałem wcześniej koło tego domku, postanowiłem tu z tobą wrócić. Jesteśmy tu, gdziekolwiek to jest, już od dwóch dni.

- A co takiego robiłeś w lesie, panie?

- Panie? A skąd wiesz, czy jestem panem, kupcem, czy kimkolwiek innym?

Przedstawił się jej jako wicehrabia Derencourt? Nie mógł sobie teraz przypomnieć. Powiodła wzrokiem do jego lewej dłoni.

- Nosisz sygnet. Nie jestem głupia ani nierozgarnięta.

Phillip uśmiechnął się, spojrzawszy przelotnie na duży sygnet z rubinem, który od prawie trzystu lat był przekazywany w rodzinie Mercerault z ojca na syna. Nie był to bynajmniej szmat czasu, szczególnie w porównaniu z niektórymi wielkimi rodami angielskimi, ale dla niego trzysta lat stanowiło solidny dorobek.

- Jesteś spostrzegawcza, Sabrino. Teraz sobie przypominam. Wcześniej przedstawiłem się tylko z nazwiska. Pozwól, że przedstawię się najlepiej, jak potrafię. Jestem Phillip Mercerault, wicehrabia Derencourt z Dinwitty Manor, w pobliżu Oksfordu.

Przez chwilę zdawało mu się, że dostrzegł w jej oczach przeblysk świadczący o tym, że coś się jej przypomniało. Nie zdążył się jednak upewnić, bo przymknęła powieki.

- A ty? Wiem, że masz na imię Sabrina. Ale kim jesteś?

ROZDZIAŁ 11

Nie mylił się. Choć Sabrina zawahała się, nim odpowiedziała na jego pytanie. Wciąż się go bała? Wreszcie odparła:

- Nazywam się Sabrina Eversleigh. Nie zamierzała mu mówić, że tak naprawdę jest lady Sabriną; to nie jego sprawa. Nie wiedziała przecież, kim naprawdę jest, mógł być przyjacielem Trevora. Cóż, może nie od razu przyjacielem, ale na razie nie chciała mu mówić wszystkiego.

Znał skądś nazwisko Eversleigh. Gdzie mógł je słyszeć?

Sabrina leżała z lekko przymkniętymi oczami. Dotknął jej policzków, były chłodne.

- Sabrino, nie zasypiaj jeszcze. Upiekłem chleb i ugotowałem zupę. Musisz coś zjeść, żeby wróciły ci siły. Dobrze?

- Tak - odparła, nie otwierając oczu. - Jestem głodna. Dziękuję.

Popatrzył na nią chwilę dłużej, potem wstał. Gdy był już przy drzwiach, odwrócił się w jej stronę i rzucił przez ramię:

- Nie wstawaj z łóżka. Zawołaj mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Pięć minut później z tacą w ręce wrócił do sypialni.

- Twój uniżony sługa, Sabrino. Najlepszy chleb i zupa dostępne w tej części hrabstwa. Oczywiście w stajni jest jeszcze siano i owies, ale wątpię, by Tasha chciała się z nami podzielić. - Sabrina przechyliła głowę na bok. - Mówię o mojej klaczy - wyjaśnił. - A teraz pozwól, że pomogę ci usiąść, moja pani.

Usłyszawszy ostatnie dwa słowa, szeroko otworzyła oczy. Nie mylił się. Zauważył w jej oczach panikę.

- Nie noszę przecież sygnetu - odezwała się, a Phillip usłyszał w jej głosie strach. - Nie jestem twoją panią. Jak w ogóle mogłeś tak pomyśleć?

Chciał jej powiedzieć, że tylko żartował, ale nie, nie teraz. O co w tym wszystkim chodzi? Kim ona, u diabła, jest?

- Nie, nie chodzi o sygnet. - Spojrzał na jej dłonie. - Nieważne. A teraz usiądź i jedz.

Chwycił ją pod pachami i podniósł, by mogła usiąść; sam usiadł przy niej i żwawo mieszał zupę, by ją trochę ostudzić.

- Uwierzyłabyś, że to według przepisu pochodzącego wprost z kuchni Jego Królewskiej Mości? Przepis przywieziony tutaj, do Yorkshire, przez twego pokornego sługę? Nie, myślę, że byś w to nie uwierzyła. Masz, spróbuj.

Wsunął jej łyżkę zupy prosto w usta. Ulżyło mu i ucieszył się, gdy rozanielona przymknęła oczy, gotowa przełknąć. Zjadła prawie pół miski zupy, a potem pokręciła głową, że więcej już nie chce, i opadła na poduszki.

- Jest naprawdę doskonała, Phillipie, ale nie przełknę już ani kropelki. Gdybyś nie był arystokratą, z pewnością mógłbyś gotować na królewskim dworze. Chociaż król jest szalony*, więc pewnie nie doceniłby twojego kunsztu.

- Skosztuj jeszcze chleba, zanim wydasz ostateczny werdykt co do moich kulinarnych talentów.

- Phillip wyjął jeden z bochenków spod ściereczki.

- Wiem, że nie wygląda zbyt apetycznie i zachęcająco, ale może uda ci się przełknąć choć odrobinę - powiedział i włożył jej do ust kawałek chleba, wciąż jeszcze ciepłego. Sabrina zjadła, powoli przełykając; musiał przyznać, że była bardzo dzielna. Na jej twarzy nie pojawił się żaden nieprzyjemny grymas, przeciwnie, uśmiechnęła się.

- Naprawdę doskonały. Jesteś prawdziwym odkryciem kulinarnym. Gdzie nauczyłeś się gotować?

- Zapewniam cię, że jeśli wicehrabiemu zdarzy się spędzić kilka lat na Półwyspie Iberyjskim, szybko się uczy przynajmniej jako tako dbać o ciało i duszę. Kiedy wyzdrowiejesz, wątpię, byś równie entuzjastycznie podchodziła do moich kulinarnych wyczynów.

Na twarzy Sabriny pojawił się cień smutku.

- Mój ojciec zginął w czasie oblężenia Ciudad Rodrigo.

Eversleigh. Zapewne dlatego jej nazwisko wydało mu się znajome. Próbował przypomnieć sobie oficera o takim nazwisku, ale nie potrafił przywołać na pamięć jego twarzy.

- Przykro mi. W tej bitwie zginęło wielu dobrych ludzi. Sam zostałem tam ranny - powiedział, a Sabrina szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. - Tak, przestrelono mi ramię. Wtedy wróciłem do Anglii. Gdy zmienia się pogoda, jeszcze czasem mnie boli; sama wiesz, jak to jest z pogodą w Anglii. Ale jakoś przeżyję.

Widział to w jej oczach; widział, jak bardzo pragnęła, by jej ojciec został tylko postrzelony i wrócił do domu. Tak się jednak nie stało. Zaskoczyła go, nagle mówiąc:

- Ten bochenek chleba wygląda jak żółw i chyba właśnie zjadłam jego głowę.

- To z pewnością straszna myśl. Sabrina uśmiechnęła się szeroko, a na jej twarzy pojawiły się uroczne dołeczki; wyglądała naprawdę czarująco. Teraz Phillip już wiedział, że Sabrina jest osobą radosną, pełną życia i chęci do działania.

- Za kilka godzin będę mogła zjeść mu nogi.

- Aha, więc masz sadystyczne skłonności.

- A co to znaczy?

Phillip pomyślał o pewnym Francuzie, tym diable wcielonym, markizie de Sade. Pokręcił głową.

- Tylko tyle, że myślisz nieco inaczej. Ale to czarujące.

Odsunęła się od niego. Nie cofnęła się ani o centymetr, a jednak odsunęła się od niego. Dlaczego? Nie powiedział przecież nic niestosownego.

- Właśnie sobie pomyślałem, że ten bochenek przypomina mi kamienie wydobywane z kamieniołomów niedaleko mojego domu.

- Przez wiele lat kucharz od czasu do czasu uczył mnie tego i owego. Naprawdę smakuje mi twój chleb, ale myślę, że nie zaszkodziłoby dodać do niego szczypty drożdży.

- Masz rację, zaraz zobaczę, czy uda mi się je tutaj znaleźć.

Sabrina uśmiechnęła się, ale tym razem słabo, i oparła głowę o poduszki. Zamarła, gdy wierzchem dłoni dotknął jej policzka.

- Nie, nie odsuwaj się, muszę to sprawdzić. O, nie masz już gorączki.

- Jak długo tu jesteśmy?

- Według moich obliczeń, dwa i pół dnia. Nie wydaje mi się, byś długo wędrowała po lesie, nim cię znalazłem. Zginęłabyś, gdybym się na ciebie nie natknął.

- To las Eppingham.

- Aha, to teraz już wiem, że nazywasz się Eversleigh, a to posępne miejsce to las Eppingham. Może zechciałabyś mi powiedzieć, gdzie mieszkasz?

Dostrzegł coś w jej oczach. Złość? Miał nadzieję, że tak.

- Jaki dziś mamy dzień? - zapytała. Musiał chwilę się zastanowić.

- Myślę, że jest środa. - Dziwnie się poczuł, jakby żył gdzieś poza czasem.

Środa. Sabrina odwróciła głowę. Nie chciała, by Phillip widział jej twarz. Monmouth Abbey opuściła w niedzielę; tych kilka dni wydawało się jej wiecznością. Pomyślała o liściku, który zostawiła dla dziadka, i poczuła łzy pod powiekami. Nie może się teraz rozplakać, to nic nie da; przeciwnie, Phillip mógłby stać się bardziej podejrzliwy. Dziadek już z pewnością wie, że nie dotarła do Borhamwood, ale może też myśleć, że nie żyje.

Coś tu jest bardzo nie w porządku. Nie będzie już na nią naciskał. Phillip wstał.

- Kochanie, później porozmawiamy o tym, dlaczego opuściłaś dom. Prawdopodobnie rodzina właśnie cię szuka. Śnieżyca zaraz się skończy. - Phillip wziął Sabrinę za rękę. - Nie, niczym się teraz nie martw. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Nie wątpię, że moi przyjaciele zaraz będą mnie szukali, tak samo jak twoja rodzina ciebie.

Sabrina zbladła jeszcze bardziej. Phillip milczał. Starła się odsunąć od siebie myśli o dziadku, o Trevorze. Była zmęczona, bardzo zmęczona. Podniosła wzrok na Phillipa. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, aż wreszcie powiedziała:

- Masz bardzo piękne oczy. Teraz wydaje mi się, że było to bardzo dawno temu, ale pamiętam, że chciałam zobaczyć, jak marszczysz czoło albo się uśmiechasz, żeby wiedziałam, jakim jesteś człowiekiem.

- Nie wyczytałabyś z moich oczu, czy jestem dobrym człowiekiem, czy nie. A teraz już śpij. Gdy się obudzisz, będziesz miała więcej sił, a ja będę miał dla ciebie zupę i chleb.

Siedział przy niej w milczeniu, aż upewnił się, że zasnęła. Mam więc piękne oczy, czyż tak, Sabrino? Nagle zdał sobie sprawę, że nie powiedziała mu, czy uznała go za dobrego człowieka. Cicho podszedł do okna i wpatrywał się w śnieżny pejzaż. Płatki śniegu nie uderzały już w okno z taką siłą; wiatr także słabł. Śnieżyca się uspokajała. Gdzie słyszał nazwisko Eversleigh? Czy faktycznie w czasie oblężenia Ciudad Rodrigo?

- Moja droga, nie stój tam tak z wytrzeszczonymi oczami jak jakiś gamoń. No dalej, masz dla mnie jakieś wieści?

Elizabeth stała przed dziadkiem, wzrok miała spuszczonej, palce nerwowo zaciskała na fałdach sukni.

- Przykro mi, dziadku, ale nie mam żadnych wiadomości. Wszyscy nasi ludzie szukają jej od samego rana. Wyruszyli, gdy tylko śnieżyca trochę osłabła, ale jak dotąd nic nie wiadomo o Sabrinie.

- Czy Trevor także wyruszył na poszukiwania?

- To on je rozpoczął, dziadku - odpowiedziała Elizabeth, patrząc daleko przed siebie, na okna z draperiami.

- Co to znaczy?

- Trevor bardzo się martwi pogodą. Kilka chwil temu zmuszeni byli wrócić. Jest teraz w sypialni, stara się ogrzać.

Hrabia gwałtownie pokręcił głową, a potem przez długą chwilę w milczeniu patrzył w stronę łukowato sklepionych dużych okien biblioteki, za którymi widoczna była zimna biel.

- Sabrina nie jest głupia - powiedział bardziej do siebie niż do Elizabeth.

Zawsze była głupia, pomyślała Elizabeth, a w żołądku poczuła nieprzyjemny ucisk.

- Ale to nie ja uciekłam - powiedziała głośno - przynosząc wstyd sobie i rodzinie.

Hrabia gwałtownie zmarszczył siwe brwi i odezwał się głosem zimniejszym niż zamrażający staw we wschodniej części ogrodu:

- Sabrina nie jest dziwką, Elizabeth, mimo że tobie wygodnie jest tak właśnie twierdzić. Twoja złość nie świadczy o tobie dobrze. Sabrina rzuciła się na Trevora? To nonsens, całkowity absurd!

Zauważył, że Elizabeth bladnie, ale miał poważne wątpliwości, czy udałoby mu się zmusić wnuczkę do wyznania prawdy. Kiedyś wierzył, może naiwnie, ale jednak, że jeśli znajdzie dla Elizabeth męża, to jej nienawiść do siostry zelżeje; co więcej, znalazł dla niej przyszłego hrabiego Monmouth.

Zadbał, by Elizabeth wyszła za mąż przed Sabriną, mimo że w pewnej chwili oznaczało to posunięcie się do ostateczności: odmówił ręki Sabriny starającemu się o nią wpływowemu arystokracie tylko po to, by Elizabeth jako pierwszą wydać za mąż. Pokręcił głową, wiedząc, że nie jest sam ze sobą do końca szczerzy. Nie, prawda jest taka, że najbardziej pragnął, by Sabrina jak najdłużej z nim została. Gdyby tylko Clarendon poprosił o rękę Elizabeth, a nie o rękę Sabriny! Ale oczywiście Richarda Clarendona ciągnęło do Sabriny od chwili, gdy zobaczył ją, jak z uśmiechem pomaga staremu Frobisherowi usiąść. Pamiętał wyraz twarzy Richarda i od razu wiedział, że będzie próbował ją zdobyć.

Hrabia znów spojrział na pobladłą twarz Elizabeth.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? Bezsensowne pytanie. Nie potrafił nawet sobie wyobrazić, co mogłaby powiedzieć Elizabeth, gdyby w ogóle zechciała się odezwać. Elizabeth czuła na twarzy spojrzenie dziadka.

- A dlaczego Sabrina, z jakiegoś powodu zdecydowawszy, że chce opuścić Monmouth Abbey, nie przysłała do ciebie i nie opowiedziała o swoich planach? Sam powiedziałaś, że z jej listu nie wynika nic konkretnego. Czy samo to nie wskazuje na jej winę w całej tej sprawie?

Słowa Elizabeth wstrząsnęły hrabią. Miała ochotę się roześmiać. Całą siłę woli włożyła w to, by zachować powagę i stać spokojnie, by ukryć poczucie triumfu i przyjemność, jaką jej dawało. Miała wrażenie, że dziadek skurczył się w fotelu, jego żywe niebieskie oczy przygasły. O tak, pomyślała, jeśli Sabrina zawsze dzieliła się wszystkimi radościami i smutkami z tobą, ukochanym dziadkiem, to dlaczego nagle zniknęła, zostawiając jedynie bezsensowny liścik? Hrabia ciężko westchnął.

- Nigdy nie uwierzę w historię, którą ty, Elizabeth, i twój mąż próbujecie mi wmówić. A teraz wyjdź stąd.

Wyprostowana jak struna Elizabeth odwróciła się na pięcie i wyszła z biblioteki, nie odwróciwszy się ani razu i nie zaszczyciwszy dziadka ani jednym spojrzeniem. Gdy szła przez obszerny, wyłożony kaflami hol, zastanawiała się, co stanie się z nią i Trevorem, jeśli się okaże, że Sabrina jednak nie zginęła w śnieżycy.

- Lady Elizabeth.

Odwróciła się gwałtownie; rękę trzymała na poręczy schodów.

- Tak, Ribble?

- Proszę mi wybaczyć, pani, ale przyszedł markiz Arysedale i pyta o lady Sabrinę. Czeka w salonie. Wydawało mi się nie na miejscu, bym mówił jego lordowskiej mości, że lady Sabriny nie ma.

Elizabeth poczuła ogarniającą ją głęboką radość. Oblizła suche usta. Dobry Boże, Richard

Clarendon jest tutaj. Nagle spostrzegła, że Ribble czeka i patrzy na nią. Szybko skinęła głową.

- Porozmawiam z nim. Czowała zarówno niepokój, jak i podniecenie na myśl, że zobaczy Richarda, mężczyznę, w którym zakochała się, mając szesnaście lat, gdy on miał lat dwadzieścia. Przez te wszystkie lata zachęcała go na wszelkie możliwe sposoby, raz nawet w dość wyzywający sposób rozmawiała o czekającym na nią posagu, który byłby godny księcia Portsmouth. Gdy jego młoda żona umarła ponad dwa lata temu, nadzieje Elizabeth znów odżyły. Pamiętała poczucie zdrady, które nią targało, gdy niecałe sześć miesięcy temu przypadkiem usłyszała, jak mówił dziadkowi, że to Sabriny pragnie za żonę. Jeszcze większego upokorzenia przysporzył jej fakt, iż żaden z nich zdawał się nie przejmować tym, że Elizabeth może ich usłyszeć.

Doskonale pamiętała każde słowo, które wtedy padło; nawet teraz, na ich wspomnienie, skręcało ją z bólu. Marszcząc brwi, dziadek powiedział wtedy tym swoim niskim, głębokim głosem:

- Moja Sabrina jest taka sama jak jej babka, nie będzie tolerowała męża, który nie będzie jej wierny. Wie o pańskiej reputacji, mimo że jeszcze niewiele z tego rozumie. Nie, nigdy nie oddałbym jej mężczyźnie, który by ją zdradzał, a z pewnością tak myślałaby o mężu, który sypiałby z innymi kobietami. Proszę się nad tym zastanowić i zmienić swoje postępowanie, bo nie popchnę Sabriny do małżeństwa, które uczyni ją nieszczęśliwą.

- Sabrina jest jeszcze młoda - odezwał się Richard Clarendon. - To osoba pełna wigoru, zupełnie niezepsuta, jest jak młode źrebię. Może być pan pewien, że niczego jej przy mnie nie zabraknie, tym bardziej nie będzie musiała szukać pocieszenia w ramionach innych mężczyzn.

- Uważasz więc, Richardzie, że twój urok i męskość zadowolą moją wnuczkę, czy tak?

- Lady Elizabeth? Otrząsnęła się z myśli o przeszłości i nerwowo zwróciła się do kamerdynera: - Tak, Ribble?

- Jeśli mogę o coś zapytać, proszę pani. Czy są jakieś wiadomości o lady Sabrinie?

Elizabeth doskonale wiedziała, że służba ma swoje sposoby, by zawsze się o wszystkim dowiedzieć. Ten stary głupiec, kamerdyner Ribble, z pewnością wie, że Sabrina się zhańbiła, a mimo wszystko miał czelność zwrócić się z tym do niej, niekwestionowanej pani Monmouth Abbey, i pytać o tę małą dziwkę.

- Obawiam się, Ribble - odparła chłodno - że moja siostra nie przeżyła śnieżycy. Jak wiesz, nasi ludzie wciąż jej szukają, ale jego lordowska mość zapewne wkrótce zda sobie sprawę z bezskuteczności poszukiwań i odwoła ludzi. Jej ciało na pewno znajdziemy dopiero, gdy stopnieją śniegi.

Elizabeth dostrzegła ból na twarzy starszego człowieka.

- Naturalnie to straszna tragedia - ciągnęła Elizabeth jeszcze chłodniejszym tonem, odsuwając się od Ribble'a - i ogromna strata dla nas wszystkich. Ale życie toczy się dalej, my trwamy. Możesz iść ze mną do salonu, Ribble, nie chcę, by markiz musiał czekać.

ROZDZIAŁ 12

Markiz stał przy oknie, wpatrując się w śnieg. Na jego widok Elizabeth poczuła ucisk w piersi. Nigdy nie pragnęła innego mężczyzny, tylko jego, Richarda Clarendona. Był wspaniały, silny i dobrze zbudowany, po prostu piękny, z ogorzałą twarzą i zimnym spojrzeniem... To wszystko działało na nią jak magnes. Podobnie zresztą jak na każdą kobietę, na której zapragnął zrobić wrażenie. Przełknęła ślinę i wyprostowała ręce.

- Richard, jak to się stało, że jesteś w Yorkshire? Zdaje się, że o tej porze roku Londyn jest o wiele przyjemniejszym miejscem niż nasza okolica.

Markiz Arysdałe wyprostował się, porzucając nonszalancką pozę, w której dotychczas oglądał świat po drugiej stronie łukowatego okna. Przeszedł przez pokój z gracją, która obezwładniała Elizabeth, zrobiło się jej gorąco i zaparło dech w piersiach. Podniósł jej dłoń do ust.

- Bardzo miło cię widzieć, Elizabeth. Najwyraźniej małżeństwo ci służy. Żałuję tylko, że nie zdołałem przybyć na ceremonię ślubną.

Elizabeth zadrżała, gdy dotknął ustami jej dłoni. Nie potrafiła na to nic poradzić. Wiedziała, że Richard jest przyzwyczajony do tego typu reakcji. Był rozpustnikiem, kobieciarzem, czerpiącym przyjemność z towarzystwa każdej kobiety, która mu się podobała i akurat była w pobliżu. Wiedziała o tym od dawna, ale nigdy jej to nie przeszkadzało. Teraz jednak była już mężatką i wiedziała dobrze, do czego mężczyznom służą kobiety. Zastanawiała się, jak by jej było w łóżku, gdyby to Richard został jej mężem. Rumieniec na jej policzkach stał się jeszcze intensywniejszy, kiedy wyobraziła sobie nagiego Richarda, stojącego przed nią. Jego ciało nie byłoby tak delikatne i gładkie jak ciało Trevora. Nie byłby też brutalny.

- Elizabeth, gdzie jest Sabrina? Sabrina, to ją chciał zobaczyć. Poczula, jak jej rozgrzane ciało zaczyna stygnąć. Spuściła wzrok i powiedziała drżącym głosem:

- Usiądź, proszę. Wieści, które dla ciebie mam, nie są zbyt dobre.

- Ależ, kobieto, co to, u diabła, ma znaczyć?

Nastąpiła w nim gwałtowna zmiana, którą Elizabeth raczej odczuła, niż dostrzegła. Leniwa gracja ulotniła się. Był teraz w pogotowiu, gotów zabijać, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Richard, proszę. - Gestem dłoni wskazała niebieską sofę obitą brokatem.

- Dosyć tego! Gdzie jest Sabrina?

Niechętnie zajął miejsce obok niej. Czula energię, którą ledwie trzymał na wodzy, agresję, która jakby czaiła się tuż pod jego skórą. Podniecało ją to, a zarazem przerażało.

Chciała mu powiedzieć, co zrobiła Sabrina, powiedzieć, że ta mała księżniczka jest najzwyklejszą ladacznicą, że się zhańbiła i uciekła z domu, ale Elizabeth nie była aż tak głupia. Nie umiała przewidzieć, jak Richard zareaguje. Bardzo prawdopodobne, że wpadłby w furję, być może nawet zabiłby Trevora. Gdyby tak się stało, straciłaby wszystko. O nie, musiała się opanować i zacząć logicznie myśleć.

- Sabrina zniknęła - powiedziała. Opuściła głowę i zamilkła.

- Sabrina nie jest czarownicą. Nie przypominam sobie, żebym widział ją latającą na miotle. Co, do licha, masz na myśli? Jak to: „zniknęła”?

- Było dokładnie tak, jak powiedziałam, Richardzie. Uciekła z Monmouth Abbey w ostatnią niedzielę, jeszcze przed śnieżycą. Zostawiła dla dziadka dziwny list, w którym napisała, że zamierza jechać do Londynu, do ciotki Barresford. Ale oczywiście słuch o niej zaginął. Obawiamy się, że mogła nie przeżyć śnieżycy.

Markiz z rykiem zerwał się na równe nogi i rzucił jej przeszywające spojrzenie; w jego ciemnych oczach czaiło się niebezpieczeństwo.

- Elizabeth, do jasnej cholery, co to za bzdury? Sabrina wiedziała, że zamierzam ją odwiedzić. Nie mam wątpliwości co do tego, że znała powód mojego przyjazdu.

Elizabeth powstrzymała uśmiech, który cisnął się jej na usta. Nie miał zielonego pojęcia, że właśnie dał jej zdecydowaną przewagę, zresztą zupełnie nieświadomie. Podniosła jasne oczy i spojrzała na jego piękną, ogorzałą twarz.

- Być może w tym, co właśnie powiedziałeś, Richardzie, kryje się powód ucieczki Sabriny. Gdyby nie była kobietą, uderzyłby ją. Była tego świadoma, więc napawała się swoją przewagą. Musiał się hamować.

- Elizabeth, to kłamliwe oszczerstwo i doskonale o tym wiesz. Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w kierunku drzwi. Elizabeth zaskoczona podniosła się i zapytała:

- Dokąd idziesz? Nie odwracając się, rzucił przez ramię:
- Do hrabiego. Obawiam się, że od ciebie nie uzyskam żadnej rozsądnej odpowiedzi. W tym momencie się odwrócił i zmierzył ją od stóp do głów.

- Wiesz, Elizabeth, nic się nie zmieniłaś, zupełnie nic. Wyszedł, a ona została sama. Stała na środku wielkiego salonu. Zaczęła pocierać dłońmi ramiona. Było jej zimno. Co chciał przez to powiedzieć?

Sabrina biegła wzdłuż wąskiego, długiego pokoju. Ludzie gapili się na nią, ale nikt nie próbował jej pomóc. W swoim biegu co raz to zataczała się, przerażona odgłosem zbliżających się kroków. Trevor nadchodził, a ona widziała żądzę, jasno rozpalającą jego oczy. Cofnęła się, coś ostrego wbiło się jej w plecy, krzyknęła, kiedy się odwracała. Czuła na sobie spojrzenia ludzi, zimne i obojętne. Był prawie przy niej. Wyprostował rękę. Krzyknęła, kiedy ręka zacisnęła się na jej ramieniu.

- Sabrino, obudź się. Jednak przerażenie zatrzymało ją w tamtym pokoju ze wszystkimi przyglądającymi się jej twarzami. Dłoń zaciśnięta na ramieniu potrzęsła ją jeszcze raz, tym razem mocniej.

- Obudź się! To tylko zły sen, coś ci się przyśniło. No, kochanie, wiem, że potrafisz. Otworzyła oczy i spojrzała na Phillipa. Poczwała taką ulgę, że zachowała się instynktownie. Zebrała wszystkie siły i zarzuciła mu ręce na szyję. Z twarzą przyciśniętą do jego piersi powiedziała:

- Twarze. Było mnóstwo twarzy i wszyscy milczeli, nikt się odezwał, tylko się na mnie patrzyli. Było im wszystko jedno, nikt by mi nie pomógł.

Phillip trzymał ją mocno przy sobie, gładząc po głowie i odsuwając włosy, które spadły na czoło.
- Już wszystko w porządku, Sabrino. Nie musisz się już niczego bać. Jesteś tutaj, ze mną, i nie pozwolę tym przeklętym koszmaram znowu się do ciebie zbliżyć. Czyje twarze widziałeś?

Wzięła głęboki, drżący wdech i odchyliła się nieco na jego rękach, żeby spojrzeć mu w oczy.
- Tak, twarze, było ich mnóstwo. Na pewno byłam w galerii, to były twarze z portretów; wszyscy

od dawna nie żyją, jak więc mieliby mi pomóc?

Ze spokojem godnym pastora zapytał:

- Więc uciekłaś do galerii, chcąc schronić się przed Trevorem?

Przytaknęła, przełknęła ślinę i zamilkła. Starła się teraz wziąć w garść.

- Sabrino, kim jesteś? I kim jest Trevor? Chciała mu wszystko opowiedzieć. Naprawdę chciała, ale nie mogła. Dopóki Trevor i Elizabeth trzymają się razem i są w Monmouth Abbey, nie może tam wrócić, a właściwie nawet nie chce. Z łatwością mogła sobie wyobrazić reakcję Phillipa, gdyby ze szczegółami opowiedziała mu tę okropną historię. Zabrałby ją do domu i niewątpliwie zmusił do konfrontacji z Trevorem. Bóg raczy wiedzieć, co zrobiłby jej dziadek, jak by to zniósł. Nie, nie mogła do tego dopuścić. Miała swoje plany. Gdy tylko odzyska siły, opuści Yorkshire i uda się do ciotki Barresford. Nie miała zamiaru wracać do Monmouth Abbey tak długo, jak będą tam Trevor i Elizabeth. Czyli innymi słowy: nigdy. Pomyślała o dziadku, który nie miał od niej żadnych wieści, nie wiedział, czy jego wnuczka w ogóle żyje, nie rozumiał całej tej sytuacji. Poczula łzy cisnące się do jej oczu i potrzęsła głową. Płacz nic by tutaj nie pomógł, a tylko przysporzył pytań ze strony Phillipa. Z wysiłkiem wy dostała się z jego objęć.

- Mówiłam ci, że nazywam się Sabrina Eversleigh, a Trevor to ktoś, kim zupełnie nie powinienes zaprzętać sobie głowy.

- Być może, ale wiem też, że jest podły i że cię skrzywdził. Wolałbym, żebyś po prostu powiedziała mi prawdę, ale jeśli wciąż chcesz wszystko tłamsić w sobie... Cóż, mam jeszcze trochę czasu. Odrobina tajemniczości zawsze sprawia przyjemność. Tak, mam i czas, i wystarczająco dużo cierpliwości.

Opuścił ją na poduszkę. Poderwała się natychmiast i oparłszy na łokciach, zapytała:

- Moje pieniądze. Co z nimi zrobiłeś?

- Chodzi ci o te trzy funty i kilka szylingów, które znalazłem w twoim gorsecie?

- Doskonale wiesz, że o tym właśnie mówię. Gdzie one są?

Postanowił ją zawstydzić. Niezbyt ładnie z jego strony, ale na chwilę opuściło go całe miłosierdzie, jakie jej dotychczas okazał. Wstał z łóżka.

- Oczywiście nie ma tu w pobliżu żadnego kasyna, gdzie mógłbym roztrwonić twoją fortunę. Twoje trzy funty są bezpieczne, zapewniam cię. Skoro jednak się obudziłaś, będę nalegał, żebyś zjadła trochę zupy, którą dla ciebie ugotowałem. Nie zamierzasz chyba wybrać się do domu, zabiedzona jak sierota z przytułku?

Poczula, jak znienawidzone, zupełnie niepotrzebne łzy palą ją w oczy. Niczym z pamięci wyrecytowała:

- Mój dom znajduje się w Londynie i to tam muszę jechać, kiedy wydobrzeję.

- Domyślam się, że zaraz mi powiesz, iż w gruncie rzeczy wyszłaś na przyjemną zimową przechadzkę i zabłądziłaś w lesie Eppingham.

Wzruszyła ramionami. Doprowadziło go to do szału.

- Odwiedzałam znajomych mojej rodziny. Mieszkam z ciotką w Londynie. Proszę, Phillipie, musisz pomóc mi do niej wrócić.

- A kim są ci znajomi, o których mówisz? Spojrzała na niego, uparcie zadzierając podbródek.

- Jak się nazywa twoja ciotka? Broda powędrowała jeszcze wyżej, ale widział, że nie przychodzi jej to bez wysiłku. Uparcie wpatrywała się w punkt tuż nad jego lewym ramieniem.

- Jest żoną londyńskiego kupca i tam właśnie mieszka. Jej nazwisko nic ci nie powie.

- Ach, już rozumiem. Jesteś sierotą. Zaskoczyły ją te słowa i Phillip to zauważył.

Właściwie nigdy nie myślała o sobie jak o sierocie, mimo że istotnie żadne z rodziców nie żyło. Pamiętała twarz matki, po tym jak poinformowano ją, że ojciec zginął w czasie oblężenia Ciudad Rodrigo. Matka zmarła niedługo potem. Tak, była sierotą. Skinęła głową i znów zamilkła.

- Boże, jaka ty jesteś uparta. Jak możesz oczekiwać, że zabiorę cię do ciotki, skoro nawet mi nie powiedziałaś, kim ona jest?

- Powiedziałaś ci już, że byłam w drodze do Londynu, miałam wsiąść do dyliżansu, który przejeżdża przez Borhamwood. Tam się wybierałam, kiedy mój koń okulał. Nie zdawałam sobie sprawy, że może się rozpadać, to znaczy, wiedziałam o tym, ale myślałam, że śnieg nadejdzie trochę później.

Wicehrabia wstał i rzucił jej pełne niechęci spojrzenie.

- Dostyc tego, Sabrino. Jeśli nadal będziesz mnie karmić tymi niewiarygodnymi opowieściami, a już wydobrzejesz, zacznę mnie korcić, żeby podnieść na ciebie rękę.

- Męska groźba - powiedziała, patrząc na niego z pogardą. - Ani chwili nie wahacie się grozić słabszym.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Oszczędź mi tych napuszonych uwag. Doskonale wiesz, że to nieprawda. Oczywiście wyjątkiem jest ten twój Trevor, który może liczyć na śmierć z mojej ręki, gdy tylko dowiem się, kim jest. Nie zawaham się ani chwili. Proszę się uspokoić, milady. Przyniosę pani zupę.

- Nie waz się nazywać mnie w ten sposób! Zdecydowana reakcja dała mu odpowiedź, wyjaśniła prawdę. Dobrze wiedziała, że się zdradziła. Twarz Sabriny zastygła. Phillip zaczął spokojnie:

- Nawet jeśli nie nosisz pierścienia rodowego, to zupełnie nie ma znaczenia. Maniery dam z wyższych sfer nie są mi bynajmniej obce. A mimo przyływów impertynencji właśnie damą jesteś.

Wciąż leżąc, potrząsnęła głową opartą na poduszce, po czym opanował ją spazmatyczny kaszel. Phillip pochylił się nad nią i przycisnął do siebie, masując po plecach, dopóki chrypiący kaszel nie minął.

- Czuję się paskudnie. Czuję jej ciepły oddech na ramieniu.

- Wiem.

Delikatnie położył ją z powrotem na łóżku i przykrył.

- Dobrze, na razie koniec z pytaniami.

Phillip zatrzymał się w drzwiach, by spojrzeć na Sabrinę. Leżała zeszywniała jak młode drzewko, ręce z zaciśniętymi pięściami spoczywały wzdłuż ciała. Co, u diabła, mogło się jej przydarzyć? Co jeszcze mogło przydarzyć się jemu, skoro Sabrina nie chce powiedzieć mu prawdy? A jeśli mówi prawdę?

ROZDZIAŁ 13

Przyszedłeś o niewłaściwej porze, Richardzie. Lepiej byłoby, gdybyś pojawił się tydzień temu.

Markiz chodził po pokoju w tę i z powrotem, dla hrabiego jego energiczny krok był nieco męczący. Markiz odwrócił się nagle na pięcie.

- Od Elizabeth niczego nie mogłem się dowiedzieć. Może pan mi powie, dokąd udała się Sabrina, bym mógł po nią pojechać?

- Przestań patrzeć na mnie z góry. Usiądź, mój chłopcze. We własnym domu mam zbyt wielu idiotów, by jeszcze i ciebie dodawać do tej listy.

Markiz zapanował nad rosnącym zniecierpliwieniem i niepokojem, i usiadł w skórzanym fotelu stojącym naprzeciw hrabiego. Przyjrzał się uważnie jego drobnej sylwetce i po raz pierwszy coś go tknęło. Hrabia postarzał się od czasu, gdy go ostatnio widział; miał zapadnięte oczy i opuszczone ramiona. Coś się stało, coś strasznego.

- Dobrze, już siedzę. Proszę mi powiedzieć, co się stało z Sabriną.

- Zniknęła, zostawiając mi niewiele mówiący liścik. Moi ludzie przeczesują okolicę w promieniu dwudziestu kilometrów, ale jak dotąd nie natrafiono na żaden ślad.

Markiz w zniecierpliwieniu machnął ręką.

- Tak, to wiem, Elizabeth wspomniała o liście, który Sabrina do pana napisała. Mówi w nim, że udaje się do ciotki Barresford do Londynu.

Głos hrabiego był monotony, niemal pozbawiony emocji:

- Tak, ten cholerny list. Nikt, kto choćby z wyglądu przypominałby Sabrinę, nie wsiadł do dylżansu w Borhamwood. Wszyscy we wsi ją znają, nikt jej nie widział.

- Na pewno więc zatrzymała się u jednego z przyjaciół, gdzieś w okolicy.

- Przykro mi, Richardzie, ale nie. Markiz zerwał się na równe nogi, znów zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem, tuż pod nosem hrabiego.

- Oczywiście, że Sabrina jest gdzieś w okolicy. Ludzie, z którymi przebywa, ochraniają ją. Pytanie tylko przed czym. No cóż, z łatwością mogę sobie wyobrazić Elizabeth i Trevora zadających jej więcej bólu i zgryzoty, niż mogła znieść. Odeszła, bo po prostu nie mogła już dłużej tu pozostać.

- Gdyby tak było, przyszlaby z tym do mnie. Powiedziałyby mi. Wiedziałyby, że poradziłbym sobie z Elizabeth i Trevorem. Nie, to na pewno nie tak.

- Nich to diabli! Przecież to niedorzeczne. - Markiz pochylił się nad hrabią i położył dłonie na jego ramionach. - A dlaczego? Dlaczego uciekła?

- Co ci powiedziała Elizabeth?

- Elizabeth? - Markiz wzruszył ramionami, a potem wyprostował się i skrzyżował ręce na piersi. - Jakies bzdury, że Sabrina uciekła, bo ja miałem przyjść się z nią zobaczyć.

Na twarzy starego hrabiego pojawiło się coś na kształt uśmiechu, który szybko zniknął.

- Wygląda na to, że Elizabeth zmyśliła wszystkie te historie. Chciałbym w to wierzyć, mój chłopcze, ale musisz znać prawdę: z tego co pamiętam, Sabrina zapomniała, że masz przyjść. Przez

ostatnie trzy miesiące zdecydowanie nie zachowywał się jak zalotnik, który twierdzi, że martwi się o moją wnuczkę.

Richard odsunął się, oczy mu pociemniały.

- Jak pan sobie zapewne przypomina, zgodziłem się zostawić Sabrinę w spokoju do jej osiemnastych urodzin. Dwa tygodnie temu skończyła osiemnaście lat. Wygląda na to, że nieszczególnie popierał pan moje starania.

Ku niewysłowionemu zaskoczeniu markiza po policzku hrabiego popłynęła łza. Pięścią uderzył w krzesło.

- Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?! Nie ma jej, odeszła. Najprawdopodobniej już nie żyje. Jej koń wrócił okulały, a o Sabrinie nic nie wiemy. Przez niemal trzy dni szalała śnieżycą; nikt by tego nie przeżył. Nikt.

Markiz starał się trzymać emocje na wodzy i panować nad ogarniającym go strachem. Udało mu się to.

- Sabrina jest młoda, ale niegłupia. Schroniła się gdzieś bezpiecznie. Musi tak być. Jasna cholera! Sir, wie pan, dlaczego w ogóle uciekła?

Hrabia zmusił się, by pomyśleć o swoim bratanku i dziedzicu. Żaden z Trevora będzie hrabia, ale przynajmniej pochodzi z rodziny i Eversleighowie nie wymrą. Wiedział, że jeśli opowie Clarendonowi historię, którą uraczyli ją Elizabeth i Trevor, Richard zabije Trevora bez chwili zastanowienia.

- Nie podnoś na mnie głosu, Richardzie. Przykro mi, ale po prostu nie wiem.

Widząc pełne niedowierzania spojrzenie markiza, hrabia dodał głosem pełnym bólu:

- Pamiętaj, chłopcze, że ja cierpię dużo bardziej niż ty. Straciłem wnuczkę.

- Nie przyjmuję tego do wiadomości - odezwał się markiz głosem zimniejszym niż soople zwisające z dachu. - Sabrina żyje.

Hrabia podniósł kościstą dłoń w geście wyrażającym niemoc. Markiz szybkim krokiem podszedł do drzwi; trzymał już rękę na klamce, gdy nagle się odwrócił.

- Gdzie jest pański bratanek? Chciałbym z nim porozmawiać.

Hrabiemu nie udało się ukryć grymasu obrzydzenia, gdy mówił:

- Trevor jest w swojej sypialni, próbuje się ogrzać. Zmarzył, gdy prowadził grupę ludzi szukających Sabriny i się przeziębził.

Markiz nawet nie próbował ukryć pogardy.

- Jest pan pewien, że ten idiota to krew z pańskiej krwi?

Pytaniem wywołał uśmiech na twarzy hrabiego.

- Jestem tego pewien. I przypuszczam, że wyjaśnienie całej tej sytuacji jest dość logiczne. Trevor całe życie spędził w Italii, nie jest więc przyzwyczajony do tutejszych srogich zim.

Markiz wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

- Pośle pan po niego, sir, czy mam go odwiedzić na łożu boleści?

Hrabia szybko spostrzegł, że nie ma najmniejszych szans, by odwieść markiza od tego pomysłu i wolno pokiwał głową.

- Richardzie, przynieś nam po kieliszku sherry. Sprawdzę, czy Trevor wydobrzał na tyle, by się z tobą zobaczyć - odparł hrabia i pociągnął za złote frędzle przy dzwonku wzywającym służbę.

Trevor zdjął pasek i rozsunał poły szlafroka. Pokojówka Mary leżała na plecach z szeroko rozłożonymi nogami; spódnicę i halkę miała zadarte aż do talii, nie zdjęła jednak solidnych

roboczych butów ani grubych wełnianych pończoch, przytrzymywanych ponad kolanami przez czarne podwiązki.

- Proszę, sir, czy wreszcie pan do mnie przyjdzie?

Wyciągnęła rękę, by przyciągnąć go do siebie, a Trevor powoli przeciągnął palcami po wewnętrznej stronie jej ud. Jęknęła, czując pieśczoć i wysunęła biodra w jego stronę.

- Jesteś zwykłą kurwą, dziewczko - powiedział niskim głosem. Poczł, że Mary drzy i szybko usiadł na niej okrakiem. Próbowała go objąć i pocałować, ale odepchnął ją. Jeszcze wyżej podciągnął fałdy sukni, aż zakryły jej twarz i wsunął palce w jej wnętrze. Załkała. Wkładał w nią palce coraz głębiej, a Mary jęczała. Z bólu czy rozkoszy? Nie dbał o to.

- O tak, Mary. Uwielbiasz ból, prawda? Ból i rozkosz razem poruszają cię, prawda?

Trevor podniósł rękę do góry i przedarłszy się przez fałdy materii, dotknął jej piersi. Uciskał ją, jednocześnie mówiąc niskim głosem, jak mu z nią dobrze, jaką jest dziwką i co jeszcze jej robi. Uśmiechnął się, gdy poczuł, że leżąca pod nim Mary zamiera. Pochylił się i ugryzł ją, jednocześnie wchodząc w nią tak głęboko, że musiało ją to zabołec. Płakała z bólu, ale jednocześnie łkała z rozkoszy. Uwielbiała to, jednocześnie nienawidząc się za przyjemność, jaką odczuwała. Mimo że nie była osobą, która często wsłuchiwała się w siebie, doskonale wiedziała, że Trevor poznał w niej tę słabość, tę grzeszność, tę perwersję; o tak, rozpoznał ją i przychodził po nią, wołając na nią jak pan na psa. A ona do niego przychodziła.

Trevor zamarł i poczuł w lędźwiach ulgę. Krzyknął z rozkoszy. Znów nazwał ją dziwką, a ona z przyjemnością słuchała słów, które były przecież prawdziwe. Trevor leżał teraz obok niej, z policzkiem przyciśniętym do narzuty. Nagle zerwał się na równe nogi; stał obok łóżka, w rozpiętym szlafroku i dłońmi zaciśniętymi w pięści. Przeklinał. Cholerna Sabrina! Mała dziwka, taka sama jak reszta, mimo że temu zaprzeczała. A teraz nie żyje i już nigdy nie będzie jej miał! Patrzył na Mary, która leżała teraz na boku, a fałdy halek otaczały ją jak krem wisienkę na urodzinowym torcie. Była łatwą zdobyczą; przychodziła do niego, nie bacząc na swoją panią, lady Elizabeth. Łatwo ją było osiąść, to nie to co z Sabriną. Trevor chciał ją krzywdzić, bo tu była, a Sabrina nie, choć doskonale wiedział, że robi coś bardzo głupiego. Gdy ten staruch wreszcie umrze, będzie mógł robić, co mu się spodoba, ale nim nadejdzie ten błogosławiony dzień, musi nad sobą panować.

Usłyszał pukanie do drzwi; Mary popatrzyła na niego skonsternowana.

- Przykryj się czymś szybko.

Mary wyskoczyła z łóżka, gorączkowo starając się doprowadzić do ładu ubranie; Trevor poprawiał narzutę na łóżku, a potem zapiął szlafrok i wepchnął Mary za stojący w rogu pokoju parawan, za którym zazwyczaj się przebierał.

- Kto tam? - zapytał płaczkliwym głosem człowieka obłożnie chorego.

- Jespersen, sir. Jego lordowska mość chce z panem porozmawiać w bibliotece, sir.

- Chwileczkę, muszę się ubrać. Czy to na pewno coś ważnego? Czego chce jego lordowska mość?

- Jest ktoś, kto chce się z panem spotkać, sir.

- Dobrze. Przyślij tu mojego służącego. - Odwrócił się do Mary. - Skoro już tu jesteś, to może się do czegoś przydasz, nim zjawi się tu mój służący. - Wskazał na nocnik. - Zawołam cię, gdy będziesz mi potrzebna.

W tej chwili w duchu poprzysięgła sobie, że już nigdy się do niego nie zbliży, ale chwilę później pomyślała, że i tak zapewne to zrobi. Wzięła nocnik i wyszła z sypialni. Wiedziała, że Trevor

zapomniał o niej, gdy tylko zniknęła mu z pola widzenia. Wiedziała również, że gdy tylko stary hrabia umrze, Monmouth Abbey stanie się zupełnie innym miejscem. Pomyślała o lady Elizabeth. Nie przepadała za tą oschłą młodą kobietą, ale wiedziała, że gdy tylko Trevor zostanie tu jedynym panem i władcą, zmieni jej życie w koszmar.

Wychodząc, zerknęła za siebie przez ramię. Trevor zdjął już szlafrok i nagi stał przy kominku. Jego ciało nie było tak piękne, jak twarz o jasnej cerze i delikatnych, niemal kobiecych rysach, choć w nim samym nie było nic kobiecego ani delikatnego. Wciąż czuła ból, który jej sprawił, ale gdy o nim myślała, przywoływało to tylko wspomnienia nieznośnej wręcz przyjemności, jaką jej dał. Idąc przez długi korytarz, minęła się ze służącym. Wiedział, że była z jego panem. Przeszywał ją wzrokiem.

Dwadzieścia pięć minut później Trevor wszedł do biblioteki.

Czas najwyższy, pomyślał hrabia, patrząc na niego z dezaprobatą, której nie starał się ukryć.

- O, jesteś już, Trevorze. To markiz Arysdale. Richardzie, mój bratanek, Trevor Eversleigh.

Trevor wyciągnął do Richarda dłoń ciężką od sygnetów i skrzywił się, gdy ten ciemnowłosy, potężnie zbudowany mężczyzna zmiażdżył ją w uścisku.

- Jestem zaszczycony - odezwał się miękim głosem. Przekręcił na palcu pierścień ze szmaragdem, by nie uraził miejsca zranionego przez żelazny uścisk dłoni Richarda.

Markiz zauważył ten gest; omiół wzrokiem Trevora, jego dewizkę od zegarka, wysoko postawiony kołnierzyk oraz lawendową kamizelkę i odruchowo się odsunął. Boże, pomyślał zniesmaczony, ten człowiek to jakiś próżny, wyfiokowany bufon. Błagał, by nie okazał się jeszcze pederastą. To nie przysłużyłoby się rodzinie Eversleigh.

- Trevorze, markiz jest tutaj z powodu Sabriny. Jak i my wszyscy, jest bardzo zaniepokojony jej zniknięciem.

Z kieszonki kamizelki Trevor wyjął koronkową chusteczkę i przetarł czoło.

- To prawdziwa tragedia. Moja biedna Elizabeth szaleje z rozpacz. Nic nie wiemy o Sabrinie; nie mamy żadnych wieści, które mogłyby pomóc ją znaleźć.

Markiz chłodno się zastanawiał, czy Elizabeth wciąż jeszcze jest dziewicą. Miał nadzieję, że nie. Mimo że w obecności tego próżnego idioty było to trudne, odezwał się miłym głosem:

- Zamierzam poślubić Sabrinę, sir, i szukam logicznego wyjaśnienia powodu jej zniknięcia.

Trevor poczuł przyspieszone tętno, nie był jednak głupi.

- Obawiam się - zaczął, tym razem głosem wysokim i lekko sepleniąc - że nie mogę panu pomóc.

Oczywiście zniknięcie mojej szwagierki zupełnie nas zaskoczyło. Nikt nie wie, dlaczego uciekła.

Markiz odwrócił się, starając się ukryć przed Trevorem pogardę, jaką do niego żywił. Szybko włożył rękawiczki.

- Nie będę więcej pana niepokoił - zwrócił się do hrabiego.

- Co zamierzasz, Richardzie?

- Przetrzęsnać choćby całe hrabstwo, żeby znaleźć Sabrinę - opowiedział hrabiemu. - Do

widzenia, sir - zwrócił się do Trevora i szybko wyszedł z biblioteki.

Trevor odprowadził go wzrokiem.

- Nic mi nie było wiadomo, że Sabrina ma wyjść za niego za mąż.

- Jeszcze nie przyjęła oświadczeń.

- Rozumiem. - Trevor powoli i metodycznie kręcił dewizką przymocowaną do kamizelki. - To bardzo brutalny człowiek. Jestem przekonany, że jest zbyt potężny i zbyt wymagający, by poślubić

takie dziecko, jak Sabrina.

- Jest mężczyzną, Trevorze. Wróć do siebie i zajmij się swoim zdrowiem. Chciałbym porozmyślać na osobności.

Na twarzy Trevora pojawił się drwiący grymas.

- Myślę, że już wystarczająco zajęto się moim zdrowiem, sir. Muszę teraz rozmawiać z moją biedną Elizabeth.

Głos hrabiego zatrzymał go, gdy Trevor był już przy drzwiach:

- Sugerowałbym, drogi bratanku, by wymyślony przez ciebie tak zwany powód, dla którego Sabrina mogłaby chcieć uciec z domu, nie dotarł do uszu markiza. Nie jest nadmiernie wyrozumiały i z pewnością udusiłby cię gołymi rękoma. Jeśli już kiedykolwiek w życiu byłeś ostrożny, to teraz jest czas, byś się w tej ostrożności ćwiczył.

- Jestem ostrożny od chwili, gdy przyjechałem do Anglii. - Trevor lekko wzruszył ramionami. - Powiedziałaś, że zabiłby mnie gołymi rękoma? Ma bardzo duże dłonie, prawda?

Trevor wyszedł z biblioteki, niemal wstrzymując oddech.

ROZDZIAŁ 14

Nie, Phillipie, powiedz mi, co się stało potem. Przestań się ze mną drażnić, proszę, powiedz.

- No, dobrze. Cały czas z kamienną twarzą, nawet nie mrugnawszy okiem, Nell kazała mu zdjąć spodnie. I tak, nagiego jak go Pan Bóg stworzył, poprowadziła przed sobą z powrotem do obozu, gdzie powiedziała pułkownikowi: „Ten łobuz próbował mnie zgwałcić. Spodziewam się, że każe go pan stracić”. Po czym wręczyła pułkownikowi pistolet, a z gorsetu wyjęła dokumenty, które gość ukradł. „A jeśli napaść na bezbronną kobietę nie jest tu wystarczającym obciążeniem, sądzę, że te dokumenty, przedstawiające dokładną strategię Anglii, załatwią sprawę”. Pułkownik spoglądał to na Nell, to na gołego, aż wypadł mu monokl.

- No nie, to nie mogło się wydarzyć naprawdę, powiedz, że tak nie było.

- Ależ właśnie tak było. Zaraz po tym wydarzeniu pułkownik nadał Nell stopień kaprała. Do dzisiaj staję w jednym rzędzie z mężczyznami i wszyscy zwracają się do niej „kapralu Nell”.

Nagle jej śmiech ustał, a twarz straciła wyraz. Miejsce radości zajął strach.

- Próbował ją zgwałcić, ale zdołała się obronić. Zdołała, Phillipie. Ja nie miałam wystarczająco dużo siły. Próbowałam, ale jakoś nie mogłam.

Chciał ją wziąć w ramiona, chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że nigdy nie pozwoli nikomu jej skrzywdzić. Wiedział jednak, że nie powinien tego robić, w tej chwili nie byłaby to właściwa reakcja. Nie podważał swojego spostrzeżenia, przyjął, że to nie byłoby właściwe i tego się trzymał. Spojrzał na swoje paznokcie.

- Wiesz, Sabrino, wcale nie musisz być skazana na łaskę mężczyzn.

Podniosła na niego wzrok.

- Co masz na myśli?

- Mogę cię nauczyć walczyć. Jeśli kiedykolwiek w przyszłości ktoś będzie próbował cię skrzywdzić, będziesz wiedziała, jak się bronić. Będziesz wiedziała, jak zrobić krzywdę mężczyźnie.

- Czy to aby na pewno możliwe? Nie mówisz tego wyłącznie po to, żebym przestała ronić łzy nad tym, co się stało?

- Skądże znowu. Gdy tylko twój stan się poprawi, udzielę ci pierwszej lekcji.

Jej twarz promieniała.

- Mogłabym zabić, gdyby kiedykolwiek znowu spróbował mnie zgwałcić. Mogłabym zabić...

- Tak, ale pomyśl tylko, że nie zabiłabyś, ale mogłabyś sprawić, by cierpiał katusze. Kiedy tylko spojrzałby na ciebie, przypominałby sobie ten okropny ból, który mu zadałaś. Czy to nie byłaby kara o niebo lepsza niż zwyczajna śmierć?

- Tak - powiedziała powoli, głosem silniejszym niż jakikolwiek głos, który słyszał w życiu. - Tak, chcę to zrobić. - Potem dodała, kierując słowa do siebie: - Wrócę do domu.

- Słyszałem od któregoś z kolegów z wojska, że kapral Nell odeszła z armii w zeszłym roku. Podobno jest teraz burdelmamą w jakimś bardzo ekskluzywnym lokalu w Brukseli.

- Jak mogła to zrobić? Wiedziała, jacy są mężczyźni, co wyprawiają z kobietami, jeśli tylko mają

możliwość.

- O ile się orientuję, to zarówno ona, jak i inne dziewczyny całkiem nieźle żyją z tego, co robią. Nie ma potrzeby, żebyś im współczuła, Sabrino. Wyobrażasz sobie, żeby jakikolwiek mężczyzna próbował kiedyś wykorzystać dziewczynę pracującą dla kaprala Nell?

- No, cóż, chyba nie, ale i tak mi się to nie podoba. Nie sądzę, żeby mnie kiedykolwiek było stać na coś takiego.

- Nie - odpowiedział i to było wszystko, co miał na ten temat do powiedzenia.

Pochylił się do przodu i lekko poklepał ją po policzku. Nie cofnęła się, tylko odrzekła:

- Masz na koncie tyle przygód, byłeś w tylu ekscytujących miejscach. Oczywiście, mogłeś zginąć, lecz tak się nie stało i teraz masz cudowne wspomnienia na resztę życia.

- Bynajmniej, wcale nie są takie cudowne, Sabrino. Poległo zbyt wielu odważnych i wiernych mężczyzn, takich jak twój ojciec. Nadal giną. Dlatego też każdy rząd na świecie powinien zabronić wojen. Potrafisz sobie wyobrazić świat bez walk?

Pomyślała o wszystkich przeczytanych książkach, sławiących wybitnych dowódców wojsk. Powoli, w mniej wesołym tonie niż dotychczas, powiedziała:

- Gdyby nie ci wielcy dowódcy, gdyby nie wojny, nie napisano by tylu książek. Nie byłoby więcej bohaterów.

- Ależ byliby! Żeby być bohaterem, nie trzeba zabijać.

Przypomniawszy sobie Szkocję. Tamte przeżycia sprawiły, że zmienił się cały jego pogląd na życie i śmierć.

- Być może, ale tak czy inaczej, jesteś tu, jesteś naprawdę, miałeś przygody, które były cudowne. Ja, poza jazdą konną, uczęszczaniem na nudne przyjęcia i nauką wydawania poleceń, nie nauczyłam...

Głos uwiązł jej w gardle. Spojrzała na stopy, spod kołdry wystawały poruszające się palce.

- Widzę, że świetnie sobie radzisz, Sabrino. Znakomita amazonka, taka jak ty, w Londynie, w dodatku na Fleet Street.

Nie miała zielonego pojęcia, o co mogło chodzić Phillipowi, kiedy mówił o Fleet Street.

- Jeździłam w Hyde Parku i nikt nie miał nic przeciwko temu.

- Wybornie jest się tam ścigać, prawda? Szczególnie wzdłuż Rotten Row*, tylu ludzi pędzi tam na złamanie karku niczym wiatr.

- Tak, uwielbiam to. W ten właśnie sposób stałam się tak doskonałą amazonką.

Pokręcił głową, nie myślał jednak o niej w tym momencie, zastanawiał się raczej nad sobą. Gdyby jakakolwiek kobieta śmiała jeździć w Hyde Parku, z miejsca spotkałby ją ostracyzm. Uśmiechnął się i rzekł:

- A czy wiesz, że Wellington znany jest ze swoich strategicznych odwrotów?

- Nie, ale co to w ogóle ma do rzeczy?

- W zasadzie nic. - Phillip wstał. - Po prostu nadszedł właściwy moment, żebym się wycofał, co niniejszym czynię, z zamiarem powrotu i odniesienia ostatecznego zwycięstwa.

- Wygląda na to, że dosłownie palisz się do opuszczenia mojego pokoju. Czy ja cię przypadkiem nie rozgromiłam?

Zatrzymał się przy drzwiach.

- Idę przynieść wannę. Myślę, że masz już dosyć sił, aby wziąć należytą kąpiel. Co ty na to?

Wzięła w dłoń warkocz, opadający na ramię, jakby przyćmiony i pozbawiony życia.

- Tak, włosy też umyjemy. To jak, pasuje? Była gotowa.

- Tak, Phillipie. Bardzo, ale to bardzo chętnie. Zaczynam czuć na skórze nieprzyjemne ciarki.

- Teraz to przesadziłaś. Dbałem o ciebie i sądzę, że szło mi całkiem nieźle.

Zbladła. Ściągnęła wargi i się odwróciła. Zaklął pod nosem, ale usłyszała to i spojrzała na niego.

- Wybacz, ale gdybym się o ciebie nie troszczył, to obawiam się, że dawno powiększyłabyś grono aniołków.

- Przepraszam cię, naprawdę nie chciałam. Ale to takie trudne. Jesteś dla mnie taki dobry, a przecież właściwie mnie nie znasz.

Znałby ją lepiej, gdyby chociaż mu powiedziała, kim jest. Skinął głową i wyszedł z sypialni.

Wrócił, niosąc dwa wielkie wiadra wypełnione gorącą wodą. Sabrina tymczasem siedziała na łóżku i wpatrywała się w niego tak, jakby przyniósł jej prezenty gwiazdkowe. Roześmiał się.

- Nie, nie wyskakuj jeszcze z łóżka. Muszę najpierw przynieść wannę.

Trzy minuty później znad miedzianej wanny unosiła się para.

- Masz mydło?

- Byłoby mi miło, gdybyś nie podawała w wątpliwość moich zdolności wyszukiwania różnych rzeczy.

Podniósł do nosa kostkę mydła i powąchał.

- Jaśminowe. Nie, zaczekaj jeszcze chwilę w łóżku. Potrzebujemy więcej wody. Masz przecież takie gęste włosy.

Kiedy wanna była pełna, odwrócił się i milczał przez chwilę, patrząc jak rozplata warkocz.

- Do kogo należy ten domek?

- Oczywiście do Char... - Zrobiła minę, jakby chciała sobie odgryźć język. Nie patrząc na Phillipa, zaczęła rozplątywać włosy.

- Ależ nie mam pojęcia. Mówiłam ci już, że mieszkam w Londynie. Yorkshire odwiedzam tylko od czasu do czasu.

Uderzył się dłonią w czoło.

- No, pewnie! Jak mogłem być tak głupi i zapomnieć.

Uśmiechnął się szeroko, ignorując przy tym przenikliwe spojrzenie jej niezwykłych oczu, po czym odsunawszy kołdrę, zaprosił ją:

- Sabrino, kąpiel gotowa. Owinęła się szczelnie koszulą i usiadłszy na brzegu łóżka, opuściła nogi. Wyciągnął do niej ręce, ale udała, że tego nie widzi. Stała i momentalnie się osunęła, wprost na niego.

- Boże, nie mogę uwierzyć, że jestem taka słaba. To były niezwykle silne nogi, jeszcze tydzień temu biegały, podskakiwały, nawet tańczyły w salonie. Dlaczego nie działają tak, jak powinny? To straszne!

Asekurował ją tylko. Pocałował ją w czubek głowy. Nie zauważyła.

- Proszę. Gdybyś pomógł mi tylko podejść do wanny, dalej sobie poradzę. Będziesz mógł wyjść.

- No, zobaczymy, na ile mogę spełnić twoją prośbę.

Wziął ją na ramiona, zaniósł w stronę wanny i bardzo powoli postawił tuż obok. Podniosła wzrok, spojrzała na niego i pewnym tonem rzekła:

- Dziękuję, poradzę sobie. Możesz mnie już zostawić, Phillipie.

- Nie po to tak się starałem, by przywrócić ci zdrowie, żebyś teraz utopiła się w wannie. Bądź cicho i nie ruszaj się.

Jedną ręką trzymał Sabrinę, a drugą zaczął rozwiązywać szarfę na wysokości talii. Próbowwała

utrzymać równowagę i jednocześnie dać mu po łapach.

- Proszę, nie. Poradzę sobie, naprawdę, dam sobie radę.

Wiedział, że to ją krępuje. Co innego troszczyć się o nią, kiedy była nieprzytomna, a zupełnie co innego patrzeć na Sabrinę teraz, kiedy odzyskała świadomość i wiedziała, że na nią patrzy. Westchnął głęboko. Oparł ją pewnie o brzeg wanny.

- Dobrze więc, pójdę zobaczyć, jak tam nasza kolacja. Wezwij mnie, gdybyś czegoś potrzebowała.

Chwyciła się krawędzi wanny, ale nie uczyniła najmniejszego ruchu, dopóki nie zniknął za drzwiami. Słyszała tupot jego ciężkich butów, kiedy schodził na dół. Rozwiązała szarfę. Zrzuciła koszulę. Spojrzała teraz na wannę. Jej brzeg zdawał się być wyżej, niż sądziła przed chwilą. Próbowiła ze wszystkich sił. Za trzecim razem prawie udało się jej wejść do wanny. Zagryzła zęby i zebrała wszystkie siły, aby przedostać się przez krawędź. Miała wrażenie, że krawędź jest wyższa niż góra. Nagle palce poślizgnęły się na brzegu wanny i zdążyła tylko krzyknąć, padając do tyłu, na podłogę. Przez chwilę była kompletnie zaskoczona, a zaraz potem zrobiło się jej bardzo zimno. Pod plecami czuła zimną i twardą drewnianą podłogę. Trzeba wstać, musi to zrobić. Może. Nie było przecież aż tak beznadziejnie. Dobrze, poleży tu cicho, ale najwyżej chwilkę, no może dwie.

Słyszała, że Phillip nadchodzi, ale nie miała nawet sił, żeby naciągnąć na siebie koszulę. Silne ramiona chwyciły ją w talii i podniosły na nogi. Wolałaby być nieprzytomna. Modliła się nawet o to, mocno zaciskając powieki. Na niewiele się to jednak zdało.

- Już w porządku, Sabrino - powiedział i włożył ją do wanny. Gorąca woda zawirowała dookoła podbródka. Nie patrzyła na niego, nie mogła. Wiedziała, że to głupie, ale jakoś nie potrafiła nic na to poradzić. Jeśli dobrze pamięta, to Phillip jest pierwszą osobą, która widzi ją, jak ją Pan Bóg stworzył, przynajmniej odkąd skończyła dziesięć lat i nie potrzebowała już niani.

Podwijając rękawy, rzekł:

- Umyję ci włosy, z resztą sama sobie poradzisz, prawda?

Musiła się zastanowić.

- Spróbuję, ale nie podoba mi się to.

- Jeśli chcesz wiedzieć, dobieranie się do młodych dziewczyn nie należy do moich ulubionych form spędzania wolnego czasu. Uspokój się i leż nieruchomo. Jeśli nie będziesz miała sił, żeby się umyć, ja się tym zajmę.

Nie czekał na moment, kiedy najprawdopodobniej zacznie go przeklinać, co zresztą i tak niespecjalnie jej wychodziło. Najwyraźniej wychowywana pod kloszem, nie miała zbyt wielu przykładów w tym zakresie. Umył jej włosy, narzekając bez ustanku:

- ...za dużo masz tych włosów. Spójrz na wszystkich łysych mężczyzn. Masz wystarczająco dużo włosów, żeby przykryć każdą łysą głowę we wsi. Prawie skończyłem. Tak. Teraz umyję resztę, a potem wszystko spłuczemy za jednym razem.

Nie próbowała z nim walczyć; chciała tylko zwinąć się w kłębek, ale bez rezultatu. Kiedy namydlił gąbkę i mył brzuch, krzyknęła. Nie zwrócił na to uwagi, kontynuując dokładne ablucje, nawet kiedy zaczęła się wić. Właściwie nawet sprawiało mu to przyjemność. Śmiech wydawał się lepszy od żądy. To była raczej lekcja gimnastyki niż uwodzenia.

- Zamknij oczy. Myjemy buzię. Już otworzyła usta i najwyraźniej chciała go przekląć, kiedy namydlona gąbka wylądowała na jej twarzy. Wtedy dał się słyszeć charkot i przekleństwa. Uśmiechnął się, widząc oburzenie w jej oczach, które jako jedyny fragment twarzy nie były pokryte

mydlinami.

- Wstrzymaj oddech i pod wodę. Wcisnął jej głowę do wody. Wynurzyła się, chwytając powietrze.

- Zrobiłeś to specjalnie. Chcesz, żebym dostała szalu, a wtedy nie będę czuła wstydu. Cóż, udaje ci się. Chcę tylko, żebyś wiedział, że mam świadomość tego, jak mną manipulujesz, i nie wiem...

Znowu wcisnął jej głowę pod wodę.

- Teraz trzeba się jeszcze zająć włosami.

Kiedy na włosach nie było już śladu mydlin, owinał ręcznik dookoła jej głowy. Przez chwilę myślał, jak oszczędzić jej dalszego zakłopotania, ale zorientował się, że jest wyczerpana. Gdyby wtedy się nie pospieszył, mogłaby wpaść do wanny i utonąć. Podniósł ją i postawił przy kominku. Przytrzymał ją, susząc jednocześnie ręcznikiem. Sabrina trzymała się go kurczowo, wiedziała bowiem, że nie ma innego wyjścia, a właściwie i tak było jej już wszystko jedno. Chciała po prostu opaść na ciepły dywan i spać tak aż do wiosny. Ale wtedy stało się coś dziwnego. Nagle chciała się zapaść w siebie, a zaraz w następnej chwili poczuła, jak bardzo jest świadoma jego obecności. Przez osiemnaście lat jeszcze nigdy nie czuła się w ten sposób. Była naga, a Phillip nie, poza tym nie robił nic, co byłoby dla niej przykre lub bolesne. Był silny. Wycierał ją ręcznikiem, jego dłonie były duże, a ich ruchy pewne. Odwrócił ją, chcąc wytrzeć z przodu. Dziwna rzecz, ale nie czuła zażenowania. Wpatrywała się w niego, w te jego piękne oczy. Niemniej to nie dreszcz zażenowania przeszył ją, kiedy ręcznik wędrował po brzuchu.

ROZDZIAŁ 15

Phillip poczuł, że Sabrina drży i próbuje odsunąć się od niego; zaklął pod nosem. Przestraszył ją.

- Wszystko będzie dobrze. Wytarłem cię już prawie całą. Zaraz skończę, tylko stój spokojnie.

- Próbuję - odparła, ale w tej samej chwili podniosła wzrok. Popatrzyła mu w oczy i już wiedziała, że jeśli Phillip zaraz jej nie puści, to zawstydzi go, rzucając mu się na szyję i całując do utraty tchu. O matko, przecież w ogóle nie powinna niczego takiego poczuć. To na pewno dlatego, że jest chora, dlatego że wciąż jeszcze jest słaba, dlatego że mu zaufała, przynajmniej w tej sprawie. W jakiej sprawie?

Phillip poczuł oblewającą go falę pożądania. Nie, nie zamierzał wykorzystać Sabriny. Stała przed nim, drżąc ze strachu, z zimna, z... Sam już nie wiedział, dlaczego Sabrina drży, ale pragnął ją posiąść. Wiedział, że skoro to czuje, to znaczy, że jest łajdakiem. Nawet na nią nie patrząc, zawinął ją w nocną koszulę i posadził w fotelu przed kominkiem.

- Czas, by twój unizony sługa zajął się innymi obowiązkami. Poznaj swoją nową pokojówkę.

Odwrócił się od niej, nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, i zaczął zdejmować z łóżka pościel i narzuty. Sabrina patrzyła na niego. Wyglądał ładnie mimo pogniecionej koszuli, którą miał rozpiętą prawie do pasa; widziała jego klatkę piersiową porośniętą ciemnymi włosami. Popatrzyła na ogień, tak było lepiej. Phillip nie był aż tak blisko, by nachodziły ją głupie myśli, by jej ciało czuło głupie rzeczy, a mimo wszystko nie potrafiła przestać myśleć o tym dziwnym uczuciu w dole brzucha, gdy jej dotykał. Wszystko to były jakieś głupie dziwactwa, których kobieta nie potrzebuje, a szczególnie kobieta taka jak ona. Przywołała w myślach obraz Trevora. Ogarnął ją wstręt i wiedziała, że to słuszne odczucie. Nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie, że cokolwiek może wywoływać taki wstręt, ale teraz już to знаła. Otrząsnęła się z myśli o Trevorze i nieco zakłopotana podniosła głowę, gdy Phillip podszedł, by rozczesać jej włosy.

Sabrina przespalała całe popołudnie, obudziła się tuż przed zachodem słońca. Leżała jeszcze cicho przez kilka minut, rozkoszując się delikatnym lawendowym zapachem czystej pościeli i wonią jaśminu, która po kąpieli roztaczała się w pokoju. Dotknęła elegancko upiętych włosów; były całkiem suche i miękkie; wreszcie pozbyła się tego przetłuszczonego kołtuna, który miała na głowie jeszcze kilka godzin temu. Phillip ładnych kilka minut - czyli cały ten czas, gdy rozczesywał jej mokre loki - narzekał, że ma za gęste włosy. Leżąc, Sabrina początkowo tylko się uśmiechała, potem zaczęła śmiać się w głos, co doprowadziło do ataku kaszlu. Kaszlała tak bardzo, że musiała unieść się na łokciu i spróbować usiąść, by złapać oddech. Nie zdziwiła się, usłyszawszy kroki Phillipa na schodach.

- Wypij to, Sabrino. Dodałem gorącego miodu. Na wszelki wypadek jeszcze to dla ciebie podgrzałem. Złagodzi kaszel i ból gardła. Pij powoli; o, właśnie tak.

To była mocna, gorąca herbata. Dzięki temu, że Phillip dodał do niej miód, Sabrinie łatwiej było przeliykać. Potem znów opadła na poduszki, patrząc na niego tajemniczo.

- Myślę, że ta dziewczyna to wariatka. Phillip odstawił filiżankę na nocny stolik i usiadł na łóżku,

obok leżącej Sabriny. Odruchowo odsunął rudobrazowy pukiel, który opadł jej na czoło.

- Jaka dziewczyna? Ktoś, kogo znam?

- Dziewczyna, z którą byłeś kiedyś zaręczony, dziewczyna, o której mówiłeś, gdy wczoraj starałeś się namówić mnie na zwierzenia i wymknęło ci się jej imię, a ja je usłyszałam.

- Tak naprawdę to nie była wariatką, ale może teraz jest, kto wie? Można się tylko modlić, by tak nie było.

- Kim ona była?

- Kobieta bez honoru. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Wiem na pewno, że gdybym coś komuś obiecała, starałabym się za wszelką cenę dotrzymać słowa, chyba że ktoś torturowałby mnie tak, że nie mogłabym tego znieść.

- Tak. Ja także właśnie tak rozumiem honor.

- Ale już nie usychasz z tęsknoty, prawda, Phillipie?

- Usycham z tęsknoty? Dziwne sformułowanie. Nie, w ogóle rzadko o niej myślę. Po prostu mieszkam w Londynie, więc czasem ją widuję i pamiętam o niej. Może to i lepiej, że mam jakieś wspomnienia, bo wspomnienia pozwalają patrzeć na świat ze zdrowej perspektywy; nie pozwalają ci działać, dopóki wszystkiego sobie nie przemyślisz. A dlaczego uważasz, że to wariatka?

- Ależ to oczywiste. Z tobą u boku, Phillipie, mogłaby z łatwością wiele zaoszczędzić. Nie potrzebowałaby więcej niż jednego służącego.

- Jestem dobrym służącym, prawda? W życiu robiłem już wiele dziwnych rzeczy, ale nigdy tak wiele w tak krótkim czasie. Szczerze powiedziawszy, ulżyło mi, gdy upiekłem chleb, który okazał się jadalny. Popełniłem tylko jeden poważny błąd.

- Ależ nie! Nawet płaski bochenek chleba, który wcale nie miał być płaski, może być dobry. No powiedz, co to za poważny błąd? Jestem pewna, że potrafię to z ciebie wyciągnąć.

- Nie ufasz mi. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, użyłem wszystkich argumentów, jakie tylko przysły mi do głowy, ale na nic to się nie zdało. Nadal mi nie ufasz. Opowiedziałem ci historyjki z mojego dwudziestosześcioletniego życia, ale to nic nie zmieniło. Wciąż mi nie ufasz. Nie usłyszałem od ciebie nic, co pozwoliłoby mi ci pomóc. Potrafisz kłamać. Jeszcze kilka lat i będziesz prawie tak dobra, jak ja. Ale kłamstwa to nie jest to, czego akurat teraz potrzebujemy.

Rzuciła tylko jedną uwagę o niejakej Elaine i dokąd ją to zaprowadziło? Usłyszała kazanie o zaufaniu. A niech szlag trafi zaufanie i niech szlag trafi Phillipa! Wygładziła zieloną narzutę, którą była przykryta, i zaczęła z uwagą przyglądać się drewnianym kolumnienkom u zwieńczenia łóżka.

Znów się przed nim zamknęła. Cholera! Poczul ogarniającą go złość i zaczął delektować się tym uczuciem.

- Musisz wiedzieć - odezwał się szorstko - że służący opiekujący się tym myśliwskim domkiem zjawia się lada dzień. Ociepliło się i śnieg zaczął topnieć. Jeśli mam ci pomóc bezpiecznie wrócić do rodziny, gdziekolwiek to jest, będziesz musiała wypowiadać się z kilku rzeczy. Czy Diabolo to twój koń? Czy dziadek go zastrzelił?

Sabrina tak szybko kręciła głową, że Phillip miał ochotę się roześmiać. Nie zrobił tego jednak, rzucił jej jedynie przeszywające spojrzenie.

- Skąd wiesz o Diabolo? Miałam wtedy ledwie dziesięć lat. Moja siostra wzięła go, nie pytając o zgodę, i wpadła nim na płot. - Sabrina poczuła wracające wspomnienia, chwytające ją za gardło. Od tamtych wydarzeń minęło osiem lat.

- Co się stało?

- Upadając, złamał nogę, trzeba było go dobić. Skąd wiesz o Diabolo?

- Majaczyłaś w gorączce. Płakałaś i wołałaś go. - Phillip widział strach malujący się na twarzy Sabriny i miał ochotę nią potrząsnąć.

- Mówiłam coś jeszcze?

- Trevor.

- Tak, Trevor - powtórzyła po nim i odwróciła głowę.

Znów poczuł, że chciałby nią potrząsnąć, ale nie potrafił; gdy wydobrzeje na tyle, by mógł to zrobić, będzie już za późno. Wstał i popatrzył na nią z góry.

- Jeśli nie powiesz mi prawdy, jeśli nie wyposażysz mnie w wiedzę, której potrzebuję, by cię chronić, wytrącisz mi broń z ręki. Posłuchaj mnie. Bez względu na to, co się stało, mogę ci pomóc, ale tylko wtedy, jeśli powiesz mi prawdę.

- To, co się stało, nie ma żadnego związku z tobą, Phillipie. Czuję się już dużo lepiej; jutro rano będę zupełnie zdrowa. Udam się do Borhamwood, na stację, skąd odjeżdżają dyliżanse, i nie będziesz musiał już więcej mnie oglądać.

- Sama wiesz, Sabrino, że nie mogę tego zrobić. Jesteś młodą damą. Masz osiemnaście lat. Nie mogę pomóc ci uciec z domu i wsadzić cię do dyliżansu, bo nie potrafisz nawet sobie wyobrazić, z jakimi ludźmi możesz tam mieć do czynienia. Nie, nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego. Zapomnij o tym i powiedz mi wreszcie prawdę.

Mógł się nagiąć, ale nie dałby się złamać; określił już granicę, do jakiej może się posunąć. Sabrina nie patrzyła na niego, kręciła jedynie głowę. Gdy wyszedł do kuchni, by przygotować obiad, i zostawił ją samą, długo myślała o swoim planie. Nie powinna była angażować go w swoje sprawy. Oczywiście, że nie powinna oczekiwać, iż człowiek honoru, taki jak Phillip, pozwoli jej wsiąść do dyliżansu, który miałby ją zawieźć do Londynu.

Wieczorem Phillip wyglądał na zamyślonego. Niewiele się odzywał, był jakby nieobecny, ale Sabrina wiedziała, że jest świadom jej obecności, że doskonale wie, ile zjadła chleba i gulaszu, który dla niej przygotował. Wiedziała, że się o nią martwi. Przez chwilę poczuła się niepewnie, ale zaraz potem przypomniała sobie, co czekałoby ją w Monmouth Abbey, gdyby pozwoliła mu się odwiedzić do domu. Tylko tyle mogła zrobić, by powstrzymać się od wzruszenia ramionami.

- Powiedziałeś, że odwiedzasz przyjaciół w Yorkshire - odezwała się, bo ciążyła jej przedłużająca się cisza.

- Tak, tak właśnie powiedziałem.

- Kim oni są? Phillip wpatrywał się w brudne spodnie z juty.

Nie patrząc na nią, odparł:

- Niewątpliwie jest to ktoś, kogo znasz: sir Charles Askbridge.

Charlie. Musiała zachować spokój i włożyć wiele wysiłku, by utrzymać obojętny wyraz twarzy.

- Istotnie, to nazwisko wydaje mi się znajome. Tym razem Phillip nie udawał znudzonego.

- Jak doskonale wiesz, Sabrino, dom Charlesa tutaj, w Yorkshire, nazywa się Moreland. Mimo wskazówek, jakich mi udzielił, nie dojechałem do Moreland, ale do lasu Eppingham, a przez to do ciebie. Założę się, że Moreland nie jest daleko stąd.

Moreland było oddalone od myśliwskiego domku nie więcej niż siedem mil. Już od chłopięcych lat Charlie uwielbiał tu chodzić na polowania. I znał Phillipa. Jakże blisko Phillip był miejsca, do którego zmierzał! Sabrina wzruszyła ramionami i udawała, że z uwagą przygląda się paznokciom.

- Domyślam się, że nawet Charlesa lubisz. Wszyscy go lubią. A co myślisz o jego młodszej

siostrze Margaret? Nie jest dużo od ciebie starsza.

Margaret miała dwadzieścia lat; wiekowo była między Sabriną a Elizabeth. Sabrina pokręciła głową i patrzyła na niego z obojętną miną. Phillip był zły, ale doskonale to ukrywał. Zrobiło to na niej wrażenie.

- Jechałeś sam. Czyż to dość niecodzienne, by wicehrabia podróżował sam?

- Całą moją świtę w ogromnej liczbie zostawiłem w Leeds. Wyruszyłem sam, czułem się odważny i gotów na przygody. I sama zobacz, co mnie spotkało. Chciałabyś poznać więcej szczegółów dotyczących mojej podróży? Oczywiście, że byś chciała. Domyślam się, że doskonale wiesz o masie przyjęć bożonarodzeniowych, odbywających się o tej porze roku w posiadłościach poza Londynem. Mimo że masz teraz głupią minę jak dzieciak, to zdaję sobie sprawę, że o nich wiesz. Nie zrozum mnie źle. Jesteś wspaniałą aktorką, ale ja dobrze cię poznałem. W każdym razie Charles zaprosił mnie do Moreland i dał mi wskazówki, które przyprowadziły mnie na to odludzie. Mojego służącego posłałem wcześniej; miałem taki romantyczny pomysł, by podróżować samemu i szukać jedności z naturą. Co za bzdura. Widzisz więc, Sabrino, jest wielce prawdopodobne, że zarówno twoja rodzina, jak i Charles nas teraz szukają - dodał po chwili Phillip, a mówił tak poważnym głosem, że Sabrina niemal znów się wygadała. - Znajdą więc nas za dzień, najdalej dwa.

Wiedziała, że Phillip ma rację, ale nie odzywała się. Dobrze, że miała jakiś pomysł. Przeciągnęła się i ziewnęła.

- Twój wyborny obiad tak mnie rozleniwił, że chyba się prześpię. - Znów ziewnęła i wsunęła się pod koc.

- Powinienem dziękować dobremu Bogu, że nie mam siostry. - Phillip wznosił wzrok ku niebu, a potem znów ponuro spojrzął na Sabrinę. - Za drzwiami jest prawdziwy świat, do którego musisz wrócić. Wolałbym, żebyś to sobie przemyślała. - Pochylił się i poklepał ją po policzku. - Dobranoc. Śpij dobrze.

Chciała mu podziękować, ale nie mogła, nie teraz.

- Dobranoc, Phillipie. Zamknęła oczy i odwróciła głowę. Phillip zdmuchnął świeczkę i zszedł do sypialni na dole.

Skoro Sabrina już wydobrzała na tyle, że nie musiał bez przerwy przy niej być, zaczął sypiać w pokoju na dole, na nierównym łóżku, na którym było mu trochę tylko wygodniej niż w fotelu w sypialni Sabriny.

Sabrina cicho leżała w ciemnym pokoju raz jeszcze zastanawiając się nad swoim planem. Śnieg topnieje, a to znaczy, że dziadek - cokolwiek teraz o niej myślał - wyśle armię ludzi na poszukiwania. Nawet jeśli uwierzył, że Sabrina już nie żyje, i tak będzie jej szukał. Nie chciała nawet sobie wyobrazić krwawej jatki w Monmouth Abbey, gdyby ją odnaleziono i gdyby wróciła do domu. Dziadek jest na to za stary i zbyt wrażliwy. Wiedziała, że nie znajdzie sposobu, by ukryć przed nim prawdę - to że Elizabeth ją zdradziła, a Trevor próbował zgwałcić; wszystko to wyszłoby na jaw. Nie chciała, by dziadek rozczarował się w tak straszny sposób; nie chciała niszczyć jego planów i rozwiewać nadziei. Zastanawiała się, czy Trevor naprawdę spróbowałby go zabić, gdyby wróciła. Nie wiedziała i nie chciała nawet się nad tym zastanawiać.

Nie może wrócić do domu. Nie, nie będzie płakała, to nic nie da, na nic się nie zda. Wróciła myślami do swojego planu - prostego i zrozumiałego. Była jeszcze słaba, ale kto by się martwił takim drobiazgiem? Nie aż tak słaba, by kawałek przejść piechotą, a potem jechać. To może przecież zrobić.

Cicho wstała z łóżka i zapaliła świecę na nocnym stoliku. Cicho stąpając bosymi stopami po podłodze, podeszła do niewielkiego sekretarzyka stojącego obok kominka i sięgnęła po papier i pióro; szybko napisała kilka linijek, które od dwóch godzin układała w głowie. Czowała ogarniający ją smutek, gdy kończyła list słowami: „...proszę, wybac mi, Phillipie, ale nie mogę tu dłużej zostać. Dziękuję, że uratowałeś mi życie. Teraz muszę sama się o siebie zatroszczyć”. Tutaj przerwała, ale po chwili dopisała jeszcze jedno zdanie: „Nigdy Cię nie zapomnę. Sabrina”. Zdecydowała, że do dziadka napisze, gdy dotrze już do Londynu.

Znalazła swoje ubrania i pelerynę; pogniecione, ale suche wisiały w szafie. Obciągnęła męską koszulę nocną, którą miała na sobie i włożyła na nią sukienkę. Poczowała się silna i pewna siebie; tym razem jej się uda. Sięgnęła po trzy funty, które Phillip położył na stole jeden na drugim, i wsunęła je do kieszeni peleryny. Gdy już wychodziła, sięgnęła po trzy koce leżące na łóżku i owinęła się nimi.

Szła tak cicho, jak tylko potrafiła; na szczęście jej buty nie stuknęły o posadzkę. Schodząc po schodach, oburącz trzymała się poręczy. Wciąż czowała się silna i pewna siebie, i tego, co zamierza zrobić. Nim dotarła do kuchennych drzwi, czowała, że jest gotowa przebiec całą drogę do Borhamwood. Niesamowite uczucie - znów być zdrową i silną, i wiedzieć, że robi się rzecz właściwą.

Zasuwka w drzwiach stuknęła tak głośno, że Sabrina szybko odwróciła się i spojrzała za siebie. Na szczęście dźwięk nie był na tyle głośny, by obudzić Phillipa. Szybko wyszła na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi.

Wyszła w ciemną, bezksiężycową noc i zatrzymała się na chwilę, opierając o pień wiązu. Las był zimny, ale w powietrzu unosił się słodki zapach. Pomyślała o Phillipie, o jego łagodności i uprzejmości. Znała go tak krótko, a mimo to stał się częścią jej życia; a nawet nie tyle częścią, co centrum jej życia, skoro tak się nią zaopiekował i był przy niej zawsze, gdy go potrzebowała. Pokręciła głową; nie może przecież teraz o nim myśleć. Oderwała się od drzewa i zaskoczona odkryła, że wcale nie jest taka silna, jak się jej wydawało. To jakiś absurd; siły jej wróć. Musi w siebie uwierzyć. Musi przestać marudzić. Zmusiła się, by ruszyć w kierunku stajni.

ROZDZIAŁ 16

Otworzyła drzwi stajni i zrobiła krok naprzód, do przyćmionego wnętrza. Piękna klacz wyciągała szyję i rżała cichutko.

- Cicho, Tasha. Podeszła szybkim krokiem do gniadej klaczy i zaczęła drapać ją po uszach, szepcząc coś bez ładu i składu.

- Tak jest. Bądź tylko cicho i zaprzyjaźnij się ze mną. Ależ jesteś piękna. Teraz wiem, dlaczego Phillip cię uwielbia. Tak, bez wątpienia ma ku temu powody.

Kiedy Tasha zaczęła sprawiać wrażenie spokojnej i oswojonej, Sabrina postanowiła zająć się siodłem. Ręce jej drżały. Zakłęła; nie było to nic szczególnego, od takich przekleństw nikomu by w piętę nie poszło, a mocniejszych nie znała, niemniej wyraźnie lepiej się poczuła. Nie miała siły przytaszczyć siodła, nie mówiąc o właściwym osiodłaniu. Z haka wiszącego nieopodal boksu Tashy zdjęła uzdę, po czym przyciągnęła szyję klaczy do siebie tak, aby jej tę uzdę założyć.

W kącie stajni leżała pusta skrzynka. Wyglądała na lżejszą, niż była w rzeczywistości. Przekłete osłabienie! Zanim zdołała przyciągnąć tę cholerną, drewnianą skrzynkę wystarczająco blisko, aby mogła się na nią wspiąć i próbować dosiąść konia, poczuła pot na plecach i na czole.

Niezwykłe, jak Tasha zdawała się rosnać w oczach, a na pewno jej grzbiet był wyżej niż jeszcze przed chwilą. Klacz zaczęła nerwowo strzyc uszami.

- Wszystko w porządku, koniku. Nie ruszaj się, proszę. Jestem lżejsza od Phillipa. Zobaczysz, będzie ci całkiem przyjemnie mnie wieźć. Nawet się nie zorientujesz, że jestem w siodle.

Aby znaleźć się na szerokim grzbiecie Tashy, choćby w pozycji półleżącej, Sabrina musiała podjąć trzy próby. Leżała tak, z dyndającymi nogami; przypominała raczej worek zboża niż amazonkę. Odczekała, aż oddech się wyrówna i uspokoi, wreszcie miała wystarczająco siły, by się wyprostować i utrzymać w tej pozycji.

Pochyliła się lekko do przodu i chwyciła wodze. Udało się. Klasnęła w dłonie, ale Tasha ani drgnęła, więc lekko stuknęła ją obcasami w boki i raz jeszcze strzeliła wodzami.

Tasha nie reagowała.

Co robi nie tak? Jeździła konno, odkąd po raz pierwszy udało się jej stanąć prosto i chwycić strzemień. Co jest nie tak? Pochyliła się niżej i szepnęła Tashy do ucha:

- Proszę cię, musimy jechać, teraz. Niedaleko, tylko do Borhamwood, ale muszę się tam dostać, proszę cię.

- Przykro mi, Sabrino, ale Tasha słucha tylko moich poleceń. A wystarczyło mnie zapytać. Rozwiałybym twoje wątpiwości i zaoszczędził tych wszystkich chwil, które spędziłaś na bezowocnych próbach.

Słyszając rozbawiony głos Phillipa, zadrżała z zaskoczenia. Stał oparty o drzwi, z ramionami założonymi na piersi. Nie wyglądał na szczególnie rozgniewanego, ale wiedziała, że to tylko pozory. Nie była pewna, skąd to wie, ale nie miała wątpiwości co do swojego przeczucia. Cóż, właściwie na jego miejscu po prostu by się wściekła.

- Byłam przecież tak cicho. Nie mógłbyś być jedynie kozłami, który wywołałam, żeby się przestraszyć? Phillipie, naprawdę, nie powinieneś być tu przychodzić. Nie masz na sobie nawet płaszcza. Możesz się rozchorować. Może wróciłbyś do domku, a ja pójdę w swoją stronę.

Nie poruszył się. Uśmiechnął się tylko, ale był to najzimniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek dane jej było widzieć.

- Niewiele osób mogłoby lepiej od ciebie zdawać sobie sprawę z tego, jak lekki mam sen. Wystarczyło, że zakaszlałaś i pojawiałem się obok ciebie; twój oddech przestał być miarowy i byłem przy tobie. Na wojnie kilkakrotnie uratowało mi to życie. Tym razem być może i twoje życie zostało ocalone.

- Nie, bynajmniej. Posłuchaj mnie, Phillipie. Nie mogę tu zostać. Sam powiedziałeś, że nas szukają. A mnie nie mogą znaleźć.

- Kto nie może cię znaleźć, Sabrino? Machnęła tylko ręką.

- Jeśli Tasha mi nie pomoże, to pójdę do Borhamwood na piechotę. Świetny ze mnie piechur. Całe życie chodzę i teraz też sobie poradzę. Nie możesz mi jednak pomóc, Phillipie, uwierz mi na słowo. Ani ty, ani nikt inny. Muszę odejść. To dla mnie jedyna szansa. Nie powiem ci, kim jestem. Żadnemu z nas nic by to nie dało. W ten sposób chronię ciebie, jak również moją rodzinę. A teraz... Cóż, dziękuję ci za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, ale muszę odejść. Muszę, rozumiesz?

Zeskoczyła z grzbietu klaczy. W chwili gdy jej stopy miały dotknąć ziemi, całkiem nagle poczuła, że ogarnia ją obezwładniająca słabość. Przytrzymała się grzywy Tashy, aż poczuła się silniejsza. Modliła się, aby Phillip uwierzył, że w tej chwili żegna się z jego klaczą. Wreszcie stanęła o własnych siłach. Spojrzała na niego. Nie zrobił ani kroku, patrzył tylko na nią bez słowa. Może wreszcie dostrzegł powód jej działania. Z drugiej strony, był przecież mężczyzną, a w jej osiemnastoletnim doświadczeniu nieczęsto się zdarzało, by mężczyzna dostrzegł te same motywy działania, co kobieta. Phillip jednak był wyjątkowy. Może po prostu miał zamiar puścić ją samą.

Mimo że perspektywa przedzierania się z mozołem przez las Eppingham w środku nocy sprawiła, że włosy niemal stanęły jej dęba, Sabrina była zdeterminowana. Da sobie radę. Wyprostowała plecy i z podniesionym czołem podeszła do Phillipa.

- Jak widzisz, mam się dobrze. Żegnaj, Phillipie. Kłopot w tym, że Phillip nie ruszył się ani na krok z miejsca, w którym stał. Nagle się wyprostował. Patrzyła na mężczyznę o wiele wyższego, niż się jej dotychczas wydawało. Był wielki. Dziwne, że wcześniej zupełnie tego nie zauważyła. Był większy od Trevora, twardszy, silniejszy. Nie, nie przestraszy się go, bo przecież to Phillip. Nigdy by jej nie skrzywdził, przenigdy.

- Proszę, przepuść mnie - powiedziała do środkowego guzika jego pomarszczonej, białej koszuli. Wyprostował się teraz całkowicie; był jeszcze wyższy niż przed momentem.

- Wracaj do łóżka, Sabrino. Nie chcę, żebyś się znowu rozchorowała.

- Nie - odpowiedziała, nie spuszczać wzroku ze środkowego guzika jego koszuli. - Proszę, Phillipie, przepuść mnie. - Podniosła wzrok i spojrzała na niego. - Posłuchaj, nie znasz mnie. Nic dla ciebie nie znaczę, nie jestem twoją siostrą ani kuzynką, jestem nikim. Wierz mi, nie chcesz się wplątać w to, w co sama jestem zamieszana. Wcale nie byłoby ci do śmiechu, gdybym opowiedziała ci o tym wszystkim, czego próbowałeś się ode mnie dowiedzieć. Pozwól mi odejść. Zrobiłeś dobry uczynek, ale już po wszystkim. Pozwól mi odejść. Nikt nigdy się nie dowie, że się spotkaliśmy. Nigdy więcej nie będziesz mnie musiał oglądać.

- W życiu nie słyszałem bardziej żalosego wywodu. Z drugiej strony, nie przypominam sobie,

żebym spędził aż tyle czasu z jedną kobietą, więc widać tak musi być. Cóż, robiłem w życiu różne rzeczy, lecz te wszystkie błagania, podchody i inne próby nakłonienia mnie do zmiany zdania są mi zupełnie obce i nie zamierzam nic z tym robić. Sądzisz, że pozwolę ci wyruszyć do lasu w środku nocy? Masz mnie za skończonego idiotę? Pójdiesz ze mną, Sabrino. Pora wracać do łóżka.

Nie zrobił jednak żadnego ruchu w jej kierunku. Nie próbował jej dotknąć. Była blada, jej piękne włosy kręciły się wokół twarzy.

- Aż tak mało jest dla ciebie warte życie, że jesteś gotowa wypuścić się do lasu w środku nocy, bez opieki? Najprawdopodobniej są tam wilki. Właściwie jestem o tym przekonany. Słyszałem ich skowyt.

- Ścieżka jest dobrze oznaczona. Będę się jej trzymać. Owinę się trzema kocami, wtedy na pewno nie zmarznę.

Pobladła jeszcze bardziej. Nadszedł czas, by położył temu kres.

- Nigdzie stąd nie odejdziesz, Sabrino. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodź do mnie.

Pokręciła głową. Wiedział, że tak jak i jemu, jej też jest zimno. Z zimna zaczął szczerkać zębami. Nie zdążył nawet narzucić płaszcza. Żałował, że tego nie zrobił, mógłby teraz ogrzać nim Sabrinę.

- Podjęłam decyzję, Phillipie.

- Czy możesz rozsiodłać konia? Chciałaby się zapaść pod ziemię, dokładnie w miejscu, gdzie stała, a on ją prosi, żeby rozsiodłała konia. Bez słowa odwróciła się i podeszła do Tashy. Rozpięła uzdę i zsunęła ją z końskiego łba.

- Wiesz - powiedział, podchodząc do niej powoli - powinienem był schować ci ubranie. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogłabyś wyciąć taki numer.

Nic nie odpowiedziała, tylko naciągnęła pelerynę bliżej twarzy.

- Odchodzę, odsuń się. Nie będę się powtarzać.

Poczuła, jak zaciska palce na jej ramionach. Powoli przyciągnął ją do siebie, aż się na nim oparła. Czula jego ciepło, nawet w tej zimnej stajni był ciepły. Gdyby nie to, że w tej chwili chciałyby go zabić, ukryłyby się w tym ciepłe, w jego ramionach.

- Nic ci do moich decyzji i nikomu nie pozwolę decydować o swoim losie. Puść mnie.

- Jest mi zimno, Sabrino, a poza tym zaczynasz mnie irytować. Liczę na to, że choć jeden z tych faktów da ci do myślenia.

Opuściła głowę i ugryzła go w dłoń. Zesztywniał i rozluźnił uścisk. Zdołała jednak dobiec zaledwie do stajennych drzwi. Zaczęła je nerwowo szarpać. Nad głową miała jego rękę.

- Posłuchaj mnie teraz uważnie, mała wiedźmo. Dostyc tego, do diabła!

Złapał ją wpół, owinął kocami i przerzucił sobie przez ramię. Kiedy zaczęła krzyczeć, dał jej klapsa.

- Nie wierć się, do jasnej cholery. Jest mi zimno i doprowadziłaś mnie do granic wytrzymałości, więc po prostu się nie ruszaj - skarcił ją raz jeszcze.

Okladała go pięściami po plecach. Wiedziała jednak, że w ten sposób nie zadaje mu bólu, najwyżej mogła go jeszcze bardziej rozjuszyć. Wreszcie opadła z sił. Wisiała na jego ramieniu, przewieszona niczym worek kartofli, jej twarz co raz to odbijała się o jego plecy, nie mogła nic zrobić. Łzy zaczęły cisnąć się jej do oczu.

Kiedy dotarli do jej sypialni, postawił ją na podłodze i przez chwilę nie puszczał, tylko wciąż przyciskał do siebie.

- Proszę cię, Phillipie - szeptała, wtulona w jego białą koszulę. - Ty nic nie rozumiesz, musisz

pozwoić mi odejść. Jeśli tu zostanę, wyrządę ci krzywdę.

- A niby jak, u diabła, mogłabyś mnie skrzywdzić?

Milczała jak grób.

- Co, nie potrafisz mi odpowiedzieć? Czują na czole ciepło jego oddechu.

- Nie pozwolę, żebyś rozstała się z życiem. Dobrze wiesz, jakie masz szanse dotrzeć stąd bezpiecznie do Borhamwood. W najlepszym wypadku znikome. Nie mogę zabrać cię do Londynu i nie zrobiłbym tego, nawet gdybym wiedział, gdzie mieszkasz, lub gdybyś zaufała mi na tyle, by wyjawić mi nazwisko swojej ciotki, czego odmówiłaś. Nie, nie zrobiłbym tego, bo tak niewyobrażalna głupota właściwie niczym nie różniłaby się od porwania.

Potrząsnął nią lekko, żeby na niego spojrzała.

- Nie stanie ci się żadna krzywda. Będę przy tobie, obiecuję.

Nie miał pojęcia, z czym mogła się wiązać jego obietnica, lecz nie dbał o to. Właśnie to miał na myśli: obietnicę.

- Tylko proszę, powiedz mi prawdę. Kim jesteś? Jej zamknięte usta tworzyły wąską linię. Zorientował się, że Sabrina drży z zimna i nagle się ożywił.

- Rozbierzesz się sama?

- Tak.

W jej głosie można było wyczuć sromotną porażkę. Nienawidził się za to, ale nie miał żadnego pomysłu, jak sobie z tym poradzić. Czekał, aż się wyprostuje, odsunie, ale nie zrobiła tego. Wciąż opierała się na nim, z bezwładnie zwisającymi ramionami.

- Ta noc zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Pomogę ci, nie ruszaj się.

Chciała się poruszyć, naprawdę chciała, ale czuła, że nie ma siły. Gdyby spróbowała, padłaby jak długa, a takiego upokorzenia by nie zniosła. Czuła, jak Phillip rozpina guziki jej sukni. Zdjął ją przez głowę, po czym wziął Sabrinę na ręce i posadził na brzegu łóżka. Bez ociągania sięgnął po koszulę nocną, którą w pośpiechu uciekiniarka zostawiła na podłodze. Wywracając ją na drugą stronę, zobaczył ślady krwi. Wpadł w popłoch.

- Boże, coś ty sobie zrobiła? - Odwrócił się gwałtownie, by na nią spojrzeć. Spuściła wzrok i zastygła w bezruchu. - Połóż się i pozwól mi się obejrzeć. Czy ty się przypadkiem nie skaleczyłaś...

- Nie!

Zaskoczony Phillip zobaczył tylko, jak Sabrina kurczowo chwyciła prześcieradło i mocno przycisnęła je do siebie. Przerażony, wpatrywał się w nią, a w rękach cały czas trzymał jej koszulę.

- Ale przecież krwawisz, skaleczyłaś się, ty... Dopiero w tej chwili do niego dotarło. Zamilkł.

Ze strachu przed nim zaczęła się cofać. Irytacja minęła jak ręką odjął.

- Boże, nie wygłupiaj się. Jestem wdzięczny niebiosom, że tylko o to chodzi. To przecież zupełnie normalne, nic takiego.

W tej chwili Sabrina chciała umrzeć. Spojrzała, na ulgę na jego męskiej twarzy i krzyknęła:

- Wynoś się! Stał teraz zakłopotany. Zupełnie nie wiedział, co robić. Sabrina była zawstydzona, a on udawał, że ją rozumie. Patrzyła na niego tępym wzrokiem. Czuła, jak krew pulsuje jej w żyłach. Nieubrana, musiała być przemarznięta do kości. Trzeba coś zrobić.

- Włóż koszulę, zaraz coś ci przyniosę. Wyglądała, jakby chciała go zabić, a jednocześnie zapaść się pod ziemię. W końcu jakby się poddała, zamknęła w sobie. Chciał jej powiedzieć, żeby się nie wygłupiała, ale ona miała przecież zaledwie osiemnaście lat. Niech to wszyscy diabli!

Parę minut później był z powrotem w sypialni. W milczeniu wręczył jej kilka białych pasów

plótna, które jeszcze niedawno były męską koszulą.

- Czy chcesz trochę ciepłej wody, żebyś się mogła umyć?

Skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

- Sabrino - zaczął, ale zamilkł, widząc, jak kręci głową.

- Dziękuję, ale, proszę, idź już. W głosie Sabriny słysząc było udrękę, widoczną wcześniej w jej ruchach.

Postawiwszy na toalecie dzban ciepłej wody i kostkę jaśminowego mydła, poprosił:

- Ale obiecaj, że jeśli będziesz potrzebowała czegokolwiek więcej, to mnie wezwiesz.

Raz jeszcze skinęła głową, a Phillip nie wiedząc, co jeszcze mógłby dla niej zrobić, wycofał się i wyszedł z sypialni.

Długo nie mogła zasnąć. Leżała tak całą noc w poczuciu beznadziei i bezsilności. Gdyby Phillip powiedział jej, że czuł to samo, nie uwierzyłaby mu. Nie, to on miał władzę. Bez cienia wątpliwości mógł robić to, na co miał ochotę, włącznie ze zmuszaniem jej do pozostawania w tym miejscu. Najgorsze, że istotnie miała świadomość, iż nie zdołałaby dotrzeć do Borhamwood przez las Eppingham. Najprawdopodobniej by zginęła albo zaatakowałyby ją wilki. Pozostało jej wyłącznie okropne poczucie tego, co nieuniknione. Splotła ręce na brzuchu, żeby złagodzić skurcze, i wreszcie zapadła w wyczekiwany sen.

Następnego ranka Phillip ujrzał jej twarz, bladą, pozbawioną życia i z cieniami pod oczami. Postawił tacę ze śniadaniem na stoliku przy łóżku i pomógł jej usiąść.

- Przyniosłem ci dobrą, mocną herbatę, grzanki i dżem. Po tym powinnaś się poczuć lepiej.

Nie patrzyła na niego, skinęła tylko głową.

- Mam dużo do zrobienia, zajrzę do ciebie później.

Zostawił ją samą na dwie godziny. Wykąpany i ogolony, wrócił do jej sypialni i delikatnie zastukał do drzwi. Wyglądała kiepsko, właściwie źle, zupełnie jakby chciała zapaść się pod ziemię i przestać istnieć.

- Nie możesz zasnąć? - Głupie pytanie, ale coś musiał powiedzieć. Podeszedł bliżej i usiadł na brzegu łóżka. Dotknął dłonią jej policzka i bez zastanowienia powiedział: - Może gorąca kąpiel poprawi ci nastrój.

W momencie kiedy wypowiedział te słowa zorientował się, że zrobił z siebie idiotę.

- Przepraszam. Jestem mężczyzną, nie mam żony. Po prostu wcześniej nie zdarzyło mi się nic podobnego. Może dam ci laudanum. Zostało jeszcze trochę. A przecież musisz wypocząć. Zgoda?

- Dobrze - odpowiedziała i w tej chwili zapragnął wziąć ją w ramiona i powiedzieć jej... No właśnie, co?

Wytrząsnął kilka ostatnich kropel laudanum do szklanki z wodą i podał Sabrinie; wypić duszkiem. Oparła się na poduszce, zamknęła oczy i czekała, aż przyjdzie zapomnienie.

Phillip bezgłośnie poruszał się po izbie, usuwając nieporządek z poprzedniej nocy. Schylił się i dorzucił kilka polan do ognia trzaskającego w kominku. Delikatnie odwrócił się i dyskretnie spojrzął w stronę łóżka. Ku jego przerażeniu Sabrina leżała z szeroko otwartymi oczami i wzrokiem nieruchomo utkwionym w suficie. Przysunął duże krzesło bliżej kominka, a sam podeszedł do łóżka.

- Jesteś wycieńczona. Musisz wypocząć, zaufaj mi.

Nie walczyła z nim, kiedy wziął ją w ramiona, razem z kocami. Ostrożnie usiadł na krześle, przyciskając ją do siebie. Spojrzała na niego przeciągle i zamknęła oczy. Odetchnęła delikatnie i wtuliła twarz w jego ramiona. Phillip splótł palce na jej plecach, żeby móc trzymać ją nieruchomo.

Głowę oparł na krześle. Chwilę potem poczuł, że laudanum zadziałało; usłyszał oddech śpiącej Sabriny. Zasnęła w okamgnieniu, by po chwili otworzyć oczy. Zobaczył uchylone drzwi. Usłyszał ciche kroki na klatce schodowej. Już chciał zrzucić Sabrinę na podłogę, a samemu rzucić się do drzwi, kiedy ujrzał znajomą twarz. Charles Askbridge we własnej osobie.

ROZDZIAŁ 17

Charles otwierał i zamykał usta; po prostu nie wierzył własnym oczom. Phillip - jego zagubiony przyjaciel - siedział w dużym skórzanym fotelu i w ramionach trzymał śpiącą kobietę. Taką przynajmniej Charles miał nadzieję: że spała, a nie, że jest nieprzytomna lub martwa.

- O mój Boże - udało mu się wreszcie coś z siebie wydusić. Nie poruszył się; nie potrafił. Mógł jedynie stać jak słup soli i gapić się na Phillipa.

- Charlesie, bądź cicho. Nie chcę, żeby się obudziła. Ma za sobą ciężką noc. Ja zresztą też.

Charles kiwnął głową. Mógł być cicho, tym bardziej że nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Cicho podszedł do Phillipa i spojrzał na twarz Sabriny Eversleigh, częściowo ukrytą w ramionach Phillipa.

- Mój Boże - powtórzył głosem niewiele głośniejszym od szeptu. Sabrina poruszyła się, ale spała tak twardo, że głos Charlesa jej nie obudził.

Phillip z dezaprobatą pokręcił głową, patrząc na Charlesa, a potem ostrożnie wstał i zaniósł Sabrinę do łóżka. Gestem przywołał Charlesa, wciąż stojącego w progu z otwartymi ze zdziwienia ustami, by wszedł do pokoju. Phillip dotknął czoła Sabriny i pokiwał głową. Będzie teraz długo spała.

Razem z Charlesem wyszedł z sypialni. Nie odzywał się, nim zeszli na dół.

- No cóż, Charlie - zaczął, uściśnawszy przyjacielowi dłoń - muszę przyznać, że sprawiłeś mi niespodziankę. Często włamujesz się do domów i skradasz na piętro?

- Pomyślałeś, że jestem złodziejem, prawda? Sam pewnie tak bym pomyślał. Ale widzisz, Phillipie, tak się składa, że ten dom należy do mnie.

Phillip nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem. Poczuł niewysłowioną wręcz ulgę, ale także rozbawienie na myśl, jak los to wszystko ułożył.

- No nie żartuj! Ale cóż, skoro właściciel mieszkający z dala od swoich włości postanowił je wreszcie odwiedzić, nie wydaje mi się, by przepędzanie go było najmądrzejszym rozwiązaniem. Ale i tak mam szczęście. Co by było, gdybyś zjawił się tutaj z tuzinem gości zaproszonych na polowanie? Nie, nie będę się nawet nad tym zastanawiał. To zbyt bolesne. A teraz może chodźmy do przytulnego saloniku i poczęstuję cię twoją własną cherry.

- Phillipie, wszyscy szaleją z niepokoju. Co tu robisz? I to nie sam, a z Sabriną Eversleigh? Dobry Boże, człowieku, ludzie z całego hrabstwa przeczesują okolice, szukając was obojga.

- Więc znasz Sabrinę, prawda, Charlesie? Oczywiście, że ją znasz. To ma sens, szczególnie że z pewnością mieszka gdzieś niedaleko, tak jak ty.

- Phillip podał Charlesowi szklaneczkę sherry.

- Jeszcze nie próbowałem, ale wiem, że masz dobrze zaopatrzoną piwniczkę. Chyba nie żałujesz sobie tych zapasów?

- Nie.

- To dobrze. Twoje zdrowie, Charlesie. - Phillip stuknął szklaneczką o szklaneczkę Charlesa,

który wypił cherry haustem. Zaczął kaszleć i lzy poleciały mu z oczu, ale zaraz się uspokoił.

- Wolałbym, żebyś odłożył na bok broń, Charlesie. W ciągu ostatnich kilku dni spotkało mnie już wiele rzeczy i wolałbym nie zakończyć tygodnia z kulką w brzuchu. - Phillip nalał przyjacielowi kolejną szklaneczkę. Tę również Charles całą wypił naraz, otrząsnął się i tępo spojrział na broń wystającą z kieszeni kamizelki pod bardzo dziwnym kątem. Wyjął ją i położył na stole.

- Wiesz, zastanawiałem się, czy to właśnie ty możesz być osobą, która włamała się do mojego domku myśliwskiego, ale szczerze powiedziawszy, nie wierzyłem w to. Zaczynałem już wierzyć, że nie żyjesz, Phillipie. Dobrze widzieć cię całego i w dobrym zdrowiu.

- Dziękuję. Muszę przyznać, że również się cieszę, że cię widzę. Domyślam się, że lepiej, że to jestem ja niż jakiś kryminalista. On pewnie nie zadbałby tutaj o czystość i porządek tak jak ja.

Charles wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Biedny Stimson - wraz z żoną zimą opiekuje się domkiem - aż cały pobladł ze strachu, gdy zjawił się u mnie w Moreland dziś rano. Widzisz, tylko ja byłem w domu, wszyscy pozostali szukają cię po okolicy. W każdym razie Stimson zobaczył dym wydobywający się z komina i pomyślał, że to jacyś włóczędzy i że powinien jak najszybciej mnie o tym poinformować. - Charles usiadł w fotelu przykrytym płóciennym pokrowcem. - Jak długo Sabrina jest tutaj?

- Pięć albo sześć dni, nie jestem pewien - odparł Phillip tak po prostu. - A tak na marginesie, Charles, kim ona jest?

Charles popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- A co to, u licha, jest za pytanie? Nie wiesz?

- Daj spokój, nie może być aż tak źle. Nie należy chyba do rodziny królewskiej, prawda? Prawda jest taka, że nie chciała mi powiedzieć, kim jest. W tobie jedyna nadzieja.

Charles poczuł rodzącą się w nim złość; po raz pierwszy w życiu był tak wściekły na Phillipa.

- Jak możesz? Gdzie ją spotkałeś? Nie widziałeś, ile ma lat? Że jest bardzo młoda i niewinna? Dobry Boże, Phillipie, nie mogę uwierzyć, że uwiodłeś młodą damę z wyższych sfer. Uwiodłeś ją, prawda? Uśmiechnąłeś się do niej od niechcienia, a ona dała ci się uwieść. Niech cię szlag! Sabrina jest młoda i niewinna, nie potrafiła ci się oprzeć. No tak, potem dopiero zrozumiała, co zrobiła, i dlatego nie chciała ci powiedzieć, kim jest. Wiedziała, że gdyby to zrobiła, nie przywiózłbyś jej tutaj.

- Charlie, kim ona jest?

- Wnuczką hrabiego Monmouth.

Phillip oniemiał. Teraz już wiedział, gdzie słyszał nazwisko jej ojca. Tak, to było w czasie wojny na Półwyspie Iberyjskim, a słyszał o nim od jednego z ludzi Wellingtona. Major Eversleigh musiał wracać do domu, do Anglii, bo jego ojciec, hrabia Monmouth ciężko zachorował. A potem znów wrócił do Hiszpanii i zaraz zginął w czasie oblężenia Ciudad Rodrigo.

Nie powinien być zaskoczony. A niech to szlag!

- Coś ci powiem, Charlesie - zaczął. - Nie uwiodłem jej. Jechałem do Moreland zgodnie z tymi bzdurnymi wskazówkami, których mi udzieliłeś, i znalazłem ją na skraju lasu. Była nieprzytomna i niemal skostniała z zimna. Na szczęście dla niej pamiętałem o tym domku, który mijałem chwilę wcześniej; przywiozłem ją tutaj i zaraz potem śnieżyca rozszalała się na dobre. Mówisz więc, że jest wnuczką hrabiego? Dlaczego, do diabła, nie chciała mi powiedzieć prawdy? Dlaczego była tak przerażona? Co by to zmieniło? Nic. Dlaczego? Ach, to prawdziwa zagadka do rozwiązania. Wiesz co, Charlesie? Chyba ją uduszę, gdy się obudzi. Tak, teraz, gdy już wyzdrowiała, należy jej się to.

Charles jęknął i wstał, by nalać sobie trzecią szklaneczkę sherry. Nie podobało mu się to wszystko i wiedział, że z czasem będzie mu się podobało jeszcze mniej. Nim zdążył jednak cokolwiek powiedzieć, Phillip zapytał:

- Kim jest mężczyzna o imieniu Trevor?

- Trevor? A, masz na myśli Trevora Eversleigh, bratanek i dziedzica hrabiego Monmouth. Niedawno, nie dalej jak miesiąc temu, ożenił się z Elizabeth, starszą siostrą Sabriny. Blichtr i wielka pompa. Wtedy Sabrina wyglądała normalnie. Phillipie, o co w tym wszystkim chodzi? Co Trevor ma wspólnego z tym, że Sabrina jest tutaj z tobą? Mówiłeś, że była chora?

- Bardzo chora. Dostała wysokiej gorączki. Kilkakrotnie obawiałem się, że ją stracę, ale pokonała chorobę. Jest twarda. Teraz jest jeszcze bardzo słaba, ale wraca do zdrowia. Od jak dawna znasz Sabrinę?

- Małą Bree? Znam ją całe życie. Monmouth Abbey leży jakieś dziesięć mil na zachód od Moreland. Naprawdę była aż tak chora? Jesteś pewien, że wszystko będzie dobrze?

- Tak. Jak już ci mówiłem, jest teraz jeszcze tylko bardzo słaba. Wystarczy tydzień i będzie zupełnie zdrowa. - Phillip gwałtownie odwrócił się w stronę drzwi. - Chodź ze mną, Charlesie. Mam nadzieję, że ciasto na chleb już urosło i możemy je włożyć do piekarnika. Wreszcie udało mi się znaleźć drożdże. To zdecydowanie pomaga.

- Co takiego? Phillip uśmiechnął się lekko i wyszedł z pokoju; Charles podążył za nim. Weszli do kuchni - pomieszczenia, w którym Charles nigdy w życiu nie był - i tam patrzył na Phillipa, który podszedł do dużego blatu pośrodku kuchni i przewiązał się w pasie fartuszkami. Phillip dostrzegł minę Charlesa i się roześmiał.

- Jestem tu panem i władcą - oświadczył, szerokim gestem wskazując na kuchnię, a potem spróbował ciasta na chleb. - Jeśli nie zawodzi mnie moje skromne doświadczenie, to ciasto potrzebuje jeszcze trochę czasu, by czule zajęły się nim drożdże. Usiądź, Charlesie. Chwilowo nie mogę wyjść z kuchni.

Po raz pierwszy Charles uważnie przyjrzał się Phillipowi. Biała koszula, choć czysta, była pognieciona, tak samo jak jasne bryczesy, ale buty miał naprawdę w opłakanym stanie.

- Boże! Poczekaj, aż Dambler cię zobaczy. Dostanie apopleksji.

- Byłem przekonany, że Dambler przyjedzie z tobą. Jak się domyślam, to ty go powstrzymałeś, żeby nie szukał mnie po całym lesie. To dobry człowiek, ale cały czas myśli, że jestem małym chłopcem, którym trzeba się opiekować i którego trzeba pilnować.

- Martwi się, tak samo jak my wszyscy. Szuka cię wraz z grupą mężczyzn. I to nie tylko ciebie, ale chyba powinienem dodać, że także i Sabriny Eversleigh. Chyba muszę napić się jeszcze sherry.

- Dalej, Charlie, wyrzuć to z siebie.

- Teresa Elliott - powiedział Charlie i to z pewnością wystarczyło.

- Co z nią? Jest w Moreland, prawda?

- Delikatnie powiedziane. Jest i doprowadza wszystkich do szału. Usiłowała wygonić mnie z domu w najgorszą śnieżycę, żebym cię szukał. Niewiele brakowało, Phillipie, ale teraz nie musisz się już martwić, że ta harpia będzie próbowała położyć na tobie swe urodziwe łapki.

- Nigdy w życiu nie ożenię się z Teresą Elliott. Nie ma mowy. Prędzej nastąpi koniec świata albo stryjeczna babka Millie przeniesie się na tamten świat, co raczej nie nastąpi wcześniej niż w następnym stuleciu. Nie martw się, Charlie, nie ma czym.

- Cóż, nawet jeśli wcześniej nie oszołomiła cię swoją urodą - a nie mogę zaprzeczyć, że jest

rzeczywiście oszałamiająco piękna - to teraz małżeństwo z nią i tak nie wchodzi już w rachubę.

- Charlesie, o czym ty, u licha, mówisz? Pamięć mam niezbyt dobrą, to prawda, ale jeśli mnie nie zawodzi, to zabrałem Teresę tylko na jedną przejażdżkę po parku, a coś takiego z pewnością nie powinno dawać żadnej damie nadziei na małżeństwo.

- A zapomniałeś już, że dwa razy z nią zatańczyłeś na balu u lady Branson? Uwierz mi, że ja o tym nie pamiętałem, ale w ciągu ostatnich trzech dni Teresa wspomniała o tym przynajmniej sześć razy. Najwyraźniej jest przekonana, że padniesz przed nią na kolana i poprosisz o rękę. Ale jak już mówiłem, Phillipie, to nie ona jest teraz na tapecie. Wpadłeś z deszczu pod rynną. Choć przyznaję, że ta rynna jest dość urodziwa.

- Trzy szklaneczki sherry, które wyłopałeś, najwyraźniej pomieszały ci w głowie, Charlie. Może zaparzyć ci kawy? Pozwoli ci odzyskać trzeźwość umysłu. Nie, nie dziękuj. Jestem tu również kamerdynerem. To jak, kawy?

- Sabrina Eversleigh to czarująca dziewczyna - odparł Charles, całkowicie ignorując słowa Phillipa. - Ma osiemnaście lat, jak mi się wydaje, chyba nie więcej. - Charles liczył w pamięci. - Tak, osiemnaście. Jest dwa lata młodsza od mojej siostry, Margaret.

- Czasami widziałem w niej lekkie iskierki wdzięku, choć zazwyczaj jest bardziej uparta i powściągliwa w mówieniu niż ukochany prosiak mojego wuja Haveya o imieniu Horace. To naprawdę wspaniałe zwierzątko, ale jak się zaprze, to nie ma na niego mocnych.

- Phillip, o jakim prosiaku mówisz i po co? Przecież to zupełnie nie o to chodzi. Posłuchaj mnie. Myślę, że najlepiej byłoby, gdybym towarzyszył ci w drodze do ołtarza. Stary hrabia na pewno szybko zdobędzie odpowiednie pozwolenie i mógłbyś się ożenić jeszcze w tym tygodniu. Jestem pewien, że hrabia wolałby, by wszystko odbyło się bez rozgłosu. - Charles podniósł wzrok na Phillipa i rozpromienił się w uśmiechu, czując niewypowiedzianą ulgę. - Wiesz, chyba jednak napiję się kawy.

- Napijesz się kawy - powtórzy Phillip, wpatrując się w przyjaciela. - Specjalne pozwolenie? Dobry Boże, Charlie, ty chyba naprawdę za dużo wypiełeś. Myślisz, że powinienem ożenić się z Sabriną Eversleigh? To jeszcze głupszy pomysł niż ten z włożeniem kamizelki, którą miałeś na sobie na spotkaniu u White'a* w zeszłym miesiącu, tej w żółte tulipany. Przecież znam ją dopiero od kilku dni.

- Naprawdę nic nie rozumiesz? Właśnie w tym rzecz. Zpracowałeś sobie na reputację, dzięki której kobiety chcą wśliznąć ci się do łóżka, a mężczyźni ci zazdroszczą. Ponad tydzień mieszkałeś z młodą, niezamężną damą. Phillipie, przecież ona jest skompromitowana, calusienką, od stóp do głów.

- Ma całkiem ładne stopy.

- Wątpię, by po tym wszystkim Richard Clarendon wciąż chciał się z nią żenić.

- Zdaje się, że mój umysł pracuje sprawniej niż twój, Charlie. To również dlatego jej nazwisko wydało mi się znajome. Pewnej nocy, gdy graliśmy w pikietę, Richard powiedział mi, że zamierza ożenić się z jakąś młodą dziewczyną z Yorkshire. Chodziło o Sabrinę. A teraz posłuchaj mnie. Nie mam zamiaru żenić się z Sabriną. Nie ma powodu, by to robić. Nie rozumiesz? Ona była bliska śmierci; uratowałem jej życie. Nie kochałem się z nią. Opiekowałem się nią najlepiej, jak potrafiłem, ale to przecież nie oznacza pójścia z nią do łóżka. Gotowałem dla niej i karmiłem ją, ale nie było mowy o seksie na deser. Zapomnij więc o tym niedorzecznym pomysle, jakim jest poślubienie jej. To Richard chciał się z nią żenić i teraz może to zrobić. A ja jestem tylko dobrym Samarytaninem i nim pozostanę, nic więcej.

- Wątpię. Gdy tylko Richard zda sobie sprawę, że Sabrina spędziła z tobą kilka dni w domku na odludziu, to z pewnością jako dżentelmen o nieposzlakowanej opinii niekoniecznie będzie nadal zainteresowany poślubieniem Sabriny. Wiesz, że w pewnej chwili zachowywał się jak obłąkany? Szukając Sabriny, niemal zabił w tej śnieżycy jednego z koni. Naprawdę jest zdesperowany, by ją zdobyć, ale teraz, gdy dowie się o tobie? Sam nie wiem, Phillipie. Wątpię, by chciał się z nią ożenić. Mam nadzieję, że nie będzie chciał cię zastrzelić.

Ale Richard nie kocha Sabriny, pomyślał Phillip, wpatrując się w ciasto na chleb. W przeciwnym razie dlaczego miałby zachowywać się w tak dziwny sposób? Dlaczego nie dalej jak trzy tygodnie temu wziął pod swoje skrzydła dziewczynę z opery? Może Charlie się myli i to nie jest małżeństwo z miłości. Szukał w pamięci, starając się przypomnieć sobie słowa, których użył Richard, wypowiadając się o Sabrinie. Byli u White'a, grali w pikietę; obaj nie dalej jak przed godziną opuścili łóżka swoich kochanek. Richard był lekko wstawiony, a i Phillip czuł brandy przyjemnie wirującą w żołądku, gdy usłyszał słowa:

- Znalazłem sobie żonę.

Nie patrzył wtedy na Phillipa, lecz w ogień buzujący w kominku. Phillip pomyślał wtedy, że Richard żartuje; zaśmiał się i dolał sobie brandy.

- Nie, nie, Phillipie, mówię poważnie. To wspaniała dziewczyna, ale muszę poczekać jakieś trzy miesiące. Stary Eversleigh wymógł na mnie obietnicę, że zaczekam, aż jego wnuczka skończy osiemnaście lat, nim poproszę ją o rękę.

Phillip był zaskoczony, co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

- Ale, Richardzie, pochowałeś już jedną żonę, masz spadkobiercę. Powtarzałeś mi wiele razy, nie potrafię nawet zliczyć jak wiele, że już nigdy się nie ożenisz, że nie wystarczy ci jedna kobieta, byś był szczęśliwy i zadowolony.

Richard chrząknął i osuszył kolejną szklaneczkę brandy.

- Chcę jej. - Jego głos był niski i zachrypły od pożądania i alkoholu. - Jest taka pełna życia.

Ma płomienne włosy, jak ogień, długie i gęste. Chcę zanurzyć w nich twarz i czuć ją przy sobie. - Richard podniósł wzrok. - Wiesz, ona jest jedyną urodziwą kobietą, jaką znam, która nigdy nie używała tych babskich sztuczek, żeby mnie uwieść. To ciekawe, ale zupełnie nie jest świadoma namiętności, jaką wywołuje; nie wie, jak na mnie działa. Tak - Richard ponownie przeniósł wzrok z ognia na karty trzymane w ręce - chcę jej.

Phillip nagle się ocknął; dotarło do niego, że Charles coś mówi.

- Co powiedziałeś?

- Zapytałem, co zamierzasz.

- Nie słyszałeś? Cholera, tylko uratowałem jej życie, ni mniej, ni więcej. I zamierzam odwiedzić ją do domu, na łono rodziny. - Nie, wiedział, że to nie będzie takie proste. Trzeba będzie zająć się Trevorem. - Powiedziałeś, że ten Trevor jest mężem siostry Sabriny?

- Tak. Gdyby ktoś mnie pytał o zdanie, to powiedziałbym, że całe to małżeństwo to zwykłe przekupstwo. Elizabeth nie jest typem rozkosznej, uroczej kobiety. Gdy o niej pomyślę, mam ochotę wiać, gdzie pieprz rośnie.

- Czy Sabrina ma ciotkę w Londynie?

- Oczywiście. To lady Barresford. Byłeś u niej kilkakrotnie na wieczorkach towarzyskich, prawda?

Ciotka Sabriny, żona kupca. Phillip bezwiednie pokiwał głową. Najwyraźniej zamierzała uciec

do ciotki i tam szukać schronienia. Teraz przynajmniej Charles powiedział mu tyle, że resztę będzie sam mógł z niej wyciągnąć. I dopiero wtedy, pomyślał Phillip, zdecyduje, co dalej.

- Więc wciąż twierdzisz, że jej nie skompromitowałeś?

- Nie, nie skompromitowałem jej i nie mogę uwierzyć, że uratowanie życia tej cholernej dziewczynie stawia mnie w roli największego łajdaka w tej całej farsie. Nie mów mi, że kiedykolwiek chciałeś uwieść kobietę, która była tak zmarznięta, że szczykała zębami.

- Nie, ale ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie jestem kobieciarzem. Nie mam pojęcia o sytuacjach, w których pożądanie mogły ciebie doprowadzić na skraj szaleństwa.

- Och, zamilcz wreszcie.

- Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie, to ja ci wierzę. Nigdy mnie nie okłamałeś, no może tylko wtedy, gdy byliśmy jeszcze małymi chłopcami. Ale nikt inny ci nie uwierzy. Gdy tylko ludzie dowiedzą się, że Sabrina była tu z tobą, czeka ją towarzyski ostracyzm i wykluczenie.

Charles miał rację, a Phillipowi bardzo się to nie podobało. Nie był aż tak złym człowiekiem; nikogo nigdy nie skrzywdził i rzadko za wszelką cenę robił to, na co naprawdę miał ochotę.

- Cieszę się tak fatalną reputacją?

- Fatalną? Tak, myślę, że można tak to określić. To dziwne, ale wiesz doskonale, że ty z tej całej historii wyjdiesz bez najmniejszego uszczerbku. Ale Sabrina? O, nie. To dziwne, jak zachowuje się i myśli śmietanka towarzyska, prawda?

Phillip poczuł ogarniający go gniew. To prawda, pożądał jej. Na miłość boską, jest przecież normalnym mężczyzną. Ale jest też człowiekiem honoru; nie wykorzystał jej. Pewna intymność, która pojawiła się między nimi, została wymuszona okolicznościami i jej chorobą. Pomyślał o Martine, swojej kochance. O Boże, gdyby został w Londynie i spędzał długie leniwe godziny w jej łóżku, nic złego by się nie stało. Ale cóż, stało się. Sabrina pojawiła się w jego życiu.

Nie widział najmniejszej nadziei na rozsądne wyjście z tej sytuacji, Charles ma rację w tej kwestii. Phillip zabrał się do wyrabiania ciasta. Charles ma rację, to nie budziło wątpliwości; nawarzył piwa, które musi teraz wypić.

- Jak sądzę, nie ma sposobu, by całą tę sprawę jakoś zatuszować?

- Nie wiem, jak można by to zrobić, skoro zniknięcie twoje i Sabriny postawiło na nogi całe hrabstwo. To musi wyjść na jaw. No i nie zapominaj o Richardzie Clarendonie.

Phillip wstał i bez litości ugniatał ciasto. Popatrzył na ręce obsypane mąką i mimo wszystko się uśmiechnął. Powtórzył Charlesowi te same słowa, których użył, rozmawiając z Sabriną:

- Nic złego jej nie zrobiłem, sam wiesz. Porozmawiam z Richardem, może mi uwierzy. I może wciąż będzie chciał ją poślubić. Jest markizem, a to z pewnością znaczy więcej niż jakiś żalony wicehrabia.

- Tak, oczywiście porozmawiaj z Richardem. Ale nie liczyłbym, że poklepie cię po plecach, z wdzięczności ucałuje w oba policzki i powie, że uważa cię niemal za tak świętego, że mógłbyś zostać księdzem. Nie, Phillipie, przykro mi, ale myślę, że powinieneś być przygotowany na wszelkie ewentualności. Zresztą, i tak już czas, żebyś się ożenił. Potrzebujesz dziedzica. Nawet Rohan Carrington jest żonaty. Teraz twoja kolej.

Phillip zaklął siarczyście.

- Ślub z Sabriną to właściwa rzecz, honorowa. Tak właśnie powinieneś postąpić, ożenić się z nią

- dodał Charles.

- Przeklęty honor! - Phillip pięścią uderzył w ciasto.

- Nie można przekląć honoru. Ani go zszargać. Elaine zszargała mój honor, pomyślał gorzko Phillip. Jego myśli poszybowały ku wszystkim tym latom, które spędził sam, gdy troszczył się tylko o własne przyjemności.

- Myślę, że masz rację - powiedział powoli. - Ktoś musi się nią zająć. Mam nieodparte wrażenie, że pozostawiona sama sobie, Sabrina Eversleigh natychmiast wpakuje się w kolejne kłopoty. A ja przynajmniej mogę trzymać ją krótko.

Ku zaskoczeniu Phillipa Charles się roześmiał. Phillip uniósł brew.

- Jestem osiem lat starszy, poradzę sobie z nią.

- Phillipie, znasz ją niecały tydzień, w dodatku ciężko chorą. Musisz zapytać Margaret o wszystkie psoty w wykonaniu Sabriny, których była świadkiem w ciągu ostatnich kilku lat. Tak, myślę, że odezwałeś się za szybko. Phillipie, Sabrina to nie potulna owieczka.

Phillip pomyślał o jej przerażającym pomysle ucieczki ubiegłej nocy.

- Będzie mi posłuszna. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Phillip uformował dwa zgrabne bochenki i wsunął je do pieca.

- Mam nadzieję, Charlesie, że zjesz ze mną obiad. Musimy zdecydować co dalej. A Sabrinę poinformujemy o naszej decyzji, gdy się obudzi.

ROZDZIAŁ 18

Charles nie przyjął zaproszenia na obiad z wicehrabią. Obaj zgodnie stwierdzili, że należy natychmiast poinformować o wszystkim dziadka Sabriny i zaprzestać poszukiwań. Jakies dwie godziny później Phillip usłyszał ruch na piętrze, co oznaczało, że się obudziła. Przygotował tacę i ruszył na górę, do sypialni.

Nie wiedział, nad czym losem rozpaczać bardziej: swoim czy Sabriny. Oboje wpadli w pułapkę etykiety. Nie widział wyjścia z tej sytuacji. Chciał dobrze, zboczył z obranego kursu i dorobił się żony. Żony.

Nie chciał mieć żony. Był zbyt młody, zbyt przywiązany do możliwości robienia tego, na co ma ochotę i wtedy, kiedy ją ma. Szlag go trafiał, gdy patrzył, jak Rohan Carrington jest zadowolony z tego, że się ożenił. Prawdę mówiąc, odczuwał też odrobinę zazdrości. Ale co innego poślubić kobietę z własnej woli, a co innego być do tego zmuszonym. Tak czy inaczej, nie miał wyboru. Nie był łotrem. Tak długo, jak miał na to wpływ, nie dopuści do zrujnowania reputacji młodej damy.

Zanim dotarł do sypialni, z grubsza pogodził się z konsekwencjami swojego dobrego uczynku. Sabrina Mercerault, wicehrabiną Derencourt. Właściwie dlaczego nie miałby jej poślubić, była całkiem niezłą kandydatką. Niezwykle, fiołkowe oczy wyglądały uroczo. Podobnie jak reszta Sabriny, którą mógł podziwiać w całej okazałości.

Właściwie bardziej intrygowała go reakcja Sabriny na wieść, że ją zidentyfikował. Uparta wiedźma z niej. Po namyśle stwierdził, że nie przeszkadza mu jej upór; to absolutnie nieszkodliwa cecha u żony, o ile oczywiście się ją opanuje. Z całą pewnością Sabrina nie jest najgorszą kandydatką na żonę, jaka mogła mu się trafić, a już na pewno jest dużo lepsza od Elaine, bez dwóch zdań, przynajmniej o to się w duchu modlił. Sabrina była pełna wdzięku, a do tego bystra. Niewielu mężczyznom dane było poznać swoje przyszłe małżonki tak dobrze, jak to się zdarzyło Phillipowi. Tak, wszystko będzie dobrze. Ślub odbędzie się jak najszybciej.

Wszedł do sypialni. Nie odwróciła się w jego stronę, patrzyła w okno. Jasne, popołudniowe słońce wlewało się do pomieszczenia, w świetle jej rudobrazowe włosy stworzyły ognistą aureolę dookoła twarzy.

Już po ślubie, kiedy niebezpieczeństwo zostanie zażegnane, powie jej, że nie ma najmniejszego zamiaru zmieniać swojego życia. Z pewnością to zrozumie. W ich sytuacji to nie małżeństwo z miłości, ale z rozsądku. Cóż, wszystko będzie po staremu, a Sabrina zaakceptuje swoją rolę u jego boku i w towarzystwie. Poradzi sobie.

Odwróciła się od okna. Zamknęła oczy i zmarszczyła nos.

- Tak, poczułam chleb wicehrabiego. Wszystko mi jedno, może być płaski jak moja dłoń. Nie będę wybrzydzać, zjem wszystko.

Phillip uśmiechnął się do niej, jego wzrok był zupełnie inny niż dotychczas. Położył tacę na łóżku.

- Przyniosłem cały bochenek.

Na tacy była zupa, miseczka miodu i chleb, który Sabrina pochłaniała w zawrotnym tempie. To

jej dobrze zrobi, jest taka chuda. Kiedy zabierze ją do Dinwitty Manor, kucharz zacznie się jej przyglądać z tym swoim fanatyzmem w oczach i wtedy Sabrina będzie musiała mieć się na baczności. Phillip, zawsze kiedy odwiedza swoją wiejską posiadłość, musi uważać, inaczej w ciągu tygodnia spasłby się jak wieprz.

- Jedz, ile zechcesz, potrzebujesz tego, ale pamiętaj, że nie chcę mieć grubej żony.

Przestała żuć. Spojrzała na niego, potrząsnęła głową i wróciła do przeżuwania. Przełknęła, zakrztusiła się i w okamgnieniu opróżniła szklanekę wody, która jeszcze przed chwilą stała na tacy. Przetarła oczy i spojrzała na niego hardo. Przechyliła głowę lekko na bok.

- Przepraszam, Phillipie, ale musiało zajść jakieś nieporozumienie. Co powiedziałaś? Gdybyś mógł to powtórzyć raz jeszcze, rozwiałbyś moje wątpliwości i wyprowadził z błędu.

- Zostaniesz lady Sabriną.

- Mówiłam ci już, że mi się to nie podoba.

- Cóż, dobrze. Jeszcze przez jakiś czas wszystko zostanie po staremu.

Usiadł obok i ujął jej dłonie. Palce miała lepkie od miodu.

- Sabrino, wyjdiesz za mnie? Czy zostaniesz moją żoną? Znamy się całe pięć dni. Byłoby nam dobrze. Co ty na to?

- Za ciebie? Za męża? - powtórzyła, nie spuszczać wzroku z Phillipa.

- Tak. Posłuchaj, właściwie wiemy o sobie całkiem sporo. Spieraliśmy się jedynie wtedy, kiedy nie chciałaś się przede mną otworzyć, ale to się zmieni. Musisz mi zaufać, powierzyć mi wszystkie swoje myśli. Czy sądzisz, że potrafisz?

- Ty nie wiesz, co mówisz. Dlaczego niby chcesz to zrobić? Dlaczego chcesz mnie poślubić? Przecież mnie w ogóle nie znasz. Nie masz żadnego pojęcia, kim jestem, jaka jestem ani...

- Wiem wystarczająco dużo. Więc jak, wyjdiesz za mnie?

Bacznie obserwowała Phillipa, próbując dociec, dlaczego właściwie się decyduje na taki krok. Przecież to nie ma sensu. Oczywiście momentalnie zrozumiała, że taki obrót spraw rozwiązałby wszystkie jej kłopoty. Uwolniłaby się od Trevora, a tym samym i od Elizabeth. Mogłaby odwiedzać dziadka, bez obaw, że któreś z nich wyrządzi jej krzywdę. Nie musiałaby jechać do ciotki Barresford, którą Elizabeth ośmieliła się nazwać starą suką. Dlaczego on chce to zrobić? To zupełnie pozbawione sensu. Powiedziała głośno:

- Nie, Phillipie, nie ma mowy, nie wyjdę za ciebie. Bądź tak miły i powiedz mi, dlaczego w ogóle prosisz mnie o rękę? Ach, tak, rozumiem, Boże! Wszystko jasne. Widocznie jeszcze się nie otrząsnęłam ze snu. Przepraszam, że tak długo mi to zajęło. Ty po prostu chcesz mnie chronić, ale zapewniam cię, że nie ma takiej konieczności.

- Trzeba cię bardziej chronić niż Dorkus, moją kulawą kotkę.

- A dlaczego ona kuleje?

- Nie o to chodzi. Zapomnij, że to w ogóle powiedziałem. Zresztą jakieś pięć lat temu poszła do kociego nieba. Zdażyła dobić dwudziestki, zanim odeszła. A może wolałabyś raczej Richarda Clarendona? W końcu on jest przecież markizem, a co za tym idzie, jest niewątpliwie bogatszy ode mnie.

- Richarda? - powtórzyła bez wyrazu. - Richarda Clarendona? Oczywiście, że nie. Ledwie go znam, choć istotnie, w lecie dosyć często nas odwiedzał.

Głos Sabriny załamał się tak nagle, że nawet ją samą musiało to zaskoczyć.

- Ależ to zupełnie nie o to chodzi, prawda? Skąd wiesz o Richardzie?

- Był tu Charles Askbridge. Bardzo powoli skinęła głową i oderwała kolejny kawałek chleba. Czyli Phillip wie wszystko.

- Tak, teraz widzę wszystko czarno na białym. To Charlie, napomknąwszy o Clarendonie, przypomniał mi, dlaczego nazwisko Eversleigh wydawało mi się takie znajome. Myślałem, że chodziło o twojego ojca, ale to nie to. Jakieś trzy miesiące temu, w Londynie, Richard sam mi powiedział, że chce cię zdobyć, czekał tylko, aż skończysz osiemnaście lat. Wspomniałem o nim, bo chciałem się przekonać, czy żywisz wobec niego jakieś silniejsze uczucia. Gdyby tak było, to po prostu poślubiłabyś wtedy jego, a nie mnie.

Wstał i usiadł na krześle obok łóżka, na krześle, do którego bardzo się przyzwyczyił przez ostatnie pięć dni.

- Tak, teraz już chyba wszystko rozumiesz. Biedny Charles, gdybyś widziała jego minę, kiedy tu wszedł i zobaczył mnie, jak trzymam cię, śpiącą, w ramionach, jak się w niego wpatruję i gotów jestem skoczyć mu do gardła.

- Dlaczego?

- Dlaczego się tu pojawił? Stróż się przeraził, że jacyś włóczędzy włamali się do domku, i Charles przybył zobaczyć, co się tu dzieje. O ile moim widokiem nie był szczególnie zaskoczony, to zobaczywszy ciebie, doznał takiego szoku, że zaniemówił na dobre trzy minuty. Jak na Charlesa to doprawdy rekord. Krótko mówiąc, Charles udał się do twojego dziadka, by poinformować go, że jesteś cała i zdrowa, oraz sprowadzić powóz, który zabierze nas do Monmouth Abbey. Sabrina była bledsza niż ściana.

- Nie, Phillipie. Nie mogę tam wrócić, nie mogę. Nie wrócę tam. Nie zmusisz mnie do tego, nie możesz tego zrobić.

- Najwyższy czas, żebyś opowiedziała mi dokładnie, co się tam naprawdę wydarzyło. Czas, żebyś mi opowiedziała o Trevorze, Elizabeth, i dlaczego twój dziadek nie mógł cię ochronić.

Wiedział już dobrze o wszystkim, ale chciał to usłyszeć od Sabriny, z jej ust.

- Nie ma potrzeby, żebym ci cokolwiek mówiła.

- Zaufanie to bardzo ważna sprawa, Sabrino. Domagam się, żebyś obdarzyła mnie zaufaniem. Owszem, wiem, że Trevor jest bratankiem i spadkobiercą twojego dziadka oraz mężem twojej starszej siostry, Elizabeth. Chciałbym teraz poznać resztę historii. Żebym mógł cię chronić, muszę poznać całą prawdę.

- Naprawdę myślałam, że Elizabeth będzie szczęśliwa.

Phillip milczał. Nie ponaglał jej, założył tylko ręce na kolana i czekał. Spojrzała mu prosto w twarz.

- Trevor próbował mnie zgwałcić, ale o tym wiesz.

- Tak, wiem. Najważniejsze, że mu się to nie udało, a teraz czekam na resztę.

- Kiedy po raz pierwszy pojawił się w Monmouth Abbey, nie pomyślałam o nim nic złego. Według mnie był czarujący, naprawdę troszczył się o Elizabeth. Dla niej zostać panią na włościach Monmouth Abbey to była najważniejsza rzecz w życiu. Najpierw snuła się wokół bez celu, ale potem, gdy wiedziała, że wychodzi za męża, była taka radosna. Niestety, nikt z nas go nie przejrzał. Nie dostrzegliśmy, co kryje się za jego piękną buzią i nienagannymi, dystygowanymi manierami.

Przerwała na moment. To dziwne, ale już myśląc o nim, dobierając słowa, żeby go opisać, czuła strach; niewiele było trzeba.

- To dziwne. Jest bardzo przystojny, szczupły, pełen gracji, ale jakiś taki delikatny, przypomina

raczej kobietę. A tak naprawdę jest brutalny i okrutny. Sprawia wrażenie, jakby zadawanie bólu przynosiło mu rozkosz. Zaskoczył mnie w galerii, z dala od rodziny i służących. I udałoby mu się mnie zgwałcić, gdyby się zanadto nie podniecił i w ten sposób na jakiś czas unieszkodliwił.

- To znaczy, że on...

- Tak, chyba wiesz, co mam na myśli. Miał wielką plamę na bryczesach, brakowało mu tchu i nagle całkiem opadł z sił.

Dzięki Bogu, drań nie panował nad sobą.

- Rozumiem. Mów, co było dalej.

- Zraniłam go, ale niezbyt dotkliwie. Już po tym, jak, cóż... osłabł. I wtedy uciekłam.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że zdjęłaś obraz ze ściany i uderzyłaś go ramą?

- Nie. Żałuję, że wtedy o tym nie pomyślałam, ale zbyt się bałam. Stchórzyłam.

- Nie, nie stchórzyłaś. Byłaś przerażona. To zrozumiałe.

Przepełniał go gniew, ale wiedział, że pokazując jej to, wcale by nie pomógł. Z trudem panował nad głosem.

- Cóż zatem takiego zrobiłaś?

- Poszłam do Elizabeth i opowiedziałam jej, czego dopuścił się Trevor. Mogłam to nawet udowodnić. Bił mnie przecież po twarzy, raz za razem. Wyglądałam koszmarnie. Nie było mowy, by mogła mi nie uwierzyć. Ale jednak odmówiła pomocy. Wtedy rozumiałam, że od zawsze mnie nienawidziła.

Zazdrosna, pomyślał Phillip. Co za dziwka! Była tak zazdrosna, że kryła tego drania, zamiast zaopiekować się młodszą siostrą. Gniew brał górę nad rozsądkiem; Phillip spuścił wzrok. Jego oczy pałały żądzą mordy, a to było ostatnie pragnienie, jakie należałoby pokazać Sabine.

- Elizabeth zagroziła, że jeśli pójdę z tą absurdalną historią do dziadka, ona przysięgnie przed nim, że to ja próbowałam uwieść Trevora. Stwierdziła, że miałabym głosy ich dwojga przeciw swojemu, a Trevor jest przecież spadkobiercą dziadka. Potem uświadomiła mi, że taki skandal mógłby wpędzić dziadka do grobu i byłaby to wyłącznie moja wina. Wtedy dotarło do mnie, że nie mogę tam zostać ani chwili dłużej. Wcześniej Trevor powiedział, że przyjdzie do mojej sypialni i lepiej, żebym na noc nie zamykała drzwi. Nikt by go nie zatrzymał, a już na pewno nie jego żona. Nie mogłam tam zostać. Musiałam chronić dziadka i samą siebie.

Podniosła na niego zachmurzone oczy.

- Powinnaś była tam wrócić, kiedy koń okulał, ale nie mogłam, po prostu nie mogłam tego zrobić. Wtedy jeszcze nie padało. Pomyślałam, że zdążę do Borhamwood akurat w porę, żeby złapać dylżans do Londynu. Zgubiłam się, a potem zachorowałam od mrozu. Ty mnie znalazłeś.

Co za bolesna opowieść, pomyślał, patrząc w dół, na jej dłonie.

- Kiedy wrócisz do Monmouth Abbey, nie będziesz osamotniona. Będę tam z tobą. Masz oczywiście świadomość, że zamierzam zabić Trevora.

- Tak, to właśnie jeden z powodów, dla których nie chciałam, żebyś cokolwiek wiedział. Zrozum, Phillipie. On jest przyszłym hrabią Monmouth. Jest jedynym męskim spadkobiercą, który mógłby dziedziczyć ten tytuł. Nie możesz go zabić. Błagam, obiecaj mi, że tego nie zrobisz.

- Właśnie na to ostrzyłem sobie zęby - powiedział. Następnie wyciągnął rękę do Sabriny i ujął jej dłoń. - Obiecuję, ale to nie będzie łatwe. Kiedy tam dotrzemy, będę cały czas przy tobie. Nie spuszczę cię z oka. Jeśli zgodzisz się zostać moją żoną, wyswobodzę cię z tego trójkąta w ciągu tygodnia.

- Zgodzę się zostać twoją żoną? O nie, tego nie zrobię, nigdy. To nie byłoby w porządku, to niehonorowo. Jestem ci wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiłeś, za to, że uratowałeś mi życie. Strzegłeś mnie i się mną opiekowałeś. Nie chcę wracać do Monmouth Abbey. Proszę cię o jeszcze jedną przysługę. Czy mógłbyś odprowadzić mnie do Borhamwood, a stamtąd pojechałabym dyliżansem do Londynu, do ciotki Barresford? To jedyne rozwiązanie, najlepsze. Proszę cię o przysługę, bo przecież nie jesteś mi nic winien.

ROZDZIAŁ 19

Phillip odsunął się i puścił dłoń Sabriny. Co to ma znaczyć? Nie chce za niego wyjść? Czy jest aż taką ignorantką, że naprawdę nie rozumie, że już nigdy nie będzie tym, kim była, a mianowicie niezamężną kobietą o nieposzlakowanej opinii? Zrozumiał, że musi jej to uświadomić.

- Posłuchaj mnie, Sabrino. To bardzo poważna sprawa. Mimo że nie jesteś tego do końca świadoma, spędziłaś tu niemal tydzień w towarzystwie mężczyzny, który nie jest uznawany za poważnie myślącego o życiu. Tak naprawdę uważa się mnie za człowieka uganiającego się za każdą kobietą, która mu na to pozwoli. - Sabrina wpatrywała się w Phillipa, jakby nagle na twarzy wyrósł mu drugi nos. - Przykro mi, ale to prawda. Przypuszczam, że znalazłoby się parę osób, które nazwałyby mnie hulaką, a inni pewnie kobieciarzem. W gruncie rzeczy nie jestem aż tak złym człowiekiem, ale taką mam reputację - tak postrzega mnie świat, takim mnie zna i takim mnie akceptuje. Nawet jeśli pojedziesz do Londynu, do ciotki Barresford, twoja reputacja legnie w gruzach; nikt nie zaprosi cię na żaden bal, będziesz wyrzutkiem. Najlepszym rozwiązaniem, prawdę mówiąc jedynym rozwiązaniem, jest ślub ze mną. I to szybki.

Phillip czekał, by zobaczyć w jej oczach, że rozumie, w jakim kłopotliwym położeniu się znalazła; zamiast tego zobaczył nieco pogardliwy uśmiech.

- To naprawdę bardzo hojna propozycja z twojej strony. Chcesz się dla mnie poświęcić, ale ja nie zamierzam ci na to pozwolić. Charles próbuje grać rolę Pana Boga. A ja nie mam zamiaru pozwolić ci wziąć na barki takiego ciężaru jak ja. Prawdę powiedziawszy, gdybym na to pozwoliła, okazałabym się kobietą zupełnie pozbawioną honoru. Powtarzam więc, że moja odpowiedź brzmi: nie.

- Sabrino, nie bądź głupia. Nie zgadzam się na taką odpowiedź. Sama rozumiesz, co się stało, ale odmawiasz mi tylko dlatego, że chcesz mi się przeciwstawić. Jestem aż tak złym kandydatem na męża? Nie lubisz mnie nic a nic? - Sabrina patrzyła na niego, kręcąc przecząco głową, a Phillip ciągnął cichym, stanowczym głosem: - Nawet gdybyś wołała Clarendona, pozwól, że ci uświadomię, że to bardzo wątpliwe, by i on wciąż chciał się z tobą ożenić.

- Dlaczego?

- Bo będziesz uznana za zhańbioną, to jasne jak słońce. Zaakceptuj to i wyjdź za mnie.

Sabrina uniosła się na łóżku i pogroziła mu pięścią.

- Wy, mężczyźni, żalosne kreatury, chcecie mieć podwójne standardy w życiu. Jedne reguły są dla was, honorowych i odważnych mężczyzn, drugie dla bezbronnych kobiet, którymi albo gardzicie, albo chcecie je chronić, zależnie, jak wam w danym momencie wygodnie. I powiem ci, że ja nie mam zamiaru się temu poddać i być jak piłeczka, którą między sobą odbijacie. Możesz, mój drogi, iść do diabła. O tak, i weź ze sobą Clarendona. Pomyśleć, że może mnie już nie chceć, dlatego że spędziłam tu z tobą pięć dni. Zhańbiona! To naprawdę mnie rozwścieczyło, Phillipie! - Sabrina rzuciła w Phillipa poduszką, a potem opadła na łóżko, dysząc z wściekłości.

Phillip pomyślał, zupełnie bez związku z tym, o czym rozmawiał z Sabriną, że nie powinien

dawać jej tyle chleba. Nie był na nią jakoś szczególnie zły, tym bardziej że widział w jej rozumowaniu pewną logikę. Zamilkł na chwilę; martwił się, czy Sabrina znów się nie rozchoruje. Odezwał się dopiero po chwili:

- Proszę, uspokój się. Przepraszam. Nie chciałem rozmawiać o Clarendonie, ale chciałem, żebyś zrozumiała, że teraz wszystko się zmieniło. Twoje życie już nigdy nie będzie takie samo. Uwierz mi, Sabrino, najlepszym rozwiązaniem dla ciebie, a tak naprawdę jedynym rozwiązaniem w ogóle jest przyjęcie moich oświadczeń.

Sabrina ze znużeniem pokręciła głową.

- Rozstańmy się jak przyjaciele, Phillipie. Nie chcę małżeństwa bez miłości. I nie chodzi tu ani o ciebie, ani o Richarda. Chodzi o mnie i o to, że wiem, że potrzebuję miłości, by przeżyć życie tak, bym była z niego choć odrobinę zadowolona.

Phillipa coraz bardziej męczyła porażka, jaką odniósł w tej rozmowie i brak logiki w argumentach, których używał. Dlaczego więc nie spróbować czegoś zgoła innego, czego Sabrina zupełnie się nie spodziewa? Pochylił się, kładąc dłoń na jej ramieniu.

- Może - zaczął cichym, gardłowym głosem - powinienem teraz cię pojąć. Wszyscy i tak myślą, że już to się stało, skoro wiadomo, że jesteś tu ze mną. I uwierz mi, Sabrino, że nie przeszkadza mi, że w tej chwili doświadczasz kobiecej przypadłości.

Sabrinie odebrało mowę; milczała przez jakieś dwie sekundy, a potem z całej siły uderzyła go pięścią w dolną szczękę. Phillip gwałtownie odsunął się do tyłu, a Sabrina złapała go za ucho. Zabolalo; była naprawdę silna. Przetoczyła się niezgrabnie na drugą stronę łóżka i usiadła, owijając się kołdrą aż pod szyję.

Phillip zaklął, a potem przeczesał włosy.

- Przepraszam. Cholera, próbowałem po prostu ci to wszystko wyjaśnić. Chciałem, żebyś zobaczyła, jak naprawdę to wszystko wygląda. Przepraszam - powtórzył. - Nie jestem złym człowiekiem, wiesz o tym. Nie jestem Trevorem; nie mówiłem serio. Posłuchaj, Sabrino. Dobrze się rozumiemy i na pewno nam się uda. Nie możesz mi zaufać?

Nie odezwała się, przesunęła się jednak z powrotem na środek łóżka.

- Zrobiłem coś innego - odezwał się Phillip, bo Sabrina, siedząc na łóżku, milczała i patrzyła daleko przed siebie, jakby jego obecność przynosiła jej ból. - Razem z Charlesem zdecydowaliśmy, co trzeba zrobić. W tej właśnie chwili Charles rozmawia z twoim dziadkiem, informując go, że jesteś bezpieczna. Mówi mu, że również twoja reputacja nie jest zagrożona, bowiem ty i ja się pobierzemy. Gdy następnym razem zobaczysz się z rodziną, będziesz już moją narzeczoną.

- Phillipie, nie jestem kobietą upadłą. Po prostu byłam bardzo chora. Czy to w jakiś sposób czyni mnie niemoralną? Nie żałuję, że mnie znalazłeś, bo przecież uratowałeś mi życie. Naprawdę sądzisz, że mogłabym pozwolić, byś zapłacił taką cenę za swoją dobroć? Dostyc już tego, wystarczy rozmów na ten temat. Możesz zawieźć mnie do Borhamwood?

Patrzył na nią; nie wiedział, co ma powiedzieć. Wiedział, że nie może jej porwać i siłą zaciągnąć do ołtarza. Cóż, oczywiście mógłby to zrobić, ale wymagałoby to wiele zachodu, a szczerze powiedziawszy, był tym już bardzo zmęczony. Jasna cholera, co ma teraz zrobić?

Spojrzał w stronę okna, zza którego dochodziło rżenie koni i chrzęst kół powozu zatrzymującego się przed myśliwskim domkiem. Sabrina pobladała.

- Pora na nas, Sabrino.

Phillip odwrócił się, unosząc brwi; Sabrina pokręciła głową. Ruszył do drzwi i ani razu nie

obejrząwszy się za siebie, wyszedł.

Przy frontowych drzwiach spotkał Charlesa; zauważył, że powóz, którym przyjechał, nie ma na drzwiach herbu hrabiego.

- To mój powóz - wyjaśnił Charles. - Chodźmy do saloniku, Phillipie; mamy teraz zupełnie nowy problem, z którym musimy jakoś sobie poradzić.

Phillip zamknął usta, jakby tym gestem obiecywał dyskrecję, i obaj weszli do saloniku.

- No i? Nie każ mi czekać. Mów, co się stało.

- Hrabia Monmouth miał wylew. Lekarz nie pozwala nikomu się z nim widzieć. Jak mnie zapewnił, przekaże hrabiemu, że Sabrina jest bezpieczna, cała i zdrowa, ale obawia się, że starszy pan może nie zrozumieć, co się do niego mówi.

- Rozumiem - odparł Phillip i naprawdę rozumiał całą sytuację. - Teraz Trevor jest tam panem.

- Tak, Trevor i Elizabeth. Zapewne cię zainteresuje, że Elizabeth odwołała już poszukiwania Sabriny. Jeśli mam być szczery, to ze spojrzeń, jakie Elizabeth i Trevor wymieniali, wywnioskowałem, iż mają nadzieję, że Sabrina nie żyje. Naprawdę trudno mi w to uwierzyć. Elizabeth nigdy nie była zbyt sympatyczną osobą, ale teraz postrzegam ją jako zimną i wyrachowaną.

- Ale, Charlie, dlaczego przyjechałeś swoim powozem?

- To jeszcze nie wszystko. Gdy powiedziałem Elizabeth, że Sabrina jest bezpieczna, zaczęła mnie pośpiesznie wypytywać. Myślałem o tym, co powiedziała mi Sabrina, dlaczego uciekła. Powiedziałem Elizabeth, że nie znam szczegółów, ale że Sabrina najprawdopodobniej rozmawiała o tym z tobą. Widziałem, jak znacząco zerka na męża, a potem oboje pośpiesznie zaczęli wyjaśniać, że Sabrina opuściła Monmouth Abbey dlatego, że próbowała uwieść Trevora, a on ją odtrącił. Byli zaskoczeni, gdy zniknęła, ale uznali, że wstydziła się tak bardzo, że nie mogła tam dłużej zostać.

- Charles niespokojnym gestem przeczesał włosy.

- Wiesz doskonale, że tę ich bzdurną wersję zdarzeń będą opowiadali każdemu w Yorkshire, kto tylko zechce ich słuchać. W każdym razie potem Elizabeth powiedziała mi najbardziej lodowatym głosem, jaki w życiu słyszałem, że będzie jej trudno wybaczyć siostrze to, co zrobiła. Zaoferowała, że przyjmą ją pod swój dach, ale wtedy zrozumiałem, że nie możemy na to pozwolić.

- A co na to wszystko powiedział Trevor?

- Jego słowa to ostatni gwóźdź do trumny. Otóż powiedział mi, że wybaczył Sabrinie, że w istocie chciałby, aby wróciła, jak również powiedział mi, że sam się nią zaopiekuje, że chce, by znów tu była, że za nią tęskni. Zapewniał mnie, że kocha swoją małą szwagierkę i zawsze będzie o nią dbał. Skóra mi cierpła, gdy tego słuchałem. W pewnej chwili miałem wrażenie, że Elizabeth zaraz rzuci mu się do gardła.

- Niech oboje idą do diabła! Nikt z pewnością nie uwierzyłby w takie bzdury, a szczególnie ktoś, kto całe życie zna Sabrinę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie powie o niej nic innego, jak to, że jest uosobieniem niewinności i słodyczy... - Phillip urwał. Ku zaskoczeniu Charlesa na policzkach przyjaciela pojawiły się rumieńce, które podkreślały regularne rysy jego twarzy. - Jak już wspominałem, po wielu moich namowach i podchodach Sabrina wreszcie mi wyznała, że Trevor próbował ją zgwałcić, a jej ukochana siostrzyczka wzięła jego stronę, występując przeciwko Sabrinie i nie wierząc jej. I mówię ci, Charlesie, to właśnie dlatego Sabrina uciekła z domu. Znam ją zaledwie od pięciu dni, ale wiem, że nie potrafiłaby skłamać.

- Masz rację co do opinii Sabriny wśród sąsiadów. Jest znana i lubiana. Nikt by nie uwierzył, że próbowała uwieść męża Elizabeth, i to wcale nie dlatego, że sąsiedzi są tacy szlachetni, ale wiedzą,

że Richard Clarendon chciał się z nią ożenić. Wybór między Trevorem a Richardem uznaliby za oczywisty.

- Niewielkie to pocieszenie - odparł Phillip i popatrzył przyjacielowi w oczy. - Sabrina za mnie nie wyjdzie. Nie pozwoli, bym się dla niej poświęcał, jak się wyraziła. Próbowałem wszystkiego, ale jest nieugięta. Wiesz, Charlesie, to dziwne, ale próbując wyciągnąć ją z kłopotów, zapomniałem o własnych.

- Nie, nie mogę w to uwierzyć. Nie chce za ciebie wyjść? Phillipie, to niemożliwe. Zaczekaj, jest jeszcze Clarendon. Wolaliby wyjść za Richarda?

- Nie, jego też nie chce. Powiedziała mi, że ledwie go zna; nic dla niej nie znaczy. Posłuchaj, Charlie, nie mogę jej do niczego zmusić. Chcesz ją zabrać do Moreland?

- Tak. Jedyne problem to ten, że wciąż jest tam większość moich gości. Oczywiście Margaret będzie zachwycona, widząc Sabrinę, i najprawdopodobniej zacznie nalegać, byśmy się nią zaopiekowali. Phillipie, skoro już wróciłeś do cywilizowanego świata, musisz nam oddać swoją pacjentkę.

- Zyskamy na czasie, jeśli Sabrina zostanie w Moreland. Ale będzie trudno ją do tego przekonać.

- Nie ma takiej potrzeby.

Obaj mężczyźni odwrócili się gwałtownie. Sabrina stała w drzwiach; włosy luźno opadały jej na ramiona i plecy, a pod ich ciężarem zbyt duża nocna koszula przylegała do ciała. Miała cienie pod oczami; była zbyt blada i zbyt chuda. Wyglądała, jakby balansowała na krawędzi życia i śmierci.

- Ach, Sabrino... - Phillip szybko ruszył w jej stronę z rękoma wyciągniętymi przed siebie.

- Miło znów cię widzieć, Charlie. Szkoda tylko, że w tak nieprzyjemnych okolicznościach.

Charles wpatrywał się w Sabrinę, nie mógł nad sobą zapanować. Wyglądała strasznie. Poczul dziwny ucisk w żołądku.

- Sabrino, jesteś chora.

- Charlie, czy dziadek wyzdrowieje? Charles wiedział, że nie może jej okłamywać.

- Jego lekarz mówi, że sam nie wie. Przykro mi, Sabrino.

- To wszystko moja wina - powiedziała bardziej do siebie niż do Phillipa czy Charlesa. - Gdybym nie uciekła, nie martwiłby się o mnie. Myślał, że nie żyję. Ponoszę odpowiedzialność za wszystko, co się stało. Za wszystko!

Sabrina popatrzyła na Phillipa, na jego ręce, które wciąż trzymał wyciągnięte w jej stronę. Upadła tam, gdzie stała, a koszula nocna owinęła się wokół niej jak rozwinięty zielony wachlarz.

ROZDZIAŁ 20

Phillip patrzył na zachodnie zbocze Moreland porośnięte trawą. Obserwował, jak kładą się szare cienie, jak dzień przechodzi w noc. Z zamyślenia wyrwał go gniewny głos Richarda Clarendona.

- Niech to wszyscy diabli! - Richard rozmawiał z Charlesem, a jego ciemne oczy stopniowo zaczynały przypominać otchłań bez dna, jednocześnie coraz wyraźniej marszczył czoło. - Czy przysięgasz, że powiedziałeś mi o wszystkim? W porządku, wierzę ci. Właduję kulkę w tego beczelnego łajdaka, i to natychmiast.

Richard wkładał rękawiczki. Phillip obserwował go i pomyślał, że co jak co, ale jedno jest pewne: podjąwszy raz decyzję - czy w gniewie, czy zupełnie na spokojnie - Richard nie zasypia gruszek w popiele.

- Richardzie - powiedział Phillip, odwracając się od okna - zaczekaj chwileczkę. Przykro mi, ale niestety hrabia nie czuje się na siłach, żeby poprzeć teraz Sabrinę. Jest zbyt chory, żeby spierać się z Elizabeth i Trevorem i ich wersją wydarzeń. A w tej sytuacji to kwestia ich słowa przeciw słowu Sabriny. Skoro to ona uciekła, w oczach ludzi jednoznacznie wina spada na nią, bo z pewnością nie na Elizabeth czy Trevora.

- Jak możesz być tak wyrachowanym draniem, Phillipie? Wiesz lepiej niż ja, że Sabrina nie ma pojęcia o uwodzeniu, nie uwiodłaby żadnego mężczyzny, a co dopiero tego fircyka, którego poznałem w Monmouth Abbey. Mój Boże, ciarki przechodzą mi po plecach, gdy pomyślę o tej jego delikatności i urodzie. - Niemal wstrząsnął się z odrazą.

- Pozwól, że skończę, Richardzie. Faktem jest, że Sabrina nie została zgwałcona. Poza tym istotnie obiecałem Sabrinie, że go nie zabiję, ale to ja jej to obiecałem, nie ty, więc ciebie nie wiążą żadne obietnice. Tylko zastanów się przez chwilę; poza Trevorem nie ma żadnego mężczyzny, który mógłby odziedziczyć tytuł po dziadku Sabriny. Bez Trevora linia rodu wygaśnie. Myślę, że wypadaloby się dobrze zastanowić, czy rzeczywiście powinieneś wysłać tego fircyka na tamten świat, zanim spłodzi on z Elizabeth syna.

Markiz się zamyślił. Powoli zaczął zdejmować z prawej dłoni elegancką, skórzaną rękawiczkę. Odezwał się, jakby ważąc każde słowo:

- To bardzo poważny argument, Phillipie, chyba mnie przekonałeś. Zabiję Trevora, kiedy Elizabeth powije spadkobiercę. Tak, to dobry plan. Byłbym głupcem, mówiąc mu, że zabiję go, kiedy spłodzi potomka. Nigdy nie poszedłby do łóżka ze swoją żoną, gdyby znał konsekwencje, jakie na niego czekają, gdy Elizabeth już urodzi. Tak, to będzie nasza tajemnica, tylko my trzej będziemy o tym wiedzieć.

- Zgadzam się - rzekł Phillip. - Ale kiedy nadejdzie właściwy czas, przedyskutujemy to raz jeszcze, dobrze, Richardzie? Nie będziesz przecież działał w pojedynkę.

- Nie - odrzekł markiz.

- Ale, Richardzie, zanim potomek przyjdzie na świat, może minąć dobre dziesięć lat. Przez ten czas świat może się zmienić nie do poznania. Obiecay mi to.

- Niech cię, Phillipie! No dobrze, obiecuję.

- I jeszcze jedna rzecz. - Tym razem odezwał się Charles. - Przecież nie chcesz uciekać do Europy z powodu zabicia tej gnidy. Twój ojciec pierwszy gotów byłby pójść i zabić tego drania za ciebie.

- Najprawdopodobniej twój ojciec wziąłby całą winę na siebie - dodał Phillip.

Obaj dobrze znali księcia Portsmouth i wiedzieli, że wprost uwielbia swojego syna i spadkobiercę. W jego oczach Richard nie mógł zrobić nic złego. Zarówno Phillip, jak i Charles zazdrościli mu takiego ojca.

- Mam jego błogosławieństwo - powiedział w końcu Richard. - No dobrze, jeśli postanowimy zabić tego drania po narodzinach dziedzica, będziemy musieli uczynić to w tajemnicy. Nie mam ochoty znaleźć się w sytuacji, w której będę musiał opuścić Anglię, a tym bardziej nie chcę, aby mój ojciec był w cokolwiek zamieszany. Macie rację, on by się w to zaangażował. Rzuciłby się wprost przed pluton egzekucyjny, żeby mnie ratować.

Odetchnął głęboko, po czym uderzył pięścią w stół tak, że jego nogi aż zadrżały.

- Ale irytuje mnie, że nie możemy się z nim rozprawić.

- Rozumiem, co masz na myśli - odparł Charles, podchodząc do kredensu, żeby nalać trzy szklaneczki brandy.

- Mam! - powiedział Phillip, łyknąwszy nieprzyzwoicie smacznego trunku, niewątpliwie przemyconego z Francji. - Wybiorę się tam i spuszczę łomot tej kanalii, nie będzie się mógł podnieść. Nie zabiję go jednak. Będę bardzo ostrożny, ale zrobię mu krzywdę. Chyba złamię mu nos. Kobiety będą miały dreszcze na jego widok.

- Świetny pomysł. - Charles trącił się z nim szklaneczką. - Słyszałem, że Trevor, choć świeżo po ślubie, już pozwala sobie ciągać do łóżka co ładniejsze służące z Monmouth Abbey. Tak, Phillipie, złam mu nos. Przetaw mu kości tak, żeby Trevor wyglądał jak gargulec.

- Nie - odezwał się Richard, opróżniwszy swoją szklaneczkę jednym haustem. - To ja mam ją poślubić, zatem to ja powinienem ją pomścić, nawet jeśli to jest plan Phillipa. Pozwól mi skorzystać z twojego planu, Phillipie, a w ciągu godziny rozkwaszę nos tego padalca.

- Ona za ciebie nie wyjdzie, Richardzie, więc pozwolę sobie zatrzymać mój plan dla siebie.

Charles wpatrywał się w obu mężczyzn i ryknął śmiechem. Odwrócili się do niego.

- Tak naprawdę to Sabrina nie chce żadnego z was. Znam ją od urodzenia. Więc moja w tym głowa, aby ją pomścić. Przyjemnie będzie złamać mu nos. A co powiecie na mały dodatek, powiedzmy prawą rękę?

Tym razem Phillip zaczął się śmiać.

- Zachowujemy się jak szczeniaki. Dajmy już temu spokój. W porządku, Charles może mu przestawić nos.

- Cóż - odrzekł markiz - niech tak będzie. Prawą rękę też, tylko żebyś tego nie spaprał!

- Nie ma mowy.

- Sam nie wiem - wrócił do tematu Richard. - Może powinienem ci towarzyszyć, aby upewnić się, że nie popełnisz żadnego błędu?

- Jeśli ktokolwiek powinien mi towarzyszyć, to raczej Phillip. W końcu to on uratował życie Sabrinie i dbał o to, by wróciła do zdrowia.

Gdyby tylko Phillip był w tej chwili bliżej Charliego, to jemu właśnie złamałby ten przeklęty nos. Aż go ręce świerzbiły. Po cóż, u diabła, przypomina Richardowi o roli Phillipa w sprawie Sabrinie?

Tylko czekać, kiedy Richard wybuchnie. Ledwie na ułamek sekundy udało się odwrócić jego uwagę, ani chwili dłużej. Richard uważał Phillipa za rozpustnika nie mniejszego od siebie, choć niewiele miało to wspólnego z prawdą.

Pozostawało dziękować losowi, że Richard nie miał możliwości zgłębiania tego tematu, bowiem w tym momencie drzwi biblioteki otworzyły się gwałtownie i do pomieszczenia weszła pełna wdzięku Teresa Elliott. Od razu skierowała się w stronę Phillipa i oplótła go ramionami.

- Phillipie, żyjesz. Jesteś cały i zdrowy, wreszcie tutaj. Powinieneś być tu być, kiedy przyjechałam, ale postanowiłeś być oryginalny i podróżować własnymi ścieżkami. To mało rozsądne z twojej strony. Tylko patrz, co narobiłeś. Znalazłeś tę nieszczęsną dziewczynę i musiałeś schronić się na pięć dni. Całe pięć dni, Phillipie, bez ciebie tutaj było nie do zniesienia.

Phillip odsunął ją od siebie. Nie rozluźniła uchwytu. Chciał jej powiedzieć, że przesadziła z czerwienią na ustach. Bardzo delikatnie odepchnął ją od siebie, złapał jej rękę i trzymał ją w pewnej odległości.

- Mój drogi, na pewno jesteś wyczerpany. Można się tylko domyślać, co wyprawiałeś z tą dziewczyną; w końcu byłeś z nią bez przerwy. Nie miała raczej mniej niż czternaście lat, nieprawdaż?

Potrząsnął tylko głową. Teresa dobrze wiedziała, ile lat ma Sabrina, niewykluczone, że z dokładnością do dnia i godziny poznała jej datę urodzenia. Gotów był się o to założyć. Niemniej zapytał:

- Jak to możliwe, że wiesz, co się ze mną działo przez ostatnie pięć dni?

Jedynie wyduła wargi. Z pewnością ćwiczyła tę minę przed lustrem, podobnie zresztą jak na innych mężczyznach.

- Ależ to oczywiste dla wszystkich, wręcz widoczne. Czyżbyś nie przyjechał tu razem z nią? Czy nie zaniósłś jej na górę i nie położyłś do łóżka? Czy jej głowa nie spoczywała przypadkiem na twoim ramieniu i czy nie wyglądało na to, że właściwie przyzwyczaiła się ją tam trzymać? - Wydobyła z siebie śmiech podobny raczej do skrzeku. - Wiesz, jacy są służący, słyszałam najróżniejsze historie.

- Nie powinnaś słuchać plotek rozprowadzanych przez służbę, Tereso. To po prostu nie przystoi.

Phillip wiedział jednak bardzo dobrze, że kwestia ich przyjazdu była bez wątpienia omawiana z nieskrywaną radością zarówno wśród szlachty, jak i służby.

- Czy poznałaś już Richarda Clarendona, markiza Arysdaile? Richardzie, oto panna Elliott.

Zmuszona była odwrócić się od Phillipa. Kiedy już w pełni przyjrzała się Richardowi, stwierdziła, że mimo wszystko warto było spuścić wzrok z Phillipa. Był czarny niczym diabeł, miał wzrok męczyzny, który zawsze wie, co robi, i czuła w koniuszkach palców, że mógł doprowadzić kobietę do krzyków rozkoszy. Miała taką pewność, a wciąż jeszcze była dziewicą. Drżała jej ręka, kiedy uniósł ją do ust, aby złożyć delikatny pocałunek. Gdyby nie to, że obiecała już swoje dziewictwo Phillipowi - przynajmniej sobie złożyła taką obietnicę - z pewnością Richard znalazłby się na jej liście na drugim miejscu. Oczywiście, że o nim słyszała. Zastanawiała się, czy prawdą jest, iż liczba mężatek, które zaciągnął do łóżka, przekroczyła trzy tuziny.

- To dla mnie ogromna przyjemność - powiedziała, obserwując, jak jego ciemna głowa pochyla się nad jej dłonią i jednocześnie dostrzegając przy tym, że jest świetnie zbudowany. Jeszcze nigdy nie była z nim tak blisko, to było jak objawienie. Uśmiechnęła się w duchu, świadoma, że jej uroda zawsze robi wrażenie na mężczyznach. Pod tym względem markiz absolutnie nie mógł być wyjątkiem.

Ku jej rozgoryczeniu markiz odparł tylko:

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Elliott - po czym gwałtownie odwrócił się od niej.

Charles przewrócił oczami. Jedyne, czego im teraz brakowało, to scena w wykonaniu tej pannicy, którą powinno się było utopić w dniu jej szesnastych urodzin. Widział złowieszczy błysk w jej oku. Chciała, żeby zajmował się tylko nią. Co robić, do cholery? Odchrząknął, rzucił Phillipowi krótkie, pytające spojrzenie, które jego przyjaciel zignorował, po czym rzekł:

- Droga Tereso, odwiedziłaś nas w dosyć trudnej chwili. Rozmawiamy o interesach. Klnę się, że nasza rozmowa zanudziłaby cię na śmierć. Czy możemy zatem liczyć na twoje towarzystwo podczas obiadu?

- Dobrze wiem, że rozmawiacie o tym, co zrobić z tą żalosną dziewczyną, a nie o interesach.

- Do zobaczenia, Tereso - powiedział Phillip stanowczym tonem, którego ze świetnym skutkiem używał jego ojciec, gdy Phillip był chłopcem.

Teresa była co najmniej Wścibska. Jest tu Phillip, a ona musi wiedzieć, co zaszło między nim a dziewczyną, która jest teraz w gościnnej sypialni na górze. Jednak nawet mimo targających nią emocji miała wystarczająco dużo rozsądku, by się zorientować, że nic tu nie osiągnie. Pozbywali się jej ze swojego towarzystwa. I było to dla niej nie do zniesienia. Obrzuciła markiza niechętnym spojrzeniem, czego nie zauważył, bo wpatrywał się w ogień buzujący w kominku. Ogień istotnie przyjemny, ale to w nią markiz powinien się wpatrywać w najwyższym skupieniu. Zastanawiała się w tej chwili, czy nadawałby się na jej kochanka, po tym jak już da Phillipowi spodziewanego spadkobiercę. Czemu tak się przejął tą dziewczyną z sypialni?

Uśmiechnęła się. Zdobyła się na to z trudem, ale była świetną aktorką, udało się jej doskonale. Pomachała do nich nonszalancko.

- Do zobaczenia, panowie. Podejmijcie decyzję, co zrobić z tą zabłąkaną dziewczyną z góry. Kiedy tu przyjechałam, Charles i Margaret obiecali mi uroczę przyjęcie świąteczne, na takie też liczę, a w jej obecności to niestety niemożliwe.

- Tereso, powtarzam - rzekł Phillip - nie powinnaś słuchać plotek.

Gotów był rzucić się na nią i udusić gołymi rękoma. Sabrina zabłąkaną dziewczyną? A niech go! Wiedział, że oblał się rumieńcem.

- Tak jest - odpowiedziała posłusznym tonem, do którego opanowania zmusiła ją matka. Raz jeszcze pomachała im na do widzenia i opuściła pokój z tym samym wdziękiem, który towarzyszył jej nadejściu.

Charles, zniesmaczony, odprowadził ją wzrokiem.

- Jeśli ją poślubisz, Phillipie, już nigdy się do ciebie nie odezwę.

- Gdybym zrobił coś takiego, sam bym się do siebie nie odzywał po kres moich dni - odpowiedział Phillip. - Nie masz na co liczyć, nawet gdybym był jurny jak stado buhajów, a ona byłaby ostatnią żyjącą samicą.

- To dziwka. - Richard jak zwykle nie owijał w bawełnę. - Wreszcie sobie poszła, wracajmy do naszej rozmowy. - Wciąż jednak wpatrywał się w kominek; jego uwagę przykuwały pomarańczowe języki ognia. - Wiem, że twój gust nie popycha cię w objęcia młodych dziewczyc. Sabrina jest taka energiczna, taka pełna życia, niepodobna zupełnie do jakiegokolwiek panny szlachetnego urodzenia, którą kiedykolwiek poznałem ja, bądź ty miałeś okazję poznać. Na przemian czaruje mnie i ignoruje. W jednej chwili słucha tego, co mówię, jakbym był najmądrzejszym mężczyzną na świecie, a w następnej śmieje się ze mnie. Z pewnością ciebie traktuje podobnie. Jak mogłeś się jej oprzeć?

Phillipie, widziałeś ją naga. Nie potrafię się z tym pogodzić. Dotykałeś jej, a to już w ogóle przechodzi moje pojęcie.

- Spoważnij wreszcie, Richardzie - odezwał się łagodnie Phillip.

- A niech cię! Mnie nigdy nie dała się nawet pocałować. - Pamiętał dokładnie, jak się roześmiała, kiedy próbował to zrobić. Wciąż jeszcze widział jej fiołkowe oczy, wpatrujące się w niego, wręcz świdrujące go, i ten dobry humor, który towarzyszył jej, kiedy kazała mu przestać się zachowywać jak Eddy Brickle. Brickle był synem kowala, potrafił złapać ją i zaciągnąć za stodołę, żeby tam próbować skraść jej pocałunek. - Przecież ona nawet nie wiedziała, z kim miała do czynienia.

- Chcesz powiedzieć - zaczął Charlie - że nie miała pojęcia, jaki zaszczyt ją spotkał, kiedy próbowałeś ją pocałować?

- Daj spokój, Charlie. Zupełnie nie o to mi chodziło. Ale ty, Phillipie? Z tobą spędziła pięć dni, no i pięć nocy. Czyż jej oczy nie są niezwykle? Na pewno zwróciłeś na to uwagę, prawda?

- Tak, istotnie są niepowtarzalne.

- I te jej włosy, żadne tam rude, tylko rudobrazowe, w bardzo intensywnym kolorze.

- Tak, ma w istocie piękne włosy.

- Zaintrygowała cię, nie przekonasz mnie, że tak nie jest.

- Bynajmniej.

- Kłamiesz, niech cię diabli wezmą! Dotykałeś jej, Phillipie?

- Pewnie. - Phillip nie dał się sprowokować. - Dostyc tych bzdur. Ona omal nie zamarła. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy, żeby utrzymać ją przy życiu. Wolałbyś może, żebym ją tam zostawił, leżącą w śniegu? Była cała sina, uwierzysz w to?

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi - odparował Richard. Trzymał ręce wzdłuż ciała, a dłonie zacisnął w pięści. - Nie podoba mi się to, Phillipie, niewykluczone, że będę cię musiał zabić.

- Boże mój, to tak się nagradza za dobre uczynki? Uspokój się i posłuchaj mnie przez chwilę. Kiedy Charles nas znalazł, przekonał mnie, że powinienem oświadczyć się Sabrinie. Po pięciu dniach, które spędziła ze mną sam na sam, niezależnie od okoliczności, jej reputacja właściwie nie istnieje. Dała mi kosza, Richardzie, i jestem przekonany, że ciebie spotka dokładnie to samo, jeżeli nadal poważnie o niej myślisz. Niemniej - kontynuował, patrząc przyjacielowi prosto w ciemne oczy - kiedy wydobrzeje, zamierzam przycisnąć ją raz jeszcze. Może zaakceptuje mnie w roli przyszłego męża. Nie zasłużyła na ostracyzm i napiętnowanie. Ona po prostu na to nie zasłużyła.

- Jeśli jej nie zhańbiłeś, to ja pojmem ją za żonę.

- Nie zhańbiłem jej. - To było jedyne, co powiedział Phillip. Pomyślał, że gdyby sytuacja się rozwiązała i Sabrina została jego żoną, to cała ta historia wyszłaby jej na dobre. Nie kochał jej, ale podobała mu się i ją szanował. Sprawiała wrażenie zrównoważonej, jednym słowem wspaniałej. Zrazu była tajemnicza, by po chwili przemienić się w otwartą księgę. Doszedł do wniosku, że traktowałby ją dużo lepiej niż Richard. W jego mniemaniu Clarendon potrzebował Sabriny wyłącznie po to, by umilić sobie czas, który mu się dłużył. Mógł to sobie wyobrazić: Sabrina w roli opiekunki małego syna markiza, kiedy ten wraca do swoich rozrywek w Londynie. Sabrina nie zasługuje na taki los.

- Może to ja powinienem się jej oświadczyć?

- wtrącił się Charles. - Znam ją przecież od zawsze. Zapewniłbym jej bezpieczeństwo. Co wy na to?

Obaj obrzucili go gniewnymi spojrzeniami, a on w odpowiedzi zaczął tylko machać rękoma.

- Dobrze, już dobrze, zapomnijcie, że to w ogóle powiedziałem. Ale jestem tu na wypadek, gdyby potrzebowała kogoś, kto się poświęci i z nią ożeni.

- Zamknij się, Charlesie - rzucił markiz. - W tej chwili idę się z nią zobaczyć. Czy ten cholerny doktor Simmons wyszedł już wreszcie z jej pokoju?

- Dowiem się - odparł Charles i pociągnął za sznur dzwonka. Ogromnie by mu ulżyło, gdyby w wyniku tej rozmowy Trevor dostał wreszcie za swoje.

ROZDZIAŁ 21

Sabrina nie poruszyła się, mimo że drętwiała jej ręka. Nie chciała, żeby Margaret zauważyła, że już się obudziła. Czuła na skórze miękki dotyk bawełny - wreszcie spała we własnej nocnej koszuli. Jakie to miłe ze strony Elizabeth, że wysłała jej ubrania do Moreland.

Trawił ją smutek spowodowany bezsilnością. Musi jak najszybciej odzyskać siły, by móc porozmawiać z dziadkiem - przekonać samą siebie, że wszystko będzie dobrze i przekonać dziadka, że dla wszystkich będzie najlepiej, jeśli wyjedzie do Londynu. Uzmysłowała sobie, że będzie musiała porozmawiać z Trevorem o należnej jej części spadku po matce: dziesięciu tysiącach funtów, które stały się jej własnością w dniu, w którym skończyła osiemnaście lat. Należą do niej i nawet Trevor nie będzie mógł powstrzymać prawników przed przekazaniem należnej jej sumy. Jakże musi być rozczarowany, że Sabrina nie umarła! Coś ścisnęło ją za gardło; próbowała przełykać ślinę, ale nic to nie dało. Nagle z jej gardła gwałtownie wydobył się szloch; brzmiał jak dźwięk wydawany przez zarzynanego kurczaka. Słyszając to, niemal miała ochotę się uśmiechnąć.

- Bree, kochana, obudziłaś się. Jak się czujesz?

Sabrina podniosła spojrzenie szklistych oczu na Margaret, która właśnie nalewała jej herbaty. Przyjaciółka z dzieciństwa poślubiła mężczyznę, którego kocha; przyjaciółka z dzieciństwa tak szczęśliwą, że samo już patrzenie na nią wywoływało ból.

- Żyję - odparła Sabrina. - Żyję, naprawdę. Nie musisz się o mnie martwić, Margaret.

- Oczywiście, że się martwię. Czy coś cię boli, Bree? Mam przysłać tu doktora Simmons'a? Z tego, co wiem, jest na dole i rozmawia z Phillipem.

Sabrina poczuła na czole dotyk dłoni Margaret, miękki i lekki jak piórko. Brakowało jej dotyku Phillipa, silnego i stanowczego. Chwyciła Margaret za rękę.

- Nie, Margaret, czuję się dobrze, naprawdę. Jestem bardzo wdzięczna tobie i Charliemu, że przywieźliście mnie tutaj, do Moreland. Nie mogłam wrócić do Monmouth Abbey. Dziękuję. Teraz już na pewno szybko odzyskam siły. Znasz mnie. Zawsze dobrzeję szybciej, niż na to zasługuję. Już niedługo, Margaret, i stąd wyjadę. Jeszcze dzień, może dwa.

Sabrina spokojnie zastanawiała się, jak zareaguje ciotka Barresford, gdy zobaczy ją w drzwiach. Czy Elizabeth napisze do ciotki list z informacjami, że Sabrina to dziwka, zdzira, suka...? Nie знаła więcej słów na określenie niemoralnej kobiety lekkich obyczajów. Nie, Elizabeth nie chce przecież, by wróciła do Monmouth Abbey, nie piśnie więc ani słowa. A na ile znała ciotkę Barresford, mogła się spodziewać, że nie odmówi jej gościny; nie odeśle jej do domu w sytuacji, gdy Sabrina będzie miała swoje dziesięć tysięcy funtów.

- Sabrino, przestań opowiadać te bzdury. Nie chcę więcej słyszeć niczego podobnego. Zostaniesz tu tak długo, aż pozwolę ci wyjechać. Posłuchaj mnie: właśnie teraz Charles próbuje pozbyć się gości, którzy mieli spędzać u nas Boże Narodzenie. Nie będziesz musiała wyjeżdżać. Za dwa dni przyjeżdża z Londynu mój mąż, Hugh, i razem spędzimy święta. Będzie jak za dawnych czasów. Pamiętasz, jak kiedyś na Boże Narodzenie byliśmy złe na Charliego, że traktuje nas jak małe

dziewczynki, którymi zresztą byliśmy? Aleśmy się na nim zemściły! Jeszcze dziś drży na samo wspomnienie. Sabine udało się uśmiechnąć.

- Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy wzięwszy kąpiel, zszedł na dół, a my schowałyśmy się w szafie za schodami. Był zielony od stóp do głów. Piękny odcień zieleni, miał kolor mchu. To była słodka zemsta! Tak, i mimo tego, co mu robiłyśmy przez te wszystkie lata, bardzo cię lubi i troszczy się o ciebie. No i nie zapominaj, że jest tu też Phillip i oczywiście także Richard Clarendon. Phillip, Charles i Richard na długie godziny zamknęli się w bibliotece i rozmawiali. Moja pokojówka powiedziała mi, że Teresa Elliott wyszła stamtąd tak wściekła, że słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Idę o zakład, że wylewała na Phillipa swą złość, a on pokazał jej, gdzie jej miejsce.

- Richard Clarendon jest tutaj? W Moreland?

- Tak. Szukał cię razem z innymi mężczyznami. Nawet po tym, jak twoja siostra... Nie, zresztą to teraz nieistotne. Nieważne.

- Powiedz mi, Margaret.

- Nie chcę. Jesteś jeszcze chora; nie chcę, żebyś postradała zmysły.

- Powiedz mi, Margaret.

- Dobrze, Sabine, powiem ci, ale wiedz, że wcale nie chcę tego mówić. Elizabeth i Trevor odwołali szukających cię ludzi. Richard był tak wściekły, że niemal oszalał z gniewu.

To dziwne, ale Sabrina nie poczuła niczego szczególnego, usłyszawszy te wieści. Z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, że jej obecność mogłaby obrócić wniwecz bajeczkę, którą wymyślili Elizabeth i Trevor.

- Mówiłaś, że wszyscy trzej dżentelmeni są w bibliotece?

- Tak.

- Bez wątpienia rozmawiają o mnie. Co ze mną zrobić. A teraz jeszcze i Richard Clarendon został w to wplątany. Margaret, a może oni o mnie grają? Ten, który przegra, dostanie mnie za żonę? Sabrina Eversleigh, elegancko opakowana jak prezent pod choinkę i jak najszybciej przekazana temu nieszczęśnikowi, który przegra zakład.

- Sabine, nie bądź głupia. Wiesz, że to nieprawda. I nie mów tak więcej. Litujesz się nad sobą i muszę ci powiedzieć, że nie podoba mi się to. Nie pasuje do ciebie i jest niesmaczne.

- Dobrze już, przepraszam. Ale powiedz mi, czy są jakieś wieści o dziadku?

- Nie. Z tego, co wiem, jego stan się nie zmienił. - Margaret nagle się ożywiła. - A teraz, Sabine, pora na herbatę. Od razu poczujesz się lepiej. Tylko pamiętaj, żyjesz i już niedługo będziesz zdrowa. Twój dziadek też wyzdrowieje, zobaczysz.

Margaret zastanawiała się, co stanie się z jej przyjaciółką, jeśli wciąż będzie odmawiała wyjścia za mąż za Phillipa. Musiała przyznać, że była szczerze zdziwiona, iż jakakolwiek dama licząca sobie mniej niż osiemdziesiąt wiosen może odmówić wicehrabiemu Derencourt, gdy ten prosi o jej rękę. Sabrina nie jest głupia ani naiwna. Zdawała sobie sprawę, że jest skompromitowana, i choć nie było w tym jej winy, dla towarzystwa to nie miało znaczenia. Jeśli tylko pojawiała się szansa, by zapobiec skandalowi, należało szybko zamieść wszystko pod dywan, by sprawa przycichła.

Jak by to było mieć Phillipa obok siebie, opiekującego się nią przez pięć dni? Gdzieś w głęboko ukrytym zakamarku duszy Margaret żałowała, że tego nie wie.

- Sabine, nic a nic nie lubisz Phillipa?

- Oczywiście, że lubię.

- Ale...

Ktoś cicho zapukał do drzwi sypialni. Sabrina kurczowo ścisnęła rękę Margaret; jej filiżanka roztrzaskała się na podłodze.

- Proszę cię, Margaret, nie wpuszczaj tu nikogo, proszę cię.

Margaret delikatnie poklepała ją po dłoni. - A jeśli to Phillip?

- Nie, nie wpuszczaj nikogo, a już na pewno nie Phillipa. Margaret, proszę cię.

- Już dobrze, uspokój się. Aż rumieńców dostałaś. Margaret podeszła do drzwi, uchyliła je na kilka centymetrów i cicho wymknęła się na korytarz.

Markiz Arysdales był dużo wyższy od Margaret. Charles stał tuż obok.

- Richard chce pomówić z Sabriną - odezwał się Charles. - Obudziła się już?

Margaret spojrzała na markiza, na jego przystojną twarz o ciemnej karnacji. Szybko zapanowała nad dreszczem, który nią wstrząsnął na widok tego atrakcyjnego dżentelmena. To jeden z tych mężczyzn, o jakich opowiadała jej matka: których może podziwiać do woli, ale nigdy, przenigdy nie powinna ich dotknąć.

- Przykro mi, ale Sabrina nie chce nikogo widzieć.

- Mnie zechce - odparł Richard i zrobił krok naprzód; Margaret chwyciła go za rękaw.

- Błagam, proszę mnie posłuchać. Sabrina wciąż jeszcze nie czuje się dobrze. Tak wiele ją spotkało w tak krótkim czasie...

- Chodź, Richardzie - wtrącił się cicho Charles. - Margaret ma rację. Zobacysz się z nią później.

Markiz wyglądał na niezdecydowanego; jego wzrok wciąż spoczywał na drzwiach prowadzących do sypialni Sabriny.

- Nie chcę, żeby jej się pogorszyło.

- Oczywiście, że nie - powiedział Charles. - Ale może dajmy jej jeszcze trochę czasu.

Margaret wydawało się, że słyszała, jak Richard zaklął pod nosem. Odwrócił się do niej i ukłonił.

- Proszę powiedzieć Sabrinie, że przyjdę z nią porozmawiać dziś wieczorem. Wtedy na pewno zechce się ze mną widzieć.

Nim Margaret zdążyła zaprotestować, markiz odwrócił się na pięcie i odszedł długim korytarzem. Charles odprowadził go wzrokiem. Martwił się, bardzo się martwił.

- Clarendon się z nią zobaczy, Margaret. Ma swoje sposoby. Porozmawiaj z Sabriną. Teraz przynajmniej będzie miała kilka godzin, żeby zastanowić się nad decyzją, którą będzie musiała podjąć. Mama tymczasem w najbardziej czarujący sposób próbuje uwolnić nas od naszych gości. Musisz zejść na dół i się pożegnać.

- Czy Teresa Elliott już wyjechała?

- O, nie. Najprawdopodobniej Phillip będzie musiał wywabić ją na zewnątrz, a wtedy my będziemy mogli zaryglować drzwi. - Charles uśmiechnął się do siostry i ujął ją pod brodę. - Wyjedź. Ma wystarczająco oleju w głowie, by wiedzieć, że nie może tu zostać. Margaret żywo pokiwała głową.

- Jeśli o nią chodzi, to im szybciej, tym lepiej. Pokojówka mi powiedziała, że Teresa czaruje służących, wpytując ich o co smaczniejsze kąski z plotek, które do nich docierają. A gdy Phillip pojawił się razem z Sabriną, z lekkiej bryzy przemieniła się w szalejącą nawałnicę.

Charles wzruszył ramionami.

- Właściwie niewiele mogę w tej sprawie zrobić. Najwyżej dopilnować, żeby konie były zdrowe

i gotowe do drogi, by pociągnąć powóz i natychmiast ją stąd zabrać.

Margaret pokiwała głową.

- Porozmawiam z Sabriną. Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego nie chce żadnego z nich? Jaka kobieta miała kiedykolwiek taki wybór?

- Nawet ja stanąłem do walki. To przerasta ludzkie pojęcie, prawda?

A więc Sabrina miała rację, pomyślała Margaret. Nie ciągnęli o nią losów, ale każdy z nich gotów był poprowadzić ją do ołtarza.

- To był Phillip? - zapytała Sabrina, gdy Margaret wróciła do jej sypialni.

- Nie, markiz Arysdales. - Margaret pokręciła głową. - Chce z tobą porozmawiać, Sabrino. Charles pomógł mi się go pozbyć, ale tylko na jakiś czas. Wróci tu wieczorem. Będziesz musiała z nim porozmawiać, bo jak nie, to gotów wyważyć drzwi.

Sabrina poczuła, jakby nagle zgasło małe, ale jakże cenne światełko. Tylko jakie to miało znaczenie?

- Dobrze. Zarygluję drzwi i porozmawiam z nim.

Gdzie jest Phillip? Dlaczego jeszcze do niej nie przyszedł? Czy zostanie w Moreland na dłużej?

Gdy Margaret wyszła, Sabrina zaczęła rozmyślać o drodze, którą powozem przebyli do Moreland z domku myśliwskiego Charlesa. Phillip cały czas trzymał ją w ramionach. Niewiele się odzywał, a jeśli już, to do Charlesa; twarz miał niezmiennie spokojną i niewzruszoną. Była mu wdzięczna za to milczenie, naprawdę wdzięczna. Ale dlaczego do niej nie przyszedł? Chociażby po to, żeby się pożegnać. Rozpoznała w jego zachowaniu własny upór, ale jakoś jej to nie rozbawiło.

Ponuro wpatrywała się w zamknięte drzwi sypialni. Czy wybrali Richarda Clarendona, by poświęcił się i został jej mężem, tym samym ratując ją przed kompromitacją? Jakoś nie potrafiła wyobrazić sobie markiza robiącego cokolwiek, co nie byłoby po jego myśli i czego by nie chciał. A po tym wszystkim, co się wydarzyło, na pewno już nie zechce jej poślubić.

Westchnęła i zamknęła oczy. Jeśli Richard naprawdę poprosił o jej rękę, będzie musiała ustrzec go przed samą sobą.

Obudził ją chyba drgający płomień świecy. Sabrina otworzyła oczy i skierowała wzrok w stronę światła. Zobaczyła Phillipa siedzącego na jej łóżku; patrzył na nią, ale jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Uśmiechnęła się. Przyzwyczała się do obecności Phillipa w swojej sypialni, do tego, że siedzi przy niej na łóżku. Nie było w tym nic szokującego; raczej przyjemność, do której była przyzwyczajona, która dawała jej poczucie bezpieczeństwa - bo Phillip jest obok i nie pozwoli, by stało się jej coś złego. Phillip nie odwzajemnił uśmiechu.

- Która godzina? - zapytała, próbując podnieść się na łokciach. W ułamku sekundy Phillip zerwał się i przytrzymał ją, dużymi dłońmi chwytając za ramiona.

- Nie, nie wstawaj. Nie musisz zachowywać się jak gospodyni. Właśnie minęła północ. Miałem nadzieję, że wcześniej czy później światło świecy cię obudzi. Cieszę się, że nie musiałem zbyt długo czekać. Bałem się, że sam mógłbym tu zasnąć.

- Ale, Phillipie, co tu robisz? Nie jesteśmy już w domku myśliwskim Charlesa. Sam wielokrotnie mi powtarzałeś, że przebywanie razem sam na sam jest wielce nieestosowne. - Sabrina zaśmiała się.

- Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Przez moją sypialnię mógłby przetoczyć się batalion mężczyzn, a i tak nie miałoby to żadnego znaczenia, prawda?

- Wreszcie rozsądnie o tym mówisz.

- Nie ma nic rozsądnego w rujnowaniu reputacji. To niesprawiedliwe i nawet w najmniejszym stopniu nieusprawiedliwione.

- Czyli? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic nie chcę powiedzieć - odparła po chwili.

- Tak po prostu jest i tak już zostanie.

- Masz rację, nic się nie zmieni, przynajmniej w najbliższej przyszłości. - Phillip znów usiadł na skraju łóżka i dotknął czoła Sabriny. - Czujesz się lepiej?

- Tak. Phillipie, po co tu przyszedłeś?

- Richard powiedział mi, a był przy tym w naprawdę paskudnym nastroju, że go nie poślubisz. Chciał mnie stłuc na kwaśne jabłko, ale uznał, że skoro zdecydowałaś, że to ja mam być tym szczęściarzem, nie mogę iść do ołtarza z podbitym okiem. Chciałem się przekonać, czy miał rację, ale zaczekałem, aż wszyscy położą się spać. Jestem tu mniej więcej od godziny. Patrzyłem, jak śpisz. Wyglądasz wtedy na taką spokojną. W pewnej chwili nawet się leciutko uśmiechnęłaś przez sen. Pamiętasz, co ci się śniło? Nie? Cóż, nieważne.

- Richard się pomylił. Powiedziałam mu, że w ogóle nie zamierzam wychodzić za mąż.

- Na chwilę przymknęła oczy, przypominając sobie markiza, który stał nad jej łóżkiem i patrzył wzrokiem tak zdumionym i pełnym niedowierzania, że gdyby nie to, że teraz było to tylko wspomnienie, roześmiałyby się w głos. A gdy Richard wreszcie się odezwał, jego głos był tak samo pełen zdumienia, jak spojrzenie:

- Sabrino, odrzucasz moje oświadczenia?

- Tak, Richardzie, ale dziękuję ci za życzliwość i troskę.

- Nie rozmawiamy o niczym, co choć w najmniejszym stopniu byłoby życzliwością czy troską. Nie rób ze mnie durnia tymi głupimi słówkami. Jasna cholera, ja i tak chciałem się z tobą ożenić. Wszystko już zostało przygotowane. Twój dziadek także zaakceptował nasze małżeństwo.

- Dziadek ze mną na ten temat nie rozmawiał - odparła, a ogień w jej oczach, a nawet odrobina gniewu, wprawiły Richarda w zakłopotanie, ale tylko na chwilę.

- Wiesz, że chciałem pojąć cię za żonę. Każda kobieta, którą znałem, doskonale wiedziała, kiedy mężczyzna jest nią zainteresowany w ten szczególny sposób.

- Cóż, ja nie wiedziałam.

- Teraz więc widzę prawdę. Pięć dni spędziłaś z Phillipem Mercerault, po czym chcesz mnie odprawić z kwitkiem.

Gdyby miała wystarczająco dużo siły, zerwałaby się z łóżka i rzuciła nim o podłogę. Gniew Sabriny narastał.

- Posłuchaj mnie. Nie jestem typem kobiety, która kusi mężczyznę, zwodzi go, a potem się z niego naigrywa. Oświadczyłeś mi się, a ja powiedziałam: nie. Jesteś więc zwolniony z wszelkich zobowiązań wobec mojej osoby, jeśli w ogóle kiedykolwiek takie zobowiązania istniały. Teraz mam zamiar najpierw odwiedzić dziadka i upewnić się, że jest pod dobrą opieką. A potem pojedę do Londynu, do ciotki Barresford. Doskonale wiesz, że nie ma teraz dla mnie miejsca w Monmouth Abbey.

Richard jednak nie ustępował, denerwował ją i obrażał, a mimo wszystko nie do końca zdawał sobie sprawę, co robi.

Sabrina otworzyła oczy, słysząc głos Phillipa.

- Cóż, cokolwiek powiedziałaś Clarendonowi, on wciąż uważa, że to ja będę tym szczęściarzem,

który zostanie twoim mężem. Przyszedłem tu, by się upewnić, że istotnie tak będzie.

Sabrina wzruszyła ramionami. Zdenerwowało go to, ale tylko trochę. Chciał widzieć jej reakcję, choćby miał to być gniew, cokolwiek, byle nie beznamiętne spojrzenie.

- Richard powiedział, że wybierasz się do ciotki Barresford. Moja droga, co każe ci wierzyć, że ciotka ucieszy się z twojej niespodziewanej wizyty?

- Moje dziesięć tysięcy funtów. Phillip uniósł brew.

- Krótko mówiąc, jesteś spadkobierczynią. Jakem żyw, prawdziwą spadkobierczynią. Doskonale. Teraz wszyscy uwierzą, że ożeniłem się z tobą dla pieniędzy i posagu, bez wątplenia okazałego. Może to i dobrze, bo ostatecznie wolę być uznany za łowcę posagów niż za szarmanckiego głupca.

- Nie wyjdę za mąż po to, by jakiegoś dżentelmena obdarować moim majątkiem.

Phillip pokiwał głową na znak, że się z nią zgadza.

- Nie ma problemu. Zdeponujemy twoje pieniądze w banku pod twoim nazwiskiem albo założymy fundusz powierniczy dla naszych dzieci.

Sabrina wpatrywała się w niego, na przemian otwierając i zamykając usta. Phillip budował mur ze słów, a ona bezsilnie się od niego odbijała. Pomyślała, że wolałaby kolejną rozmowę z Richardem Clarendonem - wtedy to ona była spokojną i racjonalną stroną.

- Phillipie - zaczęła, starając się odsunąć jego uwagę od własnego sposobu rozumowania - wydaje mi się, że honorowo przyjmujesz przegrany zakład. Możesz być jednak pewien, że ja nie będę cię do niczego zobowiązywać. Możesz powiedzieć Charlesowi i Richardowi, że sama potrafię o siebie zadbać i nie potrzebuję pomocy żadnego z was.

- Coś ty, u licha, powiedziała? - Nagle Phillip zrobił się bardzo czujny, co Sabrina natychmiast zauważyła. - Jaki przegrany zakład?

Nagle, gdy wypowiadał te słowa, przypomniał mu się głupi żart Charlesa o małżeństwie z Sabriną jako o poświęcaniu się i składaniu siebie w ofierze. Phillip popatrzył gdzieś daleko przed siebie.

Sabrina chciała, by jej śmiech był pełen pogardy, ale wyszedł gorzki jak niesłodzona kawa.

- Nie możesz temu zaprzeczyć, prawda? Założyliście się, który z was ożeni się ze mną. Ty, Charles i ten żaloszny markiz ciągle na siebie zerkacie, jak koguciki walczące, by zachować nie tylko ten wasz idiotyczny męski honor, ale także wolność. Powiem ci coś, Phillipie, ja na to nie pójdę. Nie jestem towarem drugiej jakości i nie zamierzam poprzez małżeństwo pokazywać światu, że jestem jedną z was. A teraz... bardzo mnie zmęczyła i znudziła twoja obecność. Dobranoc, Phillipie. Zawsze wiesz, jak wybrnąć z każdej sytuacji, więc teraz też bez kłopotu znajdziesz drogę do wyjścia.

Sabrina odwróciła się na bok, plecami do Phillipa.

Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu. Sabrina poczuła, jak ugina się materac, gdy wstał. A potem odezwał się bardzo powoli; usłyszała smutek w jego głosie:

- Sabrino, świat rzadko bywa takim, jakim chcielibyśmy, by był.

- Więc to świat musi się zmienić i zamierzam zmusić go, by to zrobił.

- Widzę, że sama musisz do tego dojść. Sabrino, świat nie zmieni dla ciebie zasad, którymi się rządzi. Cóż, zakładam, że zobaczymy się w Londynie.

- Tak. Ale najpierw zamierzam odwiedzić dziadka. Jeśli mnie potrzebuje, to oczywiście zrobię, co do mnie należy.

Phillip wziął głęboki oddech.

- Sabrino, wiem, że nie chcesz mnie widzieć, ale proszę cię, byś teraz mnie wysłuchała. Twój

dziadek jest tak chory, że nawet cię nie rozpozna. Nic nie możesz dla niego zrobić.

Sabrina z trudem uniosła się na łokciach i odwróciła się w jego stronę.

- Nie rozumiesz, Phillipie? Muszę się upewnić, że ma zapewnioną właściwą opiekę. Nie znasz Trevora; on nie kocha nikogo z naszej rodziny, a już najmniej dziadka. I tylko osoba dziadka dzieli go od upragnionego tytułu i całego majątku Eversleighów. Muszę tam jechać.

Wicehrabia milczał, patrzył daleko przed siebie, w ciemne zakamarki pokoju. Potem spojrzał na Sabrinę i odezwał się gwałtownie:

- Zaufasz mi na tyle, bym to ja mógł się upewnić, że hrabia ma zapewnioną właściwą opiekę i że nic mu nie grozi ze strony twojego kuzyna?

- Ale co możesz zrobić?

- Odpowiedz na moje pytanie. Zaufasz mi na tyle, bym mógł się upewnić, że ma zapewnioną właściwą opiekę?

- Myślę - Sabrina zaczęła powoli, do głębi świadoma własnej bezradności - że skoro zaufałam ci na tyle, by oddać w twoje ręce własne życie, tym razem także mogę ci zaufać. Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

- A nie mogłabyś również oddać w moje ręce swojej przyszłości?

- Nie. Nie należę do osób, które wykorzystują twój honor przeciwko tobie.

Sabrina usłyszała, że sięgając po świecę i odwracając się w stronę drzwi, Phillip westchnął.

- Dobranoc, Sabrino.

Nie czekał na odpowiedź. Odwrócił się do niej tyłem i ruszył do wyjścia. Sabrina zauważyła jeszcze nagle światło świecy na korytarzu, nim za Phillipem zamknęły się drzwi.

ROZDZIAŁ 22

Londyn, trzy tygodnie później

Pozwól, Anisso, że ci pogratuluję. Masz czarującą bratanicę, chociaż słyszałam, że czasem bywa arogancka, ale to dobrze. Zawsze powtarzam, że arogancja się przydaje, choć oczywiście we właściwych proporcjach. Słyszałam również, jak mówiono, że jest potwornie chuda; cóż, ma kościste łokcie, ale przy jej posagu swobodnie można przymknąć oko na taki drobiazg. Na szczęście biust ma niczego sobie, a poza tym miejmy nadzieję, że pod twoją opieką dziewczyna się nieco zaokrągli. Prawda, moja droga?

Anissa Barresford spojrzała na Lucillę Morton, dostrzegła jej fałszywe spojrzenie i miała ochotę odplacić jej uszczypliwością; niestety Lucilla była zamożniejsza, a co za tym idzie bardziej wpływowa, no i oczywiście obie były najlepszymi przyjaciółkami od czasów, gdy miały po kilkanaście lat. Z tych właśnie powodów ograniczyła się do uśmiechu i skinienia głową. Cierpliwości, jeszcze przyjdzie jej kolej.

- Tak, Lucillo, jeśli sobie przypominasz, wspominałam ci, że droga Sabrina... Czy zwróciłaś uwagę na te jej fiołkowe oczy? Nie znam drugiej dziewczyny, która miałaby podobne oczy.

Sabrina, spokojna, pięknie ubrana, trzymała się na uboczu.

- Jest taka szczupła - odezwała się Lucilla. Anissa ponownie skinęła. Stać ją było na takie uprzejmości.

- Tak, chuda jak patyk... Przeszła zapalenie płuc, ale teraz się kuruje. Czas najwyższy. Ta jej bladeść doskonale pasuje do obecnej mody. To dopiero zbieg okoliczności, nieprawdaż?

- Cóż, tylko pod warunkiem, że to wynik przebywania w zamkniętym pomieszczeniu, a nie jakiejś choroby.

Anissa uniosła brew. Lucilla skinęła powoli. Właśnie w tym momencie dostrzegła własną córkę, stojącą wraz z Sabriną przy palmie; zestawienie bynajmniej jej nie usatysfakcjonowało.

- W porównaniu z Elizabeth wypada dużo lepiej.

Anissa się uśmiechnęła.

- W porównaniu z Elizabeth każda dziewczyna wypada lepiej.

- Mam nadzieję, że charakterem Sabrina nie przypomina swojej starszej siostry.

- Ja również, ale w końcu jest u mnie zaledwie od tygodnia.

Właściwie gdyby nie fakt, że rozmawiała ze swoją najlepszą przyjaciółką, powiedziałyby, że Sabrina jest taka cicha i uległa, że naprawdę nie ma pojęcia, czy ta dziewczyna to maskująca się sekutnica, czy święta. Cóż, po prostu była po ciężkiej chorobie.

- Madame Giselle - zaczęła głośno - dokonała cudu z aksamitną suknią Sabriny. Bardzo podoba mi się ten krój, ale niestety, mam o kilka lat za dużo, żeby czuć się w nim dobrze.

Lucilla spojrzała na nią, lecz nie powiedziała ani słowa. Podziwiała krój sukni, świadoma, że również jest za stara na noszenie czegoś podobnego.

Lady Anissa uśmiechnęła się do swojej bratanicy, która wyglądała na jeszcze spokojniejszą i

bardziej wycofaną niż przed chwilą. Niestety wyglądała również, jakby zaraz miała zasnąć, i to w chwili, kiedy młody hrabia Grammercy prowadził ją w kotylionie. Być może powinna powiedzieć Sabrinie, że cień uśmiechu albo błyskotliwa uwaga, dawcowane powoli, mogą być bardzo przydatne.

Lady Anissa rzekła:

- Mówiłam jej, że musi przybrać na wadze, aby wyglądać w tej sukni elegancko. Ale spójrz na nią, kiedy się obróci; ma piękne plecy. Madame Giselle zrobiła głębsze wcięcie, aby odwrócić uwagę od braków z drugiej strony.

- Ma zbyt długie włosy - stwierdziła w końcu Lucilla.

- Bzdura! Włosy są jej drugim atutem, zaraz po oczach. Czy widziałaś kiedykolwiek piękniejszy odcień rudych włosów?

- Są niemodne.

- Rudobrzązowy jest bez wątpienia modny.

- Ależ mnie chodzi o ich długość. Wierz mi, mężczyźni nie są od podziwiania długości włosów. Modne są krótkie i wszyscy muszą to zaakceptować, szczególnie dżentelmeni. Jeśli są innego zdania, to znaczy, że są pozbawieni gustu.

- Istotnie - odpowiedziała Anissa. Wolałaby, żeby Sabrina miała modną, krótką fryzurę, ale dziewczyna twardo trzymała się swojego stanowiska. Nigdy nie powiedziałaby bratanicy, że w gruncie rzeczy cieszy ją fakt, iż zachowała swoje gęste, piękne włosy, ale istotnie ją to cieszyło. Postanowiła jednak zatrzymać to w tajemnicy.

- Czyli mówisz, że Sabrina jest dziedziczką, tak, Anisso? - Lady Lucilla wytoczyła najpotężniejsze działo. Najwyższy czas przejść do interesów.

- Tak. Ma dziesięć tysięcy funtów w spadku po matce. W sprawie posagu nie zasięgałam języka. Jej dziadek jest wciąż ciężko chory. Oczywiście z pewnością nie będzie tego mało.

Lady Lucilla rzuciła czułe spojrzenie w stronę Edwarda, jej młodszego syna, który właśnie trwoniał czas, tańcząc z tą pulchną dziewczyną, córką Blanche Halford. Po skończonym tańcu matka odciągnęła go na bok i powiedziała, jak bezboleśnie wejść w posiadanie dużych pieniędzy.

Anissa Barresford gładziła siwy lok, założony za uchem, by wnet przerwać tę czynność i utkwić wzrok w jednym punkcie.

- A cóż to ma znaczyć? Dobry Boże, własnym oczom nie wierzę.

Lady Lucilla powiodła wzrokiem za wyciągniętym palcem Anissy, który wskazywał na drzwi do salonu. Stał w nich wicehrabia Derencourt, od niechcienia spoglądając na zatłoczony pokój. Wyglądał nienagannie; był elegancki, choć sprawiał wrażenie rozleniwionego, niczym jaszczurka wylegująca się w ciepłe słonecznych promieni.

- A cóż robi tu Phillip Mercerault? - spytała Lucilla. - Myśląc o mojej kochanej Dorindzie, specjalnie pytałam Jane, czy się tutaj pojawi, ale tylko ze smutkiem pokręciła głową. Powiedziała, że wicehrabia nigdy nie bywa na małych domowych potańcówkach, takich jak ta. W dodatku jest styczeń. Co on robi o tej porze w mieście? Na wszelki wypadek Jane wysłała mu zaproszenie, ale to nadal niespodziewany zaszczyt.

Lady Lucilla przypomniała sobie nagle o swojej ukochanej córce, której przyszły mąż - gdyby miała cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie - stał w drzwiach, rozleniwiony, niezdecydowany i samotny. Pośpieszyła do córki, podczas gdy Jane Balfour powróciła do pełnienia obowiązków gospodyni i niemal pobiegła do wicehrabiego, a on powitał ją czarującym uśmiechem.

Według Anissy Barresford wicehrabia Derencourt był chyba najsmaczniejszym kąskiem na

matrymonialnym rynku od paru ładnych lat. Jeśli Lucilla wierzyła, że Phillip spojrzy na Dorindę raz jeszcze, musiała być szalona. A Sabrina... jest teraz inną kobietą. Dlaczego Derencourt nie miałby wybrać Sabriny? To mogłoby być ciekawe. Lady Barresford zagłębiła się w fotelu i zaczęła knuć. Kotylion miał się ku końcowi. Obserwowała, jak Sabrina ukloniła się głęboko przed młodym hrabią, odprawiła go gestem dłoni, po czym powróciła na swoje miejsce.

- Powinnaś była pozwolić mu odprowadzić się na miejsce, Sabrino. Dziewczynie nie przystoi pozbywać się eskorty, ot tak.

- Tak, *madam*. Zapomniałam. - Sabrina usiadła obok ciotki. Była zmęczona, poza tym było jej gorąco, najchętniej zasnęłaby na cały rok. Zastanawiała się, ile czasu jeszcze minie, zanim jej ciało odzyska dawną sprawność i pełnię sił.

- Tańczysz całkiem nieźle. To już coś.

- Dziękuję pani.

- Możesz do mnie mówić „ciociu”. Poza tym sądzę, że powinnaś się postarać ożywić nieco głos, nie jakoś radykalnie oczywiście, ale odrobinę.

Gdybym nie widziała, że rozmawiasz z innymi, pomyślałabym, że nie żyjesz. Tak, musisz się postarać i wykrzesać z siebie odrobinę wigoru. Nie zrozum mnie źle, dżentelmeni bynajmniej nie darzą sympatią kobiet, których rozmowy i śmiechy słysząc w drugim końcu salonu, ale nie zbliżają się też do dam, które nie mają zupełnie nic do powiedzenia. Postaraj się chociaż raz skomplementować każdego partnera, z którym zatańczysz. Czasem jest to trudne, szczególnie że jak na złość jest wielu zupełnie przeciętnych mężczyzn, ale wierzę, że ci się uda.

- Tak też uczynię, ciociu, ale jestem taka zmęczona.

Anissa przyjrzała się jej dokładnie. Sabrina miała podkrążone oczy. Tak nie może być. Nic nie może odwracać uwagi od tych nieprzeciętnych oczu.

- Wyjdziemy za pół godziny. Będiesz mogła spać tak długo, jak zechcesz.

Gdyby nie onieśmielająca aura, roztaczana przez ciotkę, Sabrina powiedziała by jej, że nie chodzi wyłącznie o fizyczne zmęczenie. Pomyślała, że mogłaby spać cały tydzień, a stan jej ducha pozostałby bez zmian. Zmusiła się do uśmiechu. Ciotka najwyraźniej była zadowolona.

- Tak - powiedziała Sabrina - muszę po prostu wypocząć.

Anissa nachyliła się do ucha Sabriny.

- Ostatnia rzecz, jakiej bym się po tobie spodziewała, to flirtowanie, ale nie zapominaj, że jesteś w Londynie po raz pierwszy. Nie mogłabyś się trochę postarać i wykrzesać z siebie odrobinę więcej wdzięku, kiedy minie zmęczenie? - Przerwała na chwilę, bo przypomniała sobie, że podobne słowa skierowała kiedyś do Elizabeth, oschłej siostry Sabriny. Nie żeby cokolwiek to dało, co to, to nie; przez cały sezon wszędzie towarzyszyła Elizabeth i wszystko na nic. Westchnęła.

- To był najdłuższy sezon w moim życiu - powiedziała na głos. - Elizabeth nie zdobyła żadnej popularności, ale teraz to już bez znaczenia, i dzięki Bogu. Właściwie, kiedy usłyszałam od waszego dziadka, że poślubiła kuzyna, dałam za wygraną. Według mnie tam musiało chodzić o pieniądze. Ale teraz to już i tak bez znaczenia. Jest przyszłą hrabiną Monmouth. Jest dobrze ustawiona. Teraz czas zatroszczyć się o ciebie, Sabrino.

Anissa zobaczyła, że Jane Balfour prowadzi wicehrabiego Derencourt w stronę Dorindy Morton, której matka podąża ich tropem niczym pies myśliwski. Drgał jej podbródek. Czekwała na właściwy moment. Wysłała Sabrinę po szklaneczkę ponczu.

Kiedy Sabrina wróciła do ciotki, usłyszała za plecami głos Jane Balfour:

- Sabrino, pozwól, że ci przedstawię wicehrabiego Derencourt. Phillipie, znasz oczywiście lady Barresford. Oto jej bratanica, Sabrina Eversleigh. Lady Sabrino.

Ucieszyła się w duchu na myśl o tym, że właśnie oddała ciotce szklaneczkę ponczu. Gdyby nadal trzymała ją w ręku, niechybnie upuściłaby ją i stłukła, nie oszczędziwszy pięknej aksamitnej sukni. Wiedziała, że spotka go w Londynie, sam jej to powiedział. Lecz było zbyt wcześnie. Nie miała czasu nabrać dystansu do uczuć, które do niego żywiła, ani tym bardziej przeciwiczyć, jak powinna się do niego odnosić. Powoli zmusiła się do spojrzenia mu w twarz.

Wyglądem zupełnie nie przypominał człowieka, który opiekował się nią przez pięć dni. Oczywiście, ona też nie była już ubrana jak tamta dziewczyna. Obserwowała, jak pochyła się nad dłonią jej ciotki, niezwykle uprzejmie.

- Witam, lady Barresford. Sabrino, miło cię znowu widzieć. - Jego delikatny głos zupełnie zbił ją z pantafelów. Kiedy leżała ciężko chora, nie słyszała tego delikatnego głosu. Niezdolna do wydania jakiegokolwiek dźwięku, skinęła bezmyślnie głową.

- Jak to możliwe, że nie miałam pojęcia o tym, iż zna pan moją bratanicę?

Co tu się dzieje? Nagle Sabrina zeszywniała, zamknęła się w sobie i zamilkła. Przypominała teraz kij od miotły.

- To było przelotne spotkanie, proszę pani - odparł Phillip, zmuszając się do patrzenia na ciotkę, a nie jej bratanicę. Ciotkę, która była staruchą z ambicjami; zawsze takich unikał. - Na przyjęciu bożonarodzeniowym w Moreland.

- Ach, tak, w wiejskiej posiadłości Charlesa Askbridge'a - przypominała sobie lady Barresford. - Przecież siostra Charlesa, nasza kochana Margaret, poślubiła sir Hugh Drakemore'a. Bardzo się ucieszyłam na tę wieść, szczególnie że Margaret nigdy nie była specjalnie popularna i jej matka straciła już nadzieję na znalezienie dla niej odpowiedniego męża. Jak jej służy małżeństwo?

Phillip zobaczył przed oczami promieniejący uśmiech na twarzy Margaret, kiedy zaledwie na dzień przed Bożym Narodzeniem do Moreland przyjechał Hugh. Przysięgłby, że ten człowiek zostanie kawalerem do końca życia. Hugh wziął żonę na ramiona, podrzucał ją do góry, całował i śmiał się.

- Myślę, że jest całkiem zadowolona z instytucji małżeństwa.

Z drugiego końca salonu rozległy się dźwięki skoczego, ludowego tańca.

- Czy zechciałabyś ze mną zatańczyć, Sabrino?

- Tak, wicehrabio. - Nie spojrzała mu nawet w twarz, tylko oparła dłoń na jego ramieniu. - Czy mogę, ciociu?

- Oczywiście, baw się dobrze, dziecko.

Kiedy wicehrabia oddalił się z Sabriną u boku, lady Barresford poczuła, jak ogarnia ją lęk. Wicehrabia, jakkolwiek przystojny, czarujący młody człowiek, do tego oczywiście majątny, słyszał z tego, że jest śliski jak węgorz - do tej pory nikt nie zdołał go złowić. Będzie musiała później powiedzieć Sabrinie, żeby nie liczyła na małżeństwo z nim. Był zbyt młody, by zaprzętać sobie głowę płodzeniem potomków, chociaż - jak powszechnie wiadomo - mężczyźni nie sprawia to większej trudności, niezależnie od wieku. Tylko że mężczyźni nigdy nie zdają sobie sprawy z tego, jak kruchy jest w rzeczywistości ich los. To właśnie żona może najskuteczniej utrzymać mężczyznę na powierzchni, nie dopuszczając, by pewnego dnia znalazł się pod ziemią.

Tak, porozmawia z Sabriną. Nie należy marnować jej czasu. Było również mało prawdopodobne, by Sabrina poznała kiedykolwiek wcześniej mężczyznę pokroju Phillipa Mercerault. A mimo to najwyraźniej znali się wystarczająco dobrze, by zwracał się do niej po imieniu. To doprawdy

ciekawe.

Zanim skłonił się w tańcu, Phillip wyszeptał tuż nad uchem Sabriny:

- Jaka szkoda, że nie możesz jeszcze tańczyć walca.

- Ależ mogę. Dziadek opłacał nauczyciela tańca dla mnie i Elizabeth, jeszcze zanim wyszła za mąż.

Jednak odkąd przybyła do Londynu, tańczyła pierwszy raz.

- Nie o to mi chodziło - powiedział, patrząc z góry prosto w jej oczy. - Tu, w Londynie, musisz mieć pozwolenie na to, by tańczyć walca.

- Od kogo?

- Od patronek klubu Almack's. Czy twoja ciotka załatwiła ci wstęp do...

- Nie wiem, nic mi o tym nie wspominała. - Nie mogła oderwać wzroku od Phillipa. Oto była ona, Sabrina, ubrana w najlepszej możliwej formie, no i była z Phillipem. Na skraju parkietu spotkali się twarzą w twarz. Nie potrafiła mu się oprzeć. Przełknęła ślinę, pochylając się w jego stronę. Pozwolił jej niemal dotknąć swojego torsu, po czym błyskawicznie odsunął od siebie.

- Nie mogę, Sabrino. Bardzo bym tego chciał, ale nie mogę.

Stała tak i wpatrywała się w niego. Nic z tego nie rozumiała. Czowała ból, był to ból niemal fizyczny. Nie mieściło jej się to w głowie. Zupełnie się tego nie spodziewała. Skąd te dziwne uczucia i właściwie dlaczego?

Byli blisko, zbyt blisko. Miała na sobie te wszystkie przekłete ubrania. Nie żeby źle w nich wyglądała, wprost przeciwnie. Kłopot w tym, że pamiętał ją nagą, każdy kawałek jej białej skóry.

- Mężczyzna nie ulega każdej kobiecie, boi się bowiem, że ona go ujarzmi. Nie będę jednak ukrywał, że to jest poważna rzecz. Lepiej mnie nie drażnij.

- Ależ ja nie mam pojęcia o drażnieniu. Westchnął.

- Ależ oczywiście, że nie masz. Poprosiłem cię do tańca, bo chciałem z tobą porozmawiać.

Szyk został sformowany i niemal natychmiast zostali rozdzieleni. Na twarzy Sabriny pojawił się uśmiech, pozwoliła stopom tańczyć. Ukłoniła się głęboko i ruszyła przed siebie, podając rękę to jednemu dżentelmenowi, to drugiemu. Nie była to czynność szczególnie wyczerpująca, niemniej pod koniec tańca niełatwo było jej złapać oddech.

Poczuła dotyk jego dłoni na ramieniu.

- Nadal się szybko męczysz, prawda?

- Tak, ale z każdym dniem jest coraz lepiej.

- Nie chcę się jeszcze z tobą rozstawać. Jak powiedziałem, chciałbym z tobą porozmawiać. Nie miałabyś przypadkiem ochoty na szklaneczkę ponczu? To powinno cię ożywić.

Skinęła głową i podała mu dłoń. Przeszli przez dużą salę balową do jadalni, w której stały długie stoły, jeden przy drugim, a na nich mnóstwo jedzenia - wszystko, czego dusza zapagnie, od ciastek ostrygowych po torty i szarlotki.

- Jesteś głodna?

Sabrina pokręciła głową. Phillip wręczył jej pełną szklaneczkę, a sam przyjął z rąk lokaja kieliszek szampana.

- Za Londyn i twój niewątpliwy sukces. Wypiła poncz; był bardzo słodki. Odstawiła szklaneczkę.

- Wypijmy za świat, którego nie trzeba zmieniać. Mój sukces nie jest niewątpliwy, mój sukces jest faktem.

- Nie, Sabrino. Chodzi tylko o to, że świat się jeszcze nie dowiedział.

- Zamierzasz to może rozgłosić?

- To nie będzie konieczne. W tej chwili twój świat to szklany klosz. Wystarczy, żeby ktoś rzucił kamieniem, zaledwie jeden zawistny głos, a wszystko się roztrzaska z brzękiem.

- Ależ to bez sensu. Nic nikomu nie zrobiłam. Ja ledwie otwieram usta, to moja ciotka jest od mówienia. Ja się uśmiecham, kiwam głową i robię, co mi każą. Nie, Phillipie, nie ma powodu, by ktokolwiek miał się zachować w tak złośliwy sposób, jak to przedstawiasz.

Pokręcił tylko głową.

- Jesteś taka naiwna. Wierz mi, Sabrino, kiedyś to nastąpi. To jedynie kwestia czasu. Dostałaś mój list?

- Tak, dziś rano. - Uśmiechnęła się do niego szczerze. - Dziękuję ci, Phillipie. Nie wiem, czy kiedykolwiek będę potrafiła się odwdziżyć.

- Mam nadzieję, że przestałaś się martwić.

- W dużej mierze tak.

- Kłamiesz, ale to bez znaczenia. Jak pisałem w liście, stan dziadka stopniowo wraca do normy. To silny, stary orzeł. Twój pazerny kuzyn, Trevor, będzie musiał kilka razy się zastanowić, zanim wykona następny ruch. Nie napisałem o tym na wypadek, gdyby twoja ciotka miała przeczytać list, ale hrabiemu nie grozi żadne niebezpieczeństwo ze strony Trevora, obiecuję.

Zmarszczyła czoło, jej wzrok spoczął na fularze, nieskazitelnie zawiązanym pod szyją Phillipa.

- Co zrobiłeś?

- Pojechałem do Monmouth Abbey. Znalazłem szuję i wygarnąłem mu wszystko. Nie miałem dla niego litości.

ROZDZIAŁ 23

Co zrobiłeś? Coś ty powiedział, Phillipie? Widziałeś się z nim? Postrzeliłeś go? Proszę cię, powiedz, że to tylko draśnięcie, nic groźnego, co mogłoby go zabić. Phillip roześmiał się.

- Myślę, że za jakieś sześć miesięcy będę mógł wrócić do Monmouth Abbey i naprawdę złoić mu skórę. - Nie dodał, że Richard Clarendon najprawdopodobniej chętnie będzie mu towarzyszył albo nawet dotrze tam wcześniej. Gdy o tym pomyślał, miał ochotę zatrzeć dłonie. - A teraz posłuchaj mnie, Sabrino. Tak, pojechałem do Monmouth Abbey i przyparłem do muru zarówno Trevora, jak i twoją siostrzyczkę. Wiesz, są siebie warci.

Sabrina patrzyła na niego bezradnie.

- Ale dlaczego?

- Obojgu brakuje kręgosłupa moralnego.

- Phillipie, dlaczego tam pojechałeś?

- Byłem ci to winien.

- Nie, niczego nie byłeś mi winien. I nadal nic nie jesteś mi winien. Już ci mówiłam. Phillipie, uratowałeś mi życie. To z pewnością wystarczy.

- Dobrze. Nie pojechałem tam, żeby zobaczyć małego fircyka, który tak czule przemawiał do Richarda Clarendona, ale żeby spojrzeć w twarz łajdakowi, który próbował zgwałcić własną szwagierkę, zamiast się nią opiekować.

- Trevor jest bardzo przystojny. Powiedziałaś mu, żeby nie krzywdził dziadka?

- Tak. Trevorowi Eversleigh można odmówić wielu rzeczy, ale nie instynktu samozachowawczego. W dość zwięzły sposób powiedziałem zarówno jemu, jak i Elizabeth, że jeśli stary hrabia umrze, to jego następcy wpakują kulę prosto w serce. Było przy tym masę oburzenia i krzyków, że to nie moja sprawa i tym podobne, ale wreszcie uwierzyli, że mówię poważnie. Przyznaję, że musiałem posunąć się do dość drastycznego pokazu. Musiałem rzucić Trevorem o podłogę i trochę po nim poskakać. Elizabeth stała obok, trzęsła się jak liść osiki. Chociaż gdy teraz o tym myślę, wydaje mi się, że może cieszyła się, że trochę uszkodziłem tego łajdaka. Kto wie? To dziwne. Trevor wołał kamerdynera...

- Ribble'a.

- Tak, Ribble'a. Ten zaraz przybiegł, stanął w drzwiach i patrzył, co się dzieje, a potem odwrócił się i odszedł.

- Ależ, Phillipie, mówisz, że jeśli dziadek umrze, wywiesz Trevora na pojedynek. Nie mogę się na to zgodzić. Trevor mógłby cię zranić. Dlaczego chcesz ryzykować życie dla starego człowieka, którego nawet nie znasz?

- Sabrino, to twój dziadek.

- Zwolniłam cię z wszelkich zobowiązań wobec mnie i mojej rodziny, które próbował na ciebie nałożyć Charles. A teraz mój dług wobec ciebie jeszcze wzrośnie. Nie mogę tego znieść.

- Wygląda na to, że będziesz musiała, skoro stało się to, co się stało.

Powiedziała prawdę, nie mogła tego znieść.

- Dziękuję, Phillipie. Phillip poczuł gniew, ogarniający go na myśl o sytuacji, w jakiej znalazła się Sabrina, i to zarówno bez swojej, jak i jego winy. Chroniąc ją, przyjął na siebie rolę jej obrońcy, ale rozumiał, że to dla niej trudne.

- Nie chcę słyszeć już więcej podziękowań, Sabrino. To już się robi nudne. Tak, całe to kwilenie i żalony ton zupełnie do ciebie nie pasują.

Taka mała sztuczka. Sabrina cała oblała się rumieńcem, od piersi po linię włosów nad czołem. Ach, piersi... Oderwał od nich wzrok i popatrzył Sabine prosto w oczy.

- Kwilenie i żalony ton? Ty głupcze, przecież to nic nie znaczy. Muszę ci podziękować, nie ma innego wyjścia. Dlaczego nie zrobisz czegoś, co bardziej pasowałoby do twojego charakteru? Charlie mówił mi, że jesteś nieprzewidywalny, nierozważny i samolubny. Tak, wiem o tych wszystkich rzeczach, które robisz z różnymi kobietami, a nie powinieneś. Och, wystarczy już. Charles powiedział mi również, że chciałeś rozbudować dom, ale tak naprawdę to się nie liczy; liczą się tylko te inne rzeczy, których powinieneś się wstydzić.

- Że jestem samolubny, tak? A dwie pozostałe: nieprzewidywalny i nierozważny, tak, z tym się zgadzam. Przełknę nawet jakoś te obelgi, które na mnie rzucasz, ale nie zgadzam się, żebyś mówiła, że jestem samolubny. Nie pamiętasz już, jak cię kąpałem, Sabrino? Jak cię wycierałem do sucha? Całą, kawałek po kawałku? Udowodniłem, że nie jestem samolubny. Wszystko robiłem dla ciebie.

- Byłam nieprzytomna. No dobrze, prawie nieprzytomna. Tylko skończony łajdak mógł mnie kąpać, gdy byłam ledwie przytomna.

Sabrina mówiła zupełnie bez sensu i Phillipowi bardzo się to podobało. Niewątpliwie chciał usłyszeć więcej tych bezsensownych wynurzeń; aż pomrukiwał, niecierpliwie ich wyczekując.

- Gdy zaproponowałem ci kąpiel, aż zadrzałaś, taką przyjemność sprawiła ci sama myśl o tym. Nieprzytomna? Nie wydaje mi się, Sabrino, żebyś była wtedy nieprzytomna.

- Dżentelmen nie zapamiętałby szczegółów tego rodzaju.

Rumieniec na twarzy Sabriny stał się jeszcze wyraźniejszy, a jej oczy błyszczały i gniewem, i zyciem. Jeszcze tylko trochę, pomyślał, jeszcze odrobinę i zaraz zacznie na mnie warczeć. A to oznaczałoby, że czuje się lepiej i odzyskuje dawny wigor.

- Ależ, Sabrino, dżentelmen powinien pamiętać właśnie tego rodzaju szczegóły. Ta umiejętność pomaga mu sprawiać przyjemność damie przy następnej sposobności. Nie powinienem o nich wspominać? Potem się nad tym zastanowię. Aha, pamiętam też, że tego znamienego dnia, gdy cię kąpałem, wcale nie byłaś nieprzytomna, wcześniej również. Byłaś chora i w gorączce. - Phillip popatrzył na lewe ucho Sabriny, otoczone luźnymi rudymi puklami włosów, i odezwał się lekko, wiedząc, że jeśli gniew Sabriny nasili się tak, że zacznie na niego warczeć, to stanie się to już wkrótce: - Nie pamiętasz już, jak cię ogrzewałem, gdy tak bardzo zmarzałaś?

W głowie Sabriny zaczęły pojawiać się jakieś mgliste wspomnienia; poczuła, że rumieniec na twarzy jeszcze się wzmaga. Wtedy Phillip trzymał ją blisko siebie, ogrzewając ciepłem swojego ciała. Teraz przypomniawszy sobie jego dłonie przesuwające się w górę i w dół po jej plecach; przypomniawszy sobie, jak trzymał ją w ramionach; przypomniawszy sobie bijące od niego ciepło, od którego kręciło się jej w głowie i w którym chciała cała się zanurzyć.

- Nie jesteś dżentelmenem. - Sabrina odsunęła się i wysunęła przed siebie rękę, by go powstrzymać, by się do niej nie zbliżał, by nie ogarniały jej wspomnienia.

Posunął się zbyt daleko; za bardzo na nią naciskał. Nie warknie na niego, nie tym razem. Cholera!

- Masz rację - Phillip odezwał się ostrym głosem. - Przepraszam. Zapewniam cię, że istotnie byłaś nieprzytomna. Zrobiłem tylko to, co musiałem, żeby uratować ci życie, więc nie histeryzuj. Obiecuję, że już nigdy o tym nie wspomnę.

- Nigdy nie histeryzuję. Phillip roześmiał się; nie mógł się powstrzymać.

- To dobrze. I błagam cię, nigdy tego nie rób. Bardzo się boję kobiet, które okazują choćby najmniejsze oznaki hysterii. Chodź, zatańczymy raz jeszcze. Albo, jeśli jesteś na mnie zła, to może po prostu odprowadzę cię do ciotki; jest żoną kupca, jeśli dobrze pamiętam. Zresztą nie, zapomnij, że to powiedziałem. Oddychasz zbyt ciężko, co wskazuje na zdenerwowanie. Uspokój się.

- Twoje poczucie humoru powala na kolana - odparła Sabrina. Ujawszy fałdy sukni, odwróciła się na pięcie i wolnym, majestatycznym krokiem, jak królowa, odeszła korytarzem z powrotem do sali balowej, pod bezpieczne skrzydła ciotki.

- Ta obelga naprawdę zaboliała! - zawołał za nią. - A może to nie była obelga?

Po chwili Phillip pożegnał się i opuścił przyjęcie. Kilka godzin później, gdy wypił u White'a pół butelki brandy, poszedł do domu Martine przy Fitton Place. Minęła dłuższa chwila, nim Annie, pokojówka Martine, oraz jej kamerdyner i kucharz uchylili drzwi na kilka centymetrów, chcąc dowiedzieć się, kto tak dobija się do drzwi, że obudziłby umarłego.

Gdy Annie wreszcie go zobaczyła, zrobiła krok w tył i rzuciła zaskoczona:

- Ależ, proszę pana, jest druga w nocy!

- Piękny poranek, moja droga. - Phillip wiedział, że się urznął. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Rzucił Annie płaszcz i kapelusz. - Nie musisz mnie anonsować, zaskoczę moją panią.

Przeskakiwał po dwa stopnie, kilkakrotnie chwytając się za poręcz, by nie stracić równowagi, i bezceremonialnie wpakował się do sypialni Martine.

Płomień długiej świecy gwałtownie zadrżał.

Martine była w swojej sypialni. Leżała wsparta na łokciu, a jej piękne usta rozchyliły się w leniwym uśmiechu.

- Dobry wieczór, *madame*. - Phillip obdarzył ją pijackim ukłonem.

Martine usiadła, a narzuta, którą się zasłaniała, opadła do talii. Była naga. Phillip wpatrywał się w nią i natychmiast stał się twardy jak skała. Jęknął i zrzucił z siebie ubranie, zostawiając je na podłodze, tam gdzie upadło.

- *Quelle sotties* - odezwała się Martine z silnym manchesterskim akcentem. - Chodź tu, panie. Myślę, że potrzebujesz mojego towarzystwa, i to szybko. - Odsunęła narzutę i przyciągnęła do siebie. - Jesteś pijany, Phillipie? Zbyt pijany, by obdarzyć nas oboje przyjemnością?

- Musiałbym być martwy, by mogło się stać coś takiego. Zaufaj mi, Martine, nie będziesz rozczarowana. Jeśli po drodze o czymś zapomnę, to mi przypomnij. Uwielbiam wracać po własnych śladach. Martine zaśmiała się i ugryzła go w ramię.

- Przypomnę ci, ale nie sądzę, byś o czymś zapomniał. Doskonale wiesz, co masz robić, robiłeś to przecież tak wiele razy.

Phillip uśmiechnął się i wtulił twarz w jej piersi. Wiedział, że Martine go pragnie, bo zapomniała ćwiczyć z nim swój francuski. Przynajmniej jakaś kobieta go chce.

Martine pogłaskała gęste, ciemne włosy Phillipa, błyszczące w świetle świecy. Wyprężyła ciało, by mógł całować jej piersi.

- O tak, to jest właśnie ta przyjemność.

- Mógłbym obdarzyć przyjemnością każdą kobietę w Londynie - odezwał się między pocałunkami

- poza tą upartą małą czarownicą.

O, to interesujące, pomyślała Martine, ale zaraz zaczęła ogarniać ją tak wielka rozkosz, że przyciągnęła Phillipa bliżej i wpiła się w jego usta, aż oboje niemal w ogóle nie mogli oddychać. Po kilku minutach bezgranicznej rozkoszy Phillip gwałtownie się wycofał; odsunął się od Martine i przyglądał się jej. Widziała jednak, że myślami nie do końca jest przy niej.

Phillip położył się na boku, wsparty na łokciu. Z przyzwyczajenia głaskał kochankę prawą ręką, aż westchnęła.

- Ona jest głupia, Martine. Skompromitowałem ją, a mimo to nadal mnie nie chce. Oczywiście dziś wieczorem nie poprosiłem jej ponownie o rękę. Wiedziałem, że lepiej tego nie robić. I tak już posunąłem się za daleko. Po co mam po raz kolejny oberwać w twarz, skoro wiem, że znów by mi odmówiła? Nie, nie jestem aż takim głupcem. Nie wiem, co mam zrobić, i to mnie gryzie. Nienawidzę tego jej oporu, to zupełnie do niej nie pasuje. A wiesz co? Miała czelność oskarżyć mnie, że przegrałem jakiś niedorzeczny zakład; krótko mówiąc, że przegrałem zakład i mam się poświęcić, i z nią ożenić. Ja i poświęcenie? Wolne żarty. Co za niedorzeczna myśl.

Słyszając te zwierzenia, Martine powoli mrugała brązowymi oczami. Dłoń Phillipa nie pieściła już jej ciała. Widać było, że jej kochanek myślami jest gdzieś daleko. Cóż, prawdę powiedziawszy, mogłoby to okazać się dość interesującym doświadczeniem.

- Skompromitowałeś damę?

- Oczywiście, że nie. Naprawdę aż tak źle o mnie myślisz?

Martine przeczesła zmierzwiłone włosy Phillipa.

- Nie, ale przecież sam powiedziałeś, że...

- Nie było w tym nic kompromitującego. Umarłaby, gdybym się nią nie zaopiekował. Ona to wie i ja to wiem. Cały ten cholerny świat powinien to wiedzieć. - Położył dłoń na brzuchu Martine i zaczął lekko uderzać palcami.

Martine uśmiechnęła się, milcząco zachęcając go, by mówił dalej.

- Wiedziałaś, że nawet Clarendon chciał się z nią ożenić? Dlaczego ona, u diabła, nie widzi, że czeka ją towarzyska katastrofa?

- Ale skoro jej nie skompromitowałeś, to czemu czeka ją katastrofa?

Phillip przewrócił się na plecy. Drgający płomień z jedynej świecy płonącej w sypialni, stojącej na stoliku przy łóżku, unosił się, oświetlając sufit. Phillip dostrzegł na nim pęknięcie i kawałek gipsu, który prędzej czy później spadnie na łóżko.

- Martine, wezwij tego cholernego stolarza. Nie chcę, żeby coś zmiażdżyło mi głowę, gdy będziemy się kochać.

Martine wydała z siebie nie do końca zrozumiałą, ale uspokajający pomruk, a potem odezwała się:

- Nie rozumiem, dlaczego ta dziewczyna, która została skompromitowana, odrzuciła oświadczenia Clarendona? To przecież taki romantyczny mężczyzna. Sama niemal mdleję, gdy tylko wypowiadam jego imię. - Martine śmiała się. Phillip się skrzywił, a Martine dodała: - Jednak na dźwięk twojego imienia, Phillipie, mdleję całkowicie. Dlaczego nie chcesz, żeby Clarendon poślubił tę dziewczynę?

- On po prostu chce ją mieć, ale jej nie kocha. To hulaka i na nią nie zasługuje.

- A ty? Kochasz ją?

- Oczywiście, że nie. Ledwie ją znam. Wiesz, że jestem za młody, by kogokolwiek kochać, a już zdecydowanie zbyt młody, by się żenić.

- A czy i ty nie jesteś hulaką?

- Nie, raczej nie. Wszystko zależy, jak na to spojrzeć. Jestem na dole skali, jeśli w ogóle się na niej mieszczę. Większość tego, co ludzie o mnie wiedzą, to zwykłe plotki. Nie jestem tak niewinny jak Rohan Carrington, ale nie jestem dużo gorszy. No dobrze, może gorszy, ale nie jestem kobieciarzem, nie takim jak Richard Clarendon.

- Zawsze podobało mi się nasze spojrzenie na twoją osobę, Phillipie.

- Nie przekręcaj moich słów, Martine. Gdyby to Clarendon ją znalazł, skompromitowałby ją i wykorzystał jej niewinność. Miała szczęście, że to ja ją uratowałem, bo jestem człowiekiem honoru. Może i jej pożałowałem, ale nigdy bym jej nie wykorzystał.

Martine chwilę zastanawiała się nad słowami Phillipa, a potem uczepiła się jednego zdania, które wypowiedział:

- Czy Clarendon także chciał się poświęcić i ożenić z dziewczyną, której nikt nie skompromitował?

- Ta kwestia nigdy nie padła. To Charles Askbridge, zakuta pała, to powiedział. Ten twój romantyczny Clarendon wykręcałby się od tego małżeństwa na wszystkie możliwe sposoby, gdyby tylko przyszło mu do głowy, że się poświęca. I nie ma tu nic do rzeczy to, jak bardzo podkreślał, że pragnie ją poślubić. Tak mu zależało, żebym przysiągł, że jej nie zhańbiłem. Że ja jej nie zhańbiłem. Możesz w to uwierzyć? Po tym, jak się dowiedział, że była na granicy śmierci, miał chęć zapytać, czy jej nie naruszyłem. Czasem ten świat jest naprawdę żaloszny, Martine. Wszystko stacza się coraz niżej.

- Tak, to prawda. - Martine przesuwała opuszki palców po jego klatce piersiowej, w dół, coraz niżej, aż do brzucha. Miała nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale szczerze powiedziawszy, coraz bardziej nudziła ją rozmowa o dziewczynie, której nawet nie знаła. Pochyliła się i pocałowała Phillipa w szyję. - Jesteś taki twardy - powiedziała, przesuwając palce w dół brzucha i dotykając go.

- Wiesz przecież, że nieraz się boksuję w salonie Jacksona - odparł z roztargnieniem, a jego uwaga znów skupiła się na pęknięciach na suficie.

Martine zaśmiała się i zaczęła całować go po całej klatce piersiowej.

- Nie, Phillipie, nie wydaje mi się, by klub bokserski miał coś wspólnego z tą tutaj twardością.

Martine trzymała go w dłoni, a Phillip wstrzymał oddech. Pociągnął ją i położył na sobie. Martine wyszeptała prosto w jego usta:

- Czegoś tu nie rozumiem, Phillipie. Powtarzałeś mi wiele razy, że jesteś zbyt młody, by się zenić, że żona to ostatnia z twoich potrzeb. A teraz zachowujesz się jak człowiek, który ma nieczyste sumienie.

Po tych słowach Martine zaczęła poruszać się na nim, co niemal doprowadziło Phillipa do utraty zmysłów. Gdy na chwilę przestała, udało mu się odezwać:

- Spędziła ze mną prawie tydzień; byliśmy sami. A ta żaloszna para, Elizabeth i Trevor, rozpowiadali po okolicy bajeczkę, jakoby Sabrina próbowała uwieść własnego szwagra. Przynajmniej wygarnąłem im bez ogródek, że mają trzymać język za zębami. Nie ma jednak wątpliwości, że zło zostało już wyrządzone, tyle tylko, że plotki nie dotarły jeszcze do Londynu. Ale dotrą i tu, a Sabrina tego nie rozumie. I co gorsza, nie ufa mi i nie wierzy.

Martine odczuła, jak Phillip całkowicie ją wypełnił. To wspaniałe uczucie, szczególnie z nim.

- Ta dziewczyna, której nie uwiodłeś... Myślisz, że jej by się to spodobało?

Phillip pomyślał o Sabrinie, małej, delikatnej, wtulonej w niego, gdy wokół szalała śnieżycy. Na

samą myśl o tych jakże intymnych chwilach, gdy się nią zajmował, poczuł zażenowanie. Mimo że pożądanie niemal wzięło górę nad wolą, udało mu się nad sobą zapanować. Prawdziwy dżentelmen nie rozmawia w taki sposób o damie z wyższych sfer, a już na pewno nie rozmawia o niej z kochanką. Oczywiście wiedział, że to, co się stało, to nie wina Martine. To jego wina.

- Wystarczy już, Martine. O tak, właśnie tak. Wsunął palce w jej krótkie jasne loki i przyciągnął jej usta do swoich ust.

ROZDZIAŁ 24

Nazajutrz, otwierając drzwi swojemu panu, Dambler nie tryskał bynajmniej optymizmem. Szedł za nim szerokimi schodami domu rodziny Derencourt. Doskonale wiedział, co robił jego pan. Z zazdrością uporał się już dawno temu. Obecnie myśl o tym wszystkim wywoływała u niego rodzaj radosnego zgorzknienia; oto przywilej ludzi starych, jeden zresztą z nielicznych. Pociągnął nosem. Phillip pachniał łóżkiem i brandy, ale zdecydowanie bardziej tym pierwszym.

- Tylko mi nie praw morałów - rzucił przez ramię, przeczuwając, że Dambler może w każdej chwili zacząć utyskiwać.

Dambler nie odezwał się ani słowem. Dotarłszy do swojej sypialni, Phillip starał się pozbyć wymiętego ubrania, jednak palce jakoś nie chciały go słuchać.

- Noc jest od tego, żeby spać, a nie włączyć się nie wiadomo gdzie, mój panie - skomentował Dambler, pomagając mu się rozebrać.

- Istotnie, jeśli jest się starcem, i ty, Dambler, dobrze o tym wiesz. Ojciec mi opowiadał, jakim to byłeś dzikusiem za młodu. Teraz po prostu mi zazdrościsz.

- Oj, chyba nie, panie.

Phillip chrząknął. Nie potrafił sobie wyobrazić, że Dambler nie odczuwa zazdrości. Wsunął się pod kołdrę. Była zimna. Miał zamiar się na to poskarżyć, ale był zbyt zmęczony.

- Z drugiej strony, kto wie? - zastanowił się na głos Dambler. - Pomyślę o tym, choć po prostu wydaje mi się, że mam okazję cieszyć się jednym z przywilejów jesieni życia, a mianowicie nie muszę co noc zaciągać kobiety do łóżka.

- Dwóch kobiet, jeśli to tylko możliwe.

- Jak pan uważa. Ja już zapomniałem, jak to jest. Cóż, w najlepszym razie to ulotne wspomnienia, które sprawiają ból tylko przez krótką chwilę.

- Gadasz, jakbyś zaraz miał się rozplakać. Zapomnij o jesieni życia, Dambler. Lepiej znajdź sobie jakąś rozchichotaną kobitkę. A teraz idź spać i nie waż się mnie budzić. No, chyba że dom stanie w płomieniach albo poczujesz nadchodzący atak apopleksji. Niech cię szlag, nie prosiłem, żebyś mnie oczekiwał w drzwiach.

- Co by powiedziała pańska matka? - Dambler pozwolił sobie zapytać, zdmuchując świece.

- Zważywszy, że zeszła z tego świata blisko cztery lata temu, obawiam się, że uzyskanie odpowiedzi na to pytanie byłoby cokolwiek trudne, nawet dla ciebie. Chociaż, jak wiesz, w swoich najlepszych latach matka była całkiem śmiałą niewiastą. Z boską pomocą, niech więzy krwi mówią za siebie.

Usłyszał ciche mruknięcie Damblera i zamknął oczy. Zaczął się zastanawiać, co by powiedział jego służący, gdyby zobaczył Martine jak ją pan Bóg stworzył. Apopleksja, pomyślał. Najprawdopodobniej skończyłoby się apopleksją.

Głos Damblera doszedł go od drzwi sypialni:

- Czy ma pan jakieś plany na wieczór?

- Wieczór właśnie dobiegł końca. Dziękuję, idź spać.

- Na najbliższy wieczór Phillip zaklął.

- Ależ oczywiście. Zapomniałem, przecież mam być w klubie Almack's, na powrót odgrywać świętego Jerzego*. Nie żeby coś to dało, ale...

- Święty Jerzy to szlachetna postać, panie.

- Jeśli w czymkolwiek podobny był do mnie, to musiał być skończonym głupcem.

Panna Teresa Elliott pod ramię z swym bratem Wilfredem elegancko przemierzała hol klubu Almack's, majestatycznie zbliżając się do patronek klubu, które siedziały na podium i brylowały w towarzystwie.

- Stare jędze - Wilfred szepnął siostrze do ucha, kiedy słabym wzrokiem zdołał objąć trzy damy, siedzące blisko jedna przy drugiej na połączonych krzesłach z twardymi oparciami. - Wolałbym stanąć oko w oko z katem. Że też musiałaś zamęczyć matkę tymi swoimi balami i czym tam jeszcze się zajmujesz...

- Cicho bądź, Wilfredzie. Nic ci się nie stanie, jeśli na jeden wieczór odpoczniesz od tych swoich żalonych ksiązek. Ja muszę mieć towarzystwo, nie mogę przyjść tu sama i dobrze o tym wiesz.

- Znajdź sobie męża, Tereso. Może uda ci się poderwać jakiegoś żalosego głupca, który pozwoli ci się cyganić na wszelkie możliwe sposoby.

Rzuciła mu wyzywający uśmiech, pełen wewnętrznej dumy, uśmiech, za który Wilfred chciał uderzyć ją w twarz.

- Do twojej wiadomości, zdecydowałam się na jednego z najlepszych, dostępnych kawalerów w Londynie.

- A kim, u diabła, jest ten nieszczęśnik? - Wilfred spojrzał z góry na siostrę, na jej klasyczny profil, którym jednak zupełnie nie był oczarowany.

- Raczej mało prawdopodobne, że się tu dzisiaj pojawi, bo nie jest tajemnicą, że postrzega Almack's jako kompletną nudę. Ale spodziewam się, że zacznie tu bywać, jak tylko weźmiemy ślub.

- Kto więc jest tym mięczakiem?

Uszczypnęła go w ramię, ale na tym poprzestała, bo zauważyła, że księżna Wigan uśmiecha się w jej stronę.

- No, dobrze, wystarczy już tych uśmiechów. Kim jest to ucieleśnienie cnót wszelkich, które obrałaś sobie za cel?

- Wątpię, czy w ogóle by na ciebie spojrzał, jest zbyt wyniosły, zbyt elegancki.

- Przestań, daj temu spokój. Jest jednym z tych bezużytecznych mężczyzn, którzy wyłącznie piją brandy, odwiedzają kochanki i ścigają się na koniach.

- Otóż, wyobraź sobie, durniu, że człowiek o którym mówię, to wicehrabia Derencourt.

- Phillip Mercerault?

- Tak - odrzekła, ignorując niedowierzanie w jego głosie. - Gdybyś w ogóle czasem wyściubił nos ze swoich piekielnych ksiązek, wiedziałbyś, że jeździłam z nim konno, a nawet byłam w Moreland przed świętami Bożego Narodzenia.

Niestety wspomniana wizyta nie spełniła jej oczekiwań.

- Gdyby nie pojawiła się ta głupia dziewczyna, jestem pewna, że on by...

- Zdawało mi się, że mówiłaś, że Phillip Mercerault nigdy nie bywa w Almack's.

- Bo nie bywa, tym bardziej szkoda, bo świetnie dzisiaj wyglądam i... - Teresa powiodła za jego

nieruchomym wzrokiem. Czują, że się rumieni. - Dobry Boże, musiał się dowiedzieć, że dziś tu będę. Jak to ładnie i romantycznie z jego strony. Zrobił mi taką niespodziankę.

Szarpnęła brata za ramię.

- Będiesz uprzejmy, Will, albo uwiodę twojego asystenta.

Chciał odpowiedzieć tak, żeby poszło jej w pięty, ale wiedział, że ona naprawdę mogła to zrobić; nieszczęsny pan James, wpadłby po uszy tak, że nigdy nie wy dostałby się z jej szponów.

- Będę uprzejmy jak rzadko.

- Mój drogi, musimy się przywitać z lady Jersey i księżną Lieven, a przede wszystkim z tą zimną panią Drummond Burrell.

- Prędzej dam się zamknąć w więzieniu.

Kiedy Teresa witała się z patronkami, jej policzki oblały się delikatnym rumieńcem ekscytacji. Wilfred, z Bożą pomocą, zdołał wypowiadać się w sposób dystyngowany, a wyłącznie tego wymagała od niego siostra.

- Ładna dziewczyna - powiedziała do Sally Jersey księżna Lieven, kryjąc się za wachlarzem, kiedy Teresa i Wilfred się oddalali.

- Jest dobrze ułożona i ma doskonałe toalety. Sally Jersey spojrzała na nią z wyższością, wzrokiem, co tu ukrywać, pełnym jadu.

- Niewykluczone, że doskonałe toalety panny Elliott obwisną jak łachmany, kiedy jej oczom ukaże się najświeższa wśród panien pojawiających się w tym roku na scenie. - Po chwili dodała rozsądnie: - Wygląda na to, że Sabrina Eversleigh już zdążyła dokonać podboju godnego uwagi. Phillip Mercerault prosił mnie, aby pozwolić mu prowadzić ją w walcu.

Pani Drummond Burrell, która dotychczas zupełnie nie sprawiała wrażenia, że uczestniczy w tej rozmowie, skierowała swoje zimne spojrzenie na lady Jersey, po czym powiedziała:

- Zdaje mi się, że wkrótce wicehrabia znajdzie się w potrzasku między dwiema kobietami. To człowiek wielkiego uroku. Ciekawe będzie patrzeć, jak sobie poradzi w tej sytuacji.

Teresa pociągnęła Wilfreda w kierunku Phillipa, zatrzymując się tylko na moment, żeby się od niechcienia przywitać z młodym dżentelmenem, który sprawiał wrażenie, że bardzo chętnie zająłby miejsce Wilfreda u jej boku.

Była nie dalej niż półtora metra od celu, kiedy wicehrabia odwrócił się i zaczął rozmawiać z niewysoką dziewczyną o rudobrazowych włosach, która stała obok lady Barresford. Chwilę później prowadził ją na parkiet. Teresa zastygła w miejscu.

- Jak on śmie tak mnie traktować? Na pewno mnie widział, nie mogę się mylić. Kim jest ta nieszczęsna dziewczyna, z którą tańczy? Niedoczekanie!

Wilfred, który spodziewał się okropnej nudy, nagle w tej jednej chwili, zmienił zdanie. Spojrzał na gniewną minę siostry i przeciągając samogłoski, by doprowadzić ją do wściekłości, powiedział:

- Wygląda na to, że ta mała piękność porwała twojego wicehrabiego. I to prosto sprzed twojego nosa. Czyż nie jest cudowna? Piękne włosy, powiedziałbym tycjanowskie. Niewinna i słodka. Jakoś nie wydaje mi się, że to twój przyszły mąż, siostrzyczko. Zastanawiam się, czyby ze mną nie zatańczyła. Jak uważasz?

- Zamknij się albo o wszystkim powiem mamie. Wiem, co się dzieje. Jest po prostu uprzejmy, nic więcej. Chodź, Will, muszę się przywitać z lady Barresford.

W tej chwili lady Barresford nachyliła głowę ozdobioną turbanem, aby usłyszeć, co mówi do niej Lucilla Morton. W takiej sytuacji pod żadnym pozorem nie wypadało przerywać. Teresa zakłęła pod

nosem.

Spojrzała w stronę Phillipa i dziewczyny, z którą tańczył walca. Zobaczyła, jak odchyła głowę i śmieje się, usłyszawszy coś, co powiedziała ta szczapowata smarkula. Bez ostrzeżenia chwyciła Wilfreda za ramię.

- Idziemy zatańczyć, Will. Nie narzekaj i ani mi się waż podeptać stopy. Te pantofle są całkiem nowe i na dodatek bielusiętkie.

Phillip wirował wraz z Sabriną w kierunku obrzeży parkietu. Sabrina śmiała się i z trudem łapała oddech.

- I co sądzisz o Almack's? - zapytał, uśmiechając się do niej.

Zrewanżowała się uśmiechem.

- Tu jest cudownie. Uwielbiam walca, a ty jesteś świetnym tancerzem, dużo lepszym od naszego nauczyciela. On ciągle głośno liczył i miał takie spocone ręce. Często tu bywasz, Phillipie?

- Rzadko, zwykle są straszne nudy.

- Mam nadzieję, że nie poświęcasz się dla mnie?

- Ależ skąd. Czyżby nikt cię nie poinformował, że jestem istotą na wskroś samolubną? To prawda. Na ogół. Na co dzień robię to, na co mam ochotę.

Z wyjątkiem sytuacji dotyczących ciebie, Sabrino, dokończył w myślach. Wszystko wskazywało na to, że zapomniała o starciu z poprzedniego wieczora. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby Sabrina się opamiętała. Nie, raczej nikłe szanse. Niby z jakiego powodu miałyby zmienić sposób postrzegania towarzystwa?

- Sabrino, z trudem łapiesz oddech. Odpocznijmy chwilę. Lepiej, żebyś się zanadto nie forsowała.

- Ależ nie śmiałybym cię zamęczać swoją osobą.

- Dam ci znać, kiedy poczuję wszechogarniające zmęczenie.

Fiołkowe oczy Sabriny zaokrągliły się, kiedy ją delikatnie pchnął, choć właściwie nie było to pchnięcie, a zaledwie niewinny żart. Niech zacznie warczeć, pomyślał, niech choć raz na mnie burknie. Uśmiechnął się i podsycił ogień jeszcze bardziej.

- Tak jest, Sabrino, odrobina charakteru nie zaszkodzi. Richard twierdził, że jesteś co najmniej uosobieniem życiowej energii. Zrób na mnie podobne wrażenie, a więcej nie ośmielę się z nim polemizować.

Zanim zdążyła odpowiedzieć na pytanie, orkiestra rozpoczęła grać następnego walca.

Chwycił ją mocniej w tali i zaczęli się znów obracać dookoła parkietu, zataczając szybkie, dynamiczne koła. Śmiech przerywała próbami złapania oddechu. W pomieszczeniu było ciepło, świece migotały niczym tysiące zwierciadeł, a dookoła Sabrina słyszała śmiechy. Czowała się cudownie. Phillip przyciągnął ją odrobinę bliżej i zwolnił nieco tempo.

- Proszę, tańczmy jeszcze, Phillipie. Uwielbiam, jak mnie obracasz na parkiecie.

Tak się zapomniała w tańcu, że gdyby teraz ją puścił, to albo radośnie oplotłaby go ramionami, albo tańczyła dalej w pojedynkę. Był oczarowany.

- Myliłeś się, wiesz? Rozejrzyj się dookoła. Wszyscy są radośni, śmieją się i tańczą. Ten klub wcale nie jest nudny. W dodatku wszyscy są tacy uprzejmi. Ciotka wspominała mi, że ostatnią osobą, do której uśmiechnęła się pani Drummond Burrell był huzar, a miało to miejsce na przełomie wieków. Uśmiechnęła się też do mnie. No, cóż, prawie się uśmiechnęła. Był to jakiś dziwny grymas, ale ciocia i tak powiedziała, że to niemal cud.

Potrząsnął głową i ponownie zakręcił nią dookoła, tak jak lubiła, zatoczyli wielkie koło. Kiedy ponownie zwolnił, odezwał się:

- Nie mogę się nie zgodzić. To wspaniały wieczór. Świetnie tańczysz. Jak na powinowatą kupca, mógłbym dodać.

- Wszyscy moi dzisiejsi partnerzy mówili dokładnie to samo. - Spojrzała na niego przez rzęsy. Drażniła się z nim, może nawet odrobinę flirtowała. Był po prostu oczarowany.

- Jak na powinowatą kupca, ubierasz się ze smakiem. Podoba mi się ten jasny bursztyn, wybrany przez twoją ciotkę. Włoska krepa jest wprost cudowna.

- Ależ ja sama to wybierałam, nie ciotka. Poza tym, skąd wiesz, że to włoska krepa? Nie spodziewałabym się takiej wiedzy po mężczyźnie.

- Aby cieszyć się powodzeniem wśród kobiet, mężczyzna musi się znać na wszystkim. Jeśli miałabyś ochotę, mógłbym cię zabrać do niewielkiego salonu kapeluszniczego przy Bond Street. Znajdziesz tam mnóstwo czapeczek i kapeluszy, które dopiero pozwolą ci rozwinąć skrzydła w tworzeniu kreacji. Nie wiedziała, co ma zrobić: wpaść w szal, czy wybuchnąć śmiechem. Zauważył to od razu. Podniósł brew, pytając:

- I co teraz zrobisz?

- Powiem ci, jak się namyślę, ale wiem, że jeśli zacznę się śmiać, to cię tylko zachęcę.

- Pewnie tak. - Poczul palce bębniące po ramieniu. Przypomniawszy sobie poprzednią noc, spędzoną w towarzystwie Martine i delikatny uśmiech pojawił się na jego twarzy. Tańczyli jeszcze chwilę, dopóki nie straciła tchu. Tuż przed końcem walca Phillip pochylił twarz nad wiankiem splecionym z warkoczy, zdobiącym jej głowę, i melancholijnym głosem rzekł:

- Chciałbym, byś pozwoliła mi zostać drugim świętym Jerzym. Sabrino, jesteś damą w opałach. To prawda, uwierz mi; nie ma takiej rzeczy, która mogłaby to zmienić. Lepiej się nad tym jeszcze zastanów.

- Nie mogłabym ci się zrewanżować, prosząc, abyś się wyrzekł własnego życia. Poza tym rozejrzyj się dookoła. Wszyscy mnie lubią, Phillipie. Nie potrzebuję świętego Jerzego.

Westchnął. Orkiestra uderzyła w dźwięki następnego walca i zaczęli się obracać do środka parkietu.

- Trzeci walc. To niezwykle miło z twojej strony. Jest mi tu tak dobrze.

Gdyby tylko wiedziała, co oznacza trzeci walc, pomyślał, a uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

ROZDZIAŁ 25

W oczach wszystkich obecnych Phillip dostrzegł niezdrową ciekawość. To ich trzeci walc. Już drugi walc przemawiał bardziej niż ogłoszenie w „Gazette”, a trzeci oznaczał, że w oczach towarzystwa są już niemal małżeństwem. Miał rację, że Sabrina, zupełnie nie znając zasad, jakimi rządzi się londyńska śmietanka towarzyska, była w zachwycający sposób nieświadoma, że zatańczenie trzeciego walca jest jak włożenie na palec obrączki. Phillip jednak nie czuł się winny. Niech się tym wszystkim zajmie lady Barresford. Po dłuższej chwili odezwał się do Sabriny:

- Muszę na kilka dni wyjechać z Londynu i pojechać do mojej posiadłości niedaleko Oksfordu. Wrócę najdalej w poniedziałek. Może zechciałabyś udać się ze mną na przejażdżkę po parku, gdy wrócę?

- Do parku wpuszczają rodziny kupców? - Sabrina próbowała się nie roześmiać, a Phillipowi bardzo się to podobało.

- Skoro będziesz w moim towarzystwie - odparł beznamiętnie Phillip - nie ma powodu do niepokoju. Jeśli ktokolwiek powie choćby słowo, że nie powinnaś tam być, będę obok i cię ochronię.

Sabrina odchyliła głowę.

- Przysięgam, Phillipie Mercerault, że pewnego dnia to do mnie będzie należało ostatnie słowo.

- Jestem od ciebie osiem lat starszy i pochodzę ze sfer wyższych niż ty, wątpię więc, by było to możliwe, ale cóż... Zobaczymy, prawda?

- Wątpię - odparła, ale wiedziała, że tym razem ją pokonał. - Wiem, skąd pochodzisz, ale niewiele więcej.

Phillip roześmiał się, pokazując w uśmiechu lśniące białe zęby. Chciała więc dowiedzieć się czegoś o jego domu? Cóż, wkrótce będzie to pewnie także i jej dom, więc chętnie zaczął opowiadać, jednocześnie zwalniając nieco tempo w tańcu.

- Sabrino, byłaś kiedyś w Oksfordzie? Pokręciła głową.

- Słyszałam, że nie jest tak piękny jak wzgórze Cotswolds.

- A niech cię licho, że musiałaś teraz o tym wspomnieć! Oksford jest naprawdę piękny. Mój dom rodzinny nazywa się Dinwitty Manor. To beznadziejna nazwa, ale przypuszczam, że dziedziczka, która uratowała skórę moim przodkom, zażądała, by nazwano posiadłość jej imieniem, tak więc się stało. Odzyskała rodzinny majątek i na szczęście od tego czasu żaden wicehrabia nie jest utracjuszem. W rzeczywistości w kwestii pieniędzy wszyscy jesteśmy bystrzy. A sama Dinwitty Manor uznawana jest za miejsce, które wygląda dość dziwnie.

- Co to znaczy?

- Wystarczy rzec, że każdy z moich przodków miał zamiłowanie do innego stylu w architekturze, więc cały dom to mieszanina stylów. O mnie można powiedzieć, że lubię gotyk; mój ojciec był miłośnikiem stylu mauretańskiego, dziadek klasycystycznego. Z tej mieszanki powstał dom czarujący, ale także i niezwykły.

- Brzmi to intrygująco. Phillip uniósł brew i znijwyższy głos, powiedział:

- Jest tam bardzo ładny pokój dziecienny, a także wyśmienita biblioteka. Sala balowa, którą dobudował mój dziadek, znajduje się na tyłach domu. Cały sufit aż ocieka od rzeźbionych cherubinków. To trochę niepokojące i rozpraszające uwagę, szczególnie jeśli chce się uważać na kroki.

Orkiestra przestała grać, a Phillip, przeklinając intrygujące oczy Sabriny, uśmiechnął się lekko.

- Może chciałabyś zatańczyć jeszcze jeden taniec?

Jej oczy płonęły.

- A niech to! Popatrz, Phillipie, ciotka mnie woła. O Boże, krzywi się... Dlaczego miałaby się tak krzywić? Nie zrobiłam przecież nic, co mogłoby kogokolwiek zdenerwować czy wywołać niezadowolenie, skoro cały czas tańczyłam z tobą i, przynajmniej według ciebie, nie szło mi to najgorzej.

- Odprowadzę cię do ciotki. Prawdopodobnie chce, byś porozmawiała także z innymi dżentelmenami.

Zastanawiał się, czy lady Barresford nawrzeszczy na Sabrinę, że zatańczyła z nim trzy walce, a nie dwa.

- Pewnie masz rację. Zatańczysz ze mną, gdy wywiążę się już z moich towarzyskich obowiązków wobec innych? Tak bardzo lubię tańczyć z tobą walca.

- Przykro mi, ale nie dziś. Mam spotkanie i muszę już iść.

Odprowadził Sabrinę do ciotki; zauważył podejrzliwe spojrzenie starszej damy.

- Sabrino, wracam do Londynu w poniedziałek. Wtedy udamy się na przejażdżkę.

Skinęła głową. Czuła się jednak rozczarowana, gdy patrzyła na Phillipa żegnającego się z patronkami klubu.

- Wygląda na to - powiedziała pani Drummond Burrell w kierunku wychodzącego Phillipa - że jego lordowskiej mości udało się ująć cało. Szkoda. Chciałabym zobaczyć, jak jest poddawany próbie.

- Muszę powiedzieć, że panna Elliott nie wygląda na szczęśliwą - wtrąciła lady Jersey. - Tak, mały skandal z pewnością ożywiłby dzisiejszy wieczór. Szkoda.

- Na szczęście dziewczyna ma tyle oleju w głowie, by za nim nie biec - odezwała się hrabina Lieven. Jak i pozostałe damy, miała nadzieję, że stanie się coś zupełnie odwrotnego.

- Ależ moja droga - lady Jersey odezwała się zza wachlarza - panna Elliott zdecydowała się spotkać ze swoją rywalką. Och, szkoda, że nie siedzimy bliżej.

Teresa, ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy, zwracała się właśnie do lady Barresford:

- Droga lady Barresford, jak wspaniale znów panią widzieć. Mama z pewnością zechciałaby przekazać pani najserdeczniejsze pozdrowienia, gdyby tylko wiedziała, że będę miała okazję z panią rozmawiać.

Sabrina odwróciła się, usłyszawszy głos Teresy Elliott. Cóż to za wspaniała dziewczyna, pomyślała. Na chwilę przestała myśleć o Phillipie, jednocześnie obiecując sobie, że gdy zobaczy się z nim w poniedziałek, natrze mu uszu. Ciotka powiedziała jej, co oznaczają trzy walce. Jak udało mu się zachować ten niewzruszony wyraz twarzy? Znów próbował ją skompromitować. Dlaczego? Puściła go przecież, jest wolnym człowiekiem. Dlaczego nie błogosławił jej za to i czym prędzej nie uciekł?

- ...a to jest Wilfred, mój brat.

Wilfred o rozmarzonych oczach, pomyślała Sabrina. Patrzyła, jak kłania się ciotce Barresford, dziwnie patrząc na siostrę, która z kolei uważnie obserwowała Sabrinę, wcale się nie uśmiechając.

Lady Barresford uprzejmie kiwnęła głową, witając się z wyraźnie zażenowanym Wilfredem.

- Sabrino, to Teresa Elliott i jej brat, Wilfred. Po wymianie wzajemnych uprzejmości Teresa odezwała się głosem aż kipiącym radością:

- Proszę pozwolić mi przez chwilę porozmawiać z Sabriną. Chciałabym lepiej ją poznać.

Wilfred już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Teresa szybko dodała:

- Will, może zatańczysz z panną Ainsley? Stoi tam, tuż obok tej kobiety, która musi ważyć przynajmniej sto kilo.

Sabrina uśmiechnęła się, widząc bezradną minę Wilfreda.

- Ale ja nie...

- Ależ oczywiście, że tak. - Teresa przerwała mu stanowczo i zdecydowanie popchnęła go w stronę panny Ainsley, a potem odwróciła się do Sabriny.

- Panno Elliott, proszę zbyt długo nie zajmować mojej bratanicy; musi jeszcze porozmawiać z kilkoma dżentelmenami - wtrąciła się lady Barresford.

- Ależ oczywiście - odparła Teresa i wzięła Sabrinę pod rękę. Uścisk był mocny.

- Od niedawna jest pani w Londynie - zaczęła Teresa, siadając na niewielkiej sofie tuż za palmą, bardzo blisko swojej rywalki.

- Tak, jestem u ciotki nie dłużej niż tydzień.

- Widziałam, jak tańczyła pani z wicehrabią Derencourt, panno Barresford.

- Nazywam się Eversleigh.

- A tak, panna Eversleigh. Czy nasz drogi Phillip uczył panią tańczyć?

- Nie, w zasadzie nie; po prostu uwielbiam walca, a Phillip świetnie tańczy.

- Wydaje mi się, że nie zdaje sobie pani sprawy, że trzy walce zatańczone z jednym mężczyzną sprawią, że wiele osób uzna, że nie ma pani za grosz przyzwoitości.

Sabrina, która otwarcie podziwiała tę wspaniałą dziewczynę, zaczęła się nagle zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi.

- Nie, nie zdawałam sobie z tego sprawy. Phillip zadrwił sobie ze mnie.

- Mówi pani o nim Phillip? Od jak dawna zna pani wicehrabiego, panno Eversleigh?

- Niedługo. Ale to bliski przyjaciel.

- Bliscy przyjaciele nie wystawiają na szwank reputacji młodych dziewcząt.

Bliski przyjaciel robi coś takiego, jeśli chce, by ta młoda dziewczyna go poślubiła, chciała powiedzieć Sabrina, ale nie odezwała się. Oczy Teresy stały się szerokie ze zdumienia, jakby nagle coś sobie przypomniała.

- Powiedziała pani „Eversleigh”? - Serce zaczęło jej walić. Nie, nie może być aż taką szczęściarą. Odchrząknęła. Musi być teraz bardzo ostrożna. - Nie przyjechała chyba pani właśnie z Yorkshire, panno Eversleigh?

- Owszem, pochodzę z Yorkshire, niedaleko Leeds. - O co tu chodzi? Dlaczego tę piękną młodą damę obchodzi, czy pochodzę z Yorkshire?

Równie dobrze mogłabym pochodzić z Afryki; jakie miałoby to znaczenie?

Panna Elliott zmarszczyła lekko nos; czuła, że jej serce niemal śpiewa z radości, gdy mówiła:

- Zatem oczywiście bardzo dobrze zna pani wicehrabiego Derencourt.

Sabrina wyczuła niebezpieczeństwo. Zrozumiała, że panna Elliott jest zazdrosna, ponieważ chce

Phillipa dla siebie. To dlatego chciała tak dużo wiedzieć o Sabrinie. Zaraz potem spostrzegła, że oczy młodej damy patrzą chytrze i natychmiast zacisnęła usta. Nie jest głupia. Ostatnim miejscem na ziemi, w którym chciałyby być, jest właśnie ta sala balowa, a ostatnią osobą, z którą chciałyby teraz rozmawiać, jest ta piękna młoda dama, która wyglądała tak, jakby gotowa była wbić jej nóż między żebra. Sabrina wstała szybko.

- Muszę wracać do ciotki, panno Elliott. Było mi bardzo miło spotkać panią i pani brata. Ciężko chorowałam i wciąż jeszcze szybko się męczę.

- Szybko się pani męczy, panno Eversleigh? Biorąc pod uwagę, jak spędziła pani tydzień, kiedy rzekomo była pani chora, z łatwością mogę to sobie wyobrazić. Ale pani nie była chora, prawda? Nie, pani po prostu spotkała wicehrabiego w domku myśliwskim Charlesa i doskonale się pani bawiła. Dziwię się jedynie, że wicehrabia wciąż chce z panią rozmawiać. Z pewnością po tym tygodniu razem już się panią nasycił.

Ona wie, pomyślała Sabrina. Wie i zamierza tę wiedzę wykorzystać, by mnie pogrzyżyć.

- Może pani się po prostu usprawiedliwia, panno Elliott. Jest pani zazdrosna, a to źle się odbija na pani urodzie, wie pani o tym?

- Zazdrosna, panno Eversleigh? Zapewniam panią, że nie jestem zazdrosna. Ależ, proszę, przy mnie nie musi pani udawać niewiniątka. Wiem, kim pani jest. Wiem o pani wszystko. Proszę mi powiedzieć, iloma to kłamstwami karmiła pani ciotkę, że ta zgodziła się wprowadzić panią do towarzystwa?

- Nie ma powodu, by zachowywała się pani jak osoba źle wychowana, panno Elliott. Nie ma też powodu, by napadała pani na mnie tylko dlatego, że pragnie pani Phillipa. Może go pani mieć. Tak jak powiedziałam, jest moim przyjacielem, nic poza tym. Może go pani sobie wziąć. Chociaż jeśli ma choć odrobinę rozumu, zobaczy tę kipiącą w pani złość i ucieknie, gdzie pieprz rośnie. Jest pani nieprzyjemna, panno Elliott.

Teresa skoczyła na równe nogi, wymachując pięścią tuż przed oczami Sabriny.

- Ty mała ordynarna dziwko! Jeśli Phillip jest tylko twoim przyjacielem, to jak nazwiesz twojego kuzyna, Trevora Eversleigh?

Sabrinie nie przyszło do głowy zastanowić się, skąd Teresa Elliott wie o Trevorze. Wie o nim i tylko to się teraz liczy. Phillip miał rację, a ona była taka głupia. Jej nowe życie, trwające ledwie tydzień, zaraz obróci się wniwecz.

Teresa widziała, że Sabrina blednie. Miała ochotę śpiewać i tańczyć z radości. Ma ją! Ma tę małą dziwkę.

- Gościłam wtedy w Moreland. O tak, widzisz, nie próbujesz nawet zaprzeczać. Zapewniam cię, że panowie byli w prawdziwych tarapatach, gdy zastanawiali się, co z tobą zrobić. Dobrze się bawiłaś przez te pięć dni spędzonych z Phillipem? Słyszałam, że dla kochanek, które porzuca, jest chodzącą dobrocią. I to właśnie dlatego, ty mała suko, dziś z tobą tańczył!

Panna Elliott to tylko jedna osoba. Jest zazdrosna. To dlatego chce mnie zabić, a potem skopać zwłoki. Oczywiście całe towarzystwo nie jest takie, jak Teresa Elliott.

Sabrina słyszała, że panna Elliott cały czas coś mówi, ale słowa docierały do niej jakby z oddali.

- Czy zamierzasz zostać w Londynie i nadal zachowywać się w tak rozpustny sposób? Wszyscy w Moreland byliśmy zbulwersowani, że dziewczyna z tak szanowanej rodziny mogła uwieść własnego

kuzyna, na dodatek męża swojej siostry, a potem spędziła prawie tydzień sam na sam z Phillipem Mercerault.

Sabrina przypomniała sobie, co powiedziała Phillipowi o zmienianiu świata. Gdy teraz patrzyła na poczucie triumfu malujące się na twarzy panny Elliott, zrozumiała, jak bardzo się myliła. Społeczeństwo nie zmieni dla niej swoich zasad. Jest teraz niczym więcej jak tylko wyrzutkiem. Odchyliła głowę i odparła:

- To niedorzeczne, bym miała się z czegokolwiek tłumaczyć dla pani widzimisię, panno Elliott. Jest pani złą, zazdrosną kobietą. Żal mi pani.

- Nie chcę, by użalała się nade mną byle ladacznicą.

Sabrina odwróciła się na pięcie i wolno odeszła. Być może powinna porozmawiać z Teresą Elliott, przekonać ją, wszystko wyjaśnić, ale wiedziała, że nic to nie da. Jeśli straci dumę, nic już jej nie pozostanie. Zastanawiała się jedynie, niemal beznamiętnie, co ją teraz spotka.

ROZDZIAŁ 26

Sabrina w milczeniu tkwiła przy oknie w małym salonie swojego apartamentu w hotelu Cavendish. Okno wychodziło na szczyty budynków z czerwonej i szarej cegły, stojących przy Bond Street. Za oknem hulał wiatr, dlatego też było ono szczelnie zamknięte. Nie czuła się jednak taka samotna, bo gdyby chciała, mogłaby bez kłopotu słuchać rozmów ludzi chodzących po ulicy i mijających jej okna, prowadzących kulturalną konwersację o czymkolwiek, o czym się rozmawia, kiedy ludzie mają towarzystwo. Przynajmniej te rozmowy byłyby uprzejme. Byłyby miłe.

Odwróciła się od okna. Usłyszała, jak Hickles, jej nowa pokojówka, krząta się w drugim pokoju. Przynajmniej nie była zupełnie sama, choć - cokolwiek by mówić o Hickles - to jeszcze wiele jej brakowało, by choć trochę przypominała powiernicę. Sabrina skrzywiła się na myśl o swojej pokojówce, otyłej starej pannie. Ta kobieta, nawet kiedy się śmiała, a przez ostatnie trzy dni było tego akurat jak na lekarstwo, potrafiła mieć minę wyrażającą dezaprobatę. Ale cóż, Sabrina nie bardzo mogła wybrzydzać.

Obgryzała kciuk. Mogło być przecież jeszcze gorzej. Przynajmniej nie jest biedna. Kiedy szła do Hoare's Bank, chcąc zabezpieczyć swój spadek, wiedziała, że każdy mężczyzna pracujący w banku ma ochotę jej powiedzieć, żeby poszła do salonu, zajęła się podawaniem herbaty i była panią domu. Tego się po niej spodziewali. Sabrina jednak trzymała głowę wysoko i nalegała na spotkanie z kierującym bankiem panem Boniface tak długo, aż wreszcie umożliwiono jej to. W końcu udało się: jej środki pieniężne zgromadzone zostały na jej imiennym rachunku i ciotka Barresford nie mogła na to nic poradzić. Tym bardziej że Sabrina dowiedziała się od pana Boniface, że starsza pani próbowała różnych sztuczek, by dostać się do jej pieniędzy, ale wtedy do Sabriny skierowano posłańca, by poinformować ją o machinacjach ciotki.

Ze znużeniem usiadła na twardym krześle ozdobionym brokatem i beznamiętnie wpatrywała się w ścianę naprzeciwko. Wisiał tam podłej jakości portret mleczarki. Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie jej płonnych nadziei sprzed pięciu dni, że katastrofalna konfrontacja z Teresą Elliott może jednak pozostanie bez konsekwencji. Choć ciotka zrobiła minę co najmniej dziwną, kiedy usłyszała w klubie, jak bratanica wykręca się bólem głowy, bez mrugnięcia okiem zabrała ją do domu.

Jakże była naiwna, opowiadając Phillipowi, jak to teraz ona zmieni świat, upierając się, że nikt przecież nie ma najmniejszego powodu, by ją krzywdzić. Już nazajutrz poznała smak lodowatych, przeszywających spojrzeń ze strony kobiet, których w życiu na oczy nie widziała, doświadczyła na własnej skórze, jak to jest być ignorowaną przez - zdawać by się mogło - znajomych ciotki. Wspomnianego dramatycznego wieczora, jeszcze w klubie, jakiś mężczyzna dosłownie wzroku od niej nie odrywał i, jakby tego było mało, zacierał znacząco ręce.

Do konfrontacji z ciotką doszło jeszcze tego samego popołudnia. Miała zamiar wszystko ciotce opowiedzieć, naprawdę chciała to zrobić, ale czekała już na nich lady Morton, której twarz mówiła wszystko. Wychodząc z założenia, że jest przecież wnuczką samego hrabiego, a nie jakąś ubogą

krewniaczką, Sabrina poszła do swojego pokoju. Być może ciotka Barresford zrozumie i zdoła uciszyć nastroje, które pojawiły się w towarzystwie. Nie musiała długo czekać na wezwanie ciotki, by stawiała się w bibliotece.

- Usiądź, Sabrino. Sabrina patrzyła badawczo na ciotkę. Policzki miała różowe, jej oczy były jasne i odważne.

- Rozmawiałaś z lady Morton? - zapytała Sabrina bardzo cicho, głosem tak beznamietnym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć. Rozejrzała się po bibliotece, częściowo spodziewając się tej kobiety gdzieś w pobliżu, ale były z ciotką same. Biblioteka to dosyć dziwne określenie na miejsce, w którym znajdowały się jedynie egipskie meble i ciężkie kotary.

- Jeszcze w to wątpisz? - zapytała lady Barresford, tym razem głosem niższym i twardszym niż poprzednio.

- Ciociu, mogę to wszystko wyjaśnić. Powinam ci była powiedzieć poprzedniego wieczoru, ale doprawdy nie podejrzewałam, że ktokolwiek da wiarę opowieściom Teresy Elliott. Dzisiaj zmieniłam zdanie. Powiedziałabym ci wszystko, ale pojawiła się lady Morton; widocznie nie mogła się doczekać, by opowiedzieć ci własną wersję zdarzeń. Wybacz mi i pozwól się wytłumaczyć.

- Tak, jestem pewna, że dokładnie wszystko byś mi opowiedziała, bez wątpienia. Śmiałybyś się pewnie, opowiadając mi o swoim zachowaniu godnym ladacznicy, i to z Phillipem Mercerault, w Yorkshire. Dobry Boże, najpierw twoja siostra, a teraz ty. Twoja siostra przynajmniej nie przyszła do mojego domu z reputacją w strzępach, licząc na to, że zamydli mi oczy.

- Ciociu, nie wiem, co powiedziała ci lady Morton, ale musisz mi pozwolić się wytłumaczyć. Uwierz mi. To wszystko kłamstwa, zapoczątkowane przez tę żalosalną Teresę Elliott.

Lady Barresford stała naprzeciwko Sabriny, ręce trzymała wzdłuż ciała, a dłonie zacisnęła w pięści. Była czerwona na twarzy.

- Rozumiem. Czyli zaprzeczasz temu, że uciekłaś z Monmouth Abbey?

- Nie, oczywiście, że nie. Ale musiałam to zrobić. Trevor próbował mnie zgwałcić. Nie mogłam zostać, bo Elizabeth stanęła po jego stronie. Przyszędłby do mojej sypialni, gdybym nie uciekła. Dopiałby swego.

- Trevor próbował cię zgwałcić? To twoja wersja, ale jakoś mało wiarygodna, moja droga. Zaledwie miesiąc po tym jak wziął za żonę Elizabeth? Teraz zapewne powiesz mi, że nie spędziłaś pięciu dni sam na sam z Phillipem Mercerault?

- Byłam chora, ciężko chora. Znalazł mnie nieprzytomną w lesie Eppingham, leżałam w śniegu. Zmierzałam do Borhamwood, chciałam tam wsiąść do dyliżansu, a potem dostać się do ciebie. On uratował mi życie. Nic ponadto, musisz mi uwierzyć, ciociu. Troszczył się o mnie jak o młodszą siostrę. Nie zrobił nic złego. Uwierz mi. Byłam tak chora, że nic nie mogłam zrobić sama. To Charles Askbridge przekonał Phillipa, że to mnie skompromitowało, ale ja nie mam z tym nic wspólnego. Nie zrobiłam nic złego.

Lady Barresford wpatrywała się w nią z niedowierzaniem.

- Chcesz mi powiedzieć, że wicehrabia zgodził się ponieść konsekwencje skompromitowania ciebie? Chcesz powiedzieć, że ci się oświadczył? Czy w to właśnie mam teraz uwierzyć?

- Tak, oświadczył mi się - powiedziała cicho Sabrina. - Odmówiłam mu. Nie skompromitował mnie. Uratował mi życie. Dlaczego miałby teraz być zmuszony do małżeństwa? Przecież nie zrobił nic złego, podobnie jak i ja. Nawet się nie znaliśmy.

- Ty żalosalna mała kłamczucho! - Lady Barresford niemal wrzeszczała na Sabrinę; wymachiwała

jej pięścią przed nosem. - Żadna dziewczyna nie byłaby tak głupia, aby odprawić z kwitkiem wicehrabiego Derencourt, tym bardziej po spędzeniu z nim pięciu dni sam na sam. A czy nie masz przypadkiem zamiaru powiedzieć mi, że zaproponował ci, byś była jego kochanką?

- Nie zrobiłby tego. Jestem wnuczką hrabiego. Jestem damą. Nie rozumiem, do czego zmierzasz, ciociu.

- Uwiodłaś go, a on zaproponował ci, żeby to trwało. Nie ma tu nic, czego mogłabyś nie zrozumieć. Jest mężczyzną, znakomitym, przystojnym, bardzo popularnym w towarzystwie, a ty jesteś bardzo głupia, Sabrino.

- Phillip nigdy by tak nie postąpił. Dlaczego najpierw go obrażasz, a potem nazywasz znakomitym i przystojnym mężczyzną? Właśnie taki jest, a do tego jest niezwykle uprzejmy. Był dla mnie bardzo dobry.

Lady Barresford potrząsnęła głową z niesmakiem.

- Nie obrażam go, ale nazywać go uprzejmym, to doprawdy dowód na to, jak prowincjonalną i zaściankową jesteś dziewczyną. Ma niezłą reputację wśród dam. Każda, która mu się spodoba, zdrze dla niego spódnice, wystarczy, żeby skinął. Nie dla niego małżeństwo, to jasne jak słońce, i wszyscy o tym wiedzą. W końcu ma dopiero dwadzieścia sześć lat. Nie ma mowy, żeby ci się oświadczył. Kłamiesz, a ja się na twoim kłamstwie poznałam! - Uderzyła się dłonią w czoło. - Ale, koniec końców, nadal jesteś wnuczką hrabiego. Co, na Boga, mam teraz z tobą zrobić?

Jeszcze jedna osoba, która będzie decydować, co począć z Sabriną Eversleigh, pomyślała Sabrina i wbiła wzrok w podłogę.

- Pojedziesz do domu, do Yorkshire - zabrzmiała nagła decyzja lady Barresford. - Postarasz się załagodzić spór z Elizabeth i Trevorem, trzeba się bowiem zatroszczyć o zdrowie twojego dziadka. Nie chcesz chyba, żeby jego stan pogorszył się jeszcze bardziej? Tak, będziesz grzeczna i uprzejma, przeprosisz za swoje zachowanie. Mam nadzieję, że Trevor i Elizabeth ci przebaczą.

Sabrina podniosła oczy i spojrzała na ciotkę.

- Nie mogę wrócić do Monmouth Abbey, ciociu. Nic nie poradzę, że nie chcesz mi uwierzyć, ale Trevor naprawdę próbował mnie zgwałcić. Nie mam wątpliwości co do tego, że jeśli wrócę sama, to dopnie swego, chyba że go wcześniej zastrzelę, a będę musiała to zrobić. W takiej sytuacji nasza linia wygaśnie, bo właśnie Trevor jest jedynym dziedzicem płci męskiej. Jeśli zaś chodzi o Elizabeth, to nie mogłabym żyć z nią pod jednym dachem. Jest do mnie wrogo nastawiona.

- Winisz ją? Próbowowałaś uwieść jej męża, i to w niecały miesiąc po ślubie!

- Nie próbowałam uwieść Trevora! Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

Lady Barresford spojrzała na Sabrinę, jakby chciała ją zabić.

- Uwierzyć? Tobie? Ależ to nonsens. Jeśli któraś z nas dwóch jest głupia, to z całą pewnością ty, Sabrino, nie ja. Dobry Boże, co chcesz zrobić? Wiesz dobrze, że po tym, co się wydarzyło, nie możesz tu zostać.

Sabrina wstała.

- Mylisz się, ciociu, we wszystkim się mylisz. Nawet nie bierzesz pod uwagę, że mogę mówić najszczerzą prawdę. Dlaczego? Twierdzisz, że jestem głupia, że to nonsens, ale tak nie jest. Absolutnie nie.

- Nie bądź śmieszna. Nawet stara, ślepa pani Baggil zna prawdę. Spędziłaś z Phillipem Mercerault pięć dni. Musiał zaciągnąć cię do łóżka, po prostu musiał.

- Dobrze więc, opuszczę twój dom, jak tylko się spakuję.

- I dokąd to się niby wybierzesz, panienko?

- Nie wyląduję na ulicy, jeśli tego właśnie się obawiasz. Zapominasz, że pieniądze, których nie szczydziłaś na nas obie, nie należą do ciebie. Żegnaj cię zatem, ciociu.

- Panno Sabrino!

Oderwała wzrok od ściany i spojrzała na pokojówkę. Jej twarz była ziemista, malowało się na niej zadowolenie. To nie do zniesienia. Czy wszyscy, niezależnie od statusu, wiedzieli już o jej kompromitacji i upajali się tą świadomością? Z wysoko uniesioną głową odparła:

- Jestem lady Sabrino i w ten sposób masz się do mnie zwracać. Czy to jasne?

Bez cienia wątpliwości było to dla Hickles jasne, ale traktowała tę sytuację jako próbę. Była znudzona. Wnosząc z reputacji swojej pani, spodziewała się korowodu mężczyzn przewijających się przez pokoje, a tu nic, ciągle nic. Były tylko we dwie, przy czym pani milczała i wciąż była nieobecna myślami. Wreszcie Hickles skinęła:

- Lady Sabrino, pora na herbatę. Czy mam polecić, by ją przyniesiono?

- Tak, dziękuję ci Hickles. - Dostrzegła błysk zapалу w oczach pokojówki, a w jej tonie usłyszała kiepsko ukrywane zniecierpliwienie. To doprawdy dziwne, pomyślała, odprowadzając ją wzrokiem, nawet służba wie o mojej kompromitacji. Przecież sama na pewno nic nie powiedziała. Skąd więc Hickles mogła o wszystkim wiedzieć? Mniejsza o to, Hickles bowiem doskonale wie o jeszcze jednej rzeczy, mianowicie o tym, że jeśli ktokolwiek może ocalić resztki reputacji osiemnastoletniej Sabriny, to właśnie ona.

Sabrina patrzyła, jak wskazówki zegara stojącego nad kominkiem przesuwają się powoli, przybliżając nadejście wieczora. Nie miała ochoty opuszczać hotelu Cavendish, zbyt się bała, że spotka kogoś znajomego, albo raczej kogoś, komu sama wydałaby się znajoma. Przypomniała sobie mężczyznę, który bez żenady pozerął ją wzrokiem. Chciałaby teraz stanąć z nim twarzą w twarz, spoliczkowałaby go.

Kiedy zegar wybrzmiał po raz czwarty, zorientowała się z niejakim zaskoczeniem, że jest wtorkowe popołudnie. W poniedziałek razem z Phillipem miała jeździć konno w parku. Zastanawiała się, czy może został dłużej w swojej posiadłości, wtedy oczywiście byłby nieświadomy tego, co się jej przydarzyło.

Phillip miał rację. Nieraz ostrzegał ją, a ona śmiała mu się w twarz. Spojrzała na swoje odbicie w wąskim lusterku, stojącym nad kominkiem. To była obca twarz o kamiennym wyrazie, wychudzona, z podkrążonymi oczami.

- Wreszcie to udowodniono - powiedziała do odbicia w lustrze. - Jesteś głupia, bardzo głupia. Głupia i pozbawiona przyszłości. Jedyne, co masz, to pasmo dni, które dłużej się w nieskończoność, przechodząc będą w miesiące, a potem lata.

Poczuła nagły przyływ gniewu, spowodowanego niesprawiedliwością całej sytuacji i z furją uderzyła pięścią w lustro. Szkło się potłukło; patrzyła teraz na strużki krwi, zaczynające powoli płynąć jej po palcach.

Gdzieś przed północą, po godzinach bezskutecznych rozważań, wreszcie jakiś pomysł przyszedł jej do głowy. Świat się nie zmienił, ale ona zdecydowanie tak. Najpierw pielęgnowała romantyczne wizje przyszłości, która nie jest już jej przyszłością, potem zaczęła uzalać się nad sobą, grając skompromitowaną kobietę, pozbawioną jakiegokolwiek pomocy. W końcu jest - wreszcie jakiś pomysł. Będzie jej potrzebna nie lada determinacja, ale potrafi to zrobić; wie, że potrafi. Nareszcie zapadła w głęboki sen.

Phillip nie wrócił do Londynu w poniedziałek. Wrócił z Dinwitty Manor w sobotę, wcześniej, niż planował. Prawda była taka, że tak stęsknił się za Sabriną, aż przeklinał te jej niewiarygodne fiołkowe oczy. Nie mógł przestać o niej myśleć. Zastanawiał się, co robi, czy wraca do zdrowia, czy odzyskuje siły i chęć do życia. Miał też nadzieję, że je odpowiednio dużo, i zaczął się zastanawiać, czy smakowałoby jej jedzenie przygotowane przez kucharza w Dinwitty Manor. Był pewien, że zachwyciłaby się tutejszym jedzeniem; przecież wszyscy się nim zachwycali.

Wrócił do szarej rzeczywistości. Była środa. Siedział w bibliotece swojego domu ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń. Palce miał zaciśnięte na zwitku papieru listowego.

By nie pójść do Sabriny od razu po tym, jak poznał szczegóły jej kompromitacji, musiał zdobyć się na większy spokój umysłu, niż potrafił z siebie wykrzesać. Nawet Dambler został poproszony o przeprowadzenie wywiadu wśród służby, tak aby Phillip mógł poznać wszystkie szczegóły. Było źle. Mimo to jednak został w domu. Domyślał się, że gdyby pojawił się w hotelu Cavendish w sobotę lub nawet niedzielę albo poniedziałek, dałby raczej upust wściekłości, niż kierował się zdrowym rozsądkiem. Bez trudu wyobraził sobie gniew Sabriny, jej zgorzknienie, poczucie niesprawiedliwości i krzywdy, spowodowane tym, co się wydarzyło. Zastanawiał się także, czy Sabrina nie obwinia go o to, że miał rację. Na pewno obwinia. W końcu вина i tak zawsze spada na posłańca.

Rozwinął list i raz jeszcze błyskawicznie przebiegł wzrokiem po tekście. Wreszcie. Wątpił, czy długo jeszcze zdoła się trzymać od niej z daleka. W końcu miała sprawę, o której chciała z nim porozmawiać. Przynajmniej nie straciła odwagi. Przemyślała wszystko od początku i znalazła rozwiązanie. Nie mógł się doczekać, kiedy usłyszy, co Sabrina ma mu do powiedzenia. Doszedł do wniosku, że słusznie postąpił, nie jadąc do niej od razu, nie oferując pomocy po raz kolejny. Nie, teraz jej kolej, to ona ma dla niego propozycję. Wreszcie odzyskała zdrowy rozsądek.

Gdy Dambler pomagał mu się ubrać, Phillip zastanawiał się, co właściwie usłyszy od Sabriny.

ROZDZIAŁ 27

W środę o wpół do piątej wicehrabia Derencourt delikatnie zapukał do drzwi apartamentu w hotelu Cavendish. Dzięki Bogu, Sabrina miała pieniądze. Phillip szybko się o tym dowiedział; gdyby nie zabezpieczyła spadku, zjawiłby się u niej natychmiast.

Gruba kobieta w średnim wieku i o, szczerze powiedziawszy, dość wulgarnym sposobie bycia, wpuściła go, jakby był utuczoną gęsią przeznaczoną na obiad.

- Wicehrabia Derencourt. Możesz mnie zaanonsować swojej pani. - Phillip był wyniosły i zimny. Domyślał się, że Sabrina musi znosić wystarczająco niechęci i dezaprobaty ze strony tej strasznej kobiety. Były w niej jakaś dziwna żądza i chciwość, które naprawdę odrzucały. Zastanawiał się, jak się zachowuje w obecności Sabriny. - Gdy już mnie zaanonsujesz, możesz odejść. - Widział, że ze zdziwienia, ale także rozczarowania, aż rozdziawiła usta, nim się odwróciła i wprowadziła go do niewielkiego salonu.

- Lady Sabrino, przyszedł wicehrabia Derencourt, żeby się z panią zobaczyć.

Mimo że Sabrina ubrała się starannie, Phillip był przerażony jej wyglądem. Miała bladą i wymizerowaną twarz, i patrzyła na niego, jakby była absolutnie przekonana, że ją potępi, tak jak wszyscy z towarzystwa.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała z takim lękiem w głosie, że miał ochotę po prostu wziąć ją w ramiona i powiedzieć, by już nigdy w życiu niczym się nie martwiła. Nie mógł jednak tego zrobić. Miała dla niego jakąś propozycję; zamierzał grać według ustalonych przez nią zasad. Nie poruszył się. Patrzył na Sabrinę, odwracającą się do natrętnej pokojówki.

- Hickles, możesz już odejść. Ubierz się ciepło. Na dworze jest dość chłodno.

Phillip zrzucił z siebie płaszcz i rękawiczki. Gdy Sabrina brała je od niego, zapytał:

- Co ci się stało w rękę? Pokaż mi to i stój spokojnie.

- To nic takiego - odparła, chowając za siebie zabandażowaną dłoń. - Dziękuję, że przyszedłeś. Usiądź, proszę.

- Nie, najpierw chcę to zobaczyć. Co ci się stało w rękę? Kto ci ją bandażował? Jakiś ślepy włóczęga?

- Nie, sama ją zabandażowałam. Trudno to zrobić jedną ręką. Skaleczyłam się o rozbite lustro. Ale to nieważne, już nie boli.

Phillip wciąż jednak stał w tym samym miejscu, wyciągając ręce w jej stronę. Wreszcie, prychnąwszy, Sabrina podała mu dłoń. Phillip odwinął bandaż zakrywający ciętą ranę.

- Nie wygląda tak źle - powiedział wreszcie - ale przemyślbym ranę odrobiną brandy, tak na wszelki wypadek, żeby się upewnić, że jest czysta. Masz tu brandy albo jakiś inny alkohol?

Sabrina kiwnęła głową i podeszła do kredensu. Brandy była pewnie jedną z najtańszych, ale przy przemywaniu rany nie miało to żadnego znaczenia.

- Chodź tu - powiedział Phillip, podchodząc do okna. Otworzywszy je, wystawił jej rękę na zewnątrz i polał brandy wprost na ranę. Sabrina ani drgnęła, nawet nie jęknęła. Na szczęście w

tamtym momencie nikt nie przechodził pod oknami.

- Pozwól, że teraz porządnie ją zabandażuję. Nie boli?

Rana paliła żywym ogniem, ale Sabrina przecząco pokręciła głową. Phillip ostrożnie zabandażował jej rękę.

- Lepiej?

- Dobrze, dziękuję.

- Powiesz mi, jak to się stało?

- Byłam zwyczajnie nieuważna. Naprawdę, to nic takiego. Proszę cię...

Phillip pokiwał głową i usiadł; splótł palce i uśmiechnął się do Sabriny.

- Miałbyś ochotę napić się herbaty?

- Nie, dziękuję. Myślę, że w tej chwili największą ochotę mam na rozmowę z tobą.

- Dobrze. Sabrina usiadła naprzeciw niego. Milczała; była spokojna i wyglądało na to, że świetnie nad sobą panuje. Zachowywała się stosownie do sytuacji. Gdyby teraz Phillip pokazał jej, że się o nią martwi, najprawdopodobniej uznałaby, że się nad nią lituje, a doskonale wiedział, że tego by nie zaakceptowała.

Sabrina nie odzywała się; po prostu patrzyła na niego. Chciał, żeby wreszcie zaczęła mówić, odezwał się więc pierwszy, by jej pomóc:

- Dostałem od ciebie liścik, Sabrino. Napisałaś, że chciałabyś ze mną omówić jakieś ważne sprawy.

- Tak, to prawda - odparła, wpatrując się w punkt tuż ponad jego lewym ramieniem. - Przypuszczam, że wiesz, dlaczego tu jestem.

- O, tak - odparł lekko. - Wróciłem do Londynu w ubiegłą sobotę. Muszę przyznać, że zrobiło się o tobie głośno. Historyjki, które się opowiada, są tak nieprawdopodobne, że ani ty, ani ja nie będziemy już mogli uchodzić za zwyczajne osoby. Na podstawie tych opowieści można dojść do wniosku, że najprawdopodobniej wszyscy dżentelmeni w Londynie zaciskają zęby z zazdrości, słysząc o mojej sprawności seksualnej.

Sabrina wpatrywała się w niego zaskoczona.

- Wróciłeś w sobotę? Wiedziałaś, co się stało, i nic nie zrobiłeś? Przecież jest środa! Środa!

- Tak, wiem, że jest środa. Jaką więc masz do mnie sprawę?

Sabrina zerwała się i stała sztywna, jakby połknęła kij. - Miał pan rację...

- Phillipie.

- Tak, faktycznie, masz na imię Phillip. Otóż Phillipie, miałaś rację. Wiem już, że jestem w niełasce, okryta hańbą, a wszystko to przez jedną damę, pannę Teresę Elliott, która to, jak sądzę, chce mieć cię dla siebie. Mimo że powiedziałam jej, iż może cię mieć i ma moje błogosławieństwo, nic to nie dało. Jak sam stwierdziłeś, wystarczył jeden zły język i stało się najgorsze. Niestety moja ciotka nie miała najmniejszego zamiaru trzymać mojej strony; przeciwnie, uwierzyła we wszystko, co jej powiedziano. Chciała, żebym wróciła do Monmouth Abbey. Sam wiesz, że nie mogę tego zrobić, więc opuściłam dom ciotki.

- Nie będę marnował czasu na przypominanie ci, że mówiłem, iż tak właśnie będzie.

- Dziękuję. Doceniam, że potrafisz się powstrzymać.

Phillip tylko się uśmiechnął.

- Jaką to sprawę masz do mnie?

- Wiele o tym myślałem. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się taka samotna, nigdy jeszcze tak

bardzo nie brakowało mi przyjaciół. Nie chcę, żeby tak było; to naprawdę bardzo trudne. A może nawet jeszcze bardziej niż trudne: to niezwykle obciążające. Nie mogę tak żyć.

Doskonale potrafił to sobie wyobrazić. Zapewne wołałaby już małżeństwo ze mną, pomyślał, ale nie polectało to jego próżności. Przyznanie się do tego musiało ją wiele kosztować, szczególnie przyznanie się właśnie przed nim.

- Jesteś więc sama i samotna, i nie podoba ci się to. I co zamierzasz zrobić, Sabrino?

- Chciałabym ci coś zaproponować. Chciałabym, żebyś się ze mną ożenił. To są oświadczyń, Phillipie. Jeśli się zgodzisz, dostaniesz to, co pozostało z moich dziesięciu tysięcy, czyli dziewięć tysięcy pięćset pięćdziesiąt funtów, oraz to, co wniosę w posagu. Nie mam pojęcia, jaki będzie duży, ale najprawdopodobniej znaczny. Z dziesięciu tysięcy, jakie miałam w spadku po matce, zostało nieco ponad dziewięć, dlatego że ciotka Barresford dość swobodnie korzystała z moich funduszy, pokrywając z nich wydatki na nas obie.

- Sabrino, bez wątplenia jesteś dziedziczką. Prawdopodobnie taką samą, jak owa dama z Dinwitty, o której ci opowiadałem. Istotnie, twoja propozycja jest bardzo kusząca. Ale pozwól, że najpierw upewnię się, że dobrze cię zrozumiałem. Jeśli się z tobą ożenię, przepisziesz na mnie cały swój majątek.

Sabrina nienawidziła tego, co powiedział, tego, jak to zabrzmiało, bo dla niej oznaczało to rezygnację z niezależności, którą miała zaledwie od pięciu dni. Phillip mówił tak, jakby było mu to wszystko obojętne, jakby mówili o liczeniu owiec czy rzepy, a nie o małżeństwie, o niej i o jej przyszłości.

- Tak - odparła, ze wszystkich sił starając się zachować spokój i mówić rzeczowo. - Poza kwestią pieniędzy, cóż, wiele o tym myślałam. - Sabrina odchrząknęła. Skoro już mu się oświadczyła, powiedzenie tego, co jeszcze ma do powiedzenia, nie powinno być zbyt trudne. - Proponuję ci również, że zwrócę ci wolność. Jesteś młody jak na mężczyznę, czego zresztą do końca nie rozumiem, skoro jesteś osiem lat ode mnie starszy, ale gdy rozpatrywać to w kategorii małżeństwa, jesteś ode mnie młodszy. W każdym razie spotykasz się z różnymi damami w Londynie i nadal możesz to robić. Ciotka powiedziała mi, że teraz nigdy z własnej woli byś się nie ożenił, ponieważ jest jeszcze wiele kobiet, których towarzystwem chciałbyś się cieszyć. Zdaję więc sobie sprawę, że moja propozycja musi ci się opłacić.

- Aha, teraz już rozumiem. Proponujesz mi wolność, której w żaden sposób nie będziesz ograniczać?

- Tak.

Phillip roześmiał się, nie mógł się powstrzymać.

- Sabrino, jestem wolnym człowiekiem, a mężczyzna nie traci wolności tylko dlatego, że się żeni, no chyba że jest kompletnym głupcem. Czy jest jeszcze coś, poza twoimi pieniędzmi, co powinno mnie zainteresować?

Sabrina popatrzyła gdzieś daleko przed siebie; nie chciała, by widział, jak jego nierozważne słowa ją dotknęły. Odezwała się głosem niewiele silniejszym od szeptu:

- Możesz mieć także mnie, jeśli cię to interesuje. Ale jestem pewna, że wiesz, iż jestem młoda i niedoświadczona, i nie jestem smakowitym kąskiem. Najprawdopodobniej w żadnym stopniu nie jestem podobna do dam, w których możesz przebierać jak w ulęgalkach. Ale tak właśnie jest. Nie mam nic, może poza klaczą, która została w Monmouth Abbey i na dodatek kuleje.

- Klacz, nawet okulała, to już coś. Na te słowa Sabrina podniosła głowę i zobaczyła, że Phillip

gotuje się ze złości. Doskonale.

- Ja też jestem „czymś”.

- Tak. Myślę, że tak. Jako dodatek do mojej wolności, którą i tak już mam. Powiem jeszcze, że moim zadaniem we wszystkich tych machinacjach chodzi o uratowanie cię przed hańbą, ochronienie cię moim nazwiskiem.

- Właśnie tak. Określenie tego w ten sposób zabrzmiało żałośnie; Sabrina była żalosna. Nie miała innego wyjścia. Czekala, co powie Phillip. Nigdy jeszcze nie znajdowała się w tak strasznej sytuacji, oczywiście poza chwilą, gdy nieomal stała się ofiarą Trevora.

Phillip wstał i wyciągnął do Sabriny rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

- Przyjmuję twoją propozycję, Sabrino. Przez chwilę myślał, że Sabrina zaraz zemdleje, taka ogarnęła ją ulga. Na jej twarzy znów pojawił się zdrowy rumieniec. Phillip popatrzył na jej ożywioną twarz, w te jej niesamowite oczy.

- Wydaje mi się, że wspominałaś kiedyś, iż nie wyjdiesz za mąż bez miłości.

Miała ochotę go uderzyć, ale wiedziała, że nie może tego zrobić - ostatecznie to ona zwróciła się do niego z prośbą. Była jednak wściekła i Phillip doskonale o tym wiedział, a Sabrina była przekonana, że z niej kpi.

- Nie jesteś głupi - odezwała się. - Wiesz, że wszystko się zmieniło. Moje dawne życie już nie istnieje. Prawdę mówiąc, wygląda to tak, że zamierzam za ciebie wyjść, ale w tej chwili nawet specjalnie cię nie lubię. - Z ust Sabriny posypały się gorzkie słowa, których nie mogła powstrzymać. - Nie mogę w to uwierzyć! Wciąż jesteś wspaniałą, lubianą przez kobiety i mężczyzn, wszyscy cię zapraszają. Nikt nie postrzega cię jako moralnego bankruta, ale mnie tak! To nie w porządku!

- To prawda. Sam nigdy tego nie rozumiałem, ale tak właśnie jest. Mówiłem ci już kiedyś, że doskonale znam tę towarzyską dżunglę, a ty nie. Zachowuj się zgodnie z zasadami gry, a przetrwasz. Zapytałaś mnie już, czy się z tobą ożenię. Poślubienie mnie to zachowanie się zgodnie z zasadą numer jeden. Widzisz, szybko się uczysz.

Phillip z powrotem usiadł na krześle i wyprostował długie nogi. Oparł się wygodnie, a dłonie splótł z tyłu głowy.

- Nauczę się wszystkich tych przeklętych zasad. A teraz może masz ochotę na herbatę? - Phillip gwałtownie wyprostował się na krześle i zaczął uderzać o blat opuszkami palców. - Powiedz mi, Sabrino, naprawdę oddajesz mi siebie, razem z twoim majątkiem i koniem?

Sabrinie zadrżały ręce; Phillip to dostrzegł. Sabrina zakłęła; usłyszał to i uśmiechnął się.

- Skoro muszę - odpowiedziała wreszcie. - Ale wszystko, co powiedziałam, to prawda. Nie jestem piękna, jestem chuda i na wielu rzeczach się nie znam. Gdybyś się mną nie brzydził, zacząłbyś się śmiać.

- Rozumiem. Powiedziałaś też, że zwracasz mi moją wolność...

- Tak.

- Wolność, którą i tak już mam. Chciałbym cię teraz zapytać, czy zamierzasz znaleźć sobie kochankę?

Sabrina zbladła jak ściana.

- Ależ nie, oczywiście że nie. To odrażające! Po tym, co chciał mi zrobić Trevor... O nie, nigdy -
- Ale zaproponowałaś, że oddasz mi samą siebie.

Będiesz w stanie to wytrzymać, gdy cię dotknę? Sabrina patrzyła w dół.

- Nie wiem. Nie wiem też, o co chodzi z całym tym łączeniem się w pary. Po moich

doświadczeniach z Trevorem nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- A gdybym ci powiedział, że to wcale nie jest takie straszne? Że gdyby był z tobą właściwy mężczyzna, kochanie się mogłoby ci się spodobać?

- Nie, nie potrafię sobie tego wyobrazić, przynajmniej nie teraz. Ale spełnię mój obowiązek, obiecuję. Tak, powiedziałam ci, że możesz mnie mieć, jeśli będziesz chciał. Ja dotrzymam obietnicy.

- Cudownie to brzmi... - odparł Phillip i wyobraził sobie Sabrinę leżącą w łóżku jak kłoda i siebie, starającego się ją rozbudzić. Straszna wizja przyszłości, choć oczywiście zdawał sobie sprawę, co ją spotkało. Samo to, że w ogóle o tym wspomniał, było z jego strony łajdactwem. Sabrina boi się mężczyzn i trudno się temu dziwić.

Phillip wstał i położył rękę na jej ramieniu. Zamarła. Nie zdziwiło go to, ale coś w środku go ukłuło; nie mocno, ale zawsze.

- Sabrino - zaczął głosem delikatnym jak ciepły letni deszcz - przepraszam, że cię przestraszyłem. Nie powinienem był tego robić. Ze mną jesteś bezpieczna, przysięgam. Nigdy nie zmuszę cię do zrobienia czegokolwiek, czego będziesz się bała lub co będzie cię napawało obrzydzeniem. Jestem szczęśliwy, mogąc przyjąć twoją ofertę, twoje oświadczenia. Postaram się być dobrym mężem. - Przerwał na chwilę i delikatnie musnął jej szyję opuszkami palców. - Będzie nam razem dobrze, zobaczysz. Ale teraz mamy wiele rzeczy do zrobienia.

Podniosła oczy na Phillipa; wzrok miała poważny.

- Czy to możliwe, by moja hańba ściągnęła wstyd i na ciebie?

- Nie. Większość ludzi pomyśli, że postąpiłem słusznie. Zaufaj mi, nikt nigdy już cię nie skrzywdzi. Potrafisz mi zaufać?

- Czy moje pieniądze są wystarczające, byś tak się poświęcał?

- Bardziej niż wystarczające. Gdybym jednak doszedł do takiej biedy, bym musiał mieszkać pod mostem, odprawię cię i znajdę sobie inną dziedziczkę.

Phillip był uprzejmy. Sabrinie ulżyło. Udało jej się nawet leciutko uśmiechnąć.

- Nie chcę, żebyś mieszkał pod mostem. Nauczę się surowych praw rynku i będę żyła oszczędnie.

Phillip chwycił Sabrinę za rękę i lekko pociągnął, by wstała. Pocałował ją w czoło.

- Nauczę cię też piec hrabiowski chleb.

- Od tego zaczniemy oszczędzanie - odparła i pozwoliła, by Phillip przytulił ją do piersi. Przez chwilę stała tak, z policzkiem opartym o jego ramię. Już się nie bała. - Postaram się być dobrą żoną, Phillipie, przysięgam.

Phillip zaśmiał się, a potem mocniej ją przytulił.

- Dobra żona. Jakaż to straszna myśl.

ROZDZIAŁ 28

Phillip stał przy kominku w bibliotece swojego londyńskiego domu. Spojrzał na Charlesa Askbridge'a, a potem na Rohana Carringtona.

- I to chyba wszystko. Charlie, czy jest coś jeszcze, o czym powinienem powiedzieć Rohanowi, by mógł w pełni sobie wyobrazić to paskudne fiasko?

- Nie, aczkolwiek niewyobrażalną ulgę przynosi mi możliwość poinformowania was, że Sabrina odzyskała zdrowy rozsądek.

Rohan Carrington, baron Mountvale, z niedowierzaniem kręcił głową.

- Doprawdy, skręca mnie w żołądku. Cóż, Phillipie, wprawdzie nie jest to nic nadzwyczajnego, ale dowiedzieć się z pierwszej ręki o tym, że człowiek rzekomo honorowy próbował zgwałcić niewinną dziewczynę, którą miał otoczyć opieką... Naprawdę miałbym ochotę go zamordować! Na miejscu starego hrabiego nie życzyłbym sobie, aby krew tego człowieka płynęła w żyłach moich potomków.

Phillip skinął.

- Wszyscy chcielibyśmy go zabić, ale sęk w tym, że chodzi właśnie o utrzymanie ciągłości rodu. Do diabła z jego ohydną kryjówką, złą krwią i tym wszystkim, ta szuja i tak dziedziczy hrabiowski tytuł.

- Przynajmniej - włączył się Charles - Phillip się postarał, by ani Trevor, ani Elizabeth nie szargali więcej dobrego imienia Sabriny jakimikolwiek kłamstwami.

- I tak chciałbym go zabić. Tego samego chciałyby Susannah - dodał Rohan, wyobrażając sobie, jaki gniew wzbudziłyby ta opowieść w jego żonie, poślubionej zaledwie pół roku wcześniej.

- Mój Boże - kontynuował Phillip - ten typ będzie moim szwagrem. To tak, jakbym dostał pięścią w twarz.

- Co mamy robić, Phillipie? - zapytał Rohan Carrington.

- Chciałbym, byście byli najbardziej władczy i przekonujący, jak to tylko możliwe. Sądzicie, że uda nam się tego dokonać?

- Oczywiście - odrzekł Rohan, sącząc swoją brandy. - Pojawia się tylko jeden kłopot, a mianowicie ciotka Barresford. Jeśli tylko uda się przekonać ją do zmiany stanowiska, wtedy, śmiem twierdzić, reszta towarzystwa nie powinna nastroczać specjalnych trudności. Zwykle to najbliżsi krewni sprawiają najwięcej kłopotu. Szkoda, że nie ma tu mojej matki. Nie tylko uporałaby się z lady Barresford, ale jeszcze miała dość energii, by przetańczyć całą noc, jednego walca za drugim.

- O, nie, Rohan, tę panią zostaw mnie. - Na tę myśl Phillip zatarł dłonie. - Nie tylko przywróci Sabrinie jej przywileje tak, aby widziało to całe towarzystwo, ale również zorganizuje nam cichy ślub we własnym domu. Przyjęcie weselne odbędzie się oczywiście tutaj.

- Ile mamy czasu? - zapytał Charles.

- Chciałbym widzieć obrączkę na jej palcu najpóźniej w sobotę po południu. Krótko mówiąc, panowie, mamy cztery dni.

Tak naprawdę Phillip niczego bardziej nie pragnął, niż zobaczyć uśmiech na twarzy Sabriny.

- To, o co nas prosisz, graniczy z cudem - podsumował Charles.

- Nie inaczej - potwierdził Phillip i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - A niby po co ściągnąłem tu was obu? To jak, wypowiadamy wojnę światu?

Rohan uniósł szkło.

- Za nieuchronny koniec twego kawalerskiego życia. To nie jest takie złe, Phillipie, wierz mi. Susannah jest moim najlepszym przyjacielem. Szczerze mówiąc, muszę przyznać, że trudno jest mi wyobrazić sobie, jak dawałem sobie radę bez niej.

- Ja pozostanę kawalerem - odezwał się Charles i dokończył swoją brandy. - Umilać sobie długie zimowe wieczory to prawdziwe wyzwanie. Dobrze, wybieram się zatem do White'a, Phillipie, i zaczynam dokonywać cudów.

- A ja - włączył się Rohan, ściskając dłoń Phillipa - do mojej najdroższej przyjaciółki, lady Sally Jersey.

- Dziękuję wam obu - rzekł Phillip. - Jestem naprawdę wdzięczny.

Po wyjściu Rohana Carringtona odezwał się Charles:

- Co zamierzasz zrobić z Teresą Elliott? Wiesz dobrze, że to przede wszystkim ona jest odpowiedzialna za całą tę sytuację.

Phillip obojętnie wzruszył ramionami.

- Gdyby ona tego nie zrobiła, niewątpliwie wyręczyłby ją ktoś inny.

- Ale ona chciała cię mieć na własność. A jeśli będzie uprzykrzać życie Sabrinie?

- Wtedy ją zniszczę. Charles skinął. Wiedział, że Phillip nie żartuje.

- Poza tym, Charlesie, gdy już weźmiemy ten cholerny ślub i Sabrina będzie miała warunki, by się uspokoić i odetchnąć, Teresa Elliott szybko się zorientuje, że żadna z niej kandydatka na wicehrabinę Derencourt.

Następnego ranka, zjadłszy na śniadanie krwisty comber sarni i wypiwszy dla kurażu dwie filiżanki mocnej, hiszpańskiej kawy, Phillip wsiadł do swojej dwukółki i pojechał do domu Barresfordów. Mimo zachmurzonego nieba humor mu dopisywał; nie mógł się już doczekać spotkania z lady Barresford. Lekko wyskoczył z dwukółki i rzucił lejce Lanscombe'owi, chłopakowi od koni, po czym wszedł po szerokich schodach.

- Chciałbym się zaanonsować - rzucił kamerdynerowi.

Chwilę potem kamerdyner z jękiem zaczął się wspinać na drugie piętro, do salonu Barresfordów. Zupełnie nie zaskoczył Phillipa fakt, że służący doskonale wiedział, kogo ma zaanonsować. Bez wątplenia wiedział wszystko, podobnie zresztą jak każdy służący w tym mieście.

- Dzień dobry pani - rzekł nieprzyzwoicie radosnym głosem, wchodząc do salonu. Lady Barresford zerwała się na równe nogi w niewiarygodnie krótkim czasie, szczególnie biorąc pod uwagę jej tuszę.

- Co pan tu robi, mój panie? Dostrzegł pióro i papeterię rozłożone na małym biurku. Zastanawiał się, ile listów zdążyła już napisać, lamentując nad zdradą, jakiej dopuściła się jej niemoralna bratanica. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

- Mam nadzieję, że wybaczy mi pani wizytę o tak wczesnej porze. Niemniej jednak wydaje się pani bardzo zajęta pisaniem listów. Otóż mogę dostarczyć bardzo dobrą nowinę, nadającą się do umieszczenia w listach.

- Proszę natychmiast wyjść. Nie mam panu absolutnie nic do powiedzenia.

Zrobiła krok naprzód i zaczęła machać tłustymi palcami w kierunku drzwi.

- Jak się domyślam, przyszedł pan tu, by bronić Sabriny, lecz to na nic. Nigdy więcej nie odezwę się do tej dziewczyny. Proszę natychmiast wyjść.

Obserwował ją z radosnym uśmiechem.

- Ale nie będzie pani miała nic przeciwko poświęceniu kilku chwil przyszłemu mężowi swojej siostrzenicy?

- Nie wierzę panu. Nie oświadczył się pan jej, to niemożliwe. Żaden dżentelmen by tego nie zrobił. Nie teraz, kiedy wiadomo już, jaka ona jest naprawdę, w dodatku od tygodnia wszyscy o niczym innym nie mówią.

- Nic bardziej mylnego. Zabiegałem o jej rękę kilkakrotnie, proszę pani. Przypuszczam również, że to właśnie pani muszę podziękować. Gdyby nie potraktowała jej pani w tak odrażający sposób, śmiem wątpić, czy kiedykolwiek przyjąłaby moje oświadczenia.

- Jak pan śmie podawać w wątpliwość stosowność mojego zachowania?

- Czego nie mogę podać w wątpliwość, proszę pani, to faktu, że los poskąpił mojej przyszłej żonie krewnych, którzy by się o nią troszczyli, chronili ją, a przynajmniej trzymali jej stronę. Z tym że w chwili obecnej bardziej interesuje mnie postawa towarzystwa. Myślę, że wspólnymi siłami możemy odwrócić większość skutków tej plotki. Poza tym w ciągu miesiąca pojawi się kolejny, jeszcze zabawniejszy skandal, który sprawi, że o tym wszyscy zapomną.

Wydatny biust lady Barresford falował. Zalała ją fala gniewu i nie zamierzała tego ukrywać.

- Ta dzierlatka przyniosła hańbę zarówno rodzinie Eversleigh, jak i Barresford. Opowiadała mi kłamstwa, same kłamstwa. Kto uwierzyłby w te absurdy, które wygadywała?

- Każdy, kto zna ją, choćby słabo, z miejsca by jej uwierzył. Ona nie kłamie. Tak czy inaczej, nie ma dla mnie większego znaczenia, czy wierzy pani jej albo mnie. Istotne jest, aby została zaakceptowana przez towarzystwo w roli mojej żony.

Lady Barresford z nieukrywaną satysfakcją odrzekła:

- Nikt, kto ma choć odrobinę przyzwoitości, nie przyzna się do znajomości z nią. Jeśli zaś chodzi o pana, na pana miejscu przed ożenkiem dobrze bym się zastanowiła, ilu mężczyzn mogła mieć przed panem pana narzeczona.

Przez chwilę Phillip widział pomarszczone gardło kobiety w uścisku swoich dłoni, choć oczywiście powiedzenie teraz wprost, co o niej myśli, nie byłoby najlepszym pomysłem. Tę przyjemność postanowił zostawić sobie na przyszłość. Mimo wszystko jego głos był stanowczy:

- Proszę mnie teraz posłuchać. Mam po dziurki w nosie słuchania pani jadowitych i zgryźliwych uwag. Mówi pani o swojej bratanicy i zarazem mojej narzeczonej. A teraz wyświadczy mi pani przysługę i usiądzie, bo chciałbym, by wysłuchała pani, co mam jej do powiedzenia.

Lady Barresford ani myślała siadać. Chciała rozprawiać, opowiedzieć mu, jak to Sabrina ją oszukała, ale wicehrabia wyglądał na nieugiętego. Dotarło do niej wtedy, że może byłoby lepiej, gdyby udało się zrehabilitować Sabrinę. Bez wątpienia, gdyby Sabrina została odrzucona przez londyńską śmietankę towarzyską, odbiłoby się to też na jej ciotce. Usiadła.

- Oto, co się stanie, proszę pani. W sobotę pobierzemy się z Sabriną i to tu, w tym domu, podczas kameralnej ceremonii. Jutro przywiozę Sabrinę tutaj, a pani zacznie ją traktować z należyтым szacunkiem.

- Mam ją znów wpuścić do mojego domu? Pan jest śmieszny. Jakim prawem, po wszystkim, co ta złoźnica mi zrobiła? Gdyby nie to, że moja reputacja jest absolutnie nieposzlakowana, ta mała

wiedźma mogłaby swoim zachowaniem doprowadzić do mojej degradacji.

Phillip pomyślał, że z chęcią by ją udusił, jednak tylko się uśmiechnął.

- Ujmę to w ten sposób: nic nie stoi na przeszkodzie, by wybuchł skandal, który by panią dotknął, czy wręcz zdegradował, jak to pani nazwała. Czy zatem nie byłoby lepiej w tej chwili przerwać wszystkie plotki? Może ma pani lepszy pomysł, niż bezpiecznie wydać Sabrinę za mnie? Zapewniam, że w tej właśnie chwili moi przyjaciele robią wszystko, co w ich mocy, by położyć kres plotkom. Jeśli teraz zmieni pani swoje nastawienie, nie będzie potrzeby obawiać się o pozycję w towarzystwie. Muszę jednak dodać, że jeśli mnie pani do tego zmusi, mogę stać się jej zaciekle wrogiem, a moi przyjaciele razem ze mną.

Cały czas mówił z takim spokojem, że lady Barresford zajęło dobrą chwilę, zanim zrozumiała, o co chodzi. Wstała i zrobiła kilka sztywnych kroków.

- Nie zrozumieliśmy się, młody człowieku. Moi przyjaciele są dobrze zorientowani w moim nastawieniu do Sabriny. Współczują mi, przeżywają całą sytuację razem ze mną. Nie opuściliby mnie. Nie przestaliby darzyć mnie szacunkiem.

Oboje oczywiście dobrze wiedzieli, że w Londynie prawdziwy przyjaciel był rzadkością, porównywalną ze słonecznym dniem w styczniu. Było natomiast bardzo prawdopodobne, że jej oddani przyjaciele naśmiewali się z niej za plecami.

- To może poinformuje pani swoich znajomych, że wyszły na jaw nowe fakty, w świetle których pani bratanica okazała się zupełnie niewinna. W rzeczywistości padła ofiarą oszczerstw, a pani, będąc jej ciotką, osobą sprawiedliwą, wreszcie po prostu kobietą, chce jako pierwsza naprawić wszystkie krzywdy, jakie jej wyrządzono. To powinno wywołać istną rzekę łez wśród przyjaciół, nie sądzi pani?

- Ale uroczystość w sobotę! To niemożliwe!

- Możliwe. Proszę się przez chwilę zastanowić.

Miał wrażenie, że słyszał, jak przekleła pod nosem. Spokojnie czekał. Spuścił wzrok i przyglądał się swoim paznokciom. W końcu lady Barresford się odezwała:

- Dobrze więc, zgadzam się, ale nie będzie to łatwe. Jeśli Sabrina nie odzyska akceptacji, to będzie wyłącznie pańska wina.

- Odzyska ją. Liczę, że dołoży pani wszelkich starań, aby zobaczyć to na własne oczy. Czy życzy sobie pani, bym przysłał do pomocy swojego sekretarza?

Pokręciła głową, jakby była nieobecna. Phillip wiedział, że już zaczęła planować niezbędne przygotowania.

- Przyprowadzę Sabrinę jutro z samego rana. Proszę pamiętać, że jeśli się dowiem, że przez te dwa dni sprawiła jej pani jakąkolwiek przykrość, będzie pani miała ze mną do czynienia. Bo, jak wspominałem, kiedy zmuszą mnie do tego okoliczności, potrafię być zaciekle wrogiem. Proszę o tym nie zapominać.

Kiedy się odwrócił, chcąc wyjść, ponownie usłyszał za plecami jej głos:

- Mam nadzieję, że nie pożałuje pan swojej rycerskości.

Ledwie skinął głową. Wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym zapytała:

- Skąd ta pewność, że dziewczyna mówi prawdę o Trevorze?

- Znam ją. Poza tym mogę dodać, że miałem okazję poznać Trevora Eversleigh. Martwię się o przyszłość tego rodu. Wyjątkowo ohydny człowiek. Proszę pamiętać, że Sabrina jest teraz pod moją opieką. Żegnam panią.

ROZDZIAŁ 29

Nikt by nie uwierzył, że jesteś panną młodą, gdyby nie ta kosztowna suknia, którą kupił ci wicehrabia.

Sabrina odwróciła się od lustra. Wyglądała jeszcze gorzej niż zaledwie wczoraj.

- To nie Phillip kupił tę suknię. Ja ją kupiłam.

- Teraz to i tak na jedno wychodzi - odparła lady Barresford, wygladzając własną, wspaniałą modną suknię. - Gdy tylko zostaniecie ogłoszeni mężem i żoną, nie będziesz miała grosza, który należałby do ciebie. Skoro twój dziadek nadal jest zbyt chory, by nawet rozmawiać z nim na ten temat, ja oczywiście kazałam moim prawnikom przygotować kontrakt małżeński. Twój posag jest znacznie większy, niż przypuszczałam. Jeśli zaś chodzi o ciebie, to jedyne, co masz, to mąż, i to taki, który potrafi spędzać czas w nader przyjemny sposób.

Sabrina myślała o liście od dziadka, liście napisanym drżącą ręką, który lokaj przyniósł poprzedniego dnia wieczorem. Dziadek zapewnił ją, że już wkrótce będzie na tyle zdrow, by powitać ją i jej świeżo poślubionego męża, a jednocześnie nie wspomniął ani słowem o tych mniej przyjemnych okolicznościach łączących się z jej nagłym zamążpójściem. Sabrina zastanawiała się, ile tak naprawdę dziadek wie, ale sam list tak ją ucieszył, że jeszcze teraz czuła przepełniającą ją radość.

- Gdy mówisz, że hrabia przyjemnie spędza czas, masz na myśli jego kochankę?

Sabrina usłyszała, jak lady Barresford prychnęła; nie było to dla niej nic budującego.

- Raczej kochanki, bo wątpię, by miał tylko jedną.

- To nie ma żadnego znaczenia. Powiedziałam mu, że może robić, co zechce.

- Moja droga, on nie potrzebuje twojego pozwolenia, by mógł robić, co zechce. Phillip Mercerault raczej nie żyje w celibacie. Ciekawie będzie patrzeć, jak paraduje ze swoimi kochankami tuż pod twoim nosem.

Sabrina poprawiła koronkę, która drapała ją w szyję.

- Phillip to dobry człowiek, nigdy nie zrobiłby czegoś takiego.

- Taaa... Jest mężczyzną, a mężczyźni zazwyczaj robią to, na co mają ochotę. Jeśli zdecyduje się cię ignorować, będzie to robił. Jeśli zdecyduje się poniżyć cię, będzie to robił. Trzeba jednak przyznać, że wicehrabia cieszy się dobrą reputacją; uważa się go za człowieka honoru. Zresztą, zobaczymy. Muszę przyznać, iż jestem zaskoczona, że tak łatwo udało ci się go oszukać. Nie myślałam, że taki z niego głupek.

Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich trzech dni Sabrina miała ochotę uderzyć ciotkę. Tylko jedno uderzenie, prosto w tę idiotycznie ufryzowaną siwą główkę.

- Phillip nie jest głupkiem - odparła Sabrina, ukrywając gniew. Już wkrótce wyniesie się z domu ciotki; już wkrótce nie będzie musiała na nią patrzeć. No, może raz na pół roku, choć to i tak wystarczająco często. Sabrina wyprostowała się, potem odwróciła.

- Chyba już czas zejść na dół.

- Tak, już czas. Na miłość boską, dziewczyno, uszczypnij się w policzki. Wyglądasz, jakbym to ja cię wykorzystwała, a przecież jest dokładnie odwrotnie. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile mnie kosztuje zajmowanie się tobą i twoją siostrą. Ale ty, która wywołujesz skandal i kłamiesz, mieszkając pod moim dachem... - Ciotka nagle urwała. Sabrina mogła powiedzieć wicehrabiemu coś, co nie do końca jest prawdą, a prawda jest taka, że traktowała Sabrinę lepiej, niż można się było spodziewać, zważywszy, co ta dziewczyna jej zrobiła. Lady Barresford odwróciła się na pięcie i wyszła, nie oglądając się za siebie.

Sabrina uszczypnęła się w oba policzki. Hickles, jej pokojówka, wyłoniła się nagle z zaciemionego kąta pokoju, gdzie się chowała. Sabrina aż podskoczyła. Była przekonana, że Hickles podsłuchiwała.

- Czy będzie pani jeszcze czegoś potrzebowała?

- zapytała głosem drżącym z podekscytowania.

- Tak - szybko odparła Sabrina, odwracając się.

- Nie chcę cię już więcej widzieć, Hickles. Naprawdę jesteś denerwująca - powiedziała i uniósłszy tren sukni, wyszła z pokoju, nie zaszczycając pokojówki ani jednym spojrzeniem.

- Sabrina wyglądała pięknie. Może nieco blado, ale nie była sztywna jak drewniana lalka. - Margaret Drakemore odwróciła się od Madeleine Bingly, dłonie miała oparte na biodrach.

Lady Bingly uniosła umalowaną brew.

- Naprawdę myślę, że w swoim poczuciu lojalności wobec Sabriny posuwasz się trochę za daleko, Margaret. Kończ już z tymi falbanami, ty głupia dziewucho! - warknęła na służącą, która klęczała przed nią, starając się przyszyć rozerwaną falbanę.

- Madeleine, dziś z pewnością należy okazać innym trochę chrześcijańskiego miłosierdzia - odezwała się lady Dorchester spod lustra, gdzie siedziała. Szczególnie, pomyślała, uśmiechając się lekko, że mój mąż, lord Dorchester, jest dobrym przyjacielem pana młodego i Rohana Carringtona. Ponadto ona sama nie plotkowałaby o nowej wicehrabinie, choć szczerze żałowała, że nie może tego zrobić - z pewnością oznaczałoby to wiele przyjemnie spędzonych godzin.

Lady Bingly okręciła się lekko.

- No, nikt by teraz nie powiedział, że pułkownik Sandavar, ta niezdara, rozerwał tę falbanę. - Odprawiała służącą i odwróciła się do Margaret. - Wydaje mi się, że orkiestra zaczyna grać walca. Powinnyśmy chyba wrócić na salę, nim nasi mężowie pomyślą, że od nich uciekłyśmy. Ach, Sabrina miała szczęście nie lada. Uciekła po tym, jak została skompromitowana, a mimo wszystko potrafiła zakończyć całą tę przygodę ślubem z Phillipem Mercerault. To musiało wymagać planowania i przebiegłości. Muszę przyznać, że aż skręca mnie z zazdrości.

Margaret przez chwilę pomyślała, że szkoda, że nie stoją z lady Bingly na szczycie schodów, wtedy mogłaby ją zepchnąć. Poderwała się na równe nogi.

- Dowiedziałas się o wszystkim ode mnie, Madeleine, więc opowiadanie tych kłamstw jest naprawdę złośliwe i bezduszne z twojej strony.

Lady Dorchester także wstała i po raz ostatni poprawiła fryzurę.

- Margaret ma rację, Madeleine. Co się stało, to się nie odstanie. Koniec - powiedziała i wyszła z garderoby, ale wychodząc, nie mogła się powstrzymać i rzuciła przez ramię: - Przynajmniej wicehrabia nie będzie miał dziś w nocy panny młodej trzęsącej się ze strachu. Jakież to urocze, gdy ślub następuje po nocy poślubnej.

Roześmiała się. Ruszyła za nią lady Bingly i obie wyszły z pokoju, w którym poprawiały toalety.

- Moja droga lady Dorchester, to nie była noc, raczej tydzień - zawołała. - Biorąc pod uwagę doświadczenie wicehrabiego, musiało to być wspaniałe przeżycie, dla tej... hm, panienki.

- Suka - mruknęła pod nosem Margaret. Słyszała jeszcze, jak Madeleine mówi głośno:

- Ciekawa jestem, czy wicehrabina nie jest w ciąży. Byłby to doskonały pretekst, by tak szybko wsunąć jej obrączkę na palec.

Przynajmniej inni goście zachowują się stosownie, pomyślała Margaret, bez żadnych złośliwości skierowanych do Sabriny. Skromna ceremonia ślubna, która odbyła się w salonie londyńskiego domu lady Barresford, przebiegła bez zakłóceń, a Charles, brat Margaret, występował w zastępstwie rodziny panny młodej. Rohan Carrington był świadkiem pana młodego. Sabrina chciała, by i przyjęcie weselne było równie skromne i kameralne, ale Phillip nalegał:

- Nie, Sabrino, zatańczysz ze mną weselnego walca na oczach tak wielu osób, ile tylko uda mi się zmieścić w sali balowej. To nie będzie krótkie przyjęcie, które skończy się szybciej, niż zacznie.

Oczywiście zjawiała się cała śmietanka towarzyska Londynu.

Może Phillip miał rację, pomyślała Margaret, ale niedobrze, że Sabrina wygląda na tak wymizerowaną i bladą. Margaret odprawiła służące i powoli ruszyła dębową klatką schodową do sali balowej.

Sabrina ukrywała się w cieniu, aż Margaret zniknęła z pola widzenia za zakrętem schodów. Nie miała słyszeć tych przykrych słów, ale tak się stało. Czego się spodziewała? Właśnie, czego innego mogłaby oczekiwać? Westchnęła ciężko. Przynajmniej już niedługo to wszystko się skończy. Zapomniała o puklu włosów, który wysunął się z koka i chciała szybko odwrócić się i uciec schodami na dół.

- Poczekaj, Sabrino, poprawię ci włosy.

- Phillipie... - Miała nadzieję, że nie słyszał tego, co tu o niej mówiono. Stał dwa stopnie niżej, a w kąciku ust błdził mu delikatny uśmiech. Zauważyła nagle, że cały dzień była tak zamknięta w sobie, że ledwie go zauważała. Teraz patrzyła na niego, porażająco wręcz przystojnego, w kruczoczarnym wieczorowym stroju.

- Wspaniale wyglądasz - powiedziała. - Zupełnie cię dziś nie dostrzegalam, przepraszam. Tyle dla mnie zrobiłeś, a dopiero teraz po raz pierwszy naprawdę cię widzę. Masz rzęsy długie i gęste, jak u dziewczyny. Choć większość dziewcząt, jakie widziałam, nie ma takich gęstych rzęs.

Phillip uśmiechał się coraz szerzej.

- No cóż, na początek dobre i rzęsy. Naprawdę myślisz, że jestem piękny? Jestem tylko mężczyzną, Sabrino. Ale czy pięknym?

- Teraz to już jesteś zarozumiały. Chcesz, żebym cię o tym zapewniła, a ty cały czas będziesz ze mnie żartował. Jesteś piękny. Czy te słowa łechcą twoją próżność?

- Tak. Mam nadzieję, że moje gęste rzęsy to nie wszystko, czego pragnie dziewczyna. Chodź tu, Sabrino, nim włosy zupełnie rozsypią ci się na twarz.

Posłusznie ruszyła w jego stronę, stawiając powolne i ostrożne kroki - bała się, że nadepnie na rąbek ślubnej sukni. Czuła długie palce Phillipa wsuwające niesforny pukiel tam, gdzie jego miejsce, a potem przypinające go szpilką.

- No, teraz jesteś doskonałą wicehrabiną. Popatrzyła na niego zaskoczona.

- Boże, masz rację, jestem wicehrabiną. Ale zupełnie tak się nie czuję. Wszystko to - pokazała ręką wokół - jest jak sen, jakbym to wcale nie była ja, tylko ktoś inny, komu to się przytrafiło.

Phillip kciukiem uniósł jej podbródek.

- To wszystko naprawdę się dzieje, Sabrino. To prawda, to ty i ja. Jesteśmy teraz małżeństwem. Stało się. Snem było zło, którego wcześniej doświadczyłaś, ale ten koszmar już się skończył.

Sabrina pomyślała o tych strasznych słowach, które usłyszała kilka chwil wcześniej, ale zmusiła się, by przywołać na twarz uśmiech.

- Tak, wszystko to już prawie się skończyło. Dziękuję ci, Phillipie, za wszystko, co dla mnie zrobiłeś.

Phillip nienawidził tego jej poczucia wdzięczności.

- To wszystko dzięki twoim pieniądзом - odparł bez ogródek - możesz więc równie dobrze podziękować i sobie.

- Pieniądze to jedna rzecz - odparła, a w jej głosie słychać teraz było narastający gniew - a to, co ty, Phillip Mercerault, dla mnie zrobiłeś, to zupełnie coś innego.

To prawda, pomyślał zadowolony Phillip. Przyłapał się na tym, że zastanawia się, co myśli Sabrina, bo teraz niewiele mógł wyczytać z jej oczu, tym bardziej że Sabrina patrzyła gdzieś w bok. Przez cały dzień tak niewiele się odzywała; właściwie wypowiedziała tylko słowa przysięgi w czasie ceremonii, nic poza tym. Wyglądała zbyt blado, ale Phillip wiedział, że to szybko się zmieni.

- Jeszcze tylko jeden walc, którego musisz ze mną zatańczyć, potem możesz iść odpocząć.

Sabrina nagle przypomniała sobie słowa lady Dorchester; aż się wzdrygnęła, nie mogąc zapanować nad drżeniem, które nią wstrząsnęło.

- Nie, nie chcę odpoczywać. Chcę zostać na sali balowej z tobą i naszymi gośćmi. - Zauważyła, że Phillip marszczy brwi i dodała zmęczonym głosem:

- Chcę tutaj zostać. Phillip dostrzegł jej ukradkowe spojrzenie w kierunku schodów. Przyszło mu do głowy, że Sabrina myśli o seksie - o seksie z nim, ze swoim mężem. Ta myśl śmiertelnie ją przerażała. Chciał znów jej powiedzieć, że nie musi się go bać, że nie zamierza do niczego jej zmuszać, ale wiedział, że nie powinien teraz tego robić - to nie czas na takie rozmowy. Usłyszał, że orkiestra zaczyna grać walca i wyciągnął rękę do Sabriny.

- Mój taniec, Sabrino. - Wziął ją pod ramię.

- I głowa do góry. Spróbuj się uśmiechnąć i nie zapominaj, że to ma być najszczęśliwszy dzień twojego życia. - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Dla mnie to naprawdę najszczęśliwszy dzień w życiu.

- Żartujesz sobie ze mnie - odparła, ale udało się jej przywołać na twarz lekki uśmiech.

- Może troszeczkę - odparł i poprowadził ją do sali balowej.

Grupa barwnie ubranych dam i dżentelmenów rozstąpiła się posłusznie, gdy Phillip i Sabrina wirowali w tańcu. Kątem oka Sabrina dostrzegła lady Dorchester i pomyliła krok. Natychmiast poczuła, że Phillip mocniej przytrzymał ją w talii. A potem uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby i mówiąc:

- Pokaż całemu światu, że oszalałaś z radości, że masz mnie.

- Całkiem możliwe, że oszalałam.

- To nie wystarczy. Pomyśl o moich rżęsach. Słowa Phillipa sprawiły, że Sabrina zachichotała.

- Doskonale. - Pochylił głowę i delikatnie pocałował ją w ucho. - Po prostu doskonale.

ROZDZIAŁ 30

Walc dobiegał końca, kiedy Phillip się odezwał:

- Czy teraz wierzysz, że stan twojego dziadka się poprawia?

Szczerzy uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Tak, Phillipie. Chociaż nie pisze tak sprawnie jak dawniej i to mnie martwi.

- To też wróci do normy, wraz z innymi rzeczami.

Muzyka umilkła, Phillip wziął Sabrinę w ramiona i delikatnie pocałował w usta.

- Dobra robota. Już po wszystkim. Wśród braw i śmiechów zgromadzonych pań i panów pocałował ją w czubek głowy. Po raz pierwszy zorientował się, jaka jest niska. Czubek jej głowy znajdował się zaledwie na wysokości jego szyi. Nic dziwnego, że wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Większość czasu Sabrina przeleżała w łóżku, na wznak.

Dotarło do niego również, że teraz to nie kto inny, lecz on, wicehrabia Derencourt jest za nią, przyszlą matkę jego dzieci, odpowiedzialny. Ta myśl na chwilę pochłonęła go bez reszty i sprowokowała do refleksji.

Poprowadził Sabrinę przed sobą, aby towarzyszyła mu w przyjmowaniu gratulacji od wychodzących gości. Część była istotnie zadowolona. Większość jednak pozostawała zimna, acz uprzejma. Niektórzy dżentelmeni rzucali Sabrinie spojrzenia, które Phillipowi, gdyby je dostrzegł, mogłyby się co najmniej nie spodobać. Jednak ogólnie rzecz biorąc, wszystko poszło zgodnie z planem. Jednym z ostatnich wychodzących gości była lady Barresford, która zatrzymała się na moment obok Sabriny.

- Naprawdę, całkiem nieźle sobie dzisiaj poradziłaś, bratanico. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście. Wszystko dlatego, że wicehrabia jest tak honorowym dżentelmenem.

- Tak, istotnie. Dziękuję ci, ciociu. - Wzrok Sabriny utkwiony był w lustrze wiszącym za plecami ciotki, tuż nad jej prawym ramieniem.

Lady Barresford skłoniła się w stronę Phillipa.

- Żegnam, wicehrabio. Dobrej nocy. Pozostawiam cię w towarzystwie twojej rumieniącej się żony.

Phillip ujął dłoń Sabriny, podniósł do ust i pocałował.

- Sabrina jest zbyt zmęczona, żeby się rumienić, proszę pani, choć nie mam wątpliwości, że skłaniały ją do tego liczne, niesmaczne komentarze, których zmuszona była słuchać przez cały wieczór.

- Niewykluczone - rzekła i zatrzymała się na chwilę.

Sabrina z ulgą dostrzegła, że Greybar krząta się obok lady Barresford, z gronostajową etolą przewieszoną przez ramię.

- Dziękuję ci, Greybar. Lady Barresford właśnie wychodzi. Dobranoc, ciociu.

Ciotka jednak rzuciła jej spojrzenie zapowiadające jeszcze bardziej jadowity komentarz, by po chwili przyjąć z rąk Greybara futro.

- Cóż, bratanico, skoro tak sobie posłałaś, to teraz się wyśpij.

To był strzał w dziesiątkę, wiedziała o tym, lecz Sabrina tylko się jej przyglądała z przechyloną głową. Gruby lok, niebezpiecznie zamierzał spaść na czoło.

- Mężczyźni uwielbiają niewinność - dodała lady Barresford. Następnie obróciła się na pięcie i zarzuciwszy sobie na ramiona etolę z gronostajów, pomaszerowała do frontowych drzwi.

Phillip zwrócił się do Sabriny:

- Nie przejmuj się nią, w ogóle żadną z nich się nie przejmuj. Gotowa do snu?

Spojrzała na niego niepewnie, ale Phillip uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Zupełnie nie masz się czego obawiać. Zaufaj mi, Sabrino.

Phillip nie był napalonym chłopakiem, który wyrwał się spod kontroli. Ostatnie, czego by pragnął, to śmiertelnie ją wystraszyć. Powiedział wystarczająco dużo. Zaczeka, aż się przyzwyczai, da jej na to czas. Da jej również czas, by mogła go poznać. Domyślał się, że sam też będzie potrzebował czasu. Nigdy przedtem nie był żonaty. Nie potrafił się przełamać, by zacząć sobie wyobrażać, jakich to zmian będzie musiał dokonać w swoim całkiem przyjemnym, kawalerskim życiu.

- Greybar powiedział mi, że Hickles, ta okropna pokojówka, poszła sobie na dobre. Stwierdził również, że Doris będzie się dla ciebie świetnie nadawała. Przyślę ją do ciebie.

Poklepał ją po dłoni i się oddalił.

- Jak żyję, nie widziałam anioła z włosami podobnymi do pani pięknych, rudobrzązowych loków - powiedziała Doris. - Nawet na obrazkach w książkach wszystkie anioły to najpiękniejsze dziewczynki o blond włosach, z dużymi niebieskimi oczami. Ale i tak sądzę, że taki rudowłosy anioł byłby ciekawą odmianą. Wyglądałby właśnie tak jak pani.

Gdybyś tylko nie była taka blada i pozbawiona energii życiowej - dodała w myślach, poprawiając pięknie haftowaną, batystową koszulę nocną. Wyobraziła sobie wicehrabiego, wyobraziła sobie, że mdleje w jego ramionach. Oto mężczyzna, który potrafi się zatroszczyć o kobietę. Ten wdzięk, te maniery, to szelmowskie spojrzenie, nie żeby kiedykolwiek skierowane na nią, ale zawsze... Nie, ona jest jego żoną. Od teraz wicehrabiną jest to maleństwo, bardziej przerażone niż królik na widok strzelby myśliwskiej. Nie wyglądała na rozwiązłe dziewczę, które oddało wicehrabiemu cnotę i miało wystarczająco dużo szczęścia, by zostać jego żoną. Wyglądała raczej żałośnie, może z wyjątkiem pięknych rudych włosów i tych niezwykłych oczu, które w innym czasie i innym miejscu niechybnie zaprowadziłyby ją na stos. Nie, nie wyglądała na dziewczynę, która oczarowana przez wicehrabiego, pozbywa się przed nim odzienia.

Sabrina kiwnęła głową z roztargnieniem, na co Doris uśmiechnęła się do siebie. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by jakakolwiek kobieta uznała czas spędzony w łóżku hrabiego za stracony, z tym bladym maleństwem włącznie. Odłożyła szczotkę do włosów i stanęła z boku.

- Czy mogę zrobić dla pani coś jeszcze?

- Nie, dziękuję, Doris.

Doris dygnęła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Sabrina powoli odwróciła się od lustra i raz jeszcze pozwoliła oczom omieść wielką sypialnię. Była surowa i męska; nic dziwnego, kiedy pomyśleć o właścicielu, stwierdziła. Spojrzała na wielkie łóże, rzeźbione w dębinie, umieszczone na podwyższeniu pośrodku sypialni, bez żadnych kotar, które mogłyby osłabić jego surowy charakter. Wzięła świecznik i podeszła do łóżka, postawiła świece na nocnym stoliku. Phillip wspominał, że cieśle będą do jej dyspozycji i przebudują sąsiednią sypialnię,

wcześniej należąca do matki Phillipa. Było mu przykro, ale nie zdołał przygotować tej sypialni na czas. Dlatego tej nocy musi spać tutaj.

Z nim. Nigdy wcześniej nie spała w jednym łóżku z mężczyzną. To znaczy spała, kiedy gorączkowała. Phillip trzymał ją w ramionach, ale to się nie liczy. Wtedy nie była świadoma tego, co się działo. Nie wynikało to z jej świadomej decyzji, nie tak jak to, czego niewątpliwie miała doświadczyć teraz.

Jest zameżna. Jako część oferty, część umowy, oddała mu nawet siebie. Zapomniała już, że dosyć żywo wtedy zareagował. Sabrina wsunęła się między pościel i naciągnęła kołdrę pod samą brodę. Wpatrywała się w ciemne, dębowe belki, krzyżujące się na suficie, każda sięgająca od ściany do ściany. Wytężała słuch, by usłyszeć kroki Phillipa. Poczula, jak koszula nocna przesuwa się po jej ciele, kiedy podciągnęła kolana.

Phillip będzie delikatny, nie miał powodu, by traktować ją bez należytego szacunku. Nie poturbowałby jej tak jak Trevor. Chce, by mu zaufała, i tak też postanowiła uczynić. W pokoju było niesamowicie cicho. Nie mogła tego znieść. Zaczęła sobie nucić; nuciła tak i nuciła, aż rozboleła ją gardło.

Nie przyszedł.

Przynajmniej знаła go lepiej, niż jakakolwiek inna dziewczyna mogła znać swojego narzeczonego. Kapał ją. Opowiedział o wielu przygodach, których doświadczył. Gotował dla niej. Próbowala mu uciec tamtej nieszczęsnej nocy, ale jego przeklęty koń ani drgnął. Potem znów jej miesięczna kobieca przypadłość. Wiedział nawet o takich rzeczach. A nawet jej wtedy pomagał. Zacisnęła przymknięte powieki. Tak, znała Phillipa, a może tak naprawdę należałoby powiedzieć, że to on ją znał. Na wylot.

Zegar nad kominkiem wybrzmiał jednym przeciągłym uderzeniem. Może wcale nie planował się u niej zjawić? Ale gdzie by spał? Ona zajmowała jego łóżko. Jeśli nie chciał, żeby tu była, powinien był coś powiedzieć. A może spał w pokoju dla gości, w głębi korytarza? Wyszła z wielkiego łóża.

To nie w porządku, że Phillip nie śpi w swojej sypialni. To przecież jego dom i jego łóżko. Zapaliła świecę, po czym udało się jej włożyć szlafrok. Boso podeszła do drzwi i otworzyła je. Na korytarzu panowała martwa cisza. Powoli ruszyła przestronnym korytarzem, otwierając po drodze każde napotkane drzwi.

Pusto. Wszędzie było pusto. Gdzież on się podziewa?

Zeszła po schodach, osłaniając dłońmi wąty płomień świecy. W końcu dostrzegła światło sącące się spod drzwi pokoju na tyłach domu. Nie miała pojęcia, co to za pokój. Najpierw podniosła rękę, by zapukać, ale po chwili przycisnęła ucho do drzwi. Zupełnie nic nie usłyszała. Bardzo wolno nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się bezdźwięcznie. To było coś w rodzaju jego gabinetu. Wnętrze wyłożono boazerią, jak jej pokój na piętrze, było tam też mnóstwo skór. Przed kominkiem stał duży, głęboki fotel. Ogień płonął leniwie. Podeszła w stronę kominka.

Nagle wstał i spojrzał w jej stronę. Ciągle miał na sobie strój wieczorowy, rozluźnił tylko fular, miał też potargane włosy. Patrzył na nią. W prawej dłoni miał kieliszek brandy.

- Sabrina? Zbliżył się do niej o krok, po czym się zatrzymał.

- Czy coś się stało? Coś jest nie w porządku? Przyśnił ci się jakiś koszmar?

- Ależ skąd, przepraszam, że ci przeszkodziłam, ale nie przyszedłeś do łóżka. To nie jest w porządku, więc wyszłam, by cię znaleźć i poprosić, byś przyszedł do sypialni.

Potrząsnął głową, jakby zupełnie nie zrozumiał tego, co właśnie usłyszał. W końcu się odezwał:

- To istotnie bardzo dziwna propozycja, szczególnie od kobiety, która wolałaby pewnie widzieć mężczyznę skutego łańcuchem, by nie mógł jej dotknąć. Wyprowadź mnie z błędu, jeśli się mylę. Chcesz, bym przyszedł do swojej sypialni?

- Tak, to jedyne rozwiązanie. Nie powinieneś siedzieć na dole, to w końcu twój dom.

- Cóż, zdaje mi się, że teraz to jest również twój dom. Wyjaśnij mi raz jeszcze, bo naprawdę czegoś tu nie rozumiem. Chcesz, żebym szedł do swojego łóżka? Ty też tam będziesz?

- Oczywiście. Inaczej, po co bym szła cię szukać? A jeśli wolałbyś zostać tam sam, beze mnie, to po prostu musisz mi to powiedzieć. Nie zranisz moich uczuć. Sądzę, że znamy się wystarczająco dobrze, by nie doszukiwać się krzywdy tam, gdzie jej nie ma.

Dziwne, ale przysiągłby, że w tej właśnie chwili, kiedy jej słuchał, wyczuł krzywdę w jej głosie:

- Moja propozycja nie zrobiła na tobie specjalnego wrażenia. Tym bardziej nie powinieneś się przejmować, bo ja to rozumiem. To ogromne łóżko. Jestem pewna, że wystarczy w nim miejsca dla nas obojga. Nie będziemy sobie przeszkadzać.

Phillip chrząknął. Przeczesał włosy palcami, tak że zaczęły sterczeć.

- To bardzo, ale to bardzo dziwne, Sabrino. Miałem zamiar rozmawiać z tobą o seksie, nie, to zbyt surowe słowo. Więc, miałem rozmawiać z tobą o intymności między mężem a żoną, ale postanowiłem, że zrobię to jutro. Jesteś zmęczona. To może poczekać, a ty powinnaś już spać. Jest pierwsza, a ty włóczysz się po nocy w tym haftowanym cudeńku, które sprawia, że wyglądasz naprawdę uroczo.

Przerwał.

- A zatem? Spuściła wzrok. Całe szczęście stała na grubym dywaniku. Drewniana podłoga byłaby zimna. Chrząknęła.

- Zatem co? Posłuchaj, Phillipie, czego ty właściwie ode mnie oczekujesz?

- Oczekuję, że pójdziesz spać, żeby jutro nie mieć sińców pod oczami i nie wyglądać jak świeżo wyprane prześcieradło. Wtedy chciałbym porozmawiać z tobą delikatnie o rzeczach, które mąż i żona robią w nocy, w łóżku, po ciemku. Tymczasem jesteś tutaj, jest już bardzo późno... Nie jesteś już taka blada.

Przerwał i zaklął siarczyście.

- A to dobre sobie. Nigdy bym się nie domyśliła, że tym słowem też można przekląć.

- Zapomnij o tym, to bez znaczenia. Wyrwało mi się. Po prostu zaskoczyłaś mnie, przyszałaś tak zniechęca. Nie spodziewałem się tu ciebie.

- Przyszłam tylko po to, by zapytać, czy przyjdiesz do łóżka, Phillipie - powiedziała cierpliwie.

- Tak jak powiedziałeś, jest już bardzo późno. Ty też powinieneś być w łóżku. Z pewnością jest wiele rzeczy, które masz w planach nazajutrz. Musisz wypocząć, miałeś bardzo pracowity tydzień. Zrobiłeś tak wiele. Tak wiele dla mnie.

- W porządku - powiedział i podszedł do niej. Cofnęła się o krok. Wyciągnął do niej rękę, jednak ona nie zrewanżowała się tym samym. Podała mu świecznik, a on uśmiechnął się do niej przyjaźnie, tak jak rodzic uśmiecha się do dziecka.

- Jesteś bardzo odważna. Oddał jej świecznik i poklepał po policzku.

- Idź spać. Jutro jedno z nas może się przenieść do drugiej sypialni.

- Ale powiesz mi też o tamtych rzeczach? Skinął głową raz jeszcze, zanim go opuściła.

Czekał w salonie do momentu, kiedy usłyszał, że drzwi do gabinetu zostały otwarte, a następnie zamknięte. Wyobrażał sobie Sabrinę, wspinającą się po schodach, piękną białą koszulę niczym

morskie fale omywającą jej kostki. Nawet gdyby przez rok nie miał kobiety, nawet gdyby do kości obgryzł sobie paznokcie, gdyby niemożność opanowania żądz zaprowadziła go na samą krawędź, nie dotknąłby tego niewinnego, bajkowego stworzenia. Szukała go, by mu się ofiarować. Poczł przyływ żądz, przerwany nagłym, przejmującym gniewem na samego siebie. Wiedział, że gdyby mieli się spotkać w łóżku, skalałby ją i wystraszył, a tego nie śmiał zrobić.

Odwrotnie, będzie ją chronił przed sobą. Wyjdzie. Opuściwszy salon, natknął się na Greybara. Ten promieniał.

- Wspaniała uroczystość, wicehrabio. Phillip tylko skinął głową, skupiony na Sabrinie, na tym, jak ją ochronić.

- Tak, oczywiście, Greybar. Podziękuj wszystkim w moim imieniu.

- Niech będzie mi wolno w imieniu swoim i całej służby życzyć panu i wicehrabinie dużo szczęścia. - Greybar miał nadzieję, że wicehrabia dostrzeże subtelną aluzję, acz bez przesady. Po wypiciu sporej dawki brandy Phillip miał spojrzenie człowieka, który ma coś do zrobienia. Ale dlaczego wychodzi? I to w noc poślubną? Greybar zorientował się po cieniu, że wicehrabina wróciła do sypialni sama. Wtedy prawda razila go ze zdwojoną siłą, niczym grom z jasnego nieba. Wicehrabia zachował się szlachetnie. Nawet pospolita pomoc kuchenna, zajmująca możliwie najniższe miejsce w hierarchii, była świetnie zorientowana w atmosferze towarzyszącej pośpieszemu ślubowi wicehrabiego.

- Biedna kruszyna - wcześniej tego dnia podsumowała gosposia, pani Hawley. Na jej głowie falowały delikatne siwe loki, które napawały ją niezwykłą dumą. - Po ślubie zadamy o nią jak należy, będzie jej u nas dobrze.

Greybar był ogromnie dumny ze swego chlebobdawcy. Był ponad to wszystko. Stanowił przykład nieopisanego męstwa. Nie poddawał się pierwotnym instynktom ludzkim. Nic z tych rzeczy. Jako zamożny dżentelmen mógł dać im upust gdzie indziej, w stosownym miejscu, a nie na górze, gdzie w sypialni leżało to małe, przerażone biedactwo, ubrane w zwiewną koszulę, czekając na ten pierwszy raz w życiu. Sabrina była całkiem sama i, bez wątpienia, tak było dla niej lepiej. Nie żeby młody mąż powinien odwiedzać kochankę, ale być może w tej konkretnej sytuacji, postępując w ten sposób, postępował dużo szlachetniej. Wicehrabia był młody i jurny. Obawiając się, że mógłby ją przestraszyć nie na żarty, postanowił ulżyć sobie gdzie indziej.

Pomógł Phillipowi włożyć płaszcz, po czym wręczył mu kapelusz i rękawiczki.

- Wiem, że masz świadomość tego, jak wiele przeszła w ostatnich dniach nowa pani domu - Phillip odezwał się do Greybara - ale już po wszystkim. Jest młoda i niezbyt nawykła do londyńskiego życia. Postanowiłem nie zabierać jej do Dinwitty Manor, przynajmniej na razie. Musi się nauczyć żyć tutaj i mam nadzieję, że ty jej w tym pomożesz. Przyjęcie połączone z kolacją, powiedzmy w przyszłym tygodniu, będzie dobrym początkiem, co ty na to?

- Tak jest, proszę pana, jak na początek brzmi doskonale. Mamy tydzień na to, by przywrócić kolory jej policzkom, a jej drobnym kościom trochę ciała. Tak, świetny pomysł.

Dwie godziny i pięć minut później, pod wyremontowanym sufitem sypialni Martine, Phillip doszedłszy głośno po raz drugi z rzędu, zsunął się z kochanki i położył na plecach. Skrzyżował ręce pod głową. Nadal myślał o Sabrinie, z tym że teraz już dużo łagodniej, bez naglącej chuci, która pochłaniałaby jego świadomość. Myślał o niej, leżącej w jego wielkim łóżu i o tym, że zostawił ją w spokoju.

- Wiesz, Martine - powiedział, nadal zadowolony z tego, co robili chwilę wcześniej - wszystkim

moim przyjaciółom uroczystość się spodobała, a ty pomogłaś mi powrócić myślami do rzeczy praktyczniejszych, z dala od cielesności. Teraz mogę pomóc Sabrinie odbudować ducha, nie myśląc o tym, że chcę ją pocałować albo pieścić. Nie będę też natarczywie świdrował jej wzrokiem, aż gotowa będzie zemdleć i paść jak długa w miejscu, gdzie akurat będzie stała. Nie, z twoją pomocą mogę być dla niej jak pilny uczeń, który chce się rozwijać. Lecz tylko od niej zależy, jakie wrażenie zrobi na towarzystwie. Greybar słusznie zauważył, że jak tylko przybierze na wadze, od razu poprawi swój wizerunek i przestanie się wyróżniać. Jednak najważniejsze, że daję jej czas, by mogła się uporać ze wspomnieniem o Trevorze, tym parszywym draniu. Tak, gdy tylko oswoi się ze wszystkim, będę mógł ją zapoznać z tym, co się dzieje między mężem i żoną. Nie zastanawiałem się jeszcze, w jaki sposób będę postępował, ale jestem ci wdzięczny za to, że pozwoliłaś mi odroczyć termin tej rozmowy. Wiesz, jak Greybar lubi bawić towarzystwo. Po cóż ja mu mówiłem, że w przyszłym tygodniu wydajemy przyjęcie, a zaraz potem...

Usłyszał ciche chrapnięcie za plecami. Martine zasnęła momentalnie. Phillip ubrał się i wyruszył do domu, cały czas się uśmiechając.

Zasnął na przykrótkim łóżku w pokoju gościnnym. Za oknem brzask właśnie malował niebo na bladoróżowo. Pomyślał raz jeszcze o Sabrinie, nadal bez zbędnej żądy. Odebrała nienaganne wychowanie, będzie świetną żoną. Tak, wszystko będzie w porządku. Kiedy odpływał w objęcia morfeusza, rozstawał się ze świadomością, nie opuszczało go poczucie zadowolenia z siebie.

ROZDZIAŁ 31

Następnego dnia wcześnie rano wicehrabia z miłym uśmiechem zwrócił się do żony:

- Odrobinę bekonu, Sabrino? Kucharz powiedział, że dzięki niemu nabierzesz trochę ciała.

Dobrze spałaś?

- Nie mam ochoty na bekon, a gdy wreszcie udało mi się zasnąć, spałam dobrze. Łóżko jest bardzo duże, ale nie znam jeszcze twojego domu. Najpierw było bardzo cicho, a potem usłyszałam jakieś skrzypienie i przeszły mnie dreszcze. Śniły mi się duchy i inne takie rzeczy.

- Przykro mi. Już wkrótce przyzwyczaisz się do tego domu.

Sabrina ledwie zauważalnie kiwnęła głową i zajęła się grzanką. Wyglądała uroczo w jasnoróżowej muślinowej sukni zapinanej pod szyją. Róż doskonale pasował do jej rudobrazowych włosów, nie mówiąc już o tym, że zdawał się pogłębiać barwę jej fioletowych oczu. Zaczął ją komplementować, ale potem przyszło mu do głowy, że może ją to przerażać. Sabrina gotowa pomyśleć, że jej pochlebia, byle tylko móc zdrzeć jej spódnicę. Nic nie odpowiedziała, jedynie uśmiechała się lekko, choć widać było, że nie jest to uśmiech, który przychodzi jej bez trudu.

- Nie musisz przyzwyczajać się do mojego łóżka. Jeśli chcesz, możesz wybrać inną sypialnię, dopóki nie skończy się remont sypialni wicehrabiny. Dobrze?

- Ubiegłej nocy spałeś w jednej z tych sypialni, Phillipie?

- Tak. Łóżko było trochę za krótkie, ale nie było tak źle.

Sabrina bawiła się skórką grzanki. Phillip podał jej słoiczek z dżemem. Nagle Sabrina powiedziała:

- Doris powiedziała mi, że wyglądam jak rudowłosy anioł.

Phillip gwałtownie podniósł głowę. Kroił właśnie plaster wyśmienitej wołowiny, gdy usłyszał słowa Sabriny, i omal nie skaleczył się w palec.

- Rudowłosy anioł, tak? Hm, zapytam Rohana, co o tym myśli.

- Rohan jest bardzo miły.

- To prawda. Znamy się od lat, od dzieciństwa. Rohan i Susannah są bardzo ze sobą związani.

- Wiem. Rohan naprawdę za nią tęsknił. Cały czas mówił tylko o niej i o ich córeczce, Marianne, i o Tobym, swoim szwagrze, i o Jamiem, który zdaje się jest stajennym i śpiewa koniom limeryki.

- O tak, Rohan ciągle jest szaleńczo zakochany w żonie. Susannah jest w ciąży i dlatego nie mogła przyjechać. Jak mówił, za każdym razem, gdy ktoś powie coś zabawnego w jej obecności, Susannah zaraz zaczyna wymiotować. Mówił też, że to oczywiście bardzo trudne cały czas być przy niej poważnym, ale niestety tak trzeba.

- Tak, słyszałam. Czy kiedykolwiek ją poznam?

- Oczywiście. Możemy odwiedzić ich w posiadłości Mountvale i pójść na wyścigi kotów.

- Słyszałam, że są bardzo popularne na północy Anglii. Dziadek mi o nich mówił. Myślę, że zawsze chciał taki wyścig zobaczyć.

- Kiedyś możemy zobaczyć je wszyscy razem. Najpopularniejszy wyścig od lat odbywa się w

McCaulty Racetrack, niedaleko Eastbourne, w każdą sobotę od kwietnia do października. - Phillip zamilkł na moment i zaczął bawić się widelcem. - Zawsze chciałem mieć kota wyścigowego, ale bracia Harker, najlepsi trenerzy w okolicy, mówią, że nie jestem wystarczająco zaangażowany. Zobaczymy, jak ci się spodobają wyścigi. Zaczną się nie wcześniej niż czwartego kwietnia, a co do najbliższej przyszłości, to pomyślałem, że może lepiej będzie, jeśli na razie zostaniemy w Londynie.

Sabrina jadła grzanekę. Słyszała szelest gazety i odezwała się jakby do obrazu wiszącego na przeciwległej ścianie, przedstawiającego misę z owocami:

- Zupełnie nie czuję się żoną. Nie czuję, by cokolwiek się zmieniło, może poza tym, że nie ma ciotki Barresford, i muszę przyznać, że to bardzo miłe uczucie.

Sabrina wciąż się boi, że za chwilę jej świat się zawali, pomyślał Phillip. Potrzebowała z jego strony zapewnienia, z którym pośpieszył bez chwili wahania:

- Popatrz tylko na pierścionek ze szmaragdem, który masz na palcu. To rodowy klejnot rodziny Mercerault; zdobił palce wielu dam z tej rodziny. Mam nadzieję, że ci się podoba, skoro masz go nosić do dnia, gdy pewnego dnia zdecydujesz się przekazać go narzeczonej naszego syna. Jesteś dobrą kobietą i teraz już mężatką; nie masz się czego obawiać, przysięgam. Ludzie o wszystkim zapomną, zawsze tak jest. Wybuchnie kolejny skandal i znów będą mieli swoje podniety i temat do plotek, i wkrótce o tobie zapomną. Nim urodzi się nasze pierwsze dziecko, będą jedynie pamiętali, że jesteś wnuczką hrabiego i że wyszłaś za mąż za bardzo przystojnego mężczyznę, który świata poza tobą nie widzi. Co o tym myślisz?

No cóż, ze sposobu, w jaki ją traktował, Sabrina odnosiła raczej wrażenie, że nie jest dla niego niczym więcej niż figurka pasterki stojąca na gzymsie kominka. Nikt nigdy tak jej nie traktował; było to bardzo przygnębiające. Popatrzyła na Phillipa, który właśnie nadziewał na widelec gruby kawałek befsztyka z polędwicy. Uśmiechnęła się do niego.

- Myślę, że jesteś bardzo miły, Phillipie. Ale może chodzi o coś więcej niż to, że świata poza mną nie widzisz?

- Owszem, jest coś jeszcze. Myślę, że to odpowiednia pora, by powiedzieć ci, że spotkałem się z Peterem Stradlingiem, moim prawnikiem. Przygotuje wszystkie niezbędne dokumenty, by twoje fundusze znów znalazły się w banku pod twoim nazwiskiem.

Phillip uśmiechnął się szeroko. Wiedział, że jest królem wśród dżentelmenów. Sabrina wpatrywała się w niego zaskoczona, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała; siedziała z rozdziawionymi ustami. Phillip mówił dalej, głosem ciepłym, ale poważnym:

- Nie chcę, żebyś czuła, że ożeniłem się z tobą dla pieniędzy. Zatrzymam twój posag, tak jak to się zwyczajowo robi, ale spadek po matce, dziesięć tysięcy funtów, znów będzie należał do ciebie. Możesz z tymi pieniędzmi zrobić, co tylko zechcesz.

Aha, będziesz też co kwartał dostawała pewną sumę na swoje wydatki. Sabrina siedziała nieruchomo, patrząc tępo.

- Czegoś nie rozumiesz?

- Nie rozumiem ciebie.

- Te cholerne dziesięć tysięcy znów należy do ciebie, to wszystko. Co tu jest do rozumienia?

Wszystko jest tak, jak być powinno. Nic dodać, nic ująć.

Sabrina ostrożnie odłożyła widelec na talerz.

- Ale przecież nie musisz tego robić. Dlaczego więc?

- Powiedziałem ci już: nie potrzebuję twoich pieniędzy. Nie chcę, żeby ktokolwiek powiedział,

że ożeniłem się z tobą dla pieniędzy. Na miłość boską, Sabrino, mogłabyś mi chociaż podziękować. Jesteś teraz dość niezależną kobietą.

Sabrina poczuła rosnący gniew, ale był to gniew płynący z bezsilności, gniew mający swoje źródło w bezradności, gniew, który będzie ją męczył, jeśli czegoś nie zrobi, jeśli czegoś nie powie... Choć z drugiej strony, cokolwiek powie, i tak wyjdzie na niewdzięczną idiotkę. Nie potrafiła się jednak powstrzymać; oparłszy się dłońmi o blat stołu, powoli wstała.

- Czyżbyś sądził, że skoro jestem tylko kobietą, to nie potrafię pojąć takich kwestii, jak umowa i honor? To nie są moje pieniądze. Umówiliśmy się, Phillipie, zawarliśmy kontrakt, nie pamiętasz już? To twoje pieniądze od chwili, gdy przyjąłeś moją propozycję, gdy przyjąłeś moje oświadczenie.

- To ty nalegałaś na ten kontrakt - odparł Phillip łagodnie, a potem wzruszył ramionami. - Posłuchaj, Sabrino, propozycja, którą mi złożyłaś, pozwoliła ci zachować twarz i popchnęła nas oboje do zrobienia tego, co zrobić należało, czyli do małżeństwa, które zawarliśmy, nim zostałaś żywcem pogrzebana pod lawiną obelg i towarzyskiego ostracyzmu.

Sabrina pochyliła się w stronę Phillipa; z tej perspektywy widział żyłkę pulsującą jej na szyi. Widać było wyraźnie, że Sabrina jest wściekła. Ale co miał zrobić?

- Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę. Takiego zadowolonego z siebie, takiego przekonanego, że jesteś uosobieniem hojności i wielkoduszności. - Sabrina niemal drżała, wypowiadając te słowa. - Jak śmiesz mnie traktować niczym jakąś głupiutką kobietkę, której jedynym celem było zawleczenie do ołtarza jego wielce szanownej lordowskiej mości? Zachować twarz, dobre sobie! W zamian za twoje cenne nazwisko dałam ci wszystko, co mogłam dać, i jest to niemała sumka. To była uczciwa propozycja i uczciwa transakcja, i myślałam, że w ten sam uczciwy sposób ją potraktujesz.

Phillip widział wściekłość Sabriny, choć jej nie rozumiał.

- Dlaczego przeinaczasz fakty? - powiedział powoli. - Nigdy ani słowem nie wspomniałem, że chciałaś mnie zawlec do ołtarza. Krótko mówiąc, uratowałem ci skórę. Ocaliłem cię, Sabrino, taka jest prawda. Powinnaś oswoić się z tą myślą, jak również z tym, że pieniądze znów należą do ciebie. Co się z tobą, u licha, dzieje? Dobry Boże, chyba tracę resztki rozumu.

- Twój rozum to twój problem. Nie rozumiesz, o czym mówię. Dlaczego chcesz pozbawić mnie honoru i traktujesz jak idiotkę? To na pewno rozumiesz.

Phillip powoli wstał; stali nie dalej niż pół metra od siebie.

- Dobrze, *madame*, będzie tak, jak sobie życzysz. Zatrzymam te twoje cholerne pieniądze, całe dziesięć tysięcy. Może nawet przegram je w jakimś kasynie, choć hazard nigdy mnie pociągał. Ponadto, *madame*, jeśli i tego sobie życzysz, możemy co kwartał sprawdzać rachunki. Spodziewam się, że nie będziesz wydawać więcej niż suma, którą dla ciebie przeznaczę. Czy tego właśnie chcesz, Sabrino, tańczyć, jak ci zagram?

Sabrina drżała. Nie tańczyła, jak jej zagrał Phillip, ale jak zagrała londyńska socjeta. Phillip jednak także należał do towarzystwa, stanowił część tych wszystkich nedorzecznych ograniczeń, które tak ją upokorzyły i przygnębiły.

- Wszystko, Phillipie, wszystko będzie lepsze niż bycie twoją dłużniczką. Nawet to upokarzające kwartalne liczenie pieniędzy. A jeśli chodzi o twój męski honor, to mam nadzieję, że się nim udławisz.

- Chciałem, byś po ślubie ze mną znów była radosna i w dobrym nastroju, ale jeśli ma to oznaczać, że będziesz zachowywała się głupio, a na dodatek będziesz uparta jak osioł, jak

dziwucha, która nie potrafi pozbyć się tych nieistotnych zmartwień, która...

- Wolę być osłem niż upartym ślepym dupkiem.

- Jestem twoim mężem, Sabrino. Nigdy więcej mi nie przerywaj.

- Będę robiła to, na co będę miała ochotę. Ostatecznie sporo ci zapłaciłam za to prawo.

- Wicehrabino, wiele musi się jeszcze pani nauczyć - odparł Phillip, znów opanowany. - Jeśli zaś chodzi o prawa, to ty nie masz żadnych praw. Będiesz robiła, co ci każę. Może i jesteś wnuczką hrabiego, ale ważniejsze jest to, że teraz jesteś moją żoną. Może więc teraz pójdziesz do swojej sypialni i zastanowisz się na tych bezsensownych oskarżeniach i obelgach? Gdy będziesz gotowa, by mnie przeprosić, powiedz Greybarowi, zawoła mnie.

Tuż obok głowy Phillipa przeleciał słoik z dżemem.

Nawet nie drgnął; patrzył tylko na Sabrinę. Jej biust falował, gdy ciężko dyszała. Skrzywdziłby ją, gdyby teraz chwycił ją za ramiona i potrząsnął, na co z pewnością zasługiwała.

- Idź do swojego pokoju, Sabrino.

- Nie - odezwała się wreszcie. - Wyślę chyba wiadomość do Charlesa Askbridge'a, może zechce wybrać się ze mną na przejażdżkę po parku. On przynajmniej nie jest despotą.

- Sabrino, nie posuwaj się za daleko, bo będę zmuszony odesłać cię do Dinwitty Manor, byś tam trochę się uspokoiła.

- Miałbyś ochotę to zrobić, prawda? Wtedy mógłbyś wszystkie noce spędzać u swojej kochanki. - Sabrina zamilkła na chwilę, widząc szok malujący się na twarzy Phillipa i rumieńce wypływające mu na policzki. Wyglądał na rozczarowanego i upokorzonego, na zażenowanego i winnego. Nie zwiodło jej to, ale wtedy nagle zrozumiała całą prawdę i odezwała się powoli: - Tam właśnie byłeś ubiegłej nocy, prawda? Wszedłeś zaraz po tym, jak mnie kazałeś położyć się spać. Wydawało mi się, że słyszę trzask wejściowych drzwi, nim wróciłam do sypialni. Poszedłeś do kochanki w naszą noc poślubną, prawda? Nie chciało ci się iść do łóżka z własną żoną, nawet ten jeden raz; nie chciało ci się nawet zostać w pokoju obok, blisko niej. Nie, ty poszedłeś do łóżka ze swoją kochanką.

Phillip milczał jak zakłęty. Sabrina przesywała go spojrzeniem.

- Naprawdę mnie zaskakuje, że mogłeś pójść do łóżka z kochanką, a jednocześnie cały czas rozpowiadać na prawo i lewo, jakim to jesteś rycerskim i szlachetnym człowiekiem.

- Niczego takiego nie zrobiłem.

- Ha! Jeśli nawet nie mówiłeś tego głośno, pyszniłeś się i chodziłeś dumny jak paw, delektując się własną szczodrobliwością. Phillipie, czy powinnam rzucić ci się do stóp, dziękując, że mnie uratowałeś? A może powinnam jeszcze całować cię po nogach z wdzięczności? A może powinnam wysłać twojej kochance jakiś drobiazg w podziękowaniu, że trzymała cię z daleka ode mnie w tę jedyną noc, tak szczególną dla kobiety?

Phillip wpatrywał się w żonę i jej nie poznawał; w jej głosie słyszał gniew i niedowierzanie. Zaczął powoli, od razu zwracając uwagę na to, co w jej słowach wydało mu się najważniejsze:

- Czy to naprawdę taka szczególna noc w życiu kobiety?

- Tylko wtedy, gdy kobieta nie wie, jacy naprawdę są mężczyźni.

- Przestań już. I powiedz mi prawdę: naprawdę chciałaś, żebym z tobą został ubiegłej nocy?

W tej chwili usłyszeli delikatne pukanie do drzwi.

- Do diabła! - Phillip celował w Sabrinę palcem. - Odpowiedz mi na to pytanie, Sabrino. O tak, odpowiesz na nie, jak tylko pozbędę się tego, kto puka do drzwi i najpewniej nie da nam spokoju, dopóki ich nie otworzę. A ty nie napiszesz do Charlesa żadnego listu. Cholera, masz mnie słuchać!

Phillip wyprostował się.

- Proszę - zawołał.

- Powóz jest już gotowy, proszę pana - zaanonsował Greybar, jednocześnie wpatrując się w śnieżnobiały fular swojego pana. Nie był głuchy. Ulżyło mu, gdy zauważył, że powóz jest gotowy, ale jeszcze bardziej mu ulżyło, gdy okazało się, że tylko na siebie krzyczą, a nie rzucają zastawą.

- Nie potrzebuję już powozu, Greybar. Jej lordowska mość zostaje tutaj. Możesz powiedzieć Lanscombe'owi, żeby przygotował moją dwukólkę.

Greybar wyglądał, jakby był gotów się spierać. Ku zaskoczeniu Phillipa strzelił palcami; Phillip nigdy w życiu nie widział, by Greybar zrobił coś podobnego. Potem chrząknął, co już niemal zupełnie wyprowadziło Phillipa z równowagi.

- Dwukółka, Greybar. Natychmiast i bez dyskusji.

- Tak, proszę pana. Gdy Greybar zamknął za sobą drzwi jadalni, Phillip z powrotem odwrócił się do żony.

- Odpowiedz na moje pytanie, Sabrino. Chciałaś, bym został z tobą ubiegłej nocy?

Gdy Phillip rozmawiał z Greybarem, miała nie więcej jak dwie minuty, by przygotować sobie odpowiedź. Z uwagą przyglądała się własnym paznokciom.

- Powiedziałam, że jest to jedyna tak szczególna noc w życiu kobiety, pod warunkiem, że nie wie, jacy naprawdę są mężczyźni. - Podniosła na Phillipa spojrzenie swych fiołkowych oczu, teraz pociemniałych z gniewu. - Mam już pewne doświadczenia z mężczyznami. Trevor wiele mnie nauczył, a ty nauczyłeś mnie jeszcze więcej. Myślisz, że chciałabym, żebyś mnie obłapiał, jak to mężczyźni mają w zwyczaju obłapiać kobiety? Myślisz, że jestem aż taka głupia?

Gdyby Greybar im nie przeszkodził, Sabrina powiedziałaaby coś zupełnie innego, tego Phillip był pewien, ale teraz się zaparła. Zważywszy, jak niewiele miała czasu, by przygotować tę odpowiedź, naprawdę dobrze jej poszło. Rozłożyła go na łopatki.

- Dobrze. Skoro to oczywiste, że nie życzysz sobie mojego towarzystwa, nie będę ci się narzucał. Jednym z twoich obowiązków jest układanie menu razem z panią Hawley. Powiedz jej, że obiad zjem w klubie i nie będzie mnie wieczorem w domu. Miłego dnia, Sabrino. Mam nadzieję, że nie będą cię nadmierne męczyły żale, które kierujesz w stronę niewłaściwej osoby.

Sabrina nie rzuciła się na niego, choć miała zaciśnięte pięści.

- Nie powiedziałeś mi, czy mam kupić jakiś drobiazg dla twojej kochanki w dowód wdzięczności.

- Zapomnij, że ktoś taki, jak moja kochanka, w ogóle istnieje - odparł Phillip i wyszedł z jadalni, bo wiedział, że jeśli zostanie tam chwilę dłużej, przełoży ją przez kolano i skroi jej tyłek. Już wychodząc, rzucił jeszcze przez ramię: - I nigdy więcej o niej nie wspominaj. Zabraniam ci tego.

Phillip wyszedł, nim Sabrina zdążyła cisnąć w niego kolejnym słoikiem dżemu. Widział, że na stole stał jeszcze jeden, niedaleko jej prawej ręki.

ROZDZIAŁ 32

Rozsadzała go wściekłość. Chciał się wyżyć, spuścić komuś manto, niestety w pobliżu nie było nikogo, kto by mu to ułatwił. Nagle się uśmiechnął. W dwadzieścia minut dotrze do klubu boksinerskiego Jackson's. Istotnie, przez następne dwie godziny dawał upust nagromadzonej energii, solidnie poobijał czterech mężczyzn, aż pot zaczął mu zalewać oczy.

- Można by przypuszczać, Derencourt, że znalazłeś sobie dużo przyjemniejszy sposób wykorzystywania niespożytych zapasów energii.

Phillip opuścił ręcznik, którym wycierał twarz. Hrabia March przyglądał się mu z dużym rozbawieniem.

- Witaj, St. Clair. Żałuję, że nie przyszedłeś wcześniej. Moglibyśmy spotkać się w ringu.

- Żebyś mógł zrobić ze mnie miazgę? Nie, dziękuję. Pozwól, że w imieniu swoim i Kate złożę ci najserdeczniejsze życzenia wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia. Dopiero późnym wieczorem wróciliśmy z naszej posiadłości, inaczej nie przepuściłbym okazji zatańczenia walca z uroczą panną młodą.

- Cholernie uroczą panna młoda spędza upojne chwile w towarzystwie Charlesa Askbridge'a. Mówiłem jej, że ma tego nie robić, ale wiem, po prostu wiem, że dopuściła się nieposłuszeństwa już w chwili, kiedy wsiadałem do dwukółki. A może wcześniej, już kiedy, wychodząc, przestępowałem próg domu, a może kiedy zakładałem rękawiczki. Miałem okazję dowiedzieć się od niej, że Charles nie jest tyranem.

- A ty, jak rozumiem, jesteś.

- Właśnie! Zdziecinniała idiotka. I to po wszystkim, co dla niej zrobiłem.

Hrabia obserwował ten wybuch z nieukrywanym zainteresowaniem. Znał bowiem Phillipa jako człowieka opanowanego i racjonalnego.

- Może to głupie pytanie, ale co ty takiego właściwie dla niej zrobiłeś, Phillipie?

- Co? No, wiesz, uratowałem jej życie.

- Tak, to bardzo wielkodusznie z twojej strony. Phillip wpatrywał się w swoje dłonie. Niech to szlag, March miał rację. Sabrina też ją miała. Istotnie, wydawało mu się, że jest bogiem wśród ludzi, szlachetnym, szczodrym, bezinteresownym. W tej chwili sam chciał się ukarać. Zamiast tego wpatrywał się w człowieka, który był jego przyjacielem od dobrych piętnastu lat.

- Z moich obserwacji wynika - podjął spokojnie hrabia - że udało ci się poślubić wspaniałą dziewczynę, z dobrego rodu, do tego z pokaźnym posagiem, którą przy normalnym biegu wydarzeń poznałbyś i tu, w Londynie. Czy wtedy zakochałbyś się w niej? Chciałbyś ją poślubić? Kto wie? Z tego, co słyszałem, to prawdziwa piękność. Niezliczeni mężczyźni mogliby się za nią uganiać. Czy właśnie ty byś ją wtedy zdobył? Któż to może wiedzieć?

- A niech cię diabli! Nienawidzę, kiedy masz rację! Nie żebyś od razu miał rację w tej konkretnej sytuacji, ale i tak ta twoja maniera mnie irytuje. - Cisnął ręcznik na ziemię. - Będę ci wdzięczny, jeśli zatrzymasz te bezcenne uwagi dla siebie. Prawda jest taka, że ona jest moją żoną, i bez znaczenia jest

teraz to, kto by się jej oświadczył, gdyby nie ten cholerny pech. Jest moja i podporządkuje się mojej woli, koniec, kropka.

- Charles Askbridge, zatwardziały kawaler, pewnie by się z tobą zgodził, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ja jednak pozwolę sobie na wygłoszenie jeszcze jednej opinii. Nie próbuj okiełznać Sabriny, Phillipie. Z tą myślą cię zostawiam. Idę do żony, tak się akurat składa, że ona uwielbia lody od Gunthersa. I cieszy mnie, kiedy ona się cieszy. Szczerze powiedziawszy, wręcz się rozpląwam w takich sytuacjach.

Phillip wzrokiem odprowadził przyjaciela do drzwi. Wolno naprężył mięśnie. Nienawidził się mylić. Nienawidził tego jeszcze bardziej, kiedy te pomyłki bezpośrednio dotyczyły jego.

Sabrina wręczyła smutnemu Greybarowi pelerynę podszytą sobolami. Stała cicho, kiedy lokaj pomagał Charlesowi zdjąć płaszcz i rękawiczki.

Kilka chwil później, kiedy byli już w salonie i czekali na herbatę, Charles zapytał:

- Co się stało Greybarowi? Myślałem, że się rozplącze, słowo daję.

- Jest sługą swojego pana. A ten nie życzył sobie, bym się z tobą w ogóle spotykała, toteż i lokaj nie może tego zdzierżyć. Jedno jest pewne, służba jest lojalna wobec Phillipa, są tą lojalnością przesiąknięci do szpiku kości.

Charles podszedł do kominka, żeby ogrzać ręce nad jasnym płomieniem. Po kilku chwilach się odwrócił i zobaczył, jak Sabrina, nie mogąc usiedzieć w miejscu, kręci się po pokoju. Odniósł wrażenie, że nie potrafi opanować zdenerwowania. Chociaż wydawało mu się to wyjątkowo dziwne, zgodził się towarzyszyć jej w drodze do parku, co więcej, udało mu się zatrzymać dla siebie pytania, które zaczynały go nurtować. W trakcie przejażdżki Sabrina wytrwale trajkotała o zupełnie nieistotnych sprawach, aż Charles obawiał się, że zaraz zapadnie w drzemkę. Teraz w końcu była cicho, co powitał z radością. Prawdą jednak było również, że znał Sabrinę całe życie i bolał go fakt, iż cierpiała i na dodatek próbowała to ukrywać.

- Gdzie jest Phillip? - zapytał. - Spodziewałem się, że po powrocie zastaniemy go w domu.

Odwróciła się do niego. Zimny wiatr dodał jej rumieńców, włosy w nieładzie kłębiły się dookoła twarzy. Wzruszyła ramionami. Gest udawanego zobojętnienia ani na chwilę nie uspił jego czujności.

- Nie mam pojęcia, Charlie.

- Spodziewasz się go wkrótce?

- To jego dom. Zakładam, że wróci, kiedy będzie miał na to ochotę.

Jest zła, ale nie pokonana, pomyślał, po czym powiedział:

- Posłuchaj mnie, Sabrino. Przez ostatnie dwie godziny bombardowałaś mnie bezsensowną paplaniną. Teraz zadałem ci proste pytanie dotyczące miejsca przebywania twojego męża, a ty warczysz na mnie jak pies. Jesteś mężatką zaledwie od dwóch dni. Co się tutaj dzieje?

- Mogłam się domyślić, że będziesz trzymał jego stronę.

- Stronę Phillipa? Niech to szlag, nawet nie wiem, gdzie on jest. To jak, Sabrino - zaczął już delikatniejszym głosem, widząc rozpacz w jej niezwykłych oczach. - Powiesz mi, co jest nie tak? Znasz mnie od zawsze. Wiesz, że możesz mi zaufać. Porozmawiaj ze mną.

W tym momencie do salonu wszedł Greybar, niosąc ciężką srebrną tacę z zastawą do herbaty. Kiedy Sabrina zajmowała się filiżankami, Charles mógł spędzić jeszcze chwilę przed kominkiem i wciąż ogrzewając ręce, zastanawiać się, co tu, u diabła, jest grane.

Greybar skłonił się, wychodząc z salonu. Spojrzenie miał pełne dezaprobaty, jakiej nie

powstydziliby się zakonnica, która znalazła się w pokoju pełnym nierządnic.

- To teraz powiedz mi, co takiego się stało, co zmusiło Phillipa do ucieczki z własnego domu?

Sabrina ryknęła tak, że Charles aż podskoczył.

- Widzisz, Charlie, trzymasz z nim! Dlaczego z założenia obwiniasz mnie? Czy ani przez chwilę nie przyszło ci do głowy, że mogę być niewinna? Że to nie z mojej winy nie spotkałeś tu dzisiaj Phillipa?

- Nie, nie przyszło i nie przyjdzie. Znam cię od urodzenia. Znam cię i jestem przyzwyczajony do twojego sposobu myślenia. Wiem również, w jakie intrygi potrafiłaś całymi latami wciągać Margaret. Ale biedny Phillip...

- Biedny Phillip?! „Biedny”, mówisz? Nie jest wcale biedny, do stu diabłów! Ma mój posag, niezwykle okazały posag, poza tym ma do dyspozycji dziesięć tysięcy funtów mojego spadku. I co? Biedny Phillip, tak?!

- Doskonale wiesz, że nie to miałem na myśli.

- Dobrze więc, twój biedny Phillip zakomunikował mi przy śniadaniu, że zwraca mi mój spadek, żebym mogła być finansowo niezależna.

- A niech mnie!

- Czy chcesz mi powiedzieć, Charlie, że Phillip nie powiedział ci o naszej umowie?

- O waszej umowie? To nie ma najmniejszego sensu. Po pierwsze dżentelmeni nie angażują się w umowy, a już na pewno nie w umowy z kobietami.

Spuściła wzrok, przez chwilę patrzyła na swoje dłonie, po czym zaczęła się nerwowo bawić kciukiem.

- Po tamtej nieszczęsnej nocy w klubie Almack's Phillip trzymał się ode mnie z daleka. To ja zaczęłam go nagabywać w sprawie małżeństwa. Zawarliśmy honorowy układ, Charlie. Sprawiał na mnie takie wrażenie, jakby rzeczywiście potrzebował moich pieniędzy. Sądziłam, że dobiliśmy targu, który będzie korzystny dla nas obojga.

- Przysięgam na wszystkie świętości, że Phillip nie mógł powiedzieć nic podobnego. Od czasów spadkobierczyni Dinwitty, a było to na początku ubiegłego wieku, rodzina Mercerault nie narzekała na brak funduszy. Przez ostatnie dwa pokolenia pomnażali tylko zgromadzone bogactwo. Phillipowi potrzebne są twoje pieniądze jak psu buty.

- Cóż, po dzisiejszym śniadaniu zdałam sobie z tego sprawę. - Westchnęła głęboko. - Teraz ja jestem dziedziczką, Charlie.

- Wiem o tym, oczywiście masz rację. Teraz powiedz mi prawdę, skoro już wiesz, że Phillipa nigdy nie interesowała twoja fortuna. Boże, zachowywałby się dokładnie tak samo, nawet gdybyś nie miała grosza przy duszy. Według mnie wygląda na to, że podstępem zmusiłaś go, by zrobił to, czego się po nim spodziewałaś.

- Wiedziałam - powiedziała tak cicho, że by móc lepiej ją słyszeć, musiał się bliżej nachylić. - To wszystko była lipa, jedno wielkie kłamstwo.

- Powinnaś chyba pamiętać, że sama kilkakrotnie odrzuciłaś jego oświadczenia. Czuł się za ciebie odpowiedzialny, mimo że to ty wciągnęłaś go w to całe zamieszanie. Oczywiście, nie miałaś na to żadnego wpływu, to absolutnie nie była twoja wina, ale gdyby cię tam wtedy nie było, nic by się nigdy nie stało.

- Gdyby nie ja, wciąż byłby wolnym człowiekiem. Czy ty nic nie rozumiesz, Charlie? Właśnie dlatego nie chciałam za niego wyjść. Nie chciałam, by się dla mnie poświęcał. Chciałam coś wnieść

w to małżeństwo, cokolwiek, oprócz mojej skalanej reputacji.

- Gdybyś tak choć na chwilę przestała się rozwodzić nad swoim honorem, a pomyślała trochę o honorze Phillipa...

Sabrina poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. Nienawidziła tego, ale w żaden sposób nie potrafiła ich powstrzymać. Zaszlochala, podnosząc wzrok na Charlesa:

- On mnie nie kocha, Charlie. Gdyby nie to, co się wydarzyło, nigdy by mnie nie poznał, a co dopiero poślubił.

- Oczywiście, że cię nie kocha. A niby jak ma cię kochać? Przecież prawie się nie znacie. A jeśli chodzi o małżeństwo, to z całą pewnością poznałby cię tutaj, w Londynie, kiedy przyjechałaś z początkiem sezonu. Prawdopodobnie spojrzawszy na ciebie choć raz, w następnej chwili rzuciłby ci się do stóp.

Usiadł obok Sabriny i poklepał ją po plecach. Odwróciła się do niego i oparła głowę na jego ramieniu.

- W ostatnią noc, naszą poślubną, nie został w domu, ze mną. Spędził tę noc ze swoją kochanką.

Charles poczuł, że traci grunt pod nogami. Nie, Phillip nie zrobiłby czegoś podobnego. To niemożliwe. Był tego pewien, tak samo jak tego, że Sabrina bynajmniej nie jest brzydula. Jest piękna. W następnej chwili dotarły do niego motywy działania Phillipa. Znowu poklepał ją po plecach. Nie płakała, przytulała się tylko do niego, taka wiotka i delikatna niczym dziecko.

- Posłuchaj, Sabrino, on po prostu nie chciał cię naciskać. Chciał dać ci czas, byś mogła przezwyciężyć wspomnienie tego, co próbował ci zrobić Trevor. Nie chciał, żebyś się go bała. Poza tym byłaś chora, nadal jesteś taka blada, aż zaczynam się o ciebie bać. Po prostu dbał o ciebie i twoje uczucia. Nie powinnaś go nienawidzić za to, że próbował cię chronić.

Sabrina spięła się, a jej oczy się zwęziły i nabrały złośliwego wyrazu.

- Teraz już rozumiem, wszystko rozumiem. Jest taki cudowny, że poszedł sobie i wylądował w łóżku ze swoją kochanką. A mnie się wydaje, Charlie, że gdyby Phillip był wzorem cnót, a tak go właśnie przedstawiasz, to w ogóle nie poszedłby do swojej kochanki. Zostałby tutaj, w swoim domu, w swoim łóżku. Mogłabym spać obok niego. Nie musiałby mnie dotykać, skoro jest taki szlachetny. Albo, oto najlepszy pomysł, mógłby spać sam w swoim łóżku, całą noc, a nie tylko te kilka godzin poprzedzających świt, bo zdaje się, że mniej więcej o tej porze wrócił do domu. Phillip to zwykła świnią, Charlie.

- Nie, nie jest tak, uwierz mi, Sabrino. Kłopot w tym, że Phillip jest mężczyzną, który przywykł do kobiet, przywykł do... - Wycofał się, świadom głupstwa, które prawie palnął. - Nie to miałem na myśli, zapomnij o tym.

- Tak jest, rozumiem - powiedziała powoli. Charlie uznał, że wreszcie zapanowała nad sobą, co przyniosło mu niewypowiedzianą ulgę. Płacząca kobieta zbijała go z nóg. Wziąwszy się w garść, Sabrina mówiła dalej: - To miałoby sens. Oczywiście, Phillip potrzebuje kobiety w nocy. Taki już jest. Nie poszedł ze mną do łóżka, bo się bał, że mnie wystraszy. Tak, teraz rozumiem. - Stała na równe nogi i zaczęła maszerować w tę i z powrotem. - Zatem rozumiem, iż moim zadaniem jest pokazać mu, że już odzyskałam formę i nie wybiegnę z sypialni z wrzaskiem, jeśli mnie pocałuje.

- Ale... hm, między kobietą i mężczyzną dzieje się coś więcej niż tylko pocałunki.

- Wiem. - Odwróciła się gwałtownie, by go zobaczyć. Błysnęła zębami w uśmiechu.

Charles przyglądał się bystrej dziewczynie, która stała przed nim. Trudno było nie wybuchnąć śmiechem. To dopiero! Nie do pomyślenia, że Phillip Mercerault zostanie uwiedzony przez

osiemnastoletnią dziewczynę, która - tak się akurat złożyło - jest jego żoną. Miał nadzieję, że się jej powiedzie. Ale jednocześnie postanowił zmówić dziesięć zdrowasiek, żeby zapomniała o Trevorze i się nie przestraszyła.

- Tylko, widzisz, Charlie, nie wiem, co zrobić z jego kochanką. Zostawiłam mu wolność, sam rozumiesz.

- Nic nie rób, Sabrino - powiedział Charles stanowczo. - Dasz sobie radę i bez tego. Twoje zaloty do Phillipa nie są zbyt konwencjonalne. Powoli, nie spiesz się. Oto moja rada. Nie krzycz na niego. Nie jest do tego przyzwyczajony. Na ogół kobiety rozplývają się na jego widok, całują go i mówią, jaki jest wspaniały.

- Tak, ale musi im płacić, by to robiły. Mnie nie musi za nic płacić. Jestem w końcu jego żoną. - Przerwała na chwilę, po czym dodała: - Cóż, raz na kwartał będzie mi oczywiście udostępniał pewną sumę na moje wydatki.

- Fakt, że w niektórych wypadkach Phillip płaci... Zaczął mu się rozwiązywać język, ale postanowił się powstrzymać. Uśmiechnął się do niej i ścisnął jej dłoń.

- Tak, niech to się dzieje powoli. Cierpliwości, Sabrino. Wiesz, że Phillip prawdopodobnie niewiele lepiej od ciebie wie, co ma robić. Daj mu trochę czasu. Małżeństwo to dla niego coś zupełnie nowego.

- Tak, a dla mnie to niby chleb powszedni? Na Boga, Charlie, mam dopiero osiemnaście lat.

- Istotnie, tylko że damy zwykle wiedzą o tych rzeczach wcześniej niż mężczyźni, szczególnie o tych związanych z uczuciami i tak dalej. Tak, Sabrino, trzymaj język na wodzy. Daj Phillipowi szansę.

- Założę się, że w życiu nie słyszałeś, żeby Phillip trzymał język na wodzy.

- Cóż, w rzeczy samej, ale to co innego. Od mężczyzn oczekuje się, że będą wrzeszczeć i dawać sobie po gębach. No, dobrze, będę szedł, zamęczyłaś mnie niemal na śmierć. Jestem wyczerpany. Do tego boli mnie głowa. Wolę zniknąć, zanim pojawi się Phillip i zacznie wypytywać, cóż takiego ci powiedziałem.

ROZDZIAŁ 33

Przez dłuższą chwilę Martine jedynie wpatrywała się w kochanka. Był ostatnią osobą, jaką spodziewała się ujrzeć w drzwiach.

- Phillipie, co ty tu, u licha, robisz? Jest wczesne popołudnie, dwa dni temu wzięłeś ślub. To z pewnością nie tak powinno wyglądać. Byłeś tu przecież ubiegłej nocy. Nie podoba ci się żona, która, jak rozumiem, jest młoda, ładna i bajecznie bogata? Co jest nie tak?

Martine zawsze była dumna ze swojej urody, ale była też szczerą i biegłą zarówno w tym, co mówiła, jak i w tym, co robiła w łóżku. Teraz jednak nie wiedziała, co ma powiedzieć. Z ustami otwartymi ze zdziwienia patrzyła na Phillipa.

- Dobry wieczór, Martine - przywitał się Phillip, rzucając płaszcz na oparcie krzesła. - Tak, jestem tutaj. Tak, dwa dni temu wzięłem ślub. I co z tego? Nagle nie jestem tu mile widziany? - Phillip podszedł do zaskoczonej kochanki i pocałował ją.

- Zawsze jesteś tu mile widziany i doskonale o tym wiesz.

Phillip wyprostował się. Martine uważnie przyglądała się jego twarzy. Jak większość kobiet, patrzyła w jego piękne oczy, które tak przyciągały uwagę, i na ponętne usta.

- Jesteś świeżo upieczonym mężem.

- Wiem o tym lepiej niż ty. Dlaczego mnie karcisz? O tak, znam ten ton. Słyszałem go dziś rano, towarzyszył mu gniew, żale i całkowity brak logiki. Więc choć ty mi tego oszczędź. Po prostu pozwól mi być sobą i ty też bądź sobą.

- Ta dziewczyna, którą uchroniłeś przed kompromitacją, jest na ciebie zła? Phillipie, to wszystko nie ma sensu. Powinna przecież być ci wdzięczna, uwielbiać cię i padać ci do stóp, wychwalając pod niebiosa zalety twego szlachetnego charakteru.

Phillip skrzywił się.

- Nieważne, czy jest mi wdzięczna, czy nie, przynajmniej jest teraz bezpieczna - odparł i podszedł do kredensu, by nalać sobie szklaneczkę porto. Martine obserwowała go w milczeniu, gdy jednym haustem osuszył szklaneczkę i ponownie ją napełnił.

- Był stolarz naprawić ten cholerny sufit?

- Wczoraj. Nie zauważyłeś, gdy byłeś tu ubiegłej nocy?

Pokiwał głową. Tak, teraz sobie przypomniał.

- Był bardzo bezczelny. Uśmiechał się do mnie lubieżnie, mówiąc, że jego lordowska mość nie będzie musiał się martwić, że sufit spadnie mu na głowę, gdy będzie leżał w moim łóżku.

- Istotnie, nie jest to zachęcająca wizja. Phillip odstawił szklaneczkę i ukłoniwszy się Martine, skierował się ku drzwiom.

- Pójdiesz ze mną na górę, Martine. Bardzo cię teraz potrzebuję.

Martine uważała, że to nieprawda, ale uśmiechnęła się i podała Phillipowi dłoń. Gdy już znaleźli się w jej eleganckiej sypialni na piętrze, urządzonej w niezwykle kobiecym stylu, Martine zdejmowała suknię, gdy nagle odwróciła się w stronę Phillipa, który stał przy kominku i choć zdawał

się patrzeć na ogień, wzrok miał nieobecny.

- Phillipie. Chrząknął, ale nie podniósł wzroku.

- A ta mała jest sama w domu? Na te słowa Phillip gwałtownie podniósł głowę.

- Dlaczego, do diabła, tak na nią mówisz?

Martine rozsznurowała gorset z miękkiej materii, który zsunął się jej do talii, ale, co dziwne, Phillip nie przeniósł wzroku z twarzy Martine na obnażone piersi. To było doprawdy zupełnie do niego niepodobne.

- Tak na nią mówię, bo ją widziałam.

- Gdzie widziałaś moją żonę?

- Dzisiaj, w parku. Jechała powozem Charlesa Askbridge'a.

Widziała, jak te cudowne oczy Phillipa nagle pociemniały; fascynujący widok. Martine nie dała się zwieść niby obojętnemu wzruszeniu ramion. Powolnymi ruchami pozbywała się reszty garderoby, wreszcie stanęła przed Phillipem całkiem naga, a po chwili podeszła do łóżka.

Phillip nawet nie drgnął.

- Jak wyglądała?

- Chyba jakby starała się zapomnieć o czymś nieprzyjemnym. Słyszałam jej śmiech, widziałam, że się uśmiecha, ale wszystko to było sztuczne. Rozumiesz, co mam na myśli?

- Byłbym wdzięczny, gdybyś nie wtrącała się w nie swoje sprawy, Martine.

Martine położyła się na łóżku; Phillip nadal ani drgnął.

- Nie wtrącam się, Phillipie. Sam przecież mnie o to zapytałeś.

- Powiedziałem jej, że zabraniam jej spotykać się z Charlesem. Chciała wysłać mu liścik. Dzień po naszym ślubie chciała spotkać się z innym mężczyzną. Ale skoro ją widziałaś, to znaczy, że mnie nie posłuchała. Choć oczywiście wcale mnie to nie dziwi. - Phillip zaczął zdejmować ubranie, ale po chwili przestał.

- Ta mała ma niezwykle oczy. Fioletowe. Naprawdę niepowtarzalne. Spróbuj sobie tylko wyobrazić, jakie będziecie mieli dzieci. Będą prześliczne.

Phillip się nie poruszył. Za jego plecami ogień buzował w kominku. Phillip milczał.

- O tak, jej oczy są bardzo wyraziste. Nagle Phillip zaczął na powrót wkładać ubranie.

- Cholera jasna! Zawsze będę wolnym człowiekiem, nie będę do niej przywiązany, nie będę przywiązany do nikogo. Przecież to nonsens. Jestem za młody, nie chcę wiecznie pokonywać trudności. Wiem, że chciała, żebym do niej przyszedł ubiegłej nocy, była tak miła, że to przyznała. Ale przecież wiem także, że gdy tylko jej dotknę, będzie śmiertelnie przerażona. Nie, nie zrobię tego, ale poza tym będę robił to, na co mam ochotę. Jestem i zawsze będę wolnym człowiekiem, i nie obchodzi mnie, czy będę musiał to udowodniać i sobie, i jej. To po prostu nie ma znaczenia.

Phillip był prawie nagi. Martine po prostu uśmiechała się do niego, nie do końca go rozumiejąc. Widziała, że się zmienił, ale zmienił się tak szybko, że teraz starał się walczyć z tym ze wszystkich sił. A z doświadczenia Martine wynikało, że mężczyźni mają tych sił wiele.

Chwilę później Phillip, już zupełnie nagi, leżał na niej, całował i pieścił zapamiętale.

Nagle przestał i podniósł wzrok na deskę u wezglowia łóżka. Wysunął się z Martine i wstał z łóżka. Nie odezwał się ani słowem, po prostu podszedł z powrotem do kominka i zaczął się ubierać. Odezwał się, gdy naciągał bryczesy:

- Wiesz, że Rohan Carrington miał opinię nieuleczalnego kobieciarza.

- Tak. Wszystkich zaskoczyło, gdy cztery lata temu się ożenił, a potem urodziła mu się córka.

Ludzie mówią, że jest wierny żonie, że nigdy jej nie zdradził. Mówią też, że bardzo ją kocha, a córeczkę wręcz ubóstwia.

- Tak, jest wierny żonie, ale Rohan nie jest taki jak ja, Martine. Nigdy nie musiał martwić się o swoją wolność, że ją straci, czy że będzie musiał ją odzyskać. Jesteśmy bardzo różni.

Phillip podniósł głowę i spojrzał na Martine. Leżała na boku w najbardziej pociągającej pozycji, jaką mężczyzna może sobie wyobrazić, ale Phillip nie zwrócił na to szczególnej uwagi.

- Tak, jestem zupełnie inny niż Rohan. Wygląda na to, że to zawsze ja jestem tym, który sprawia ból i rozczarowuje.

Phillip skończył się ubierać; podszedł do łóżka i pocałował Martine w usta, lekko, ale namiętnie.

- Czy jeszcze kiedyś cię zobaczę? - Martine przycisnęła sobie jego dłoń do policzka.

- Oczywiście - odparł.

- Ach, tak. Przecież tu chodzi o twoją wolność, prawda?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę.

- Może... - odparł wreszcie, a potem wyszedł, nie odwracając się za siebie.

Martine długo jeszcze patrzyła na ogień w kominku.

Stojący na gzymsie kominka złotawy zegar z cynku i miedzi wybił północ. Sabrina leżała w ciemnościach. Nie spała, czekała, aż usłyszy na schodach kroki Phillipa. Nie wiedziała, jak powinno się uwodzić własnego męża, ale była pewna, że jeśli uda się jej go pocałować, Phillip odwzajemni pocałunek. A to na pewno wystarczy, by wprowadzić mężczyznę na drogę pożądania.

Nagle Sabrina zamarła, słysząc kroki na korytarzu, tuż za drzwiami sypialni. Usłyszała, że Phillip zatrzymał się przy drzwiach, a potem odszedł wzdłuż korytarza, aż do uszu Sabriny przestały docierać kroki. Dał jej już wystarczająco dużo czasu, by wyleczyła się ze strachu przed mężczyznami. Zmusiła się, by leżeć cicho jeszcze przez kilka chwil i dać Phillipowi czas na rozebranie się i położenie do łóżka. Wreszcie wstała i podeszła do toaletki, by zapalić świecę. Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Nie był to przerażający widok. Jej oczy wyglądały na większe niż zwykle i wyjątkowo błyszczące. Co zaś się tyczy garderoby, miała na sobie haftowaną nocną koszulę. Włosy błyszczały, spadając na plecy kaskadami; w świetle świecy miały kolor burgunda.

Sabrina cicho wymknęła się na korytarz i poszła w stronę pokoju, który chwilowo służył Phillipowi za sypialnię.

Uchyliła drzwi i zatrzymała się w progu - zaskoczyło ją głośnie chrapanie dobiegające z wnętrza. Przecież od chwili, gdy słyszała kroki Phillipa na korytarzu, do momentu, gdy tu przyszła, nie minęło dużo czasu. Dobry Boże, on śpi jak suseł! Czas najwyższy obudzić go w sposób, jakiego się nie spodziewa. Sabrina uśmiechnęła się do siebie i boso podeszła do łóżka. Phillip leżał na plecach, z rękoma wzdłuż ciała; wciąż miał na sobie wieczorowy strój. Nie całkiem tak to sobie wyobrażałam, pomyślała Sabrina, gdy pochylała się, by go dotknąć. Nagle zamarła, cofając rękę. Poczula od Phillipa brandy. Zastanawiała się, ile wypił. Najprawdopodobniej dużo. Może tak naprawdę wcale nie zasnął, a zemdlał? Znow powąchała i tym razem poczuła delikatny różany zapach; nie miała wątpliwości, że Phillip raczej nie używa wody kolońskiej o takiej nucie. Nie, to były perfumy jego kochanki. Tej nocy znow z nią był.

By nie tknąć swej świeżo poślubionej żony, dziewicy.

Miała tego dosyć. W tej chwili nie miało dla Sabriny znaczenia, że Phillip jest tak pijany, iż zasnął, gdy tylko przytknął głowę do poduszki. I tak zamierzała go uwieść.

Powoli zsunęła z ramion nocną koszulę, która lekko wylądowała na podłodze wokół jej stóp. Gdy

sama była już naga, nagle dotarło do niej, że Phillip jest wciąż ubrany. Co robić?

Nie zamierzała się tym martwić. Usiadła na łóżku obok Phillipa i zaczęła delikatnie głaskać go po twarzy; dotykała jego nosa, policzków, potem przesuwała opuszkami palców po wargach. Jakże podobały się jej jego usta. Pochyliła się i go pocałowała.

Przestał chrapać i otworzył oczy.

- Martine?

- Nie, Phillipie, to ja, Sabrina, twoja żona.

- Nie, to niemożliwe. Sabrina panicznie boi się mężczyzn. Nie przyszłaby tu i nie zaczęła mnie całować. - Wzrok Phillipa powędrował w kierunku nagich piersi Sabriny, teraz przyciśniętych do jego klatki piersiowej. - Nie byłaby tu naga, chyba że byłaby tak chora, że nic by jej nie obchodziło, jak to już się zdarzyło. Pamiętam, że starałem się wtedy nie patrzeć na jej piersi, ale były takie jasne i miękkie... Nie było to łatwe, ale raczej na nie nie patrzyłem.

Głos Phillipa był cichy i niewyraźny. Sabrina lekko potrząsnęła go za ramię.

- Proszę, popatrz teraz na mnie. Jestem naga, bo chcę cię uwieść. - Znów go pocałowała.

- Nie, Martine, to ty. Prowadzisz ze mną jakieś gierki. Dobrze, pograjmy w to razem.

Dłonie Phillipa powędrowały wzdłuż nagich pleców Sabriny.

- Trochę schudłaś, Martine, ale Bóg mi świadkiem, masz taką delikatną skórę. Lubię czuć ją pod palcami. Pocałuj mnie jeszcze.

Phillip zorientował się, że to jego żona w chwili, gdy w nią wszedł. Z minuty na minutę stawał się coraz bardziej świadom tego, co się dzieje; brandy całkiem wyparowała mu z głowy. Sabrina była bardzo wąska i musiał mocno nacisnąć, by w nią wejść; naparł na jej dziewiczy wianek. Podniósł głowę i zauważył, że Sabrina leży z lekko przymkniętymi oczami. Próbował z niej wyjść, ale nie mógł, po prostu nie mógł.

- Sabrino? Otworzyła oczy.

- Przepraszam cię, Phillipie, ale to boli, naprawdę bardzo boli.

- Wiem, wiem. Leż spokojnie i się nie ruszaj. Ja też postaram się nie ruszać. Może ból zelżeje, sam nie wiem. Nigdy jeszcze nie miałem dziewicy. Wiesz, jak to jest mieć cię tak blisko? Masz pojęcie, jakie to uczucie być w tobie?

Chciała się roześmiać, ale Phillip znów mocno na nią naciskał i ból wrócił.

- Mogę sobie to tylko wyobrazić.

- A ja chcę to wiedzieć - odparł i pocałował ją mocno, przedarł się przez błonę dziewiczą.

Nie mogła nad tym zapanować, krzyknęła.

Phillip także krzyknął, ale po kilku chwilach, gdy rytmicznie w nią wchodził, odchylił głowę do tyłu i wygiął plecy. Targały nim dzikie żądze, gdy był w niej tak głęboko, że z pewnością musiała czuć to samo, co on.

Sabrina płakała; łzy wypływały spod przymkniętych powiek i toczyły się po policzkach. Gdy tylko znów mógł się poruszyć, zaczął ją całować, choć z trudem odzyskiwał trzeźwość myślenia.

- Nie bałaś się mnie?

- Nie. No dobrze, bałam się, ale tylko trochę i tylko wtedy, gdy na mnie patrzyłeś. A patrzyłeś na mnie inaczej, niż wtedy, gdy byłam chora.

- Mam nadzieję, że patrzyłem inaczej. Jesteś piękna, Sabrino. Przepraszam, że sprawiłem ci ból. Następnym razem nie będzie bolało. Dziękuję, że do mnie przyszłaś.

- Nie ma za co, Phillipie. Zsunął się z Sabriny i przytulił ją do siebie, by policzkiem opierała się

o jego klatkę piersiową. Nie minęły więcej jak trzy minuty, gdy zaczął lekko pochrapywać.

Sabrina leżała obok, z dłonią na piersi Phillipa; słyszała bicie jego serca.

- Kocham cię, Phillipie. Zrozumiałam, że cię kocham, gdy leżałam chora w Moreland, a gdy się zbudziłam, ty byłeś obok; patrzyłeś na mnie w delikatnym świetle świecy. Wtedy cię pokochałam.

- Skoro już wtedy mnie kochałaś, dlaczego nie przyjęłaś moich oświadczeń?

Sabrina zeszywniała. Próbowwała się podnieść, ale Phillip mocno ją trzymał blisko siebie.

- Nie szarp się. Dlaczego nie przyjęłaś wtedy moich oświadczeń? Wszystkiego tego można byłoby uniknąć... Choć nie, prawdopodobnie nie, ale wtedy Teresa Elliott musiałaby zaatakować nas oboje, nie tylko ciebie.

- Myślałam, że śpisz. Słyszałam, jak chrapiasz.

- Mam lekki sen. Chrapanie to sposób na odprężenie.

- Kłamiesz - westchnęła Sabrina. Phillip nic nie odpowiedział, zresztą nie oczekiwała odpowiedzi. Nagle jednak odwrócił się twarzą w jej stronę i zaczął ją całować. Jego dłonie były wszędzie, dotykał jej, pieścił, szeptał sprośne słowa prosto w jej usta, słowa, których do końca nie rozumiała. Potem przyciągnął ją jeszcze bliżej i zaczął całować w usta, ale wtedy Sabrina wsunęła dłoń w jego włosy i odezwała się:

- Phillipie, czy to, co mi robisz, nie jest jakieś dziwne? Krępuje mnie to.

- Cicho bądź, Sabrino, i postaraj się czerpać z tego przyjemność. Chciałbym tym razem i ciebie zadowolić.

Jednak Sabrina była tak zażenowana, że nie potrafiła zrobić niczego więcej, jak tylko zagryźć usta i leżeć cicho z zamkniętymi oczami. Wreszcie usłyszała, że Phillip westchnął. Rozsunął jej nogi i powoli i delikatnie w nią wszedł. Wciąż była trochę obolała, ale nie bolało już tak bardzo jak za pierwszym razem. Phillip poruszał się w niej i Sabrina wiedziała, że to właśnie dlatego spotkał ją towarzyski ostracyzm - wszyscy myśleli, że to właśnie robili w domku myśliwskim Charlesa. Jak to możliwe, by jakakolwiek kobieta w coś takiego uwierzyła? Sabrina leżała spokojnie, czując Phillipa głęboko w sobie. Kocha go, ale to może z nim robić tylko wtedy, jeśli on będzie tego chciał. Westchnęła. Wygląda na to, że to dla Phillipa bardzo ważne.

Czuła ból gdzieś głęboko wewnątrz. Phillip wciąż się w niej poruszał, całując jej usta i piersi, i dotykając każdego skrawka jej ciała. Była zupełnie pozbawiona kobiecych krągłości, dlatego miałby chcieć jej to robić?

Gdy Phillip jęknął z ulgą, Sabrina poczuła, że cały zeszywniał, że napięły się wszystkie jego mięśnie. Poczula też wilgoć w swoim wnętrzu. Wreszcie było po wszystkim.

- Zaraz zasnę, Sabrino. Przykro mi.

- Dlaczego ci przykro? Roześmiał się.

- Obiecuję, że już wkrótce wszystkiego cię nauczę. Nie jesteś jeszcze gotowa, by być kobietą, ale już wkrótce nią będziesz.

Lekkie pochrapywanie tym razem okazało się oznaką prawdziwego snu. Sabrina powoli odsunęła się od Phillipa i wstała. Umyła się w miednicy, która stała na nocnym stoliku. Mimo słabego światła świecy dostrzegła na ręczniku swoją krew i jego nasienie.

A więc wszyscy myśleli, że właśnie to z nim robiła. Doprawdy zaskakujące. Wypłukała ręcznik na tyle, na ile mogła, a potem położyła się z powrotem do łóżka, obok męża, i zdmuchnęła świecę.

Zasypiając, słyszała bicie jego serca i lekkie chrapanie.

Świt rozwiewał mroki nocy, gdy znów poczuła, że Phillip w nią wszedł i porusza się w niej

powoli i głęboko. Bolało, ale przecież to jej mąż. Kochała go i jeśli Phillip będzie chciał to robić tuzin razy dziennie, nie będzie się z nim spierała. Może powie coś przy ósmym razie, ale jeszcze nie teraz, przecież to dopiero trzeci raz. Może to przecież wytrzymać. Oddała mu pocałunek, czuła w ustach jego oddech, wsuwała dłonie we włosy Phillipa. Nie trwało długo, nim poczuła, że Phillip sztywnieje i usłyszała jęk wydobywający się z jego ust.

I tym razem natychmiast zasnął, a Sabrina znów umyła się w miednicy, zastanawiając się, czy jakakolwiek kobieta zgodziłaby się na coś takiego, gdyby nie chodziło o jej męża. Albo o mężczyznę, którego kocha i któremu wręcz desperacko chce sprawić przyjemność.

Sabrina zakładała, że należy do obu tych kategorii.

Teraz przynajmniej Phillip należy do niej. Pozwoli mu to robić, kiedy tylko będzie chciał, wtedy nie będzie miał ani siły, ani ochoty, by wracać do Martine. Zasypiając, zastanawiała się, czy mężczyźni chcą to też robić w ciągu dnia. Jeśli tak, to będzie musiała cały czas być blisko, gdyby chciał ją posiąść. Pomyślała o Phillipie dotykającym i całującym ją tam, na dole. Aż zadrżała z zażenowania. A jeśli zechce robić to za dnia, gdy będzie mógł ją widzieć? Co wtedy?

ROZDZIAŁ 34

Paul Blackador, mój sekretarz, bez przerwy powtarza mi, że diabeł tkwi w szczegółach. Co o tym sądzisz, Sabrino?

- Nie rozumiem, co chce przez to powiedzieć.

Był jasny zimowy poranek, słońce zalewało pokój śniadaniowy. Phillip śmiał się, jadł i mówił o wszystkim i o niczym. Sabrina była zmęczona i obolała. Nadal jednak darzyła męża szczerym uczuciem, choć chętnie odesłałaby go do diabła za to, że nawet nie zapytał, jak się czuje. Zranił ją, a teraz w głowie mu tylko diabeł i jego przekłete szczegóły. Mógł jej chociaż powiedzieć, że mu się podoba.

- Chodzi o to, że jeśli człowiek nie jest cierpliwy, to drobiazgi, szczegóły właśnie, gromadzą się i uprzykrzają mu żywot. Załatwią go.

- Nadal nie rozumiem, dokąd zmierzają twoje myśli.

- To proste. Nie chcę, żebyś mnie kochała, Sabrino. - Mówiąc to, przeżuwał kawałek bekonu. Widocznie nie była dla niego kimś, dla kogo warto byłoby, choć na chwilę, przerwać jedzenie.

- Nie potrafię nic na to poradzić.

- Zeszłej nocy powiedziałaś, że dotarło to do ciebie w Moreland, kiedy się obudziłaś, a ja tam byłem, siedziałem u twego boku i cię obserwowałem. Przepraszam cię za to. Nie zrozum mnie źle. Podobasz mi się, bardzo mi się podobasz, ale sprawy nie ulegną zmianie.

Przypomniawszy sobie, jak dotykał dłońmi jej delikatnego ciała. Czuł coś, czego nie dane mu było poczuć przy żadnej innej kobiecie, nigdy wcześniej. A w środku była taka mała, czuł to, czuł jak kurczyły się jej mięśnie... Nie, nie czas teraz o tym myśleć. To było tylko łóżko. Spojrzał na Sabrinę. Dotarło do niego, że chce jej dotykać, całe, teraz. Na moment przymknął oczy.

- Jakie sprawy? Lekko wzruszył ramionami.

- Było mi dobrze ostatniej nocy. Dziękuję, że do mnie przyszedłaś. Mam nadzieję, że ból ci zbytnio nie doskwiera?

Przypomniawszy sobie, jak trudno było mu w nią wejść. Była taka mała, jej ciało stawiało opór, oczywiście to wszystko z jego winy. Nie powinien był się spieszyć; powinien być cierpliwy. Wszystko z nadmiaru brandy i jego nieposkromionej żądz.

- Szczerze powiedziawszy, doskwiera. Nie wiedziałam, że mężczyźni robią aż takie rzeczy.

Świdrował ją wzrokiem tak uparcie, że prawie dostał zęba. Chciałby zrzucić talerz ze śniadaniem na podłogę, posadzić Sabrinę na stole, potem ją położyć i... Od rana chciał ją wziąć, doprowadzić do rozkoszy, uczyć. Chciał usłyszeć, jak krzyczy, lecz nie z bólu. Nie zamierzał jednak przyjmować propozycji dziewczyny, skoro nie zaakceptował jej miłości.

- Mężczyźni lubią robić różne rzeczy, kobiety zresztą też.

Nic nie odpowiedziała.

- Wkrótce się przekonasz o prawdziwości moich słów. Teraz pozbądź się tego dziewczęcego oczarowania. Tak, to oczarowanie, zauroczenie, nic więcej, zrozum to. Jestem dla ciebie bohaterem i

dlatego masz wrażenie, że musisz mnie kochać. To materiał na powieści, Sabrina, a nie prawdziwe życie.

Rzucił serwetkę i wstał od stołu; zatrzymał się przy krześle, na którym siedziała Sabrina. Pochylił się i delikatnie ucałował jej usta.

- Jesteś cudowna, ostatniej nocy było mi z tobą naprawdę dobrze. Przynajmniej do pewnego stopnia, bo będąc mężczyzną, mogę odczuwać satysfakcję, nawet obcując z kobietą, która jest sztywna jak kłoda. Jednak to się zmieni, obiecuję. Tak, ty i ja świetnie sobie poradzimy, każde oczywiście podążając własną drogą.

Potem wyszedł z pokoju śniadaniowego, pogwizdując. Kiedy drzwi już się za nim zamknęły, rzuciła w nie talerzem. Phillip to usłyszał. Zatrzymał się na chwilę i potrząsnął głową. A co tam, niech sobie ciska talerzami, szczególnie jeśli ma to jej pomóc zorientować się, co w życiu jest prawdziwe, a co nie. Doprowadzi Sabrinę do rozkoszy, a wtedy jej opinia na jego temat się poprawi. Kobieta zawsze lubi, kiedy mężczyzna doprowadza ją na szczyt, wtedy łatwiej przychodzą jej przeprosiny, łatwiej też wybacza. Znów zaczął gwizdać i gwizdał, kiedy wychodził z domu i kiedy dosiadał klacz. Wreszcie pogalopował na błonia Heathrow.

- Czy zastałem hrabinę, Greybar? Było już późne popołudnie i Phillip, po przemiłym dniu, zapragnął nacieszyć wzrok chucherkiem, które było jego żoną, chucherkiem, które jeszcze przed wieczorem on, Phillip Mercerault, nauczył czerpać przyjemność z seksu. Na chwilę zmarszczył brwi. Chociaż może ją to zepsuć. Może powinien opuścić dom również tego wieczora? Nie chciał, żeby sobie pomyślała, że będzie siedział u jej stóp, niczym zdyszany pies.

- O ile się orientuję, hrabina jest z panem Blackadorem. Przygotowują menu na przyjęcie.

- Cholera, zupełnie o tym zapomniałem.

- Rozsądnie byłoby odświeżyć pamięć, to już za trzy dni. Mam nadzieję, wicehrabio, że nie będzie pan miał nic przeciwko, jeśli powiem, że wicehrabina doskonale wie, co i jak należy robić. Pan Blackador już rozesłał zaproszenia. Nie przypomina pan sobie? Sam pan wczoraj sprawdzał listę.

- Tak, rzeczywiście. Przyjęcie to będzie wydarzenie, które sprawi, że wicehrabina rozbłyśnie. - Zatarł ręce. - I jeszcze jedno, Greybar, mogę cię zapewnić, że wicehrabina będzie szeroko uśmiechnięta, przez cały czas.

Greybar zrobił minę, jakby połknął zęby. Wiedział oczywiście, że pani domu nie jest już dziewicą. Pokojówka poinformowała panią Hawley o krwi w misce, a Hawley, jak należy, przy herbacie przekazała informacje Greybarowi. Wicehrabia jest bezmyślny. Nie po raz pierwszy w tym tygodniu Greybar miał ochotę spuścić swojemu panu lanie. Zamiast tego jednak wpatrywał się uparcie w boazerię.

- Chciałbym, by jej sypialnia sąsiadowała z moją. W ten sposób będzie dużo prościej. Przyślij do mnie cieśnię i tych wszystkich fachowców od mebli i tapet, porozmawiam z nimi. A właściwie, może lepiej, żeby od razu spotkali się z wicehrabiną.

Tak. Przecież nie ma powodu, dla którego nie miałyby się tym zająć. Jest młoda, ale nie wydaje mi się, żeby była szczególnie nieporadna.

- Ależ, wicehrabio, to pańska żona.

- Teraz istotnie nią jest - odpowiedział Phillip i wybrał się na poszukiwania swojej połowicy.

Znalazł ją, razem z Paulem Blackadorem, w bibliotece. Paul siedział tuż obok niej, na kolanach miał notatnik, a w dłoni pióro.

- Witaj, Paul. Sabrino - powiedział cicho, wchodząc do pokoju. - Widzę, że wspólnie planujecie naszą kulinarną orgię. Czy wszystko idzie dobrze?

Nawet mówiąc te słowa, widział, w jakim stanie była Sabrina. Jasnożółta suknia, choć w nieziemski sposób podkreślająca jej cudowne rudobrazowe włosy, nie zdołała ukryć bladości i ciemnych smug pod oczami Sabriny. Nie powinien był jej tak głupio zamęczać poprzedniej nocy. Trzy razy to zdecydowanie za dużo, szczególnie dla świeżo upieczonej żony, no i w końcu dziewicy. Ale pragnął jej tak bardzo, a ona mu się oddała. Powiedziała, że go kocha, że pokochała go tamtego odległego wieczora w Moreland.

Bzdura.

W jej głosie było tyle samo gniewu, co goryczy porażki, bez wątplenia dziwna mieszanka.

- Dzień dobry, wicehrabio. Jak miło znów cię widzieć. Ktoś mógłby pomyśleć, że to bynajmniej nie jest twój dom, biorąc pod uwagę liczbę godzin, które tu spędzasz. Ale kogóż to obchodzi?

- Z pewnością nie ciebie, pani - powiedział, po czym szybko zmienił ton, bo zobaczył, że Paul, który cały czas tam był, wygląda na tak zdenerwowanego, że lada chwila mógł zemdleć. - Widzę, że pracujecie nad naszym przyjęciem.

- Tak, szykujemy menu. Paul jest doskonałym doradcą.

Paul Blackador rzadko udzielał Phillipowi jakichkolwiek rad. Zwykle kiwał głową, która przez większość czasu pozostawała spuszczone. A może Sabrina naśmiewała się z jego sekretarza? Spojrzał na Paula, na którego twarzy, przyjaznej i wrażliwej, pojawiała się cała seria grymasów.

- Może porozmawiamy o tym przy herbacie?

- Nie jestem spragniona, wicehrabio. Czeka nas jeszcze dużo pracy. Jesteśmy z Paulem bardzo zajęci, jak pewnie widzisz.

- No to zjesz kilka cytrynowych ciasteczek przygotowanych według specjalnej receptury. Chodź, Sabrino, nie będę cię dwa razy prosił.

Chciała mu powiedzieć, żeby się zabierał do diabła, ale dostrzegła Paula cierpiącego katusze.

- Dobrze więc, chodźmy. Paul, poradzisz sobie beze mnie?

- Oczywiście, wicehrabino, mam jeszcze sporo spraw, którymi trzeba się zająć.

Spojrzał na Phillipa, potem na jego żonę, której wysoko na policzkach malowały się kolory, i ni stąd, ni zowąd upuścił notatnik. Phillip uniósł brew; mógłby przysiąc, że usłyszał, jak jego sekretarz klnie pod nosem w sposób mało wyszukany. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, ale zdołał się opanować.

Kiedy nalewała mu herbatę, czarną, mocną, taką jaką lubił, usłyszała:

- Mam nadzieję, że nie gniewasz się już na mnie za niestosowne zachowanie podczas rozmowy o twoim spadku?

- Nie - odparła, podając mu filiżankę. - Postanowiłam, że chcę odzyskać wszystko. Chcę być finansowo niezależna. Nie chcę być marionetką, wiszącą na sznurkach, którymi ty będziesz pociągał. Jestem ci wdzięczna za tę propozycję i przyjmuję ją. Gdybyś rozważał możliwość zwrotu mojego posagu, cóż, to też z przyjemnością przyjmę.

- Nie, na to nie licz. Możesz mieć resztę, ale nie posag. Posag zatrzymuję, tak jak planowałem.

Spojrzał na nią krzywo. Nie podobało mu się, że zmieniła zdanie. Sposób, w jaki to się stało, nie był dokładnym odzwierciedleniem wersji wydarzeń, jakiej się spodziewał. Nie tak miało być i nie tak być powinno. Nawet dureń by się zorientował, że Sabrina go prowokuje, jej sarkazm trafiał go prosto między oczy. Finansowa niezależność nie była jej potrzebna do szczęścia. To wielki gest,

jedynie potwierdzający jego wspaniałomyślność. Była jego żoną. Czy rzeczywiście sądziła, że wyrzuciłby ją za drzwi i pozwolił umrzeć z głodu?

- Czy jest coś jeszcze, czym cię uraziłem? W końcu w krótkim czasie naszej znajomości, wymieniałaś całkiem sporą liczbę wad mojego charakteru. Czy masz coś jeszcze do dodania?

- Nie, w tej chwili nie mam nic do dodania. Mam nadzieję, że miło spędziłeś dzisiejszy dzień, cokolwiek robiłeś, gdziekolwiek się podziwiałeś i z kimkolwiek.

- Dobrze więc, dziękuję. - Upił łyk herbaty, czarnej, chińskiej, jego ulubionej. - Opowiedz mi teraz o przygotowaniach do twojego pierwszego przyjęcia.

- „Mojego” przyjęcia? A ty nie zamierzasz się na nim pojawić? Ach, rozumiem, ty masz ważniejsze rzeczy zaplanowane na ten wieczór. Pewnie odprowadzasz Martine do Vauxhall?

- Zjedz ciastko cytrynowe.

- Nie jestem głodna.

- Teraz, skoro mieszkasz ze mną, masz wyglądać kwitnąco.

- Kwitnąco?

- Tak, podobnie jak nierozwinięty pęk pięknego kwiatu, który stopniowo się otwiera w stronę wspaniałego słońca.

- To śmieszne. Jesteś śmieszny.

- Cóż, najwidoczniej tak, ale przynajmniej ty powoli zaczynasz się uśmiechać. Teraz powiedz mi, proszę, co takiego zaplanowałaś, bym mógł ustosunkować się do twoich pomysłów. Tylko nie rzucaj we mnie niczym. Usiądź sobie i zjedz coś. Jeśli będziesz musiała, to rzuć we mnie filiżanką, ta przynajmniej jest już prawie pusta.

Postawiła filiżankę na spodku. Założyła ręce na kolano i przyglądała się czubkom żółtych pantofli.

- Zanim cię poznałam, niczym nie rzucałam.

- Być może po prostu nigdy wcześniej nie doskwierał ci nadmiar złości.

- Postaram się kontrolować moją złość.

- Dobrze. Czyli teraz dowiem się, co przygotowałaś? - Phillip podał jej ciastko, sam też się poczęstował. Ku jego uciesze Sabrina zaczęła skubać ciastko. Zawsze to jakiś początek. - Jakie to rozrywki dla mnie przygotowałaś?

Pomyślała o rozrywkach, które niewątpliwie były w jego guście, i tak się rozzłościła, że przygryzła sobie policzek. Całkiem nagle przypomniała sobie, jak Phillip pochylał się nad nią, a na jego twarzy gościł spokój, gdy dotykał dłonią jej czoła.

- Dziękuję za uratowanie mi życia.

- A co to ma znaczyć, u licha? - Nie spodobało mu się to. Wolałby raczej dostać talerzem w głowę.

No, może nie do końca, ale nie miał zamiaru pozwalać jej wciąż wierzyć, że go kocha. Z przyjemnością zgodziłby się na jakąś relację pośrednią.

- Sama nie wiem. Po prostu przebłysk pamięci. Byłeś często w moich myślach, prawdopodobnie również wtedy, gdy nie byłam w pełni przytomna.

- Nigdy wcześniej nie kapałem kobiety ani nie myłem jej włosów. Chciałbym zrobić to raz jeszcze.

- Mnie czy swojej kochance? - W chwili, kiedy usłyszała swoje słowa, ogarnęło ją przerażenie. Miała zachować to dla siebie, przynajmniej większość z tego... Słowa zawisły między nimi.

Phillip jednak nie odezwał się słowem. Wypił kolejny łyk herbaty i wpatrywał się w dywan. W końcu powiedział spokojnie:

- Plany, Sabrino, przedstaw mi plany na przyjęcie.

Przedstawiła mu swoje zamiary. Kiedy skończyła, Phillip stwierdził:

- Robi wrażenie, Sabrino. Okazuje się, że wziąć za żonę kobietę wychowaną w dziczy Yorkshire to wcale nie taki głupi pomysł. Pozwól mi tylko wybrać wina i przysięgam, że będziemy musieli siłą odciągać gości od stołu.

Sabrina przyjęła jego pochwałę z różowymi wypiekami na twarzy. Reakcja była irytująca, ale nie potrafiła jej zapobiec. Zbyt łatwo dałam się kupić, pomyślała, ale było już za późno. Zupełnie nie przeszkadzało jej, że postanowił zmodyfikować wybór win, którego dokonała. Z lekkim uśmiechem zaczęła:

- Na moją prośbę Paul zamówił do tańca grupę Huxley. Tak lubię tańczyć walca, a Greybar wspominał mi, że oni świetnie sobie radzą z muzyką. Dużo w niej entuzjazmu i energii. Greybar twierdził, że grają jeszcze bardziej żywiołowo, niż zespół, który przygrywał na naszym weselu. Phillip uniósł brew.

- Tańce? Myślałem, że to będzie przyjęcie z kolacją.

- Wiem, że to będzie kosztowało więcej, ale skoro jestem finansowo niezależna, to zapłacę za orkiestrę ze swoich środków.

Cały czas się przed nim bronila. Już nie unosił brwi w zdumieniu, tylko rzekł spokojnie:

- W porządku. Proszę bardzo, działaj. Podziwiam ten pokaz niezależności. Płacisz za rozrywkę, a ja tylko na tym korzystam. Lubię tańczyć z tobą walca.

- Ja z tobą również - powiedziała, choć nie chciała tego zrobić. Ale kiedy przestawał ją złościć, wracała do niej świadomość, że przecież go kocha, choć według niego Sabrina była małą dziewczynką i wyłącznie uległa zauroczeniu. Głupiec.

- Gdybyś kiedykolwiek miała jakieś kłopoty finansowe i potrzebowała pożyczki, nie wahaj się zgłosić do mnie. Jestem szczodrym człowiekiem. Właściwie byłbym jeszcze bardziej szczodry, gdyby nie wrażenie, że tak bardzo ci się to nie podoba.

- Porozmawiajmy o czymś innym niż pieniądze, Phillipie.

- Tak, to istotnie dobry pomysł, rozmowy o pieniądzach są w rzeczy samej przygnębiające.

Sabrina wstała.

- Czy zjesz dzisiaj kolację w domu?

Była jednocześnie piękna, przerażona i wycofana. Wstał powoli i ich spojrzenia się spotkały. Delikatnie, opuszkami palców dotknął jej policzka. Wolność, pomyślał. Nie mógł o tym zapomnieć. Nie stać go było również na to, by kiedykolwiek pozwolić Sabrinie o tym zapomnieć. Poczul, że chce ją mieć właśnie w tej chwili, na tym pięknym dywanie, który leży pod ich stopami.

Nie, nigdy nie pozwoli sobie na to, by być pieskiem u jej stóp.

- Tak, na pewno zjem w domu, ale potem wychodzę. Jestem dziś umówiony i wrócę późną nocą. A wtedy przyjdę do ciebie, Sabrino, albo, jeśli tylko będziesz miała na to ochotę, możesz równie dobrze przyjść do mnie. Spróbujemy raz jeszcze sprawić, żebyś krzyczała z rozkoszy.

Wzięła zamach, ale złapał jej pięść dobre piętnaście centymetrów od swojej szczęki.

- Myślałem, że mnie kochasz. Spojrzała w jego orzechowe oczy.

- Tak, ale to nie znaczy, że nie mam ochoty cię zabić.

Wybuchnął śmiechem, puścił ją i cofnął się. Przynajmniej jego żona nie jest już dziewicą. Wciąż

nie była zaspokojona, ale na to ma czas. Mają na to całe życie. I to mu się nie podobało, z tą myślą nie potrafił sobie do końca poradzić.

Wolność, wszystko było kwestią wolności. Cofnął się jeszcze krok i powiedział:

- Co zamierzasz na siebie włożyć? O co mu chodzi?

- Suknię z różowej satyny. Nie dotarła jednak jeszcze od krawca.

- Będzie pasować do twoich włosów.

- Mam nadzieję, Charlie był tego samego zdania.

- Nie dbam o jego cholerne opinie na temat czegokolwiek, co dotyczy mojej żony.

Rozbawiło ją to i Phillip to widział.

- Nie jestem zazdrosny o tego durnia, Sabrino.

- Ależ skąd, absolutnie. To byłoby niezwykle małostkowe, a jeśli czegokolwiek mogę być pewna, to tego, że ty nigdy nie jesteś małostkowy.

Ledwie go znała, ale zostawszy żoną na resztę życia, miała świadomość, że dowie się wszystkiego w nadchodzących latach. On nadal będzie miał kochanki, którym będzie poświęcał czas. Dotarło do niej, jak naiwne było oczekiwanie, że po ostatniej nocy zostanie z nią. Oddała mu wszystko, co miała.

Trzeba było załatwić jeszcze kilka spraw. Spotkała się z panią Hawley, by porozmawiać o nowych prześcieradłach.

Nazajutrz dostarczono jej suknię z różowej satyny. Nie sprawiło jej to radości.

ROZDZIAŁ 35

Sabrina przyglądała się sobie w lustrze. W różowej satynowej sukni z gorsetem i rękawami z koronki wyglądała jak matrona z dawnych czasów, a nie nowoczesna dama. Choć suknia sama w sobie była oryginalna, naprawdę piękna, i Sabrina uznała, że prezentuje się w niej nie najgorzej.

Phillip do niej nie przyszedł. Sama chciała do niego pójść, ale nie zrobiła tego; bała się, że poczuje od niego zapach perfum kochanki.

Mógł do niej przyjść przynajmniej raz, ale nie przyszedł.

Sięgała właśnie po pojedynczy sznur pereł, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Znajdowała się w jednej z mniejszych sypialni; założyła, że Phillip jest u siebie.

- Proszę! - zawołała. Z roztargnieniem skinęła na Doris i zaczęła obracać w palcach zapięcie naszyjnika.

- Och, to jego lordowska mość. Proszę wejść. Jej lordowska mość wygląda prześlicznie, prawda? Bałam się, że ten odcień różu może nie pasować, wie pan, jak to nieraz jest, ale suknia jest bardzo elegancka.

Sabrina uśmiechała się, widząc entuzjazm pokojówki, ale niemal zapomniała języka w gębie, gdy się odwróciła i zobaczyła Phillipa. Stał w progu, ubrany w czarny jak skrzydło kruka wieczorowy strój i śnieżnobiałą koszulę, i fular. Ta biel nawet w dotyku musi być lodowata. Nigdy w życiu nie widziała przystojniejszego mężczyzny, choć oczywiście nie żyła jeszcze na tym świecie zbyt długo. Mimo wszystko na pewno nie ma mężczyzny, który mógłby równać się z Phillipem. Przynajmniej tu, w Londynie. W tej chwili chciała rzucić się na niego, zderzyć z niego ubranie, całować go i dotykać, stała jednak, ani drgnąwszy, czekając na jego reakcję.

Phillip odprawił Doris i nadal stał w drzwiach, przyglądając się Sabrinie, a wyglądał przy tym jak myśliwy, który zastanawia się, czy rzucić się na zwierzynę. Po chwili uśmiechnął się i podszedł.

- Jeszcze tylko jeden drobiazg, Sabrino, i mężczyźni będą padać ci do stóp, nieprzytomni i oszołomieni twoją urodą.

Phillip był jedynym mężczyzną, którego Sabrina chciałaby mieć u stóp, i zdecydowanie wolałaby, żeby był przytomny.

- Dobry wieczór, Phillipie. O czym mówisz? Cóż to za drobiazg?

Phillip otworzył wąskie puzderko; na czarnym aksamicie leżał delikatny brylantowy naszyjnik. Była to najpiękniejsza rzecz, jaką Sabrina w życiu widziała. Wpatrywała się w niego, nie odzywając się ani słowem.

- Już wcześniej widziałem twoją suknię. Myślę, że brylanty lepiej do niej pasują niż perły. Co o tym sądzisz?

Sabrina wzięła do rąk naszyjnik i patrzyła na brylanty błyszczące jej na dłoni.

- Jest przepiękny. Och, Phillipie, dziękuję. - Objęła go za szyję.

Nie poruszył się; ręce miał opuszczone wzdłuż ciała i nie objął Sabriny, ale pocałował ją w skroń.

- Daj, zapnę ci go. Poczwała na szyi chłód szlachetnych kamieni, a potem ciepły dotyk palców Phillipa.

- Chciałem dać ci coś nowego. Biżuteria należąca do rodziny Mercerault jest zdecydowanie za ciężka i stara, zbyt duża dla ciebie. Już, gotowe. Jak ci się podoba? - zapytał, ale Sabrina nie od razu spojrzała na naszyjnik; najpierw spojrzała w lustro, nie na siebie, lecz na stojącego za nią Phillipa.

- Piękny - powiedziała. - Po prostu piękny. Phillip wyglądał na zażenowanego.

- Chodziło mi o naszyjnik, Sabrino.

- Zupełnie jestem do siebie niepodobna. Błyszczą tak, że oślepi goście.

- I dobrze, bo to znaczy, że mężczyźni nie będą się na ciebie gapić.

Gapić na mnie? To dopiero dowcip, i to taki, którego nie powinno się powtarzać.

Phillip rozejrzał się po sypialni Sabriny.

- Pani Hawley powiedziała mi, że wczoraj przeniosłaś się do tego pokoju. Będzie ci tu dobrze, nim skończy się remont sypialni wicehrabiny?

- Tak, wygodnie mi tutaj. Phillip przesunął dłoń po oparciu wysokiego krzesła, obitego jasnoniebieskim aksamitem, które Sabrina znalazła w innym pokoju i przeniosła do swojej sypialni. To piękny mebel, ale z pewnością zbyt delikatny, by mógł na nim usiąść tak postawny mężczyzna jak Phillip.

- Nie kupowałem tego krzesła.

- Owszem, wiem, że go nie kupowałeś.

- Ale gdybym je kupował, zapłaciłbym za nie.

- To miłe z twojej strony. Idziemy na dół?

Gdy szli na dół przestronną klatką schodową, Sabrina przypomniała sobie o sukni i głośno przełknęła ślinę.

- Phillipie, muszę ci powiedzieć prawdę. Suknia była bardzo droga. Naprawdę zupełnie o tym zapomniałam. Chcesz, żebym sama za nią zapłaciła?

- Nie. Potraktuj suknię i naszyjnik jako prezent ślubny od twego czułego i kochającego małżonka.

- Phillip przez chwilę przyglądał się żonie, jakby nad czymś się zastanawiał, a potem dodał: - Zjawi się tu gość, którego się nie spodziewasz, ale mam nadzieję, że się ucieszysz, widząc go.

Sabrina nie miała pojęcia, kogo mógł dla niej zaprosić, a Phillip nie dał jej najmniejszej wskazówki, o kogo może chodzić.

W jadalni słychać było śmiech, rozmowy i szelest sukien, jednak wśród dwudziestu gości zgromadzonych wokół długiego stołu Sabrina nie dostrzegła ani jednej nieznanym twarzy. Spojrzała na szczyt stołu, skąd padła salwa śmiechu. Wszyscy siedzący wokół Phillipa śmiali się z czegoś, co powiedział. Sabrina zwróciła się w stronę hrabiny March, młodej damy o niezwykłej urodzie, która chciała się i bawić, i być zabawianą.

Kolacja mijiała bez większych niespodzianek. Gdy na stole pojawił się pieczony bażant, Sabrina zerknęła w stronę ciotki Barresford; ulżyło jej, gdy zobaczyła uśmiech na jej twarzy. Nikt nie odrzucił jej zaproszenia i Sabrinie przyszła do głowy nieco cyniczna myśl, że goście zjawili się w jej domu tylko po to, by się przekonać, czy będzie zawstydzona.

Zachwyciła się tym, w jaki sposób jej mąż zajmował się gośćmi. Zarówno damy, jak i dżentelmeni zdawali się grać się w promieniach uwagi, jaką im poświęcał, i czaru, jakim obdarzał

każdego. Stronnicze oko Sabriny wyłowiło tylko jednego dżentelmena, który mógłby stanowić konkurencję dla Phillipa: hrabia March, który siedział mniej więcej w połowie długiego stołu, obok ciotki Barresford, wydawał się w swoim żywiole, tak samo jak Phillip. Jeśli zaś chodzi o hrabinę March, ta młoda dama była dla niej bardzo miła.

- Moja droga - powiedziała cicho, gdy wychodziły z jadalni - musimy porozmawiać, jak najlepiej pozbawić ten bastion męskości jego starokawalerskich nawyków. Przynajmniej Phillip przejrzał na oczy, to dobry znak. Zawsze go lubiłam, ale teraz, gdy ma ciebie, jestem pewna, że się poprawi i będzie niemal tak święty jak mój mąż. O tak, koniecznie musisz mnie odwiedzić w naszym domu przy Grosvenor Square i razem opracujemy jakąś strategię.

Nim zegar wybił dziesiątą, Sabrina pomyślała, że salę balową wypełnia więcej gości, niż zjawilo się na przyjęciu weselnym nie dalej jak tydzień temu. Minał dopiero tydzień.

- Widzę, że ty i twój mąż doskonale sobie radzicie, Sabrino - zauważyła ciotka Barresford, rozglądając się po sali i przyglądając elegancko ubranym gościom. - Domyślam się, że Teresa Elliott dostała szału, gdy nie została zaproszona. Choć oczywiście, zważywszy, co ci zrobiła, nikt się nie spodziewał, że moglibyście ją zaprosić.

Ciotka Barresford najwyraźniej zmieniła punkt widzenia. Sabrinie nie pozostało nic innego, jak tylko uśmiechać się uprzejmie.

- Phillip powiedział, że jeśli jeszcze kiedyś ją zobaczy, skręci jej kark. A ja stwierdziłam, że jeśli jej nie zaprosimy, zyskamy jedynie jeszcze jednego wroga. Chcąc nie chcąc, musiał się ze mną zgodzić. Przykro mi, że Teresa najwyraźniej postanowiła odrzucić zaproszenie.

Pół godziny później zjawila się Teresa Elliott pod rękę z bratem Wilfredem, który nie wyglądał na uszczęśliwionego. Raczej na zrezygnowanego; o tak, właśnie tak wyglądał biedny Wilfred. Teresa zaś wyglądała prześlicznie, ale w jej oczach błyszczało coś niebezpiecznego. Sabrina modliła się, by udało się jej nad sobą zapanować.

Wilfred nachylił się w stronę siostry i odezwał cichym, opanowanym głosem:

- Cały poprzedni tydzień awanturowałaś się i zachowywałaś jak zwykła handlarka na targu. Jeśli masz choćby odrobinę oleju w głowie, tym razem postarasz się być miła.

- Tylko na nią spójrz, Wilfredzie, jak wszystkich traktuje z góry, jakby należała do towarzystwa.

- Bo należy do towarzystwa. A ty, jeśli cenisz sobie swoją towarzyską pozycję, lepiej pozbądź się tego wrednego wyrazu twarzy. Nie chcesz chyba, żeby wszyscy wiedzieli, że masz asa w rękawie, prawda?

Teresa zmuszona była się opanować. Razem z Wilfredem podeszła do wicehrabiego i wicehrabiny, żeby się przywitać.

- Cudownie, że przyszliście. - Sabrina ukloniła się uprzejmie zarówno pannie Elliott, jak i jej bratu. Teresa pochylała jedynie głowę, ani na chwilę jednak nie spuszczając wzroku z Phillipa, który stał odwrócony bokiem.

- Phillipie - Sabrina lekko pociągnęła go za rękaw - przyszła panna Elliott i jej brat, Wilfred.

Phillip oderwał się od rozmowy, którą prowadził z lordem Williamem Ramseyem. Orzechowe oczy natychmiast straciły ciepły blask, gdy tylko jego spojrzenie spoczęło na Teresie Elliott.

- Mówiłam właśnie Wilfredowi, że to nieładnie z twojej strony, iż tak szybko ożeniłeś się z panną Eversleigh. To naprawdę nie przystoi. Większość z nas nie miała okazji jej poznać.

Phillip uśmiechnął się do Sabriny i odparł:

- Powiedziałbym inaczej, Tereso. Gdyby nie udało mi się przekonać jej, by tak szybko za mnie

wyszła, mógłbym stracić szansę na poślubienie najpiękniejszej kobiety w Londynie, gdyż z pewnością wielu dżentelmenów zechciałoby sprzątnąć mi ją sprzed nosa. Wiesz, mężczyźni z mojej rodziny zawsze znani byli z rozsądku. Wilfredzie, a jak tam twoje badania? Domyślam się, że je kontynuujesz?

- Ależ oczywiście. Phillip patrzył na rodzeństwo wchodzące razem do sali balowej.

- Pojawienie się Teresy Elliott może dostarczyć mi sporej rozrywki. Jeśli tylko będzie wobec ciebie niemiła, Sabrino, pozwalam ci rzucić w nią talerzem lub kieliszkiem. A jeśli i wtedy się nie uspokoi, możesz ją kopnąć.

- Dziękuję za pozwolenie. Może nawet będę trzymała się blisko Teresy w nadziei, że mnie obrazi. Naprawdę mogę ją kopnąć?

- Tak, ale staraj się to zrobić tak, by nasi goście niczego nie zauważyli.

Podeszła do nich kolejna para, by chwilę porozmawiać, upłynęło więc dobre dziesięć minut, nim Phillip zwrócił się do Sabriny:

- Zatańcz ze mną walca, Sabrino. Chyba już wreszcie przywitaliśmy się ze wszystkimi.

- Ale nie przywitaliśmy się jeszcze z twoją „niespodzianką”, Phillipie.

- Cóż, wygląda na to, że zdecydował się nie przyjść - odparł Phillip i wziął Sabrinę pod rękę.

Kilka minut później Sabrina śmiała się w głos, a jej oczy błyszczały.

- Widzisz, Phillipie, nie wszyscy w Londynie są niemili.

- Żartujesz sobie ze mnie. Nawet ty nie możesz być taka głupiutka.

- Może i tak, ale gdy tańczymy walca, zapominam o bożym świecie. Och, tak bardzo lubię hrabiego i hrabinę March. Są czarujący.

Phillip przypomniał sobie, co powiedział mu hrabia March kilka dni wcześniej w klubie dla dżentelmenów.

- Julien robi tylko to, co sam uważa za stosowne. Nigdy jeszcze nie widziałem młodej damy, która tak dałaby się prowadzić na postronku jak hrabina March - powiedział bardziej do siebie niż do Sabriny.

- Prowadzić na postronku? A co to znaczy? Na parkiecie nagle zrobiło się więcej miejsca i Phillip poprowadził Sabrinę w tańcu w szerokich, płynnych obrotach. Gdy potem przyciągnął ją do siebie i zwolnili nieco tempo, Sabrina oddychała ciężko, wciąż jednak się śmiejąc.

- Och, to było cudowne. Phillip w przelocie pocałował jej włosy splecione na czubku głowy w gruby warkocz, którego pasma poprzetykane były różową wstążką. Bardzo jej było do twarzy w tej fryzurze, wyglądała naprawdę stylowo. Przynęła się bliżej Phillipa, a on zmarszczył czoło, choć wcale nie chciał tego robić, naprawdę nie chciał.

- Wydaje mi się - odezwał się, gdy umilkła muzyka - że pojawił się nasz gość - niespodzianka. Jeśli się nie mylę, to chyba chce z tobą zatańczyć.

Sabrina odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z Richardem Clarendonem. Przechyliła głowę na bok. W głosie Phillipa pojawiła się tylko odrobina chłodu. Jakież to dziwne...

- Richardzie... - Sabrina dygnęła uprzejmie. Richard patrzył na tę szczupłą, pełną życia dziewczynę, którą miał przed sobą, i na moment zapomniał o szarmanckich żarcikach i komplementach, którymi zwykle mógł rzucać na prawo i lewo, jednocześnie myśląc zupełnie o czymś innym.

- Dobrze się miewasz, Sabrino?

- Tak, doskonale.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś, Richardzie - wtrącił się Phillip. - Moja żona wprost ubóstwia tańczyć walca. Może zechcesz jej towarzyszyć?

Sabrina zapomniała o ich ostatnim spotkaniu w Moreland, gdy leżała w łóżku, w gorszej formie, niż chciałyby się do tego przyznać, a Richard starał się przekonać ją do swojego pomysłu. Spojrzała na niego i ujrzała niezwykle przystojnego mężczyznę, który jednocześnie wyglądał na niebezpiecznego.

- Ależ, Phillipie... Może Richard wcale nie ma ochoty tańczyć.

Richard Clarendon niemal niezauważalnie uklonił się Phillipowi i wziął Sabrinę pod rękę. Uśmiechnęła się do niego, wyciągając w górę szyję, gdyż Richard był jeszcze wyższy niż Phillip. Wmieszali się w tłum wirujący na parkiecie.

- Dobry Boże, Phillipie, co ty najlepszego wyczyniasz? Zupełnie postradałeś zmysły?

Phillip odwrócił się do Charlesa Askbridge'a, który stanął tuż za nim. Przez chwilę przyglądał się swoim wypielęgnowanym dłoniom, a potem odezwał się uprzejmie:

- Clarendon dopiero przyjechał do miasta. Charlesie, to przecież przyjaciel. Uważasz, że nie powinienem wpuszczać go za próg?

- On wciąż jej pragnie. Spójrz tylko, jak na nią patrzy. Stawiasz Sabrinę w bardzo trudnej sytuacji. Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Phillip wzruszył ramionami.

- Przepraszam cię, Charlesie. Zatańczę chyba z Teresą. Nie mogę się doczekać, co ma do powiedzenia. I albo zacznę się śmiać z tych absurdów, które zapewne usłyszę, albo uduszę ją gołymi rękoma na środku parkietu. Jak myślisz, które wyjście jest lepsze?

ROZDZIAŁ 36

Sabrina z uśmiechem odwróciła się w stronę Richarda Clarendona.

- Jak się miewa twój syn i matka?

- Dobrze. - Richard wyglądał na wściekłego.

- Richardzie, czy uraziłam cię w jakikolwiek sposób?

- Oczywiście, że nie. - Jego ciemne oczy błyszczały. - Uraziłem sam siebie.

- Nie rozumiem.

- Ja też często sam siebie nie rozumiem. - Dziewczyna w jego ramionach to teraz wicehrabina Derencourt i nic już tego nie zmieni. - Czytałem o waszym ślubie.

- To już prawie tydzień, choć prawdę powiedziawszy, mam wrażenie, że minęło dużo więcej czasu.

Patrząc na nią, zastanawiał się, co by się stało, gdyby nie pojechał do swoich włości w północnej Anglii, gdy odrzuciła jego oświadczenia. Gdyby był w Londynie w chwili, gdy niszczo jej reputację, czy tak jak Phillip próbowałby ponownie przekonać ją do ślubu? Nie winił Phillipa za to, co zrobił i jak postępował; żałował jedynie, że sam nie był wybawcą Sabriny.

Zauważył, że Sabrina patrzy na niego, a w jej niesamowitych oczach maluje się pytanie, które chciałyby mu zadać, szybko więc zmienił temat.

- Nim wróciłem do Londynu, raz jeszcze odwiedziłem Monmouth Abbey. Twój dziadek ma się coraz lepiej. A ten wasz cwaniaczkowy kuzynek kilkanaście razy mnie zapewniał, że hrabia ma doskonałą opiekę i z pewnością wyzdrowieje. Trevor to nędzny słabeusz, ale przysięgam, że nie pozbawiłem go użębień, choć z pewnością na to zasłużył. Przyznaję, że chwyciłem łajdaka za fraki i trochę nim potrząsnąłem, ale nic więcej.

Sabrina uśmiechnęła się do Richarda.

- Miło z twojej strony. Przyznaję, że sama miałabym na to ochotę. Wczoraj dostałam kolejny list od dziadka; wygląda na to, że czuje się już lepiej. Dziękuję, że tam pojechałeś, Richardzie. To naprawdę miło z twojej strony. Widziałeś się z dziadkiem?

- Tak, ale tylko chwilę. Hrabia lepiej już wygląda i bardzo się cieszy, że jesteś bezpieczna. - Zauważył, że Sabrina z jakiegoś powodu nie chce pytać, więc dodał: - Tak, widziałem się również z Elizabeth. Wygląda na to, że rola pani domu bardzo jej się podoba, ale wiesz równie dobrze jak ja, że to jedna z bardzo niewielu przyjemności, którymi może cieszyć się Elizabeth. Wszyscy w okolicy już wiedzą, że Trevor pozwala sobie na schadzki i romanse ze służącymi z Monmouth Abbey, i Elizabeth także to wie. Z dnia na dzień Trevor robi się coraz mniej dyskretny. Słyszałem, że zaciągnął do łóżka nawet pokojówkę Elizabeth.

- Ale przynajmniej przy ludziach dobrze traktuje Elizabeth?

- Tak, nie jest aż taki głupi. Cieszę się, że już tam nie mieszkasz.

- Biedna Elizabeth. Nie zasłużyła na karę, jaką jest związek z mężczyzną takim jak Trevor, żadna kobieta na coś takiego nie zasługuje. Powiedziałam jej całą prawdę, ale nie chciała mnie słuchać.

- Nie przypominam sobie, by Elizabeth w ogóle kiedykolwiek kogoś słuchała. Wciąż jesteś zbyt szczupła, Sabrino - zmienił temat.

- Richardzie, daj mi trochę czasu - roześmiała się. - Phillip mówi, że jeśli pojedziemy do Dinwitty Manor, tamtejszy kucharz w ciągu tygodnia utuczy mnie jak gęś.

- Phillip ma rację. Dinwitty to niebezpieczne miejsce.

Sabrina poczuła, że Richard mocniej obejmuje ją w talii i podniosła wzrok; oczy Richarda błyszcząły. W tej samej chwili pożałował, że w ogóle tu przyszedł. Sabrina wciąż była atrakcyjna, nadal go pociągała i było to uczucie zbyt silne, by mógł zachować spokój umysłu. Mimo że nigdy dotąd nie miał nic przeciwko zamężnym damom, sama myśl o flirtowaniu z Sabriną i próbie jej uwiedzenia wydała mu się wstrętą; gdyby to zrobił, już nigdy nie mógłby spojrzeć w lustro.

- Wspaniały bal.

- Dziękuję. Phillip doskonale sobie beze mnie radzi, nie sądzisz?

- Nie wyglądasz na zadowoloną. Coś się stało? Nie jesteś szczęśliwa? - Richard mocniej ścisnął jej dłoń.

- Oczywiście, że jestem szczęśliwa. I dobrze, że nie jestem już tą głupiutką dziewczyną z Yorkshire.

Walc dobiegł końca. Richard wziął Sabrinę pod rękę; przykrył jej dłoń swoją.

- Chodź, Sabrino, skosztujemy nieco ponczu. Słyszałem od pewnej wesolutkiej damy, że jest wyborny i doprawiony najlepszym szampanem. Piwniczki Phillipa cieszą się doskonałą opinią.

Sabrina skinęła głową, wzrokiem szukając męża. Wreszcie zauważyła go kątem oka. Doskonale się bawił, wesoło konwersując z uderzająco piękną młodą damą, której imienia Sabrina nie mogła sobie przypomnieć.

Nagle usłyszała trzask i gwałtownie się zatrzymała.

- A niech to! Zobacz, co zrobiłam! Moja suknia... Nadepnęłam na rąbek halki i ją rozerwałam. Richardzie, wybacz, muszę ją natychmiast zszyć.

- Pozwól, że ja to zrobię, Sabrino. Uwierz mi, znam się na takich rzeczach, sama dobrze wiesz.

Nie potrafiła nawet sobie wyobrazić, jakim sposobem Richard miałby się znać na szyciu.

- Zaufaj mi i chodź ze mną. Sabrina potrząsnęła głową i roześmiała się.

- Ty i Phillip jesteście do siebie podobni jak dwie krople wody. Zawsze musicie mieć ostatnie słowo. Dobrze więc, chodźmy. Na końcu korytarza jest mały pokój, który powinien zapewnić mnie i mojej garderobie wystarczająco prywatności.

Phillip zauważył, że Sabrina i Richard Clarendon razem wychodzą z sali balowej. O co tu chodzi? Przeprosił pannę Patterson, z którą właśnie rozmawiał, i także wymknął się na korytarz. Zauważył, że Sabrina, śmiejąc się, wraz z Richardem zmierza ku tylnej części domu. Nienawidził samego siebie za to, co właśnie zamierzał zrobić, ale podążył za nimi. Zobaczył, że Sabrina otwiera drzwi do jednego z niewielkich pokoi, którego ostatnio zaczęła używać jako prywatnego saloniku, wchodzi do środka wraz z Richardem i zamyka za nimi drzwi.

Zacisnął pięści i poczuł, że ogarnia go wściekłość. Musiał przyznać sam przed sobą, że zaproszenie tu tego mężczyzny, z którym od wielu lat się przyjaźnił, miało być rodzajem testu - po prostu musiał wiedzieć, czy Sabrinie choć trochę zależy na markizie. Phillip nie był dumny ze swojego postępowania, ale czuł, że musi to sprawdzić. I sprawdził. Gdy zobaczył ich znikających za drzwiami prywatnego saloniku, nic nie powiedział, nic nie zrobił. Tak po prostu pozwolił im tam wejść; tak po prostu pozwolił im robić, co zechcą; tak po prostu patrzył, jak zamykają się za nimi

drzwi.

Zachowanie Sabriny było niewybaczalne. Phillip jeszcze nigdy w życiu nie był tak wściekły. Odwrócił się na pięcie i wrócił do sali balowej.

W małym pokoiku Sabrina ze śmiechem odezwała się do Richarda:

- Zachowujesz się jak prawdziwa garderobiana. Sam zobacz, co robisz!

Richard klęczał przed Sabriną, która siedziała w fotelu i w najważniejszych miejscach szpilkami przymocowywał naddartą falbanę.

Ich głowy niemal się stykały. Richard podniósł wzrok. Wydawało się, że nie może przestać patrzeć na usta Sabriny.

- Możesz więc uznać mnie i za źródło natchnienia, i za twego wiernego sługę.

- Nie, ta szpilka jest wygięta. O tutaj, zobacz.

- Śmiała się, wyjmując mu z rąk szpilkę, i ukłuła się w palec. - O Boże, popatrz tylko, co zrobiłam.

- Sabrina zaczęła ssać krwawiący palec.

- Teraz wreszcie naprawdę będę mógł ci pomóc, Sabrino. - Richard nie podniósł się z klęczek, lecz wyjąwszy jej palec z ust, uważnie go obejrzał. Na opuszku pojawiła się kropla krwi. Nie myśląc ani chwili, Richard ją zlizął, a potem pocałował palec Sabriny.

Sabrina siedziała w milczeniu, patrząc na głowę Richarda pochylającego się przed nią.

- Richardzie...

Urwała, nie wiedząc, co powiedzieć. Patrzyła na tego klęczącego przed nią, przystojnego mężczyznę. Była zażenowana i jakoś dziwnie zawstydzona. Richard jęknął i gwałtownie puścił dłoń Sabriny, jakby nagle zaczęła go parzyć. Wstał szybko i nerwowo przeczesywał włosy.

- Przepraszam, Sabrino, nie chciałem tego zrobić. Sabrina również wstała i wzięła go pod rękę.

- Richardzie, nic się nie stało, zapomnijmy o tym. Jesteś wspaniałym przyjacielem i...

- A niech to szlag! Nigdy nie chciałem być twoim cholernym przyjacielem! Wiesz dobrze, że ożeniłbym się z tobą, niezależnie od tego, co zaszło między tobą a Phillipem wtedy, w domku myśliwskim.

Sabrina podniosła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie jestem już dziewicą od czterech dni, a właściwie nocy. Teraz wiem, co mężczyźni robią z kobietami. Phillip robił to ze mną trzy razy. Tym bardziej mnie teraz zdumiewa, że ktokolwiek, kto w ogóle myśli, może choć przez chwilę sądzić, że jakakolwiek kobieta może mieć na coś takiego ochotę. To zupełnie niedorzeczne. Jeśli naprawdę uwierzyłeś, że pozwoliłam Phillipowi się uwieść, gdy byłam tak bardzo chora, to jesteś idiotą, Richardzie. Skończonym idiotą.

Wiedział, że wkracza na grząski grunt, ale był przyzwyczajony do mówienia tego, co myśli. A słowa Sabriny nie miały sensu.

- Chcesz mi powiedzieć, że Phillip cię nie zadowolił? Sabrino, Phillip to doświadczony mężczyzna, a nie jakiś bęcwał. To niemożliwe. Kochałaś się z nim trzy razy i ani razu nie miałaś z tego przyjemności? - Richard zdał sobie sprawę, co właśnie powiedział, gdy twarz Sabriny zrobiła się biała jak pergamin. Wyglądała jednocześnie i na osobę ciężko chorą, i na taką, która gotowa jest za chwilę dokonać mordu. - Przepraszam, wybac mi. Nie powinienem był tego mówić. Mogłem tak pomyśleć, ale nie mówić. - Richard znów nerwowo przecesał włosy. - Kochasz go, a mimo wszystko Phillip cię nie zadowolił. To naprawdę zaskakujące, bardzo zaskakujące.

Nagle do Richarda dotarła niestosowność całej tej sytuacji. W całej swej niewinności Sabrina

nie pomyślała, że wyjście z nim z sali balowej i przebywanie sam na sam może być czymś niewłaściwym. Więcej złośliwych plotek na swój temat to nie było to, czego akurat w tej chwili potrzebowała. Wystarczy popatrzeć, co się dotąd stało; nie było w tym zupełnie jej winy. Wszystko to jego wina. Richard uśmiechnął się do niej, a potem uniósł jej dłoń do ust i delikatnie pocałował.

- Jestem głupkiem, Sabrino. Wszystko samo się wyjaśni i naprawi, zobaczysz. Teraz muszę już wracać do domu, a ty do sali balowej i gości, nim ktokolwiek zauważy twoją nieobecność. Do widzenia.

Richard odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju, zostawiając zaskoczoną Sabrinę samą.

O drugiej nad ranem Sabrina była już tak zmęczona, że z trudem powstrzymywała się przed ziewaniem, gdy Doris rozczesywała jej włosy. Nagle drzwi do jej sypialni otworzyły się gwałtownie i siedząc tyłem do drzwi, w lustrze zobaczyła Phillipa. Odesłał pokojówkę i nie odezwał się ani słowem, dopóki za Doris nie zamknęły się drzwi. Zatrzasnął je kopniakiem. Sabrina uśmiechnęła się do jego odbicia w lustrze.

- Pożegnałeś już ostatnich gości? - Odwróciła się na krześle i z pewnym zaskoczeniem popatrzyła na męża. Na twarzy Phillipa nie było uśmiechu. Nie wyglądał na zmęczonego, raczej na wściekłego.

- Tak, wszyscy już wyszli. Ponczu też już nie ma. - Phillip usiadł w fotelu naprzeciw Sabrinie i bawił się palcami.

- Phillipie, tylko dwa razy zatańczyliśmy walca. Miałam nadzieję na więcej; sześć razy pewnie by mi wystarczyło. Roztaczałeś wokół siebie taki czar, że przez chwilę myślałam, iż panie obecne na balu nigdy nie dadzą ci spokoju.

Phillip zignorował słowa Sabrinie; zaczął mówić powoli, uważnie dobierając słowa:

- Dobrze, że chociaż ty miałaś na tyle zdrowego rozsądku, by wrócić do sali balowej, nim plotkary zauważyły twoje zniknięcie.

Sabrina potrzebowała dłuższej chwili, by zrozumieć, o czym mówi Phillip. Kręciła głową, patrząc na niego z niedowierzaniem.

- Rozerwałam falbanę sukni i musiałam ją przypiąć. Powiedziałabym ci o tym, gdybyś tylko poprosił mnie do tańca, gdy wróciłam.

- Sama na to wpadłaś, czy to pomysł Richarda? Sabrina nie odezwała się ani słowem.

- Nie winię cię za milczenie. Na twoim miejscu też bym się nie odzywał. Masz jednak pecha, Sabrino. Widziałem cię, gdy razem z Richardem wchodziliście do tego niewielkiego saloniku na końcu korytarza.

- Nie bardzo rozumiem, mężu, co próbujesz mi powiedzieć?

- Stałaś się nagle bardzo uprzejma, ale zdaje się, że to sytuacja tego od ciebie wymaga. Próbuję ci powiedzieć, Sabrino, że dałem ci szansę, byś udowodniła, że Richard Clarendon jest ci obojętny, ale okazało się, że jest inaczej. Najpierw tańczyłaś z nim walca, a potem razem wyszliście.

Sabrina wolno podniosła się ze stołka przy toalecie. W jej głosie coraz wyraźniej brzmiał gniew:

- Chcesz mi powiedzieć, że Richard zjawiał się tutaj, byś ty mógł przeprowadzić jakiś test?

- Owszem. Nie zdałaś.

- Nie mogę w to uwierzyć, Phillipie, naprawdę nie mogę. Masz czelność mówić, że mi nie wierzysz, gdy cię zapewniam, że Richard w najmniejszym stopniu mnie nie interesuje? Masz czelność mówić mi, że tylko dlatego go zaprosiłeś? By kusił twoją żonę?

- Nie, oczywiście, że nie. - Phillip wstał. - Sam potrafię upilnować żonę, nie muszę się uciekać do tego typu wybiegów.

- Jeśli więc nie był to wybieg, to co?

- Nic więcej jak tylko możliwość, którą ci dałem, byś udowodniła, jak jesteś do mnie przywiązana. Jak już powiedziałem, nie udało ci się to. Teraz więc nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zapytać o uczucia, jakie żywisz do Richarda Clarendona.

- Gdybym miała nóż, wbiłabym go prosto w to twoje wiarołomne, zakłamanie serce prawdziwego hipokryty! Ty łajdaku! To nie ja zdradzam ciebie, ale ty mnie! Zarzucasz mi romansowanie z Richardem, choć nie masz na to żadnych dowodów, gdy tymczasem ty sam zwróciłeś się do mnie imieniem swojej kochanki! Ma na imię Martine! Niech cię szlag!

Sabrina chwyciła buteleczkę perfum i z całych sił cisnęła w Phillipa. Miała ochotę go zamordować, gdy zaczął się śmiać i uchylił się, śmiejąc się coraz głośniej.

- Jestem mężczyzną, Sabrino, a ty jesteś moją żoną. Będziesz mi posłuszna i nigdy nawet nie pomyślisz, by mnie zdradzić.

Sabrina aż trzęsa się ze złości. Nie, nie chciała już niczym w niego rzucać, to takie dziecinne. Musi się skupić i wykorzystać swój intelekt, ale Phillip tak ją rozwścieczył, że nie było to łatwe. Musiała kilka razy głęboko zaczerpnąć tchu.

- Chcę wyjść, Phillipie. Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

Podszedł do Sabriny i chwycił ją za ramiona; potrząsnął nią lekko, aż podniosła na niego wzrok.

- Będiesz ze mną rozmawiała wtedy, kiedy ci powiem. Jesteś moją żoną, to jest mój dom.

- A ty jesteś moim mężem.

- Oczywiście, że tak. I moje nazwisko zawsze będzie cię chroniło, a ja po prostu nie zamierzam pozwolić ci go szargać. Posłuchaj mnie uważnie, Sabrino. Nie zamierzam tolerować Richarda Clarendona jako twojego kochanka, jak i zresztą żadnego innego mężczyzny.

- Powiedziałam Richardowi, że nie jestem już dziewczicą. Oczywiście Richard myślał, że pozbawiłeś mnie dziewictwa, gdy w domku myśliwskim Charlesa leżałam złożona chorobą. Wszystko mu wyjaśniłam. Powiedziałam mu, że zrobiłeś mi to trzy razy i że uważam to za całkowicie niedorzeczne, by ktokolwiek mógł sądzić, że kobieta chętnie zgadza się, by mężczyzna ją uwiódł. To, co mężczyźni robią kobietom, jest upokarzające i okropne, i to właśnie ty mi to zrobiłeś, Phillipie. Nie chcę mieć kochanka. To śmieszne, że w ogóle mogłeś tak pomyśleć. Phillip wyglądał na zbulwersowanego.

- Powiedziałeś Richardowi, że nie dałem ci rozkoszy?

Patrzyła tępo na Phillipa. Nigdy nie zrozumie mężczyzn. Zadarła głowę tak wysoko, jak tylko potrafiła.

- Powiedziałam mu, że jesteś bęcwałem.

- Nie - powiedział Phillip bardzo powoli, uważnie przyglądając się bladej twarzy Sabriny. - Nie. Ty przecież mnie kochasz. Nie powiedziałaś nic, co w jakikolwiek sposób umniejszałoby moją wartość.

- To wszystko nie ma sensu. Skoro cię kocham, to po co miałabym szukać sobie kochanka?

- Nie wiem, czy naprawdę mnie kochasz. Myślę, że to tylko zauroczenie, które może sprowadzić cię na manowce, czyli na przykład wprost w ramiona Richarda. Potrafi obchodzić się z kobietami, doskonale to wiem; tylko jak mogłaś mu powiedzieć, że jestem bęcwałem i cię nie zadowolilem? Chodziło tylko o to, co zrobił ci Trevor. Wciąż jeszcze nie jesteś gotowa na rozkosz i... - Phillip patrzył Sabrinie w oczy. Nie powiedział już nic więcej, po prostu na nią patrzył, a potem delikatnie opuszkami palców dotknął jej policzka.

- Jesteś taka delikatna - wyszeptał i pochylił się, by ją pocałować. Sabrina odskoczyła w tył.

- Jak możesz w ogóle o tym myśleć, skoro uważasz mnie za tak wstrętną kobietę?

- Chodzi mi tylko o to, żeby cię to nie zaprowadziło do miejsca, które wcale nie będzie dla ciebie dobre, miejsca, w którym nie chciałbym, byś się znalazła.

- Mówisz jak zazdrosny mąż, Phillipie - odparła beznamyślnie. - Tam, gdzie nie ma miłości, a ty z pewnością mnie nie kochasz, tam gleba jest zbyt sucha i wyjałowiona, by mogło na niej wyrosnąć uczucie zazdrości.

- Nigdy nie będę zazdrosny o żadną kobietę, szczególnie jeśli ta kobieta to moja żona. Poflirtowałaś sobie dziś z Richardem Clarendonem i na tym koniec. Teraz będziesz mi okazywała wdzięczność za wszystko, co dla ciebie zrobiłem.

Sabrina obiecała sobie, że nie będzie już niczym rzucać, ale zupełnie bezwiednie jej ręka sięgnęła po szczotkę do włosów leżącą na toalecie. Patrzyła na unoszącą się rękę, jakby należała do kogoś innego, a potem cisnęła szczotką. Trafiła Phillipa w szczękę. Celny rzut, na pewno musiało go zaboлеć. Szczotka spadła na dywan, tuż pod nogi Phillipa. Nic nie powiedział, masował sobie tylko twarz.

- Jesteś skończonym głupkiem, Phillipie. Wyjdź z mojego pokoju.

- Jeszcze nie teraz, *madame*. W ułamku sekundy znalazł się przy Sabrinie, przerzucił ją sobie przez ramię i zaniósł do łóżka, a potem przełożył przez kolano i wymierzył klapsa. Szarpała się, ale nic to nie dało. Przeklinała go, ale Phillip tylko się śmiał. Uderzył ją raz jeszcze, a potem postawił obok łóżka.

- Jeśli jeszcze raz czymś we mnie rzucisz, taką właśnie dostaniesz karę. Następnym razem podwinę tę twoją śliczną koszulę i szlafroczek, i zleję cię na goły tyłek. To, co zrobiłem teraz, to jeszcze nic, pamiętaj więc, że już nigdy nie wolno ci niczym we mnie rzucać. Dobranoc, Sabrino.

Wyszedł z pokoju, nie oglądając się za siebie.

- Myślałam, że mieszkanie z tobą będzie lepsze niż ten ohydny hotel - wrzasnęła za nim. - Jakże się myliłam!

Drzwi otworzyły się z hukiem i Phillip wsadził głowę do pokoju.

- Sabrino, nie prowokuj mnie.

- Prowokować cię? Nic złego nie zrobiłam, ale ty jesteś zbyt głupi, by to zauważyć.

Sabrina stała pośrodku sypialni, dysząc z wściekłości, ale Phillip usłyszał w jej głosie ból; nie mógł tego znieść. Wszedł do pokoju.

- Sabrino... - zaczął miękko, wyciągając ręce w jej stronę.

Sabrina krzyknęła i pobiegła, by znaleźć się po drugiej stronie łóżka, a Phillip nie mógł jej dosięgnąć. Dodało jej to odwagi i oboje doskonale o tym wiedzieli.

- Powiedziałeś, że to twój dom. Powiedz mi więc, na ile wyceniasz ten pokój? Z chęcią ci za niego zapłacę. Może wtedy wreszcie przestaniesz mi przypominać o wdzięczności, którą jestem ci winna.

- To jest twój pokój, Sabrino. Po raz kolejny życzę ci dobrej nocy.

- Nie chcesz więc wysłuchać opowieści, jak to wywabiłam Richarda z sali balowej, sprowadziłam do ustronnego saloniku, zamknęłam drzwi na klucz, by ustrzec nas przed wścibskimi spojrzzeniami, a potem, mimo jego protestów, uwiodłam? Mam to we krwi, nie sądzisz? W końcu spędziłam przecież z tobą pięć dni i pięć nocy. Tak, jestem rozwiązłą flądram, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Po tym, jaką rozkoszą ty mnie obdarzyłeś, mam ochotę pójść do łóżka z

każdym mężczyzną, który się napatoczy, a moja natura dziwki domaga się coraz więcej. A Richard jest taki groźny i tajemniczy. Założę się, że kręci się wokół niego mnóstwo kobiet. Już na samą myśl aż mnie ręce świerzbią, by go dotknąć.

Phillip nie odezwał się ani słowem. Słyszał histerię w jej głosie. Wyszedł z sypialni, głośno zatraskując za sobą drzwi. Sabrina stała jak skamieniała, patrząc na drzwi i zagryzając usta. Jej oczy wypełniały się łzami. Modliła się, by nie potoczyły się po policzkach. Nie będzie przez niego płakać.

Nie, już nigdy nie będzie płakać.

ROZDZIAŁ 37

Trzy dni później przy obiedzie, Phillip odezwał się do Sabriny:

- Posłuchaj mnie, Sabrino. Mieszkamy w jednym domu, ale gdy na ciebie patrzę, ty traktujesz mnie, jakbym był powietrzem. Jesteś mi posłuszna, temu nie przeczę, ale cały czas jesteś jakby nieobecna. Unikasz mnie. Ale teraz dosyć już tego. Nie ma powodu, byś tę uległość udawała, bo naprawdę doprowadza mnie do szału. Chcę, żebyś się zmieniła.

Sabrina odłożyła widelec i cały czas z powagą obserwowała, gdy do niej mówił, zdając się całą uwagę skupiać na jego słowach. Phillip jednak wiedział, że wcale tak nie jest. W tej właśnie chwili zdecydował, że zabierze ją do Dinwitty Manor, z dala od Londynu i wszystkich tych przeklętych wspomnień. W Dinwitty wszystko się zmieni. Kucharz wyborym jedzeniem tchnie w nią życie. Sabrina pomoże mu zaprojektować wieżę. Od ubiegłego lata nie zaglądał do rysunków i planów, ale teraz aż palce go świerbiły, by znów się tym zająć; był gotów ponownie się do tego zabrać. Uwielbiał budować. Zastanawiał się, czy Sabrinie spodoba się całe to planowanie, doglądanie robotników, słuchanie, jak klną, i patrzenie, jak się mozolą. Napisze do Rohana i Susanny i zaprosi ich do Dinwitty. Tak, to właśnie trzeba zrobić.

- Jak byś chciał, żebym się zmieniła, Phillipie? Cokolwiek sobie zażyczysz, z pewnością zrobię wszystko, żeby sprostać twoim oczekiwaniom.

Pomyślał, że w tej chwili oddałby wszystko, cały swój majątek, byleby tylko rzuciła w niego talerzem. Ale nie zrobiła tego. Siedziała cicho, dłonie trzymała skrzyżowane na udach. Zniknęły z niej cała energia i witalność. Bardzo mu się to nie podobało. Cholera, zamknie ją w wieży, gdy ta już będzie wybudowana, jeśli Sabrina znów tak się będzie zachowywała.

- Chcę, żebyś wstała. Chcę, żebyś do mnie podeszła. Chcę, żebyś mnie pocałowała.

Sabrina wstała bez chwili wahania. Podeszła do niego i stanęła obok krzesła, a potem pochyliła się i dotknęła wargami ust Phillipa. Przelotny dotyk, nic poza tym, żadnych uczuć, żadnego gniewu, po prostu nic.

A potem tak po prostu odeszła w stronę okna. Odsunęła zasłony i patrzyła na szary zachmurzony zimowy dzień.

- Miałabyś ochotę dziś wieczorem pójść do Almack's? Uwielbiasz przecież tańczyć walca. Czy to sprawiłoby ci przyjemność?

- Jeśli sprawiłoby to przyjemność tobie, to oczywiście również dla mnie byłaby to przyjemność.

Nawet się nie odwróciła w jego stronę, gdy do niej mówił. Naprawdę go to rozwścieczyło.

- Sabrino, pytam, co byś wolała.

Odwróciła się i pochyliła głowę. Palce u stóp były dla niej ważniejsze i bardziej interesujące niż on.

- Myślałam, że Almack's cię nudzi. Poza tym wygląda na to, że będzie dziś padał śnieg. Chmury wiszą nisko i są bardzo ciemne.

- Kogo to, do licha, obchodzi, czy będzie padał śnieg, czy nie? Chcę z tobą zatańczyć walca.

- Rozumiem - odparła. Szczelniej owinęła ramiona szalem, a potem, skinąwszy głową, odparła: - Oczywiście zrobię wszystko tak, jak sobie życzysz.

- Nie wychodź. Zostań tu, Sabrino, i usiądź. Usiadła bez słowa.

- Zapytałem cię, na co ty masz ochotę. Nie chodzi o to, żebyś spełniała moje życzenia.

- Ale siłą rzeczy moim największym pragnieniem musi być takie postępowanie, jakiego sobie życzysz.

- Dobrze. Życzę więc sobie, żebyś przestała zachowywać się jak stara apatyczna kłępa.

Przez chwilę wydawało mu się, że w oczach Sabriny dostrzegł iskierkę gniewu i zrozumiał, że nie pragnie niczego więcej, jak tylko tego, by z tej iskiereki powstał płomień, który go spali. Chciał widzieć w jej oczach żądzę krwi, chciał widzieć, jak zaciska pięści, ale Sabrina nadal irytująco milczała, więc Phillip uparcie ciągnął:

- Może zjawi się tam Richard Clarendon. Rozumiem, że to tylko przyjaciel nas obojga, ale może chciałabyś się z nim zobaczyć. - Nigdy wcześniej aż tak bardzo nie zbliżył się do przeprosin, uważał bowiem, że mężczyźni nie nadają się do pokornego przeproszania. I nieważne, jak bardzo by się mylili. Tym razem jednak zrobił wyjątek i był pewien, że Sabrina go dostrzegła.

- W tej sytuacji tak, bardzo chciałabym tam pójść - odparła, podnosząc głowę.

- Coś ty, u licha, powiedziała?

- Powiedziałam, że bardzo chciałabym tam pójść. Jak sam raczyłeś zauważyć, nieważne, czy będzie padało, czy nie.

Nie był przekonany, czy do Sabriny dotarły jego przeprosiny. Chce iść tylko dlatego, że będzie tam Clarendon? Tego nie wiedział. Patrzył na Sabrinę z narastającą frustracją.

- Nie podoba mi się to małżeństwo - powiedział wreszcie i wstał. Rzucił serwetkę na stół i wyszedł z jadalni.

- Wiem, że ci się nie podoba! - zawołała w jego stronę. - Szczerze powiedziawszy, mnie też nie.

Tak, pomyślała, patrząc w okno, całe to małżeństwo to jakaś diabelska sprawka. Podeszła do okna i przycisnęła policzek do zimnego szkła. Wydawało się jej, że swoim zachowaniem go sprowokuje, i udało się jej to, jednak i tak niczego nie osiągnęła.

Wolnym krokiem przeszła do biblioteki. Z braku lepszych rzeczy do zrobienia z jednej z niższych półek wyjęła jakąś powieść i usiadła przy oknie. Otworzyła niewielki welinowy tomik Woltera i zmusiła się, by skupić uwagę na francuskim tekście, z pewnością pełnym dowcipu, ale jej myśli szybko powędrowały ku lekkim płatkom śniegu, które uderzały w okienne szyby, tam zamieniały się w kropelki wody i wąskimi strużkami spływały po szkło. Opuszką palca śledziła żywot każdego płatka śniegu, który stawał się kropelką i przemieszczał w dół okna.

Musiała się zdrzemnąć, bo gwałtownie się poderwała, usłyszawszy głosy w bibliotece.

- Chciałem tylko omówić z panem jedną sprawę. - Usłyszała, jak Paul Blackador zwraca się do Phillipa. - Pojawił się doprawdy dziwny rachunek do zapłacenia, od jakiegoś robotnika.

Sabrina wyteńczyła słuch, ale usłyszawszy słowa Phillipa, postanowiła się nie ruszać.

- Ach, tak... rachunek od stolarza. Martine wspominała, że to jakiś okropny człowiek. Dla twojej informacji, Paul, pomyślałem, że pewnego dnia zginę w łóżku przygnieciony tynkiem spadającym z sufitu. Zapłać temu człowiekowi.

Sabrina zacisnęła palce na książce; jeszcze nigdy w życiu nie była taka wściekła. Cóż, może i była, ale wściekłość nigdy jej nie ogarniała, nim poznała Phillipa.

- Jest jeszcze jeden rachunek, proszę pana, za suknię, od madame Giselle. Myślę, że suma jest

nieco wygórowana.

Sabrina usłyszała szelest papieru, gdy - jak przypuszczała - Paul podał Philipowi rachunki.

- Jest o wiele za wysoki - odparł Phillip, ale w jego głosie nie było większego zainteresowania. - Idę zobaczyć się z wicehrabiną, więc zapytam ją o ten rachunek. Coś jeszcze, Paul?

Nie było już więcej kwestii do przedyskutowania poza przemówieniem dotyczącym nowej ustawy rolnej, które Phillip miał wygłosić w Izbie Lordów. Po chwili rozmowy Phillip wyszedł, Paul zaraz za nim.

Drzwi biblioteki zamknęły się, nim do końca przebrzmiały ostatnie słowa Paula; Sabrina zerwała się z fotela przy oknie i wygrażała pięścią w stronę zamkniętych drzwi. Wyszła za męża za największego hipokrytę, jakiego można sobie wyobrazić. Żona ma pozostać cnotliwa - Phillip był nawet zazdrosny o Richarda Clarendona - gdy tymczasem on robił to samo, co zawsze.

Powiedział jej, żeby przestała zachowywać się jak stara apatyczna kłępa. Dobrze więc, to życzenie z pewnością może spełnić. Poczula, że wraca w nią życie i ogarnia ją nieopisany gniew.

Na rachunku od stolarza znalazła adres Martine Nicholsby; zapamiętała jej adres - dom przy Fitton Place - i odłożyła rachunek na stosik innych, starannie posegregowanych dokumentów.

Dziesięć minut później miała już na sobie ciepłą pelerynę i rękawiczki i czekała na Greybara w głównym holu. Patrzył na nią zaskoczony, jakby nagle stała się kimś zupełnie innym. Cóż, prawdę mówiąc, tak właśnie było.

- Greybar, czy jego lordowska mość wyszedł?

- Kamerdyner odpowiedział skinieniem głowy.

- Zawołaj dla mnie dorożkę - poleciła. - Chcę wyjechać natychmiast, masz nie więcej niż minutę.

Przez chwilę wyglądało to tak, jakby Greybar zamierzał zakwestionować polecenie Sabriny. Rzuciła mu najbardziej aroganckie spojrzenie, jakie kiedyś podpatrzyła u dziadka. Podziałało.

Pół godziny później dorożka zatrzymała się przed piętrowym domem z cegły, wciśniętym pomiędzy dwa podobne budynki, stojące przy spokojnej, niczym się niewyróżniającej ulicy, nie dalej niż półtora kilometra od domu Phillipa. Szczelniej owinęła się peleryną, wykończoną gronostajowym futrem, i cicho wysiadła. Kątem oka zauważyła Lanscombe'a, chłopaka, który opiekował się końmi Phillipa, jak wskoczył do powozu, gotów natychmiast odprowadzić konie za róg ulicy. Jakież to podobne do Phillipa, pomyślała, by zapewnić koniom dobrą opiekę, gdy on sam zabawia się w ramionach kochanki. Zastanawiała się, jak długo biedny Lanscombe musi jeździć w kółko bez celu, nim jego pan zdecyduje się wrócić do domu. Lanscombe był tak zaskoczony, gdy ją zobaczył, że aż buzię otworzył ze zdziwienia. Patrzył na nią w niemym osłupieniu, kręcąc głową.

Sabrina odwróciła się do niego tyłem i weszła po schodach, a potem zapukała do drzwi. Po dłuższej chwili drzwi ostrożnie otwarto i w wąskiej szczelinie pojawiła się skrzywiona twarz służącej.

- Czego chcesz?

- Mojego męża - odparła Sabrina zimno i pchnęła drzwi, by otworzyły się na całą szerokość; służąca odskoczyła na bok. Sabrina weszła do kwadratowego holu; po jednej stronie widać było niewielki salon, a na wprost drzwi lekko kręte schody, prowadzące na piętro. Usłyszała dobiegający z góry cichy, ale dźwięczny śmiech i nie zastanawiając się ani chwili, ujęła fałdy sukni i ruszyła w kierunku schodów.

- Och, Boże! Proszę zaczekać, panienko, proszę zaczekać! Nie może pani tam pójść!

- Założysz się? - rzuciła Sabrina przez ramię i niemal biegła po schodach, podążając za kobiecym

śmiechem, lekko chrapliwym, ale cudownie brzmiącym. Drzwi były lekko uchylone; przez chwilę stała przed nimi niezdecydowana, co dalej robić. Ale w tym samym momencie usłyszała niski głos Phillipa i jego śmiech. Pchnęła drzwi i weszła do pokoju. Serce jej waliło.

Znalazła się pośrodku dużej sypialni, w której dominowało ogromne łóże. Leżała w nim kobieta, zupełnie naga, o alabastrowej cerze. W ułamku sekundy Sabrina dostrzegła wszystkie zakamarki jej przepięknego ciała. Wyglądała jak bogini z obrazu, niech ją szlag.

Jednak już po chwili uwaga Sabriny skupiła się nie na nagiej piękności, lecz na Phillipie. Stał przy łóżku; fular miał rozwiązany, marynarka wisiała na krześle. Przynajmniej nie był nagi, choć w tej chwili nie miało to większego znaczenia; gdyby Sabrina zjawiała się pięć minut później, byłby tak samo nagi, jak i jego kochanka.

Obraz, który przez chwilę przypominał martwą naturę, nagle stał się obrazem pełnym szaleństwa i życia.

Phillip śmiał się z Martine, która go kusiła słowami, i nagle odwrócił się, i zobaczył własną żonę z impetem wpadającą do sypialni jego kochanki. Patrzył na nią z otwartymi ustami, sam nie wierząc w to, co widzi. A potem wrzasnął:

- Co ty tu, u diabła, robisz?

ROZDZIAŁ 38

Mój Boże... - Martine uniosła się na łokciu, jednocześnie powolnym ruchem osłaniając peniuarem swe boskie ciało. - Czegoś takiego się nie spodziewałam.

Sabrina znów spojrzała na niemal nagą kochankę swojego męża i zaczęła na niego wrzeszczeć:

- Szkoda, że sufit nie spadł ci na głowę, gdy się z nią kochałeś, ty łajdaku! Jak w ogóle śmiesz tu przychodzić? Niedobrze mi się robi, gdy na to patrzę! Phillipie, niech cię szlag, jesteś przecież moim mężem!

- Co ty bredzisz o jakimś suficie? Och! Więc to tak!? Podśluchiwałaś, prawda? To zachowanie niezbyt godne damy, Sabrino. - Phillip urwał. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak idiotycznie. Cholera, to nie powinno się zdarzyć, w każdym razie na pewno nie jemu. Cała ta sytuacja przypominała jakąś farsę z taniego teatryku z Drury Lane. Kipiąc wściekłością, zrobił kilka kroków w stronę Sabriny.

- Niegodne damy! Dobrze sobie! Ty kanalio, jesteś moim mężem, ale nie dałeś mi najmniejszej szansy, by być żoną.

- To prawda, jesteś moją żoną! Dlaczego więc, u diabła, nie jesteś w domu? Tam, gdzie twoje miejsce.

- To twój dom, ty wiarołomny łajdaku, nie mój. To nie jest moje miejsce, ja tam jedynie zamieszkuję. Ona również mogłaby tam zamieszkać - wskazała na Martine - i nie zrobiłoby ci to większej różnicy.

- Cholera jasna, Sabrino, przecież to zupełnie nie ma sensu. Nie mam zamiaru dłużej tego znosić. Idź do domu. Natychmiast. Później porozmawiamy.

- Później? Czyli po tym, jak już pójdziesz z nią do łóżka? Może wtedy znajdziesz chwilkę i dla mnie, co? Drogi mężu, jakież to uprzejme z twojej strony. Serce aż skacze mi z radości na samą myśl o tym!

- Co robię z nią, to nie twoja sprawa. Sama dałaś mi wolność, którą zresztą i tak miałem, i którą zawsze będę miał.

- Jak śmiesz oskarżać mnie, że flirtuję z Richardem Clarendonem, gdy tymczasem sam masz kochankę! Kochankę! - Sabrina wskazała na Martine siedzącą z boku łóżka. - Jak możesz mi to robić? Czy naprawdę tak mało dla ciebie znaczą, że nie zawahasz się mnie upokorzyć? Naprawdę nasze małżeństwo tak mało dla ciebie znaczy?

- Dość już tych idiotyzmów. Posłuchaj. Nasze małżeństwo, *madame*, miało na celu dać ci dom i moje nazwisko, które cię ochroni. Sama tego chciałaś, nie pamiętasz już? Zaproponowałaś mi małżeństwo, oświadczyłaś mi się; tego też nie pamiętasz? I oddałaś mi wolność.

Sabrina zaczęła wymachiwać pięścią tuż pod nosem Phillipa i wciąż wrzeszczała:

- To było wtedy, a teraz jest teraz. Kocham cię. Jesteś moim mężem. I nie dam ci więcej wolności, chyba że ze mną! - Sabrina zerknęła na Martine, która uśmiechała się i kiwała głową. To wszystko nie ma sensu, ale nie powstrzyma jej to. - Wiem, że jest piękna i dużo lepiej zbudowana niż

ja, ale to nie ona została skompromitowana, tylko ja. Musiałeś ożenić się ze mną, nie z nią. I tak się stało. Cholera, przyjmij to wreszcie do wiadomości.

- Mam to przyjąć do wiadomości, tak samo jak mam przyjąć do wiadomości, że znikasz w prywatnym saloniku razem z Richardem Clarendonem?

- Będziesz tak bez końca się powtarzał? To niedorzeczne oskarżenia i doskonale o tym wiesz. - Sabrina zmrużyła oczy i oparła dłonie na biodrach. - Cóż, może i się nie myliłeś. Richard jest dla mnie tak miły, że może pójdę go teraz odwiedzić, gdy ty będziesz się zabawiał ze swoją kochanką.

- Richard Clarendon nie będzie twoim kochankiem. W ogóle nie będziesz miała kochanka.

Patrzyła na Phillipa, nie mogąc uwierzyć w jego przewrotność. Przetarł dłonią czoło.

- Och, doprowadzasz mnie na skraj szaleństwa. Idź do domu, Sabrino, już dłużej tego nie zniosę. Wyjdź stąd. Bóg mi świadkiem, że zachowujesz się jak najgorsza flądra z Soho.

- Ty łajdaku! - wrzasnęła na niego. - Przyłapuję cię z kochanką, a ty masz czelność nazywać mnie flądra? - Potem Sabrina podbiegła do Phillipa i zaczęła z całych sił okładać go pięściami po klatce piersiowej. Martine zerwała się na równe nogi, ale zaraz usiadła z powrotem. Tymczasem Phillip chwycił żonę za ręce i zaciągnął ją do niewielkiej garderoby sąsiadującej z sypialnią. Kopniakiem zamknął drzwi.

- Przestań, Sabrino. Przestań! - Potrząsnął nią.

Wreszcie przestała się szarpać i dopiero wtedy ją puścił, a Sabrina gwałtownie odskoczyła w tył. Już otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale jej nie pozwolił.

- Twoje zachowanie jest niewybaczalne. Nigdy więcej nie będziesz kwestionowała tego, co robię. A teraz zabierzesz się stąd, i to bez szemrania, w przeciwnym razie poważnie zastanowię się, czy od razu odesłać cię do Dinwitty Manor, żebyś się nauczyła, gdzie twoje miejsce.

- Moje miejsce? Ja nie mam swojego miejsca, Phillipie. A teraz, gdy na własne oczy przekonałam się, jak mnie upokorzyłeś, jak mnie pozbawiłeś nawet pozorów wartości... - Sabrina przerwała. - Nic z tego nie rozumiesz, prawda?

- Rozumiem wystarczająco, by chcieć cię uderzyć - powiedział cicho i chwycił ją za ramiona. A wtedy Sabrina z całej siły kopnęła go kolanem w krocze. Phillip natychmiast ją puścił i patrzył na nią z niedowierzaniem. - Jestem wysokim mężczyzną, mogłaś kopnąć mnie tylko tam - jęknął i zginął się wpół z bólu.

Sabrina wybiegła z garderoby; nie myślała o Phillipie klęczącym na ziemi i zwijającym się z bólu. Gwałtownym ruchem otworzyła drzwi i nie zaszczycając Martine ani jednym spojrzeniem, niemal wyfrunęła z sypialni.

Przez kilka minut Phillip myślał, że wolałby śmierć od tego nieopisanego bólu, który go powalił na ziemię. Gdy - dzięki Bogu! - opuściły go wreszcie fale nudności spowodowane bólem, zaczął myśleć o śmierci Sabriny. Nadal trzęsły mu się nogi, ale udało mu się wstać i powoli wrócił do sypialni. Bez słowa zaczął nakładać marynarkę.

- Jesteś blady jak ściana. Co się stało?

- Kopnęła mnie w krocze - odparł i sięgnął po płaszcz.

- To naprawdę najstraszniejsza rzecz, jaką można zrobić mężczyźnie, ale ta mała była naprawdę wściekła.

- Już wkrótce tego pożałuje - odparł, gwałtownymi ruchami naciągając rękawiczki.

- Uderzysz ją? Nie, Phillipie, na pewno tego nie zrobisz. Jest o połowę od ciebie mniejsza; to byłaby nierówna walka. A poza tym jesteś dżentelmenem. Dżentelmeni nie biją swoich żon.

Phillip był już niemal w drzwiach.

- A ona cię kocha! - krzyknęła za nim Martine. - Powiedziała ci to!

- Ha! To tylko dziewczynskie zadurzenie, nic więcej. I na pewno już jej minęło, gdy wzięłem ją trzy razy jednej nocy i ani razu nie dałem jej rozkoszy. Tak, na pewno jeszcze do siebie dochodzi po tym przeżyciu, a to, co mówi, to tylko powtarzanie w kółko tego samego, jakby nauczyła się wierszyka na pamięć. To nic nie znaczy, zupełnie nic. A teraz idę do domu i tam ją zamorduję. - Odwrócił się jeszcze na chwilę, gdy już wychodził. - Zawsze będę wolnym człowiekiem i będę robił to, na co będę miał ochotę. Przyjdę później, Martine.

Martine oparła się o poduszki leżące na łóżku i wsłuchiwała się w odgłos kroków Phillipa szybko zbiegającego po schodach.

Lanscombe nie odezwał się ani słowem, gdy jego pan wskoczył do dwukółki i chwycił lejce. Zacięty wyraz twarzy wicehrabiego i malująca się na niej furia nie wróżą wicehrabinie nic dobrego. Jak wystraszone zwierzątko zbiegła ze schodów domu i najszybciej, jak tylko potrafiła biegła do powozu.

Dziesięć minut później wicehrabia ściągnął lejce i ogiery zatrzymały się pod domem; para buchała im z nozdrzy.

- Zaprowadź je do stajni - rzucił przez ramię do Lanscombe'a i wbiegł do londyńskiego domu Derencourtów, przeskakując po dwa stopnie naraz.

- Gdzie jest wicehrabina? - zapytał Phillip, gdy tylko zobaczył Greybara.

- Przed chwilą wróciła, proszę pana. Wydaje mi się, że poszła do swojego pokoju.

Phillip zatrzymał się przed drzwiami sypialni Sabriny. Nacisnął kłamkę. Drzwi były zamknięte. Poczul, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach i ogarnia go wściekłość.

- Sabrino, otwórz drzwi.

- Odejdź, Phillipie - dotarła do niego odpowiedź, głośna i wyraźnie wyartykułowana. - Wracaj do Martine. Nie chcę cię więcej widzieć. Odejdź.

- Wrócę do Martine wtedy, gdy będę miał na to ochotę - krzyknął, a potem zrobił krok w tył i nogą w wysokim bucie do jazdy konnej z całych sił kopnął drzwi. Usłyszał trzask pękającego drewna. Wycelował ponownie, tym razem bliżej zamka i kopnął raz jeszcze. Drzwi otworzyły się z hukiem, niemal wypadając z zawiasów.

Sabrina była przy oknie; patrzyła na Phillipa, który stanął w progu, dysząc ciężko.

- Odejdź, Phillipie, odejdź. Podszedł do niej bardzo powoli, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z twarzy Sabriny. Był zły, bardzo zły. Sabrina oderwała wreszcie rękę od fałd sukni. Dłoń miała kurczowo zaciśniętą na szpicrucie.

- Nie zbliżaj się do mnie, Phillipie, bo zrobię ci krzywdę, przysięgam.

- Jedyne, do czego nie zamierzam się zbliżyć, to twoje cholerne kolano.

- Mówię poważnie. Wyjdź stąd. - Sabrina zamachała szpicrutą przed nosem Phillipa.

- Tylko spróbuj, ty mała wiedźmo. - Phillip już był przy niej. Sabrina z całych sił zamachnęła się na niego, ale błyskawicznie się uchylił i jedynie musnęła go w rękę. Doskoczył do niej i chwycił za rękę tuż powyżej łokcia. Wtedy Sabrina znów próbowała go kopnąć, ale odwrócił się bokiem i uderzyła go kolanem w udo.

Mocniej ścisnął ją za ramię. Sabrina poczuła, że drętwieje jej ręka, a szpicruta wypada z dłoni. Phillip przycisnął ją do siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie kopnęłaś.

- Wtedy, w krocze, czy teraz?

Popatrzył na leżącą na podłodze szpicrutę, którą go uderzyła, a potem na pobladłą twarz Sabriny. Dostrzegł cienie pod jej wyrazistymi oczami, dostrzegł też w nich strach. Delikatnie pogłaskał ją po policzku. A potem zapytał cicho:

- Sabrino, co się z nami dzieje? Pokręciła głową, nic nie mówiąc.

- Gdy brałem z tobą ślub, nigdy nie miałem zamiaru cię skrzywdzić. Przeciwnie, zawsze chciałem cię czcić i chronić, ale zobacz, co się z nami stało. To okropne. Co teraz zrobimy?

- Nie wiem - odparła - ale naprawdę nie mogę tego znieść, Phillipie. Naprawdę nie mogę.

- Pozbawiłaś mnie męskości.

- Byłam wściekła. Przepraszam, ale jeśli będę musiała, zrobię to jeszcze raz. Byłeś wtedy z nią.

- Miałem powód, żeby tam być.

- Domyślałam się, że nie poszedłeś tam bez powodu. Phillip westchnął i puścił Sabrinę, a potem schylił się po szpicrutę.

- Wiedziałaś, że tu wrócę. Tym zamierzałaś się bronić?

- Nie miałam niczego innego. Wydaje się, że to było tak dawno, w poprzednim życiu, ale wciąż to pamiętam. Gdy byliśmy w domku myśliwskim, gdy się mną opiekowałeś, powiedziałeś mi, że nauczysz mnie walczyć. Ale tego nie zrobiłeś. Zapomniałeś.

- Tak, chyba faktycznie zapomniałem. Gdybym cię tego nauczył, to ciekaw jestem, jak bardzo byś mnie skrzywdziła tam, u Martine.

- Idź już, Phillipie. Naprawdę powiedziałam już wszystko, co miałam ci do powiedzenia. Proszę cię, zostaw mnie samą.

- Tak, chyba masz rację - odezwał się po dłuższej chwili. - Teraz chyba naprawdę nie mamy sobie już nic do powiedzenia. - Puściwszy Sabrinę, spokojnie wyszedł z sypialni, lekko uderzając szpicrutą o nogę.

Sabrina odwróciła się w stronę ognia płonącego w kominku i patrzyła weń nic niewidzącym wzrokiem. Phillip ma rację; nie zostało już nic do dodania.

Na dole, gdy tylko wicehrabia z trzaskiem zamknął za sobą drzwi, Greybar odezwał się do Damblera:

- Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie wygląda to dobrze.

- Wiem - przytaknął Dambler. - Jeszcze nigdy nie widziałem jego lordowskiej mości w takim stanie.

- Żaden z nas nie widział go w takim stanie, ale też żaden z nas nie widział go jako człowieka żonatego. Co teraz będzie?

ROZDZIAŁ 39

Sabrina wolno odłożyła pióro. Raz jeszcze przebiegła wzrokiem po liście, który pisała prawie godzinę, a potem spojrzała przez okno sypialni. Ciężkie śnieżne chmury wisiały nisko na zimowym niebie. Był wczesny poranek. Sabrina spojrzała na zegar stojący na gzymsie kominka i szybko dopisała jeszcze kilka linijek, a potem zabrała się do dopakowywania ostatnich rzeczy do dużej walizy. Zapięła ją i przytaszczyła do drzwi, a potem wróciła jeszcze do sekretarzyka, by po raz ostatni przeczytać list, który napisała do Phillipa:

Drogi Phillipie - czytała. - Wracam do Monmouth Abbey. Jest mi naprawdę przykro, jeśli mój nagły wyjazd przysporzy Ci jakichś przykrości. Jest mi również przykro z wielu innych powodów, Phillipie, także z powodu tego, jak się wczoraj zachowałam. Miałaś oczywiście rację. Nie miałam prawa zachowywać się jak zraniona małżonka i kopać Cię w krocze dlatego, że masz kochankę, ale w tamtej chwili niewiele się tym przejmowałam, tak bardzo byłam wzburzona. Z pewnością uznasz mnie teraz za hipokrytkę, ale przyznaję, że nie potrafię trwać w takim małżeństwie, jak nasze. Mówiłeś, że wolność jest dla Ciebie bardzo ważna, powtarzałeś mi to wielokrotnie, ale ja Cię nie słuchałam. Teraz Cię posłucham. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nie potrafię być jedną z wielu kobiet, z którymi dzielisz życie. Chcę czegoś więcej. Jestem warta tego, by dostać więcej; tak mi się przynajmniej wydaje, że jestem tego warta. Choć może się mylę... Czas mi więc wracać tam, gdzie moje miejsce. Nie boję się już Trevora, bo, jak sam powiedziałeś, Trevor najbardziej ze wszystkiego ceni sobie własne bezpieczeństwo.

Wiem, że jesteś dumnym mężczyzną, Phillipie, i tak właśnie powinno być. Proszę Cię tylko, byś w swojej dumie nie poczuł się zobowiązany, by po mnie przyjechać. Wszystko sobie przemyślałam; nie mam innego wyjścia i to właśnie chcę zrobić. Zegnaj, Phillipie. Jest mi naprawdę przykro z powodu wszystkich tych nieszczęść, które na Ciebie ściągnęłam. Nie zasłużyłeś na nie.

Sabrina raz jeszcze rozejrzała się po sypialni, owinęła się peleryną i ruszyła w stronę schodów. Zaraz też natknęła się na Greybara.

- Czy powóz, który wynajęłam, już przyjechał? - zapytała najzimniejszym głosem, na jaki tylko mogła się zdobyć.

Greybar ze zdenerwowania tak mocno pocierał dłonie, że niemal wyłamywał sobie palce.

- A nie wolałaby pani zaczekać, aż wróci jego lordowska mość? Zaraz powinien tu być; na pewno nie zajmie to dużo czasu. Z pewnością nie chciałby, by podróżowała pani wynajętym powozem. Wicehrabina nigdy nie powinna podróżować wynajętym powozem z wynajętymi końmi. To niebezpieczne. Proszę jeszcze chwilę poczekać, nie więcej niż dziesięć minut. Dobrze?

- Do widzenia, Greybar. Byłeś dla mnie bardzo miły, ale teraz muszę już iść. Z pewnością to rozumiesz.

Sabrina sama wyniosła wielką walizę przed dom; Greybar cały czas na nią patrzył, pocierając dłonie. Szybko wyszła przed dom, wprost w chłód poranka. Wsiadła do powozu i dłonią odzianą w rękawiczkę pomachała do kamerdynera, który wciąż niepewny, co ma robić, stał na schodach przed

domem i nadal pocierał dłonie.

Konie ruszyły i Sabrina zachwiała się na tapicerowanej kanapie, wypełniającej wnętrze powozu. Owinęła nogi kocem i tak siedziała, nie patrząc na nic szczególnego.

Konie, tak zmęczone, że aż para buchała im z nozdrzy, zatrzymały się przed Monmouth Abbey późnym popołudniem cztery dni później. Sabrina spojrzała na podniszczony budynek z kamienia, ni to zamek, ni to ziemską rezydencję, której nierówne kamienne ściany wygładził czas. Dym unosił się z ogromnych kominów, wznoszących się sześć metrów nad spadziste dachy. Zza zasłoniętych kratami okien widać było płomienie świec. Było bardzo zimno, ale przynajmniej nie padał śnieg; zrobiło się już dość ciemno, na niebie widniał wąski rogal księżyca.

Sabrina zatrzymała się przed ogromnymi dębowymi drzwiami. Miała wrażenie, że żołądek zwija jej się w kulkę na samą myśl, że zaraz zobaczy Trevora, ale wiedziała, że teraz może już to zrobić, że może stanąć z nim twarzą w twarz. A jeśli jeszcze kiedykolwiek ją tknie, zabije go, tak po prostu. Mocno uderzyła mosiężną kołatką.

Ribble otworzył potężne drzwi. Najpierw tylko wpatrywał się w nią jak w zjawę, a potem krzyknął:

- Lady Sabrina! Och, moje drogie dziecko, jesteś w domu. Proszę, wejdź. Och, dobry Boże! Jak to dobrze znów móc cię widzieć!

Przytulił ją mocno, a Sabrina niemal wybuchła płaczem.

- Jak się cieszę, że cię znów widzę, Ribble. Dobrze wyglądasz. A jak się ma dziadek? Lepiej? Nie miałam od niego żadnych wieści prawie od tygodnia. Proszę cię, powiedz, że wszystko z nim dobrze.

- Tak, poprawia mu się z dnia na dzień, przysięgam. - Ribble odsunął Sabrinę od siebie. Była rozczochna, blada, wychudzona. Chciał owinąć ją w trzy koce, posadzić przed kominkiem i nakarmić. Ale znał ją dobrze, dlatego najpierw ją uspokoił:

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Jesteś w domu i zaraz wszyscy się tobą zajmiemy. A gdzie jego lordowska mość? Jedzie innym powozem?

- Przyjechałam sama - odparła Sabrina tak po prostu i weszła do dużego, kamiennego holu.

- Sabrina!

Podniosła wzrok i zobaczyła Elizabeth, kurczowo trzymającą się poręczy u szczytu schodów.

- Witaj, Elizabeth. Zaczekaj chwilę - poprosiła i zwróciła się do Ribble'a: - Poproś woźnicę, żeby wniósł moją walizę. Dziękuję.

Wiedziała, że Ribble wydaje polecenia dwóm lokajom, którzy wytrzeszczali oczy na widok wracającej do domu wyrodnej panny. Czy komukolwiek coś powiedziano? Komu uwierzyli?

Sabrina podeszła do siostry, która patrzyła na nią, jakby była duchem, albo czymś nieczystym, zepsutym, co pojawiło się w zasięgu jej wzroku.

- Doskonale wyglądasz, Elizabeth. Mam nadzieję, że równie dobrze się czujesz.

- A dlaczego nie miałabym czuć się dobrze? To nie ja uciekłam z domu i nie ja niemal umarłam w śnieżnej burzy.

I pomyśleć, że jeszcze przed chwilą Sabrina chciała wyciągnąć ręce w stronę siostry.

- Pomyślałam tylko, że na pewno wszystko u ciebie w porządku. Ta suknia jest bardzo stylowa.

Suknia istotnie była cudowna, ale najwyraźniej Elizabeth bardzo schudła, bo suknia niemal zwisała z jej szczupłych ramion. Jednak włosy Elizabeth nadal były piękne, gęste sploty okalały twarz i miękko opadały na szyję kręconymi kosmykami. Sabrina próbowała się uśmiechnąć -

wiedziała, że nie może wszczynać kłótni i musi się podporządkować.

Elizabeth zeszła za schodów i stanęła nie dalej niż pół metra od siostry.

- Co tu robisz? Nie przypominam sobie, bym cię prosiła, żebyś tu wracała. Wiem też, że i dziadek cię o to nie prosił. Chociaż kto wie, może ten stary głupiec napisał do ciebie i poprosił, byś przyjechała. Sama nie wiem, bo nie pozwala ani mnie, ani Trevorowi czytać swoich listów.

- Nie, dziadek nie prosił, bym przyjechała. Sama zdecydowałam, że przyjadę. Chciałabym tu na jakiś czas zostać.

- Skoro już tu jesteś - odparła zimno Elizabeth - to przecież nie mogę cię odesłać, przynajmniej nie dzisiaj. Gdzie jest twój mąż?

- Wciąż jest w Londynie. Chciałam się zobaczyć z dziadkiem, Elizabeth. Czuję się taka bezradna, gdy nie mogę być tu, przy nim.

- Wątpię, by zechciał się z tobą zobaczyć. Niemal doprowadziłaś do jego śmierci, Sabrino. Mam nadzieję, że tym razem zachowasz się tak, jak powinnaś, że zachowasz się stosownie, jak dama.

- Ach, mam prowadzić się jak dama, oczywiście. Tylko co to znaczy? Tak się właśnie zastanawiam.. Czy to może znaczy, że dama powinna bezradnie leżeć w łóżku i czekać, aż jej szwagier przyjdzie ją zgwałcić? Czy to właśnie masz na myśli? Nic nie mówisz, więc posłuchaj mnie przez chwilę. Proszę cię, nie przekreślaj faktów i nie ukrywaj prawdy, przynajmniej sama przed sobą.

Ku zaskoczeniu Sabriny Elizabeth spuściła wzrok. Sabrina popatrzyła gdzieś daleko przed siebie, a w tej samej chwili siostra chwyciła ją za rękaw i przyciągnęła do siebie.

- Nie pouczaj mnie, ty mała dziwko. - Potem puściła Sabrinę i roześmiała się. - Jeśli nie byłaś niczemu winna, siostrzyczko, to jak to się stało, że teraz nagle jesteś taka odważna? Skoro twój mąż jest w Londynie, nikt nie będzie cię tu chronił przed Trevorem, jeśli w ogóle potrzebujesz ochrony.

- Ależ to proste, Elizabeth. Doskonale wiecie, i ty, i Trevor, że Phillip zabije go bez chwili wahania, nie tylko jeśli Trevor mnie dotknie, ale nawet jeśli o tym pomyśli.

- A skoro to się nigdy nie stało, żadna z nas nie musi się martwić, prawda?

- Dobry Boże, a kogóż my tu mamy? Czyż to moja mała szwagierka? Cóż za niespodzianka.

Sabrina zauważyła, że Elizabeth aż zeszywniała, słysząc głos męża. Odwróciła się i patrzyła, jak Trevor schodzi po schodach powolnym krokiem, a jego aż nazbyt urodziwa twarz zdradzała wyśmienity nastrój. Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z twarzy Sabriny.

- Tak, Trevorze, to ja. Wróciłam, by zobaczyć się z dziadkiem.

Zatrzymał się u podnóża schodów i nie zrobił ani kroku więcej w jej stronę.

- A gdzież jest twój jakże porywczy małżonek?

- Wicehrabia wciąż pozostaje w Londynie - odpowiedziała Elizabeth. - Wkrótce się tu zjawi. A Sabrina powiedziała przecież, że przyjechała tylko odwiedzić dziadka.

- Starszy pan na pewno będzie zachwycony. Jego ukochana Sabrina wróciła na łono rodziny. Droga szwagierko, przekonasz się, że dziadek zmienił się, i to w dość przykry sposób, ale wciąż żyje.

- O tak, zarówno Phillip, jak i Richard Clarendon zapewnili mnie, że dziadek będzie zdrowiał i że ty osobiście tego dopilnujesz, Trevorze.

- Jak mógłbym nie dbać o zdrowie jakże nam drogiego starszego pana? Czyż nie jest moim stryjecznym dziadkiem? Jestem mu winien lojalność i wszelkie ciepłe uczucia, jak prawdziwy wnuk. O tak, starszy pan przeżyje nas wszystkich.

Sabrina lekko skinęła głową, a potem zwróciła się do Elizabeth:

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Elizabeth, chciałabym od razu pójść do dziadka. Byłabym też wdzięczna za coś do jedzenia, jeśli to nie jest dla kucharza zbyt duży kłopot.

- Myślę, że jeszcze coś zostało.

- Ależ, moja droga Elizabeth, czyżbyś zapomniała? - wtrącił się Trevor. - Przecież jeszcze nie jedliśmy kolacji. Kucharz z pewnością przygotował coś wyśmienitego, coś, czym możemy podzielić się z twoją drogą siostrą. Może nawet sam mógłbym przynieść jej posiłek? Może będzie chciała, bym z nią posiedział i porozmawiał, gdy będzie jadła? Tym razem Sabrina nie czuła strachu chwytającego za gardło, który odczuwała, gdy poprzednio widziała Trevora. To dziwne, ale tym razem czuła się silna, i to nie tylko dlatego, że wiedziała, iż Trevor boi się Phillipa. Nie, raczej dlatego, że była gotowa zabić tego łajdaka, jeśli choć spróbuje się do niej zbliżyć. Może powinna mu to powiedzieć? Ale wtedy zobaczyła twarz siostry. Nie, powie mu to dopiero, jeśli śmie się do niej zbliżyć.

- Skoro będę u dziadka, Trevorze, to bez wątpienia dziadek dotrzyma mi towarzystwa przy stole - odparła Sabrina, a potem ukłoniła się obojgu i oddaliła w kierunku schodów, wyprostowana jak świeca.

Trevor zawołał za nią:

- Zapytaj, proszę, starszego pana, czy chce widzieć mnie lub Elizabeth. Już od dłuższego czasu nie miał okazji cieszyć się naszym towarzystwem.

- Domyślam się - rzuciła przez ramię. Żadne z nich się nie odezwało, gdy Sabrina wchodziła po schodach.

Trevor podszedł do żony; uśmiechnął się do niej i delikatnie pogłaskał po policzku. A potem gwałtownie chwycił ją za ramię.

- Twoja siostra oczywiście cieszy się, że znów może mnie widzieć, nie sądzisz? Da nam to doskonałą sposobność, byśmy mogli się bliżej poznać. Chyba się ze mną zgodzisz, Elizabeth?

Elizabeth patrzyła na czubki domowych pantofli, które wystawały spod rąbka sukni, i tępo kiwała głową.

- Wydaje mi się, Elizabeth, że zadałem ci pytanie.

Sabrina odwróciła się, słysząc głos Trevora, głos niski i nienaturalnie przymilny. Poczowała krew pulsującą w skroniach, gdy widziała, jak Trevor wsuwa rękę pod ramię Elizabeth i szczypie jej delikatne ciało. Nie mogła się powstrzymać i zbiegła ze schodów, wrzeszcząc:

- Nie dotykaj jej, ty wstrętny łajdaku! Nie waż się jej skrzywdzić!

- Bądź cicho, Sabrino - odezwała się Elizabeth.

- Nie wtrącaj się. Miałaś iść do dziadka, więc idź do niego i zostaw nas samych. - Potem uśmiechnęła się do męża. - Właśnie tak jak powiedziałeś, Trevorze. Masz oczywiście rację.

- Może gdy Elizabeth położy się już spać - odezwał się Trevor - może wtedy ty i ja, Sabrino, moglibyśmy napić się razem herbaty? Chciałabyś?

- Chciałabym, żebyś stał się człowiekiem, ale to raczej niemożliwe, prawda? - Sabrina odwróciła się na pięcie i wbiegła po schodach.

- Do zobaczenia jutro, kochana szwagierko!

- zawołał za nią Trevor. W jego głosie było coś, co kiedyś śmiertelnie by ją przestraszyło, ale na szczęście miała przy sobie mały pistolet, który ukradła Phillipowi.

ROZDZIAŁ 40

Jasperson, pokojowy hrabiego, otworzył drzwi olbrzymiej sypialni i pokoju dziennego.

- O mój... Och, to znaczy, to pani, lady Sabrino. Proszę wejść. Witamy w domu. Ach, cóż za niespodzianka. - Jasperson, który zazwyczaj zachowywał się bardzo poważnie w obecności kogośkolwiek z członków rodziny Eversleigh, teraz wprost uśmiechał się do Sabriny, lekko dotykając jej ramienia. - Niech tylko przekażę jego lordowskiej mości, że jest pani tutaj. Och, tak się ucieszy. Może pani zjeść z nim kolację.

Sabrina ujęła duże dłonie Jaspersona.

- Dziękuję, Jasperson, że się nim zaopiekowałeś i go chroniłeś.

Twarz Jaspersona pokraśniała ze wzruszenia, szybko jednak się uspokoił.

- Tędy, proszę pani. Gdy podążając za Jaspersonem, przechodziła przez salon, do Sabriny powróciły wspomnienia z dzieciństwa. Zmierzała do dużego prostokątnego pokoju, który był sypialnią hrabiego, a znajdował się zaraz za salonem. Skarby, które zbierała jako mała dziewczynka, by z dumą kilkuletniej wnuczki sprezentować je dziadkowi, teraz stały dumnie wyeksponowane na mahoniowym biurku: kolorowe kamyki wyłowione ze strumienia, gładko wypolerowane rwącą wodą, sznur bursztynów odziedziczonych po matce, postrzępiony latawiec owinięty długim ogonem.

Sypialnia dziadka nie zmieniła się od czasu, gdy Sabrina była małą dziewczynką. Dominowały w niej granatowe draperie z adamaszku, a grube tureckie dywany pokrywające drewnianą podłogę, tłumiły odgłos kroków. Hrabia siedział w fotelu przed kominkiem, otulony ulubionym aksamitnym szlafrokiem w kolorze burgunda. Dłoni o pokrzywionych palcach obejmował się za ramiona.

- Dziadku - Sabrina odezwała się cicho, by go nie wystraszyć. Gdy się odwrócił i ją zobaczył, w jego ciemnych oczach dostrzegła bezgraniczną miłość. Krzyknęła i podbiegłszy do fotela, padła mu do stóp i mocno objęła. Zaraz też poczuła, że głaszcze ją po głowie, i jeszcze mocniej się do niego przytuliła.

Przez dłuższą chwilę hrabia milczał i nagle Sabrinę ogarnął strach, że uwierzył Trevorowi i Elizabeth. W listach do dziadka ani razu nie napisała, co tak naprawdę się stało, obawiając się, że gdyby to zrobiła, dziadek zechciałby porozmawiać z Elizabeth i Trevorem. Powolnym ruchem podniosła głowę i natknęła się na przenikliwe spojrzenie jego niebieskich oczu.

- Jesteś do niej taka podobna - odezwał się wreszcie stary hrabia, opuszkami palców głaszcząc Sabrinę po policzku, dotykając jej nosa i czoła. - Jaka szkoda, że nigdy nie poznałaś swojej babki Camilli. Miała w sobie tyle wdzięku, tyle dobroci, tak jak i ty. I te oczy, masz takie same oczy, jak ona. - Uśmiechnął się do niej poważnie i znów ujął twarz Sabriny. - Sabrino, jesteś piękną, pełną życia kobietą. Cieszę się, że cię widzę. Prawdę powiedziawszy, czuję niewypowiedzianą ulgę. Przyjechałaś z mężem? Chciałbym mu się przyjrzeć i upewnić się, że jest mężczyzną, który na ciebie zasługuje. Odezwał się Jasperson, który stał obok:

- Podano obiad, proszę pana. Lady Sabrino, czy zechciałaby pani tu usiąść? Będą mogli państwo jeść i rozmawiać.

Sabrina nie chciała jednak siedzieć na krześle. Usadowiła się przy podnóżku fotela dziadka, gdzie w dzieciństwie spędziła tyle szczęśliwych godzin. Oczywiście wtedy dziadek nie był chory; nie, wtedy pracował przy biurku, zajmował się sprawami rodziny, posiadłości, majątku, był przy tym pełen życia i wigoru, i często się śmiał.

- Dobrze wyglądasz, dziadku - odezwała się, patrząc, jak dziadek małymi kęsami je pieczonego kurczaka w sosie kremowym, popisowe danie kucharza, który zapewne powiedziałby, że to danie kuchni francuskiej.

- Jestem jak stary orzeł, który nie może już wyfrunąć z gniazda, Sabrino. Nie tylko moje ciało, ale i dusza jest już zmęczona życiem.

- Jesteś jak stary poeta - zaśmiała się Sabrina - który uwielbia porównania, ale ja zabraniam ci tak mówić. Nie możesz być zmęczony życiem.

- Co dziewczyna taka jak ty może wiedzieć o zmęczeniu życiem? - skrzywił się hrabia. - Widziałas się już z siostrą?

- Tak. - Sabrina starała się, by jej głos brzmiał obojętnie. Nie chciała dać po sobie poznać, co czuje, ale dziadek znał ją od zawsze. Nie dał się nabrać.

- Teraz, gdy wyszła za tego łajdaka, stała się jeszcze większą jędzą. Niech to licha! Gdybym tylko wcześniej się nim poznał; ustrzegłbym wtedy przed tym nieszczęściem nas wszystkich.

- Dziadku, jedz, proszę. Nadział na widelec kawałek ziemniaka.

- Elizabeth nie jest szczęśliwa, ale jakże mogłoby być inaczej? - Hrabia nie patrzył na Sabrinę. Wpatrywał się w kominek, w którym buzował ogień, dając ciepło i poczucie bezpieczeństwa. - Nigdy nie będzie szczęśliwa. Już dawno powinienem był zdać sobie z tego sprawę. Myślałem, że wszystko, co jej potrzebne, to mąż. Wtedy przypomniałem sobie o Trevorze i pomyślałem, że to dar niebios. Jakimż byłem głupcem! Ale widzisz, nawet gdyby Elizabeth poślubiła jakiegoś dobrego człowieka, wciąż byłaby nieszczęśliwa, bo ona zwyczajnie nie lubi samej siebie. Dałem jej to, czego pragnęła. Jest teraz tu panią, w Monmouth Abbey. Pewnego dnia zostanie hrabiną Monmouth. Zawsze chciała być wielką damą, traktować z góry wszystkich wokół, ale nic jej to nie dało. Nawet mniej niż nic. Teraz jest nieszczęśliwa, a jej los zależy nie od niej, a od kogoś zupełnie innego. Wielka szkoda, ale nic już nie można tu zrobić.

Sabrina odstawiła tacę na bok i znów usiadła na podłodze, tuż przy fotelu, i przytuliła policzek do kolan dziadka; poczuła, jaki jest chudy.

- Elizabeth nigdy tu do mnie nie przychodzi - ciągnął, znów przeczesując włosy Sabriny. - Prawdopodobnie dlatego, że czuje się winna. Nie, nie dziw się temu, Sabrino. Teraz to już mnie obraziłaś. Jak w ogóle mogło ci przyjść do głowy, że uwierzyłbym w te bzdury, które usłyszałem od Elizabeth i Trevora. Naprawdę miałbym ochotę go zabić, ale wtedy ród by wygasł. Choć może tak byłoby lepiej, kto wie? Aż mnie ciarki przechodzą, gdy pomyślę, jakie potomstwo wydadzą na świat Elizabeth i Trevor. - Hrabia na chwilę zamilkł, ale nadal głaskał Sabrinę po głowie. Oddychał głęboko, spokojnie; Sabrinę bardzo to uspokoiło. - Pamiętam moment, gdy przywiozłem do Monmouth Abbey tego chłopca o głosie słodkim jak miód. Wydawało mi się, że to fircyk, ale zupełnie niegroźny. To nieprawda, Sabrino. Wiem, że tylko dzięki twojemu mężowi i Richardowi jeszcze żyję; inaczej na pewno już dawno by mnie zabił. Mimo wszystko jednak nie mogę znieść myśli, że tak bardzo się co do niego pomyliłem.

Naprawdę poważnie myślał, żeby zabić Trevora? Sabrina sama nie wiedziała, co o tym sądzić. Nigdy nie patrzyła na dziadka z tej perspektywy, jako na mężczyznę, który byłby zdolny do czegoś

takiego.

- Dziękuję, że im nie uwierzyłeś.

- Twój mąż powiedział Jaspersonowi, co się stało, a Jasperson wszystko mi powtórzył. Do końca życia będę dłużnikiem twego męża.

Sabrina zamarła na moment, ale była to jedynie bardzo krótka chwila.

- Phillip to dobry człowiek, szczerzy i honorowy. Och, dość już tego, dziadku. Znów jesteśmy razem i chcę, żebyśmy śmiali się i rozmawiali, aż zaczniesz ziewać i odeślesz mnie do łóżka, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem.

- Wróciłaś do domu, bo nie miałaś dokąd pójść. Sabrina nie mogła oderwać wzroku od oczu dziadka, które zdawały się widzieć wszystko, także w jej duszy i sercu. Zwilżyła wargi. Skąd wiedział, że odeszła od męża? Starła się uśmiechnąć, ale nie za bardzo jej to wyszło.

- Dziadku, czy potrafiłeś czytać w myślach babki Camilli?

- Nie, kochanie, ale z twoich listów potrafiłem wyczytać to, czego nie napisałaś. Dobrze cię znam, Sabrino. Na początku w twoich listach tak mało było radości, potem już w ogóle jej zabrakło. Gdybym nie był przykuty do tego miejsca, natychmiast przyjechałbym do Londynu. Najprawdopodobniej wyzwalałbym na pojedynek tego twojego wicehrabiego.

- Nie, nie wierzę, że byś to zrobił.

- Cóż, pewnie masz rację. Richard Clarendon wszystko mi o nim opowiedział.

- Richard? Chwalił Phillipa?

- Richard także jest człowiekiem honoru; powiedział mi prawdę. Gdy skończył, czułem, jakbym osobiście znał twego męża. I nie potrafię nawet wyrazić, jak mi ulżyło, gdy okazało się, że nie wpadłaś w łapy takiej kanalii, jak Trevor.

- Och, Phillip w żadnym razie nie jest kanalią. Teraz więc wiesz już, jakim jest człowiekiem. - Sabrina przerwała na chwilę, patrząc na płomień tańczący w kominku. - To Londyn i całe to londyńskie towarzystwo - odezwała się wolno. - Wszystko tam jest zupełnie inne, dziadku. Zupełnie nie potrafiłam się tam odnaleźć. To znaczy na początku jakoś sobie radziłam, ale tylko do chwili, gdy wyszło na jaw, że spędziłam pięć dni sam na sam z Phillipem i wtedy wszyscy zaczęli mówić, że jestem dziwką. Nie, zupełnie nie rozumiem tych wszystkich zasad. Nie potrafiłabym tak żyć.

- Jakich zasad?

- Phillip chciał być wolny. Ma kochankę, Martine, i zupełnie się z tym nie kryje. A ja nie potrafię tego tak po prostu zaakceptować.

- Rozumiem.

- Gdyby tylko Phillip mnie nie zhańbił. Dziadku, możesz uwierzyć, że użyto takiego słowa? Zhańbił. Jakbym była rzeczą, którą można odsądzić od czci i wiary. Trudno to zaakceptować, że ludzie tak myślą, ale niestety tak właśnie jest. I to nie tylko mężczyźni, ale także i kobiety. - Sabrina patrzyła na barwny wzór na dywanie. - Phillip jest bardzo hojny, dziadku, i jak już ci mówiłam, to dobry i honorowy człowiek.

Hrabia kiwał głową ze zrozumieniem. Nie chciał, żeby Sabrina przerwała.

- Pobiliśmy się, dziadku. Nigdy bym nie pomyślała, że ktokolwiek może być tak porywczy jak ty, dziadku, ale okazało się, że Phillip taki właśnie jest.

- Pobiliście się z powodu jego kochanki?

- Między innymi. Niedobrze się stało i źle to o mnie świadczy. Widzisz, kiedy zaproponowałam mu małżeństwo, powiedziałam, że może pozostać wolnym człowiekiem.

Hrabia zapewne by się Zakrzusił, gdyby akurat coś pił.

- Powiedziałaś temu młodemu mężczyźnie, że nadal może chodzić do łóżka z innymi kobietami?

- Tak. A on bezczelnie odparł, że i tak jest wolnym człowiekiem, nawet bez mojego pozwolenia, i że będzie robił to, na co będzie miał ochotę. I tak właśnie się dzieje.

- I właśnie dlatego od niego odeszłaś? Jestem przezroczyta. Dziadek widzi wszystkie moje myśli i uczucia jak na dłoni, pomyślała Sabrina, jednocześnie z uwagą obserwując krótko obcięte paznokcie.

- Prawda jest taka, że go kocham, a on mnie nie. Jest za mnie odpowiedzialny, chroni mnie, ale mnie nie kocha. Och, dziadku, zrobiłam mu coś strasznego! I co gorsza, wiem, że byłabym zdolna zrobić to raz jeszcze. To dlatego odeszłam. Wiedziałam, że nie potrafiłabym znieść obecności innej kobiety w jego życiu.

- Co mu zrobiłaś? Coś oburzającego i wartego osoby noszącej nazwisko Eversleigh?

Sabrina uśmiechnęła się, ale zaraz jej buzia wygięła się w nieładnym grymasie i Sabrina jęknęła rozpaczliwie. Ukryła twarz w szlafroku dziadka.

- Poszłam do domu jego kochanki i przyłapałam ich razem. Nie, nie byli w łóżku, ani też Phillip nie był nagi, ale ona tak, była naga, albo prawie naga. Ogarnęła mnie ślepa furia i kopnęłam go w krocze, dziadku, a potem uciekłam i pobiegłam do domu. Phillip też zaraz wrócił. Nie zemścił się na mnie, nie zrobił mi nic złego, mimo tego co mu zrobiłam. Ale już wtedy wiedziałam, że wszystko skończone.

- O mój Boże! Naprawdę go kopnęłaś? Tam?

- Tak. Aż zwijał się z bólu. Nie wiedziałam, że to takie straszne dla mężczyzny, gdy tam się go kopnie.

- Nie ma gorszego miejsca.

- A potem Phillip wyszedł i wiedziałam już, że nie mogę tam zostać. Wszystko się popsuło. Wiedziałam, że nie ma już nadziei, że będzie lepiej, inaczej bym została. Więc następnego ranka wyjechałam. Wynajęłam powóz i przyjechałam tutaj.

Hrabia poważnie popatrzył w fiołkowe oczy Sabriny, w oczy Camilli. Przemknęło mu nawet przez myśl, że jego do głębi lojalna i kochająca żona zrobiłaby mu to samo, gdyby przyszło mu do głowy znaleźć sobie kochankę. Ale jakoś nigdy nie przyszło.

Hrabia pochylił się i wziął Sabrinę za rękę.

- Kochasz go całym sercem? Oddałabyś za niego życie? Chroniłabyś go za wszelką cenę?

- Tak.

Hrabia roześmiał się.

- W takim razie to jakiś głupek. Nie widzi, co się dzieje? Nie widzi ciebie, twoich uczuć, nie widzi ludzi wokół? Żoniny kopniak w krocze powinien wystarczająco przekonać go co do uczuć, jakie do niego żywisz. - Hrabia żałował, że nie miał jeszcze sposobności osobiście poznać Phillipa. Poglaskał gęste włosy Sabriny, teraz miękko spływające jej na plecy. - Cóż, myślę, że teraz możemy jedynie czekać i zobaczyć, co się stanie. - Popatrzył w płomienie i dostrzegł w nich twarz, twarz z przeszłości, tak podobną do twarzy Sabriny. - Już ci to kiedyś mówiłem: jesteś nieodrodną wnuczką Camilli. Uwierz mi, Sabrino, żaden mężczyzna, który ją znał, nie pozwoliłby jej tak po prostu odejść. Gdy ja ją zobaczyłem, gdy naprawdę ją zobaczyłem, wiedziałem, że nigdy nie pozwolę jej odejść.

ROZDZIAŁ 41

Ribble szeroko otworzył frontowe drzwi i patrzył na stojącego przed nim mężczyznę. Uśmiechnął się, a potem roześmiał. Wyciągnął rękę. Z pewnością nie było to coś, co powinien zrobić kamerdyner, ale Ribble nie zastanawiał się, po prostu działał. Phillip nie zawahał się ani chwili i uściśnął mu dłoń.

- Miło cię znów widzieć, Ribble.

- Dziękuję panu. Och, mój Boże, wszystko to bardzo dziwne, a jednocześnie wspaniałe. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Jej lordowska mość będzie taka szczęśliwa, gdy pana zobaczy. Nie powiedziała nam dokładnie, kiedy możemy się pana spodziewać, ale pan zjawił się tak szybko. Proszę wejść do środka. O, proszę mi dać płaszcz i rękawiczki. O tak, to niezwykle szczęśliwy dzień.

- Masz rację, jej lordowska mość bez wątpienia będzie zaskoczona, widząc mnie tutaj. - Phillip rozejrzał się po olbrzymim holu; zauważył otwarte drzwi i usłyszał szelest jedwabiu. Elizabeth. Nie odezwała się ani słowem, nim stanęła tuż przed Phillipem.

- A więc przyjechałeś. Ukłonił się jej, ale było w tym przywitaniu coś kpiącego, a potem się uśmiechnął, pokazując śnieżnobiałe zęby.

- Oczywiście. Mam nadzieję, że dobrze zaopiekowaliście się moją żoną. - Miał nadzieję, że teraz się dowie, co Sabrina powiedziała siostrze. Czekał, spokojny i opanowany, uniósłszy brew.

- Przyjechała dopiero wczoraj wieczorem i natychmiast poszła spotkać się z dziadkiem. Nawet nie miałam okazji z nią porozmawiać. Wątpię, czy w ogóle wychodziła z jego pokoju.

- Cóż, nie byłoby w tym nic zaskakującego, prawda, Elizabeth?

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie wiesz? Piękna młoda dziewczyna mogłaby się obawiać, że może stać się ofiarą włóczących się tu łajdaków, którzy mogliby zechcieć dostać się do jej sypialni.

- Cóż za nonsens! Nie włóczą się tu żadni łajdacy. Ale gdybym miała zgadywać, to uznałabym, że metafora, której pan użył, była nader niegrzeczna.

- To nie była metafora. Elizabeth zamarła.

- Dobrze, dość już tego, Elizabeth. - Phillip machnął ręką. - Hrabia czuje się lepiej?

Elizabeth musiała nad sobą zapanować; udało się jej nawet obojętnie wrzucić ramionami.

- Oczywiście. Wszyscy żyją tu tylko po to, by mu dogadzać i pomagać wrócić do zdrowia. Przeżyje nas wszystkich. Będę hrabiną Monmouth, ale czasem się zastanawiam, czy zdążę się tym nacieszyć, skoro będę już wtedy starą kobietą. - Znów wrzuciła ramionami. - Z pewnością poczuł się lepiej, gdy zobaczył swoją ukochaną Sabrinę.

- Zdążyłem zauważyć, że pojawienie się Sabriny poprawia nastrój większości ludzi. Gdzie ona jest, Elizabeth?

- Domyślam się, że z hrabią. Jak już mówiłam, prawdopodobnie nie wychodziła z jego pokoju.

- Byłbym zaszczycony, mogąc odprowadzić jego lordowską mość do hrabiego, proszę pani - odezwał się Ribble.

Elizabeth machnęła ręką, co zapewne miało być zezwoleniem.

- Zobaczymy się zapewne później - odezwał się Phillip do Elizabeth, podążając już za Ribble'em głównymi schodami. - Och, z pewnością będę miał tę przyjemność spotkania z twoim prześwietnym mężem. Świetnie mu się wiedzie, jak miemam.

- Jemu zawsze świetnie się wiedzie. Czy to gorycz usłyszał w jej głosie?

- A to szkoda - odparł. - Ale wiesz co, jakoś nie jestem zaskoczony.

Phillip uśmiechnął się uprzejmie do kamerdynera i zapukał do pokoju hrabiego.

- Proszę pana!

- Dzień dobry, Jasperson. Jak się miewa hrabia?

- Ach, od chwili, gdy wróciła lady Sabrina, słyszę jedynie śmiech dobiegający z pokoju hrabiego. Hrabia znów się uśmiecha i ma o wiele więcej sił. Ale proszę mnie źle nie zrozumieć, na pewno ucieszy się, widząc i pana. Jestem tego pewien.

Phillip nie był o tym tak przekonany jak Jasperson, ale nic nie powiedział, pokiwał jedynie głową. Zastanawiał się, co Sabrina powiedziała dziadkowi.

Gdy szli przez salon do sypialni hrabiego, Phillip zapytał Jaspersona:

- Nikt ci nie przeszkadzał w opiece nad hrabią?

- Zupełnie nikt, proszę pana. W każdym razie od chwili, gdy pan i markiz zjawiliście się, by porozmawiać z panem Trevorem.

- Czyli ta mała gnida trzyma się z daleka?

- Z bardzo daleka - odparł Jaspersen, uśmiechając się szeroko. - Słyszałem, jak psioczy i utyskuje pod drzwiami pokoju hrabiego, ale nigdy nie próbował się tam dostać.

- Moja żona jest z hrabią?

- Nie, proszę pana. Hrabia odesłał ją jakąś godzinę temu; chciał, by nabrała trochę kolorów, jak się wyraził. A lady Sabrina zawsze lubiła przebywać poza domem.

- Wybrała się na przejażdżkę? - zapytał Phillip.

- Jest przecież bardzo zimno. Jasperson przecząco pokręcił głową.

- Nie, proszę pana. Poszła do stajni; wspominała coś o kocieciach Panny Pixel, które niedawno się urodziły.

- To ta cholerna kotka wciąż jest panną? Jasperson roześmiał się, a potem otworzył drzwi prowadzące do sypialni hrabiego. Phillip zatrzymał się w progu i patrzył na starszego mężczyznę, który siedział skulony w fotelu przed kominkiem; nogi miał owinięte kocem w kratę. Hrabia powoli odwrócił głowę; Phillip nagle uświadomił sobie, że wpatruje się w pełne życia, błękitne oczy, głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami. Hrabia wyglądał jak wytrzymały stary ptak. Phillip uśmiechnął się do niego.

- Domyślam się, że jesteś mężem Sabriny?

- hrabia zapytał głębokim głosem, głosem silnym, który zupełnie nie brzmiał jak głos ciężko chorego. Phillip podszedł do niego i uściśnął dłoń o pokrzywionych palcach.

- Tak, *sir*, jestem mężem Sabriny. Phillip Mercerault - przedstawił się.

- Proszę usiąść.

Phillip posłusznie zajął miejsce w fotelu tapicerowanym brokatową tkaniną, stojącym naprzeciw fotela hrabiego.

- Proszę mi wybaczyć ten podróźny strój, *sir*, ale nie chciałem tracić czasu na przebieranie się i kąpiele.

Hrabia tylko machnął ręką.

- Richard Clarendon powiedział mi o tobie wiele dobrego: że jesteś człowiekiem honoru, niezależnie od tego, że niejako wszedłeś mu w paradę.

- Richard i ja znamy się jeszcze z czasów, gdy byliśmy dziećmi i razem uczyliśmy się w Eton. Cieszę się, że nie przedstawił mnie panu jako wcielonego diabła.

- Och, nie. Kochany chłopak, chciał natychmiast zabić Trevora, udusić tego parszywego psa, jak raczył się wyrazić. Ale przyznał mi się również, że powiedziałeś mu, że owszem, może zabić Trevora, ale dopiero gdy sam wyrównasz z nim rachunki.

Phillip roześmiał się.

- Faktycznie, powiedziałem coś podobnego. Jak się miewa Sabrina, *sir*?

- Dobrze, choć z pewnością będzie bardzo zaskoczona, widząc cię tutaj. W przeciwieństwie do mnie, bo ja twoją wizytą zupełnie nie jestem zaskoczony.

- O tak, będzie zdumiona. Sabrina wciąż jeszcze musi odzyskać pewność siebie, którą tak podkopało to, co zdarzyło się w Londynie. Poza tym Sabrina zdaje się nie uświadamiać sobie tego, jak wpływa na ludzi, szczególnie zaś tego, jak wpływa na mnie. Przyjechałem, żeby zabrać ją do domu.

Phillip był przystojnym mężczyzną, hrabia musiał oddać mu sprawiedliwość. Ładnie się również wysławiał i stosownie zachowywał. Nie widać było po nim skłonności do okrucieństwa, na twarzy nie malowało się niezadowolenie ani irytacja - wyraźnie był zadowolony z tego, kim jest. Czuł się dobrze w towarzystwie mężczyzn, ale miał w sobie tyle czaru, że wystarczyłoby mu spojrzeć na kobietę, by zadarła dla niego spódnicę. Hrabia pomyślał nawet, że za młodu był trochę podobny do Phillipa, choć szczerze powiedziawszy, nie mógł sobie przypomnieć, jakim był człowiekiem, nim spotkał Camillę. Ręce mogą też wiele o człowieku powiedzieć. Dłonie Phillipa były silne i zgrabne. To dłonie człowieka zdolnego. Hrabiemu podobało się to, co widzi. Popatrzył z powrotem na twarz Phillipa.

- Ściągnąłeś na siebie nielichy problem, drogi chłopcze. Sabrina może nie zechcieć z tobą wrócić. To jest jej dom, sam o tym dobrze wiesz, i nie zamierzam jej zmuszać, by z tobą jechała, jeśli sama nie zechce.

Phillip był nieziemsko zmęczony, a na dodatek bardzo się martwił, tak bardzo, że teraz, siedząc w fotelu, wciskał złożone dłonie między kolana.

- Proszę mi wybaczyć bezceremonialność, *sir*, ale Sabrina jest moją żoną i robi to, co jej każe. Nie przyzwyczaiła się jeszcze do posłuszeństwa wobec mnie, ale prawdopodobnie to się szybko zmieni, gdy tylko zrozumie, o co mi chodzi. Tak, przyjechałem tu, by ją stąd zabrać. Koniec, kropka.

Niebieskie oczy hrabiego zabłyśły.

- Dziwi mnie, mój chłopcze, że moja wnuczka nie rzuciła się jeszcze na ciebie z batem, nie nazwała tyranem, ani nie próbowała cię zastrzelić.

Phillip uśmiechnął się, ale w tym uśmiechu było coś bolesnego.

- Prawdę powiedziawszy, kopnęła mnie w krocze. Nic przyjemnego. Myślałem, że umrę, i przez kilka pierwszych minut śmierć faktycznie byłaby wybawieniem. Sam nie wiem, jak mogę uśmiechać się teraz na wspomnienie tamtego wydarzenia. Przypuszczam, że dlatego, iż jestem tutaj i już niemal ją odzyskałem, no i wiem, że nie uczyniła mnie impotentem.

Hrabia nie mógł się powstrzymać; roześmiał się w głos, ale zaraz potem ściągnął ramiona w nagłym ataku bólu. Nie było łatwo, ale udało mu się nad tym zapanować. Dostrzegł niepokój na

twarży wicehrabiego i szybko począł go uspokajać:

- Proszę nie wstawać. Wiek i niedołęstwo to cholerna udręka, ale ostatecznie czeka nas wszystkich. Teraz najważniejsza jest dla mnie moja wnuczka. Wypowiadała się o tobie jako o człowieku dobrym i szlachetnym, *sir*.

- Na mnie z kolei nawrzeszczała, że jestem zarozumiałym dupkiem i próbowała nawet pozbawić mnie tego, co nazywa cholerną szlachetnością. Ale to już niedługo się skończy.

- Nie ożeniłeś się z Sabriną z poczucia obowiązku, prawda? Chodzi o szlachetność, czyż tak?

Phillip milczał dłuższą chwilę, nim odpowiedział:

- Istnieją pewne zasady, *sir*; kodeksy postępowania, które rządzą społeczeństwem; gdyby ich nie było, moglibyśmy z powrotem wejść na drzewo, ponownie zamieszkać w jaskini i nosić zwierzęce skóry. Przypuszczam, że na samym początku moja propozycja, byśmy się pobrali, podyktowana była poczuciem obowiązku, ale Sabrina kilkakrotnie mi odmówiła. Jak się pan bez wątpienia orientuje, to nieuchronnie zbliżający się ostracyzm londyńskiej śmietanki towarzyskiej zmusił wreszcie Sabrinę, by za mnie wyszła, i do tego stopnia, że to ona mi się oświadczyła. Nie żałuję oczywiście, że się z nią ożeniłem, i wątpię, bym kiedykolwiek tego żałował, nawet jeśli znów kopnie mnie w przyrodzenie. Choć może wtedy z przyjemnością rozważę opcję uduszenia jej. Sam pan rozumie, mężczyzna wiele może znieść, ale nie to.

- Doskonale cię rozumiem. Powiedziałeś, że nie żałujesz, że się z nią ożeniłeś, ale mimo wszystko jest to małżeństwo, które w pewien sposób zostało wam narzucone przez zasady, jakie rządzą w społeczeństwie i w towarzystwie. Zastanawiam się więc, czy takie małżeństwo może się rozwijać, jeśli nie ma w nim nic więcej poza owymi zasadami.

- Sabrina mnie kocha. Powiedziała mi to.

- Uwierzyłeś jej? - Hrabia spuścił wzrok na swoje powykrzywiane palce; niech szlag trafi ból, jaki mu przynosiły. - A może po prostu pomyślałeś, że to mała dziewczynka, która bawi się w kobietę i jedynie durzy się w tobie?

- Tak, to prawda, tak właśnie pomyślałem, bo nie chciałem, żeby mnie kochała. Taka perspektywa śmiertelnie mnie przerażała, fakt, że mnie kocha i oddaje mi wszystko, całą siebie. Powiedziałem jej, że to tylko zauroczenie. Byłem głupcem, teraz to przyznaję. Mam zamiar jej to powiedzieć, jak tylko się z nią zobaczę.

- Sabrina jest bardzo dumna, ale także uparta, jak jej babka. Jeśli na coś się uprze i jakaś myśl pojawi się w jej głowie, to musiałby nastąpić koniec świata, by zmieniła zdanie. Życzę ci powodzenia, młody człowieku.

- Cóż, jest dumna i uparta, chyba więc do siebie pasujemy.

- Być może, ale doprowadzi was to do wielu konfliktów i kłótni, nie mam co do tego najmniejszych wątpiwości.

- Jeśli tylko nie będzie próbowała zmasakrować mi genitaliów, może sobie pisać i krzyżeć, ile tylko zechce. Prawdę powiedziawszy, jest wręcz znakomita w ciskaniu przedmiotami, na przykład talerzami czy słoikami dżemu, i z reguły celuje w moją głowę. - Phillip wstał. - Sabrina źle mi się przysłużyła, wyjeżdżając z Londynu, nim zdążyłem z nią porozmawiać. - Zmarszczył brwi. - Nie, w zasadzie to nie do końca tak. To ja ją zostawiłem. Zaszyłem się gdzieś w sobie i nie mogłem dojść z tym wszystkim do ładu. Prawdą też jest, że niezbyt dobrze nam się układało od dnia ślubu. Teraz jednak mam szczerzy zamiar udowodnić, że Sabrina już nigdy źle nie odczyta moich uczuć. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie mogę ją znaleźć?

- A jeśli nie będzie chciała z tobą rozmawiać? W orzechowych oczach Phillipa pojawił się osobiście łagodny uśmiech.

- Zaczę ją całować i nie przestanę, aż zupełnie odejdzie od zmysłów. Jeśli będę musiał, gotów jestem nawet ją związać, a potem zacząć ją całować.

- Najprawdopodobniej znajdziesz ją albo w sadzie, albo w stajni; zapewne bawi się z kociakami Panny Pixel.

- Zastanawiam się właśnie, czy to możliwe, by wśród nich był jakiś kotek wyścigowy.

- Ach, tak... Nawet do moich uszu dotarła sława trenerów kotów z południowej Anglii. To cudowny sport, choć tu, na północy, nie jest jeszcze tak popularny. Ale oczywiście wszyscyśmy tu słyszeli o wyścigach McCaultry Racecourse niedaleko Eastbourne. Masz kota wyścigowego?

- Nie, jeszcze nie. Ale jeśli Sabrina jest teraz z kociakami, przyjrzę się im i może w którymś z nich zauważę potencjał. Kto powiedział, że to trenerzy mają wybierać koty? Jeśli tylko będę miał na to czas, może sam opracuję jakieś metody trenowania kotów?

Phillip raz jeszcze delikatnie uściśnął dłoń hrabiego.

- Dziękuję panu, *sir*. Sabrina jest teraz moja. Wiem, że nie byłem dla niej dobry, odkąd się pobraliśmy, ale teraz będę się nią opiekował. I związę ją, jeśli będę musiał. Będzie mnie słuchała.

- Może i będzie - odparł stary hrabia i odprawił Phillipa. - Powodzenia. Będzie ci potrzebne.

- Proszę pozwolić, że się pożegnam, *sir*, zarówno w swoim imieniu, jak i pańskiej wnuczki. Przyjedziemy, oczywiście razem, by pana odwiedzić, za jakieś kilka tygodni. - Phillip uśmiechnął się.

- Nie, nie zabiję Trevora, jeśli tylko mnie nie sprowokuje. Choć z drugiej strony już samo myślenie o tej kanalii mnie prowokuje...

Na dole Phillip natknął się na Ribble'a.

- Spakowałeś walizę jej lordowskiej mości?

- Phillip nie miał zamiaru spędzić nocy pod jednym dachem ze szwagrem Sabriny.

- Oczywiście, proszę pana. Sabriny nie było jednak w sadzie, nie było jej też w stajni i nie bawiła się z kociętami Panny Pixel; Phillip nie marnował więc czasu, by sprawdzić, czy jest między nimi kociak, który mógłby kiedyś brać udział w wyścigach.

Gdzie ona jest, u diabła? Krzyk Phillipa odbił się echem w całej stajni. Natychmiast podbiegł do niego stajenny, Elbert.

- Lady Sabriny tu nie ma, psze pana. Kazała mi przekazać panu wiadomość.

Chłopak stał przed Phillipem, przebierał nogami i wyglądał, jakby chciał się schować gdzieś w kopie siana. Phillip był tak wściekły, że miał ochotę wytrząsnąć z niego tę wiadomość od Sabriny.

- O co chodzi? Myśl i powiedz wreszcie.

- Pedziała, psze pana, że mam panu powiedzieć, że wyjeżdża z Monmouth Abbey. I jeszcze, że nie wróci, dopóki pan stąd nie wyjedzie. I pedziała jeszcze, że nie chce pana oglądać, psze pana, i że w spokoju ma pan ją zostawić, ot co.

- Powiedziała, dokąd się udaje? - zapytał Phillip spokojnie, choć w jego głosie pobrzmiwała wściekłość. Chłopak pokręcił głową. - Wzięła konia?

- No wzięła, brązową klacz.

- Jaką brązową klacz?

- No taką normalną, brązową klacz, psze pana. E tam, nic specjalnego, zwykła brązowa klacz, koń jak koń. Ja tam nic więcej nie wiem, psze pana. Nikt tu nic więcej nie wie, psze pana.

Phillip doskonale wiedział, że chłopak coś kręci; miał ochotę go stłuc, ale nie miał na to czasu, a w tej chwili to właśnie czas najbardziej się liczył. Musi ją znaleźć. Szczerze wątpił, by Sabrina komukolwiek powiedziała, dokąd się wybiera, bo znała Phillipa na tyle, by wiedzieć, że wyciągnąłby ze stajennych każdą informację. Istotnie, gdyby przypuszczał, że mogą coś wiedzieć, wyrwałby im te informacje z gardła.

- Jasna cholera! Phillip odwrócił się na pięcie i wyszedł ze stajni.

ROZDZIAŁ 42

Dinwitty Manor

Witaj, moja droga. Ty z pewnością jesteś, Sabrina, żona Phillipa. Masz piękne imię i bardzo uwodzicielskie oczy. I ten ich fiołkowy kolor! Zupełnie niepowtarzalny, nie pospolicie błękitne jak moje. Nauczę cię, jak dzięki tym pięknym oczom osiągać, co tylko zechcesz. Jesteś jeszcze bardzo młoda, masz dużo czasu, by się uczyć, ale będziesz musiała się starać. A ja jestem Charlotte Carrington, matka Rohana ma się rozumieć.

- Naprawdę może mnie pani tego nauczyć? Bym dzięki oczom doprowadzała mężczyzn na skraj szaleństwa?

- Przecież o to właśnie w tym chodzi, moja droga. Naukę należy zacząć oczywiście od własnego męża.

- To akurat może stanowić pewien problem, Charlotte.

Sabrina zrobiła krok w tył, a najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziała, niemal wpłynęła do domu, jakby nie dotykała ziemi, niczym księżniczka z bajki, unoszona na złotych pantofelkach. Cotter, kamerdyner w posiadłości Merceraultów, także wpatrywał się w nią jak zaczarowany. Dostrzegła też trzech lokajów, którzy popychali jeden drugiego, byle tylko ją zobaczyć. Charlotte wyglądała jak bogini; gęste blond włosy miała zmyślnie ufryzowane w artystyczny kok na czubku kształtnej głowy, jej błękitne oczy błyszczały jak brylanty i wcale nie były, jak twierdziła, nudne, raczej hipnotyzujące, a idealne wprost rysy twarzy i proporcje ciała sprawiały, że ktokolwiek ją dostrzegł, zatrzymywał się i z zapartym tchem wpatrywał w tę zjawiskową postać. Sabrina wyciągnęła dłoń na powitanie.

- Witam, Charlotte. Przykro mi, ale wicehrabiego tu nie ma i prawdę powiedziawszy, nie wiem, gdzie jest. A pani skąd się tu wzięłaś? Mogę jakoś pomóc? A może znajdzie pani chwilkę, by dać mi lekcję na temat oczu?

- Hm, uwielbiam te mauretańskie łuki, zawsze mi się podobały. To chyba gdzieś w siedemnastym wieku ktoś z rodziny Mercerault polecił je wybudować.

- O tak, Dinwitty Manor to jeden z dziwniejszych domów, jakie w życiu widziałam. Phillip powiedział, że pewnie wystarczy mi jedno spojrzenie na dom i zacznę zwijać się ze śmiechu, ale tak się nie stało. Może to dlatego, że gdy tu przyjechałam, czułam się trochę nieszczęśliwa, choć nie sądzę, by to właśnie był powód. Przecież dom i okolice są czarujące. Och, przepraszam, Charlotte, proszę wejść do salonu. Stoję tu i gapię się, zupełnie zapomniawszy o dobrych manierach; ale to wszystko dlatego, że jest pani tak niewiarygodnie piękna. Trudno uwierzyć, że jest pani matką Rohana.

- Wiem, ale to prawda, jestem jego matką. Jak rozumiem, mój kochany synek był świadkiem Phillipa na waszym ślubie, prawda?

- Owszem. Niestety jego żona nie mogła przyjechać do Londynu. A czemu pani nie przyjechała, *madame*?

- Byłam w Paryżu, moja droga. Przyjechałam do Mountvale Hall niespełna dwa dni temu. Augustus i ja właśnie wróciliśmy z Moskwy; to doprawdy fascynujące miejsce i na szczęście wszyscy tam mówią po francusku. Czyż to nie dziwne? W tym kraju mieszka więcej ludzi, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić, a mimo to cała arystokracja i członkowie znamienitych rodów, wszyscy mówią po francusku.

- Hej, mamo, już zamęczasz biedną Sabrinę? Rohan Carrington, z czarującym uśmiechem na twarzy, stanął tuż za najpiękniejszą istotą na świecie, która żadną miarą nie mogła być jego matką.

- Rohanie, to naprawdę twoja matka? Wiem, teoretycznie, że tak właśnie jest, ale jak na nią patrzę, nie mogę w to uwierzyć.

- Tak, niesamowite, prawda? Toby, mój szwagier, przysięgał, że myślał, że to moja młodsza siostra. O, a oto i moja cudowna żona, Susannah. Kochanie, to Sabrina, żona Phillipa.

Sabrina, którą wręcz oślepiła uroda Charlotte, musiała przywitać się z Susanną. Uścisnęła dłoń ładnej młodej damy, która wyglądała na niewiele od niej starszą, i zaprosiła wszystkich do salonu.

- Nabrałaś już nieco ciała, Sabrino? - zapytała Susannah, zdejmując rękawiczki i uśmiechając się przy tym jak nieskruszony grzesznik.

- Ach tak, więc byliście tu już wcześniej. O mój Boże, to takie trudne, prawda? Kucharz tylko raz na mnie spojrzął i przysięgł, że nie pozwoli mi stąd wyjechać, nim przestanę się mieścić w moje suknie. - Nagle zażenowana, Sabrina urwała. Cotter, który natychmiast polubił swoją nową panią, i to wcale nie dlatego, że jest słodka, zagubiona i budzi współczucie, ale dlatego, że bez wątpienia dzięki niej pan wreszcie się ustakuje, gdy tylko znów zaczną ze sobą rozmawiać, ten właśnie Cotter był dosłownie wręcz zachwycony, widząc w Dinwitty barona Mountvale z damami. Wszystko znów będzie tak, jak być powinno. Cotter aż potarł ręce z radości.

Podszedł do przybyłych i pomógł im pozbyć się peleryn, podając je dwóm milczącym lokajom, którzy wzroku nie mogli oderwać od Charlotte Carrington. Potem zapytał uprzejmie:

- Czy chce pani, by herbatę podano w salonie?

- O tak. Dziękuję ci, Cotter. Sabrina poprowadziła wszystkich do salonu.

Gdy usiedli, Sabrina gwałtownie spuściła głowę, jej ramiona ciężko opadły.

- Przepraszam, ale Phillipa tu nie ma - wyrwało jej się. - I nie wiem, gdzie jest. Sama nie wiem, po co tu przyjechałam, ale wydawało mi się, że to jedyne miejsce, gdzie mogę się schronić. Widzisz, uciekłam z Monmouth Abbey, gdy zjawił się tam Phillip. Jestem w Dinwitty już od trzech dni, ale on tu nie przyjechał. Wszystko strasznie się pogmatwało i sama już nie wiem, co robić.

- Pogmatwane sytuacje to moja specjalność - odparł Rohan i pocałował Sabrinę w rękę. - Posłuchaj, Phillip na pewno wie, co robi, jak zwykle zresztą. - Odwrócił się do żony. - Moja droga, jak tam twój brzusek?

Susannah wyglądała, jakby wsłuchiwała się w samą siebie.

- Dobrze, naprawdę dobrze. To doprawdy zaskakujące - zwróciła się do Sabriny. - Ledwie godzinę temu Rohan musiał zatrzymać powóz, tak źle się czułam. To właśnie dlatego nie mogłam przyjechać na wasz ślub. Wybacz mi, proszę.

Charlotte, lady Mountvale, która odziedziczyła tytuł po zmarłym mężu, uśmiechnęła się do Sabriny.

- Wydaje mi się, że powinnam bliżej przyjrzeć się skrzydłu w stylu Tudorów. Minęło już ładnych kilka lat, odkąd widziałam je po raz ostatni. Nasz drogi Phillip powiedział, że zamierza wprowadzić tam kilka zmian.

- Cóż, *madame*, mnie się wydaje, że Phillipa bardziej interesuje średniowiecze.

- Ach, tak, chodzi o wieżę z blankami - odezwał się Rohan. - Powiedział, że mu się to znudziło i zaniechał dalszych planów budowy, chyba jakoś w ubiegłym roku, późnym latem, gdy wróciliśmy ze Szkocji.

- Cotter, zawołaj tych dwóch przemiłych lokajów - poleciła Charlotte - i powiedz im, żeby zabrali mnie do skrzydła w stylu Tudorów. Całą czwórką możemy tak chodzić i rozmawiać, i tą metodą uda nam się nie zjeść wybornej szarlotki, którą z pewnością zaraz uraczy nas kucharz. - Zwróciła się do Sabriny: - Na pewno się zaprzyjaźnimy. Ach, te twoje oczy. Jakaż to będzie dla mnie przyjemność móc zaopiekować się tobą i cię uczyć.

- Jest taka piękna. - Sabrina wpatrywała się w Charlotte. - To na pewno trudno być jej synową.

- Tak, szczególnie gdy jesteśmy tylko we dwie i przechadzamy się razem, a oczy wszystkich spoczywają tylko na Charlotte i mężczyźni niemal mdleją z zachwytu - wyjaśniła Susannah. - Wiesz, Charlotte nigdy nie wspominała, by i mnie chciała wziąć pod swoje skrzydła. To niesprawiedliwe.

- Cóż, jest jeden mężczyzna, który mdleje tylko wtedy, gdy widzi ciebie. Nie bądź zazdrosna o mamę, to takie zniechęcające. Nie stara się tobą kierować, bo wiem, że nie spodobałoby mi się, gdybyś zaczęła skupiać na sobie uwagę innych dżentelmenów.

Susannah roześmiała się i szturchnęła Rohana w ramię.

- Szkoda, że Phillipa tu nie ma.

- Cóż, myślę, że lada chwila dowie się, gdzie jesteś, Sabrino.

- Może i tak, ale to nie znaczy, że tu przyjedzie. Zaufaj mi, wiem, co mówię.

Rohan i Susannah Carrington tylko się uśmiechnęli i potem równocześnie odwrócili się w stronę otwartych drzwi. W progu, milcząc, stał Phillip. Ukłonił się wszystkim.

- To jakiś cholerny nonsens i doskonale o tym wiesz, Sabrino - powiedział tak po prostu. - Gdybyś nie uciekła z Monmouth Abbey, widziałabyś, jak umieram z niepokoju i rwę sobie włosy z głowy.

- Phillip! - Sabrina skoczyła na równe nogi i podbiegła do niego z wyciągniętymi rękoma, ale nagle zamarła; stała jak słup soli, tak chuda i blada, że ten widok go poraził.

- Pozwól, że wyznam ci całą prawdę. To ja wciągnąłem w to wszystko Susannę, Rohana i Charlotte. To moi pomocnicy, moi świadkowie, moja obrona. Mieli za zadanie dostać się tu, nieco cię uspokoić i zmiękczyć, a dopiero potem przyszedł czas na moje wejście w wielkim stylu. Co o tym sądzisz? Czy to dobra strategia?

Sabrina patrzyła na nich wszystkich po kolei, jakby postradała zmysły.

- Obiecująca, prawda? - Phillip sam sobie odpowiedział na pytanie. - Tak, przyjechali tu tuż przede mną; taki właśnie był plan, bo bałem się, że gdybym przyjechał sam, znów byś uciekła. Sama rozumiesz, nie możesz tak po prostu wystawić naszych gości do wiatru, prawda? Nie byłoby to stosowne zachowanie i wiem, że nigdy byś tak nie postąpiła. A to są nasi goście i zasługują na to, by zajęła się nimi pani domu.

Sabrina nadal stała pośrodku salonu; w dłoniach miętoszyła fałdy muślinowej sukni.

- Nawet się ze mną nie przywitasz, Sabrino?

- Witaj. Jestem tu od trzech dni. Cała twoja służba jest dla mnie bardzo miła. Gdy tu przyjechałam i powiedziałam, kim jestem, natychmiast przyjęli mnie jak panią tego domu. Obawiałam się tego, bo od wsi musiałam przyjść piechotą; byłam zmarznięta i brudna; mimo to przyjęli mnie bez chwili wahania, a kucharz próbuje mnie utuczyć. Byłam wszystkim tu bardzo

wdzięczna, ale cały czas jest tak zimno i w ogóle nie ma słońca - paplała Sabrina bez sensu - i jedyne, co można tu robić, to spacerować po domu, pod mauretańskimi łukami i jońskimi kolumnami, i marzyć o średniowiecznych wieżach, które można by wybudować tuż za apartamentem i pokojami muzycznymi w stylu włoskim, tuż za wschodnim skrzydłem.

- Czy poprawiło ci to nastrój?

- Tak. Och, Phillipie, tak mi przykro, że uciekłam, ale sama już nie wiedziałam, co robić. Nie martw się, że nie miałam wystarczająco dużo pieniędzy; miałam. Wynajęłabym powóz, by tu przyjechać, ale nie starczyło mi czasu. Myślałam, że wtedy z łatwością byś mnie dogonił, więc pojechałam dyliżansem.

Na twarzy Phillipa pojawił się nieładny grymas.

- Tak, wiem, że pojechałaś dyliżansem, ale nim się o tym dowiedziałem, było już za późno; wtedy prawie już dotarłaś do celu.

- Chciałaś mnie zamordować, prawda?

- Dlaczego myślisz, że już nie chcę?

- O nic cię nie obwiniam. Gdybym była na twoim miejscu, najpewniej nadal pałałabym żądzą mordu. - Sabrina odwróciła się do Rohana i Susannah, którzy w milczeniu, trzymając się za ręce, siedzieli na uroczej niebieskiej sofie. - Nie rozumiecie? Kopnęłam go w krocze, bo przyłapałam go z kochanką...

- Tak, to prawda, ale nic z nią wtedy nie robiłem. Prawdę mówiąc, zamierzałem ją właśnie poinformować, że postanowiłem stać się takim człowiekiem, jak Rohan. Że zamierzam zaprojektować wieże w średniowiecznym stylu, a Rohan zaprojektuje ogrody, i że obaj już zawsze będziemy żyć uczciwie i przyzwoicie. Zamierzałem również obiecać ci, że nie przytyję od niesamowitej kuchni naszego kucharza z Dinwitty.

- Phillipie, ale przecież ja tak bardzo cię skrzywdziłam. - Sabrina popatrzyła na Rohana. - Po tym, jak go kopnęłam, Phillip upadł i jęczał z bólu. Myślałam, że umiera. - Potem ponownie zwróciła wzrok na męża. - Gdy wróciłeś do domu, myślałam, że mnie zamordujesz albo uderzysz, ale nic takiego nie zrobiłeś.

- Zrobiłem coś znacznie gorszego: wyszedłem i zostawiłem cię samą. Przepraszam, że to zrobiłem, Sabrino, ale wtedy naprawdę nie wiedziałem, co się dzieje w mojej głowie, co o tym wszystkim myśleć. Myśli kotłowały mi się w głowie, szalały jak skrzydła nietoperza i łapy jaszczurki we wrzącym kociołku czarownicy.

- Kucharz właśnie przygotował obiad, więc muszę przerwać państwu rozmowę - odezwał się Cotter, wprowadzając dwóch lokajów, tym razem innych niż ci, którzy odebrali od gości peleryny i rękawiczki i towarzyszyli Charlotte Carrington w spacerze. Lokaje wnieśli tace pełne wyborowego jadła.

- Cotter, myślałem, że poszedłeś z moją matką.

- Jej lordowska mość znajduje się obecnie pod czułą opieką trzech stajennych, dwóch lokajów, dwóch pokojówek, w tym jednej nieletniej, i mopsa o imieniu Orion. Uznałem za właściwe upewnić się, czy wszystko przebiega zgodnie z planem.

- Zgodnie z planem? - zdziwiła się Sabrina. Zapach wyborowego jedzenia stawał się coraz intensywniejszy; Susannah jęknęła.

- Jesteś taka szczupła, Sabrino - zaczęła. - Możesz sobie pofolgować, ale myślę, że nie dłużej niż tydzień, bo możesz się przyzwycząić, a wtedy jesteś zgubiona, uwierz mi. Staniesz się najgrubszą

damą w całej Anglii. Phillipie, wydaje mi się, czy to ciasto borówkowe? O Boże, co za zapach. Możesz mi je podać?

- Proszę, Susanno. - Podał jej tacę, ale i sam poczęstował się ogromnym kawałkiem. Zamknął oczy, kosztując; dopiero po chwili przełknął i mógł dalej mówić: - Sabrino, przysięgasz, że już nigdy ode mnie nie uciekniesz? Że zostaniesz ze mną i razem się zastanowimy, co z tym wszystkim zrobić?

- Ale, Phillipie, przecież ty mnie nie kochasz. Cotter, co to jest?

- Ciasto ze śliwkami. Kucharz w tym tygodniu wszystko robi z owocami.

Susannah, mimo że miała pełne usta, przestała przeżuwać ciasto. Cała ta rozmowa robiła się zbyt osobista. Zerknęła na męża, który tylko skinął głową, ale się nie poruszył; odezwał się cicho, a po wyrazie jego twarzy w ogóle nie można było się domyślić, że cokolwiek mówi:

- Siedź spokojnie i nie ruszaj się; po prostu bądź meblem, elementem wyposażenia. Teraz tak trzeba. Phillip nam powie, jeśli będzie nas potrzebował albo jeśli będzie chciał, byśmy wyszli. W każdym razie Sabrina coś mówi, wyjaśnia. Udało się nam.

- Dlaczego myślisz, że cię nie kocham? - zapytał Phillip. - Myślisz, że nie zasługujesz, by cię kochać?

- Ale, Phillipie, chodzi o twoją wolność. Próbowałam, naprawdę próbowałam, ale ty chcesz mieć kochankę, a ja nie mogę tego znieść, po prostu nie potrafię.

- Dlaczego więc przyjechałaś tu, do Dinwitty Manor? Myślisz, że nie przywiózłbym tu kochanki, gdyby przyszła mi na to ochota?

Przyjęła ten cios, ale zaraz potem wyprostowała się i zaatakowała:

- Nie. Jeśli jeszcze kiedyś będziesz chciał mieć kochankę, policz się z tobą.

Phillipowi ulżyło, gdy jego żona znów pokazała swą zazdrość i zaborczość.

- Widzicie, miałem rację - zwrócił się do Rohana i Susannah. - Nie zapomniała, że tak naprawdę to mnie uwielbia, wręcz ubóstwia. Troszczy się o mnie. Myślicie, że naprawdę będzie chciała mnie wykończyć, jeśli zechcę znaleźć się w łóżku z inną kobietą? O tak, na pewno. Chce mnie całego dla siebie. Tyle dam mnie pragnie, ale ona żadnej nie pozwoli się zbliżyć. Cóż to za zachłanna kobieta.

Sabrina rzuciła w Phillipa kandyzowanym orzeszkiem.

Susannah jęknęła, ale nie dlatego, by się obawiała, że orzeszek trafi w Phillipa, ale ponieważ sama miała ochotę na orzeszka. Tylko kucharz z Dinwitty potrafił je przyrządzać w stary, tradycyjny sposób. Phillip, już przyzwyczajony do przedmiotów latających w jego stronę, zręcznie go złapał i podał Susannie.

- Nie, tylko jeden. Rohanie, pamiętasz jak kiedyś przysięgłem, że nigdy nie pozwolę, by nasz kucharz mnie utuczył. Tylko dwa dziennie, nie więcej. Sabrino, powiedz, kochasz mnie? Zechcesz to wyznać w obecności tych dwojga świadków?

ROZDZIAŁ 43

Sabrina wiedziała, że powinna się wstydzić, iż dwoje obcych ludzi musi patrzeć na to jakże dziwne przedstawienie, ale dziwnym trafem zupełnie jej to nie przeszkadzało. Nie wiedziała również, co tak naprawdę myśli Phillip i co dzieje się w jego głowie. Nigdy tego nie wiedziała. Patrzyła na niego bezradnie, ręce miała oparte na stole.

- Wiesz, że cię kocham. I powiem to każdemu, kto tylko zechce słuchać. Ale nie jestem kobietą, która potrafiłaby zaakceptować kochanki przy twoim boku, Phillipie.

- A może i ty chciałabyś mieć kochanka, Sabrino? Nie, nie ma mowy. Nawet o tym nie myśl. Po moim trupie.

- Przecież wiesz, że nigdy nic podobnego nie przyszłoby mi do głowy. Mówiłam ci, że kochanie się jest naprawdę okropne i żadna kobieta nie może czerpać z tego przyjemności. To było nieprzyjemne, było... - Sabrina urwała, widząc, że Phillip się zaczerwienił.

Rohan Zakrztusił się szarlotką, ale udało mu się zaczerpnąć powietrza na tyle, by się odezwać:

- Phillipie, nie chce mi się w to wierzyć. Ty? Ty nie zaspokoiliś swojej żony? Byłeś tak kiepski w łóżku, że nie chce mieć teraz z tym nic wspólnego? Dobry Boże, nigdy mi o tym nie wspominałeś! Przecież takie zachowanie jest niewybaczalne... Sam nie wiem, czy powinienem namawiać Sabrinę, by do ciebie wróciła, skoro nie potrafisz właściwie zająć się małżonką. To naprawdę odrażające i zupełnie nie do przyjęcia.

- Rohanie, uspokój się i zastanów przez chwilę. Ja kiedyś myślałam to samo, co Sabrina - oznajmiła Susannah z rozbrajającą szczerością. - To Charlotte mnie przekonała, wciąż mówiąc o swoim wspaniałym Rohanie, że przy nim żaba mogłaby zacząć śpiewać z rozkoszy, gdyby tylko Rohan zechciał włożyć w to umiejętności, które przekazał mu jego drogi papa przy wydatnej pomocy kochanek, które mu zapewniał w celach edukacyjnych, i to od chwili, gdy Rohan skończył czternaście lat.

- Susanno, wystarczy. Faktem jest, że dość szybko zmieniłaś zdanie. Wszystko, czego potrzebowałam, to trochę czasu razem z tobą w naszym łóżku, pamiętasz? Niezbyt dużo, jakieś dwie minuty.

- I potem wszystko było w porządku? Naprawdę ci się podobało? - zapytała Sabrina.

- Tak, naprawdę mi się podobało. I naprawdę mi się podoba.

- Ale Phillip zrobił mi to trzy razy jednej nocy, raz po razie. I to wcale nie było przyjemne, ale cierpliwie to znosiłam, bo go kocham. Cóż innego może w takiej sytuacji zrobić kobieta, która kocha swojego męża?

- Masz absolutną rację - przytaknął Phillip.

- Phillipie, do cholery, co się stało? Phillip popatrzył na przyjaciela z dziecięcych lat i odpowiedział tak po prostu:

- Zachowałem się jak ostatni tępak. Sabrina nie przyjęłaby mojej fachowej wiedzy w tej dziedzinie, ale powinienem wiedzieć, że w tym przypadku wiedza to nie wszystko. Ale już nigdy nie

zachowam się jak tępy jełop. - Phillip już się nierumienił; zrobił dwa kroki w stronę żony. - Nie, Sabrino, nie odsuwaj się ode mnie. Przysięgasz, tu, w obecności świadków, że mnie kochasz?

- Przysięgam.

- Dobrze. I ja też przysięgam, że cię kocham, prawdopodobniej nawet bardziej niż ty mnie. Moja miłość do ciebie powoli narastała, stawała się coraz silniejsza, jak ogień pod paleniskiem, tylko ja potrzebowałem czasu, żeby to zrozumieć i zaakceptować. Teraz płonie we mnie mocnym ogniem, który nigdy nie wygaśnie.

- Przecież to nie ma sensu. Nie naśmiewasz się ze mnie, mówiąc, że mnie kochasz? I nie przestaniesz mnie kochać?

- Nigdy. Przysięgam również, że dziś w nocy, jak tylko uprzejmiem pożegnamy się z gośćmi, będziemy doskonale się bawić. Wierzysz mi?

Sabrina nie odezwała się ani słowem, tylko patrzyła na Phillipa.

- Zaufaj mu - wtrąciła się Susannah. - O tak, zdecydowanie powinnaś mu zaufać. Kobieta i mężczyzna razem, to naprawdę może być cudowne, Sabrino. Życie jest pełne niespodzianek, nieraz tak bardzo, że połączenie się z mężczyzną, który naprawdę cię kocha, może nadać wszystkiemu sens i sprawić, że wszystko stanie się jasne, że znikną wszelkie problemy i łatwiej będzie znieść wszelkie kłopoty.

- Jeśli mu zaufasz, Sabrino - Rohan także wtrącił swoje trzy grosze - i dasz mu jeszcze jedną szansę, dasz mu to, co ja i Susannah przywieźliśmy tutaj z Mountvale Hall. Krótka mówiąc, jeśli mu zaufasz, wszystko się zmieni. Phillip jest wart prezentu, który możesz mu dać; wtedy na pewno okaże się, że uczucie i zaangażowanie się nie odstręczają go i że stał się poważnym, ustatkowanym mężczyzną.

- Czy wy w ogóle wiecie - Sabrina po kolei patrzyła na każde z nich - że to najdziwniejsza rzecz, jaka mi się w życiu przydarzyła? Phillipie, zaprosiłeś ich tutaj, bo bałeś się, że nie będę chciała z tobą rozmawiać?

- Uważałem, że potrzebuję świadków.

- Powiesz, że mu ufasz, Sabrino? - zapytała Susannah, która siedziała na wprost Sabriny.

- Teraz powinnam chyba znaleźć Charlotte gdzieś pod mauretańskimi łukami - odparła Sabrina wolno i jakby bez związku. - Chcę, żeby mnie nauczyła, jak najlepiej wykorzystywać oczy.

- Rohanie, pokona mnie twoja matka - jęknął Phillip.

- Potraktuj ją jako kolejnego świadka - odparł Rohan, a potem wziął kruche owocowe ciastko w kształcie kota, z błogim uśmiechem podał je żonie i przewrócił oczami.

Dotykał ustami jej brzucha, skubiąc delikatnie, jakby to było jedno z cytrynowych korzennych ciasteczek, z których sływał kucharz; potem te miejsca, które uszczypnął wargami, delikatnie lizał. To łaskotało i Sabrina zaczęła się śmiać. Zniknęło całe jej zdenerwowanie i napięcie, gdy Phillip na nią popatrzył i uśmiechając się szeroko, powiedział:

- Cóż za wspaniałe dźwięki. Rozgrzewa mnie do... eee, nieważne do czego. Odpręż się, Sabrino, i pamiętaj, że teraz już mi ufasz.

- Tak - odparła, ale wtedy już usta Phillipa były na jej wargach. Całował ją tak długo, że doprowadził ją niemal do utraty zmysłów; już chwilę później krzyczała, wyginała plecy w łuk i tak niespokojnie rzucała głową, że włosy opadały jej na oczy. - Phillipie!

Wchodził w nią równo i rytmicznie, potem wycofał się, by nieco się uspokoiła i by zwolnić rytm; piersi Sabriny unosiły się pod ciężkim oddechem. Uśmiechnął się. Rozkosz, którą jej dał, była dla

niego czymś przepięknym. Poczł ciepł w sercu. I znów w nią wszedł, powoli i delikatnie zanurzał się w jej wnętrzu. Sabrina uniosła biodra, a palcami głaskała go po plecach.

- O tak, tak jest cudownie. - Sabrina zadrżała i ugryzła Phillipa w ramię. - Cieszę się, że i Charlotta poradziła mi, bym ci zaufała. O mój Boże, Phillipie, to takie dziwne; wydaje się, że takiej rozkoszy nie można nawet sobie wyobrazić. Czy będziemy jeszcze kiedyś to robić?

Phillip jęknął i skończył w niej. Było to odczucie tak silne i wszechogarniające, że miał wrażenie, iż zaraz umrze z ogromu rozkoszy, jaką odczuwał.

- Tak - odpowiedział na jej pytanie jakieś pięć minut później, gdy wreszcie mógł mówić. - Tak, za kilka minut zrobimy to jeszcze raz.

- Światło świecy jest za ciemne, żebym mogła ćwiczyć na tobie posługiwanie się oczami - powiedziała pomiędzy kolejnymi pocałunkami.

- Sabrino, niczego nie musisz ćwiczyć, uwierz mi.

Sabrina wciąż delikatnie gładziła go po plecach.

- No dobrze - zaczął i położył ją sobie na torsie, uśmiechając się do niej. - I co na to powiesz, żono? Masz ochotę przejąć kontrolę?

- Nie rozumiem. Gdy zrozumiała, bardzo jej się to spodobało, tak samo zresztą jak Phillipowi. Gdy leżała na jego klatce piersiowej, z twarzą przy jego szyi, oddychając ciężko, zapytała:

- Dobrze cię ujeżdżałam?

- O tak, bardzo dobrze. Podobało mi się także, jak mnie gryzłaś. Trochę podobnie do mojej starej klaczy, ona też zawsze skubała mnie w ramię, a potem uśmiechała się do mnie tym swoim końskim pyskiem.

- To jakiś nonsens. Klacz się uśmiechała?

- Oczywiście. Znalazłem ją gnuśniejącą w stajni gdzieś w Szkocji, gdzie razem z Rohanem i Susanną spędzaliśmy lato ubiegłego roku. Lekko mnie ugryzła i uśmiechnęła się do mnie. Obiecałem jej wtedy, że ją kupię i tak też zrobiłem; przywieziono ją kilka tygodni później. Mam ją od października ubiegłego roku. Rzy zawsze, gdy mnie widzi.

- Widziałam ją. Wygląda na to, że mnie nie lubi. Nie próbowała mnie ugryźć.

- Porozmawiam z nią i postaram się przekonać, by cię zaakceptowała.

- Phillipie, tak się cieszę, że ci zaufałam. To wszystko, co robimy, jest naprawdę wspaniałe.

- Chciałabyś nauczyć się, jak robić mi pewne rzeczy?

Sabrina uniosła się na łokciach; włosy opadały jej po obu stronach twarzy, tworząc jakby zasłonę. Oczy błyszczały.

- O tak, bardzo chętnie. Czego mnie nauczysz?

- Jutro. Dziś zaspokoilem cię już dwa razy, czuję więc, że mogę ci teraz powiedzieć, że jeśli jeszcze raz ode mnie uciekniesz, uduszę cię, a twoje ciało wrzucę do rzeki Ledlow. Choć trudno to w ogóle nazwać rzeką, to raczej błotniste bajoro, ale trudno, jeśli uciekniesz, to sama sobie na to zasłużysz. Obiecujesz, że już nigdy nie uciekniesz?

- Obiecuję. Mam też obiecać, że już niczym nie będę w ciebie rzucać?

Zastanowił się chwilę.

- Nie, uczę się robić uniki. Poza tym wyrabia mi to refleks, bo wiem, że w przeciwnym razie skończę z talerzem albo cytrynowym ciastem na twarzy. - Nagle Phillip spoważniał. Położył Sabrinę na plecach, obok siebie i oparłszy się na łokciu, patrzył na nią poważnym wzrokiem. - Jesteś piękna, Sabrino. Musisz się przyzwyczaić, że będę ci to często powtarzał. Ale chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Jesteś kobietą, którą Bóg stworzył specjalnie dla mnie; jesteś moim skarbem. Znaczysz dla mnie więcej niż wieża z blankami, którą tu razem wybudujemy. Kocham cię i będę cię kochał aż do końca moich dni. Rozumiesz to?

Uniosła rękę, by delikatnie pogłaskać go po policzku.

- Każdej nocy będę dziękowała Bogu, że sprowadził na świat Trevora.

- Trevora? A co on ma do tego?

- Gdyby nie Trevor, nigdy bym cię nie spotkała. Nawet gdybym natknęła się na ciebie w Londynie, wątpię, byś na mnie spojrział.

Zupełnie się z nią nie zgadzał, ale uśmiechnął się do Sabriny i pocałował ją, powiedział:

- Jutro więc napijemy się za zdrowie Trevora. Czy mogę raz jeszcze powalić tego łajdaka na ziemię?

- Kiedyś pewnie tak. Ale zrobimy to razem. Razem, pomyślał. Jeszcze nigdy nie był częścią czegoś, co można określić słowem „razem”. Całkiem miłe uczucie.

Zasnął z Sabriną przytuloną do jego boku; śniły mu się pocałunki, które składała na jego torsie.

Zerwał się na równe nogi, całkiem rozbudzony. Był środek nocy.

- Phillipie? Co się stało? Nic ci nie jest? Chcesz, żebym jeszcze bardziej ci zaufała? Bardzo mi się to podobało.

- Tak, chciałbym, ale teraz chciałbym prezent, który obiecał mi Rohan. Wiesz, o czym mówił? Zupełnie o tym zapomniałem. Powiedział, że dasz mi go, gdy cię zadowolę.

- Powiem mu, że to zrobiłeś, i dostaniesz swój prezent.

- I chcę widzieć głupkowaty uśmiezek na twojej twarzy, gdy będziesz mu to mówić - dodał, wstając z łóżka. - Im głupszy uśmiezek, tym większe prawdopodobieństwo, że ci uwierzy.

- Phillipie, jest środek nocy.

- Owszem, ale Rohan zasłużył sobie, by go obudzić. Powinien dać mi mój prezent bez stawiania zbędnych warunków i nie powinien wątpić, że tym razem cię nie zawiodę.

Poczuł pod gołymi stopami lodowato zimną podłogę. Owinął się szlafrokiem i mocno zacisnął pasek.

- Chcę teraz dostać mój prezent. Który pokój zajmują Rohan i Susannah?

- Ten błękitno - śliwkowy. Phillipie, poczekaj na mnie.

Trzy minuty później drzwi błękitno - śliwkowego pokoju otworzyły się gwałtownie. Rohan natychmiast się obudził i dostrzegł świecę zbliżającą się do twarzy jego i Susanny. Coś jest nie tak. Och, Boże, co się stało? Zaraz, to przecież Phillip. O co tu chodzi? Obok niego stoi Sabrina.

- Phillipie, co się stało? Co ty i Sabrina robicie w naszej sypialni w środku nocy? Susannah, kochanie, nie bój się, nic się nie stało. To tylko Phillip i Sabrina. Bez wątpienia zaraz nam wyjaśnią, co tu robią o tak dziwnej porze.

- Chcę mój prezent, Rohanie. Powiedziałeś, że przywiozłeś dla mnie prezent.

- Ach, to o to chodzi. - Rohan ziewnął; wyprostował się i podrapał po brzuchu. - Susanno, Phillip obudził nas w środku nocy, żebyśmy dali mu jego prezent. Myślisz, że powinniśmy mu go wręczyć?

Susannah spojrzała najpierw na Phillipa, potem na Sabrinę.

- Zadowolili cię?

- O tak. Proszę, daj mu jego prezent.

- Mam nadzieję, że jej nie zgmiotłem - odezwał się Rohan. - Gdzie ona jest?

- A więc jednak to prawda - Phillip niemal krzyknął, podbiegając do łóżka. - Przywieźliście mi

kota wyścigowego! Zawsze chciałem takiego mieć, odkąd byłem dzieckiem, ale bracia Harker powiedzieli, że nie jestem wystarczająco odpowiedzialny, że prawdziwy kot wyścigowy wymaga wielu wyrzeczeń. Ciebie za to zawsze uważali za odpowiedzialnego i dlatego to właśnie tobie dali kociaka po Gilly. A teraz ja będę miał swojego, którego będę mógł trenować i uczyć. - Phillip szybko postawił świecę na nocnym stoliku i przytulił do siebie Sabrinę, a potem wziął na ręce i zrobił kilka szybkich obrotów. - Wyścigowy kociak, Sabrino. Nareszcie!

- Poczekaj, Phillipie, zaraz ją znajdę. O, jest tutaj. - Susannah wyjęła spod kołdry małą kotkę, tak zaspaną, że zupełnie bezwładnie zwisała jej z dłoni. - Ma dopiero dziewięć tygodni, ale bracia Harker twierdzą, że już można zacząć z nią trenować. Przekazali dla ciebie stosowne instrukcje, wszystkie je spisałam. I musisz przysiąc, że nikomu ich nie zdradzisz.

Phillip niemal z czcią wziął swój prezent z rąk Susanny. Kotka była czarno - biała i delikatna jak skóra Sabriny pod kolanami. Właśnie otworzyła zaspane oczęta i patrzyła na niego nic niewidzącym spojrzeniem swych złotych oczu. Phillip lekko podrapał ją pod pyszczkiem.

- Jest cudowna. Sabrino, jak ją nazwiemy? Sabrina wzięła kotkę na ręce i przytuliła ją do piersi.

- Trzeba dać jej jakieś imię, ale to nie może być nic sentymentalnego. Kot wyścigowy nie może mieć jakiegoś rozczulającego imienia, bo nikt nie będzie traktował jej poważnie. Dajmy jej jakieś wspaniałe imię, które kojarzy się z wielkimi dokonaniem. Nazwijmy ją Olimpia.

- Tak - przytaknął Phillip, biorąc kotkę z rąk Sabriny. Pocałował ją w mały łeppek i pogłaskał po wąsach. - Olimpia. Doskonale brzmi, prawda? Już myślę o jej wyczynach. Kiedy za kilka tygodni będziemy jechali z wizytą do twojego dziadka, Sabrino, weźmiemy Olimpię ze sobą. Twój dziadek interesuje się kotami wyścigowymi; wiele wie o trenerach z Mountvale i o wyścigach w McCaultry Racetrack.

Phillip, jego żona i nowy wyścigowy kotek opuścili sypialnię Rohana i Susanny; Phillip pogwizdywał coś kociakowi pod nosem.

Sabrina odwróciła się jeszcze, gdy już prawie wychodzili; zarówno Rohan, jak i Susannah uśmiechali się do niej.

- Dziękuję wam. Naprawdę go uszczęśliwiliście.

- Nie, Sabrino, kociak nie jest teraz najważniejszy - odparł Rohan. - Ty jesteś dla niego najważniejsza, nie ten kotek.

- Myślicie więc, że i mnie może nosić na rękach i pogwizdywać?

Wyszła z sypialni Rohana i Susanny, którzy zanosili się śmiechem. Życie jest piękne, po prostu piękne.

- Mam teraz i żonę, i kota, którego mogę trenować, by został najlepszym kotem wyścigowym w całej Anglii - odezwał się Phillip, gdy z powrotem znaleźli się w łóżku. - Myślę, że to przyjemniejsze niż wybudowanie całego tuzina wież.

Sabrina pogłaskała Phillipa po brzuchu.

- Zastanawiam się, którą z nas wolisz: mnie czy Olimpię.

- To nie jest żaden konkurs. Ale jak myślisz, Sabrino, jak szybko potrafisz biegać?

Usypiając, Sabrina wciąż czuła radość wypełniającą jej serce. Spała z głową na ramieniu Phillipa, nosem niemal dotykała małej wyciągniętej łapki Olimpji, bo kociak spał na piersi Phillipa.

EPILOG

Tor wyścigowy McCaultry Racetrack niedaleko Eastbourne dwa i pół roku później

Tłum piszczał i wrzeszczał. W wyścigu brało udział sześć kotów, ale tylko dwa, Gilly z Mountvale Mews i Olimpia z Dinwitty, były teraz w centrum uwagi. Gilly wyciągał łapy, by dobiec do Jamiego, który stał na linii mety i śpiewał ulubione limeryki Gilly. Z boku, tuż za Gilly, biegła Olimpia. Jej długie nogi błyskawicznie pokonywały odległość; wzrok miała skupiony na celu, do którego zmierzała, a w tym przypadku był to kucharz z Dinwitty Manor, który stał na mecie tuż obok śpiewającego Jamiego i wyciągając ręce przed ogromny brzuch, wołał przeszywającym głosem, który niemal zagłuszał Jamiego:

- Chodź, tutaj, moja słodziutka! Chodź, moja mała, masz tu swoje ulubione przekąski: stek i wędzoną zapiekana ostrygę. Tylko pomyśl o tych cynaderkach pokrojonych w małe kawałeczki, tak jak lubisz, i o steku pokrojonym w długie wąskie paseczki, i o wędzonych ostrygach. Chodź tu, moja mała, chodź, Olimpio, do wujka, no chodź.

Potem kucharz wyjął z kieszeni zawiniątko, rozwinął je i wyjął stek okazałych rozmiarów. Zapach zaczął się rozchodzić po całym torze wyścigowym. Olimpia wyskoczyła na pół metra w górę, wyrzucając spod siebie grudki ziemi, które uderzyły Gilly prosto w nos i w ciągu kilku sekund znalazła się na mecie. Zwycięzcy zaraz rzuciła się na kucharza i czekający na nią stek.

Gdy Olimpia niemal przefruwała nad linią mety, głośnym miauknięciem obwieszczając zwycięstwo, Phillip Mercerault trzymał w ramionach małego synka, Alexandra. Alexander krzyczał radośnie, gdy Olimpia wskoczyła kucharzowi na ręce i wyrwała mu stek.

Oklaski mieszały się z buczeniem tej części publiczności, która postawiła na inne koty. Gilly, jak przystało na championa, opuścił tor wyścigowy z wysoko podniesioną głową, pozwalając, by Jamie wziął go na ręce i zaniósł do Rohana i Susanny.

Susannah Carrington głośno wykrzykiwała gratulacje dla Olimpicii, nawet wtedy, gdy wzięła już na ręce Gilly'ego i całowała w umorusany nosek. Potem pozwoliła swojej córeczce Violetcie pocieszająco go poklepać po grzbiecie. Marianne, która niedawno skończyła siedem lat, odezwała się do Rohana:

- Nawet ja poczułam zapach tego steku. Papo, jesteś pewien, że to sprawiedliwe? Aż mi ślinka pociekła, gdy poczułam ten zapach.

- To taka nowa metoda, króliczku - odparł Rohan i pocałował córkę. - Bracia Harker wymyślą dla nas coś innego, dzięki czemu wygramy i następnym razem ciocia Sabrina i wujek Phillip będą zgrzytać zębami z zazdrości. Sama zobaczysz.

Tego samego dnia już po południu Julien i Katharine St. Clair, hrabia i hrabina March, dołączyli do Carringtonów i Merceraultów w Mountvale. Niedawno urodził im się syn, Damien, który teraz spał w pokoju dziecięcym, razem z pozostałymi dziećmi. Rozmawiali właśnie o potencjalnych małżeństwach między ich potomstwem, gdy Phillip westchnął:

- Wszyscy doskonale wiemy, że szanse na to, że którekolwiek z naszych dzieci postąpi zgodnie z

naszym życzeniem są równe liczbie wyścigów, w których Gilly pokona Olimpię.

Rohan rzucił w przyjaciela słodką bułeczką.

- Jeszcze zobaczymy. Wierzę w braci Harker i ich umiejętności. A teraz wracając do naszych dzieci: nie mamy ich jeszcze tyle, by miały wystarczający wybór. Musimy się zabrać do roboty, Susannah - powiedział do żony - i zadbać, by dzieci było więcej.

- My też musimy was w tym wspomóc. - Phillip poklepał Sabrinę po ramieniu, ramieniu bardzo jasnym, ale już nie tak wychudzonym jak w dniu, gdy się pobierali.

- Być może i my was wspomozemy - zgodziła się Sabrina. - Ale tylko być może.

- A my? - hrabina March zwróciła się do męża.

- Może i my się tym zajmiemy?

- O tak, Kate, myślę, że tak. Na pewno. Potem rozmowa zesłała na inny tor, a zaczęli mianowicie rozmawiać o Richardzie Clarendonie, markizie Arysedale, któremu zmarł niedawno ukochany ojciec, wskutek czego Richard został księciem Portsmouth.

- Zastanawiam się - odezwał się Phillip znad kieliszka słodkiego białego wina - czy Richard kiedykolwiek znajdzie kobietę, dzięki której zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi.

- To znaczy kobietę, która będzie go krótko trzymać - odezwała się Sabrina. - Właśnie tak, jak ja ciebie, Phillipie.

- Kto wie? - Rohan Carrington uniósł kieliszek, by wznieść toast za powodzenie przyjaciela.

- Za waleczne koty i dobrych przyjaciół.

- Amen - podsumował Phillip i napiwszy się wina, pochylił się, by delikatnie pocałować żonę w usta.

* Wojna o niepodległość Hiszpanii 1808 - 1814, w której udział brały wojska francuskie pod dowództwem Napoleona i wojska angielskie pod dowództwem generała Wellingtona (przyp. tłum.).

* Bree / brie - gra słów: „Bree” i „brie” mają tę samą wymowę (przyp. tłum.).

* Drury Lane - ulica w centrum Londynu, niedaleko Covent Garden, przy której znajduje się Theater Royale, obecnie najstarszy teatr w Londynie, znany głównie z wystawianych tam musicali (przyp. tłum.).

* Bath - znany kurort w południowo - zachodniej Anglii (przyp. tłum.).

** Eton - założona w 1440 roku szkoła do chłopców, głównie wysoko urodzonych, ciesząca się doskonałą reputacją (przyp. tłum.).

* W krajach anglosaskich istnieje zwyczaj zamieszczania w prasie ogłoszeń o ślubach, zaręczynach itp. (przyp. tłum.).

* Król Jerzy III, który w roku 1811, po 50 latach rządów, z powodu choroby psychicznej musiał oddać władzę w ręce syna, późniejszego Jerzego IV (przyp. tłum.).

* Rotten Row - szeroka aleja w Hyde Parku, służąca do jazdy konnej (przyp. tłum.).

* White - znany londyński klub dla dżentelmenów (przyp. tłum.).

* Święty Jerzy - męczennik żyjący w III w., patron Anglii, na obrazach często przedstawiany, gdy walczy ze smokiem w obronie kobiety (przyp. tłum.).